ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVI. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXI.

TOM I. — ZESZYT II.

Luty.

WARSZAWA.

1891.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

Zeszyt niniejszy zawiera arkuszy 13.

Druk ukończono dnia 9 lutego 1891.

V



SEPERATYZM MIĘDZYNARODOWY.

Na osobliwe zjawisko pod względem stosunków międzynarodowych patrzymy: oto państwa i ludy spółczesne, wbrew głoszonym pod koniec zeszłego wieku teoryom o braterstwie, dążą pod koniec bieżącego do coraz większego wyosabniania się i rozdziału. Napróżno chrystyanizm przez tyle wieków ogłasza braterstwo wszystkich ludzi; napróżno drogi żelazne, telegrafy podwodne, nadziemne i podziemne, wraz z telefonami, zbliżają coraz bardziéj najbliższych i najdalszych mieszkańców ziemi; napróżno interesa materyalne, ekonomiczne i umysłowe, przypominają im dobitniéj od najrozumniejszych teoryi, że jedność i solidarność nakazuje im własne ich dobro: wszystko to zdaje się obijać o głuche uszy, wszyscy pragną się odgrodzić sztucznemi płotami, każdy w sąsiedzie upatruje wroga czyhającego na swoje mienie, lęka się o byt swój. Nieufność wzajemna, oto cecha teraźniejszego położenia, egoizm czyli samolubstwo narodowe, oto hasło naszego czasu.

Bardzo poważni, lubo optymistyczni, teoretycy spółcześni prorokowali wygasanie fanatyzmu, nienawiści religijnych, międzynarowych, klasowych; zapowiadali panowanie epoki przemysłowéj, obumieranie instynktów drapieżnych, wojowniczych i t. p.; a tu wszystko na wspak się dzieje. Widocznie, wieczny pokój, na ziemi przynajmniéj, należy do tych wielu utopii, których idylliczne obrazy mają wiecznie tylko pocieszać skołatane głowy i znękane serca, ale nigdy się nie urzeczywistnią. Do takich pocieszających utopii należy i braterstwo ludów; możnaby do niego zastosować odwrócone przysłowie: kochajmy się jak Żydzi, a drzyjmy się jak bracia.

Czém się to jednak dzieje, dla czego rzeczywistość tak mało

podobna do tych pięknych nadziei i życzeń? Sprobójmy odpowiedzieć na te pytania.

Zdaje się, że pierwszą i najgłówniejszą przyczyną tego niewesołego zjawiska, jest egoizm, czyli samolubstwo narodowe. Jak w stosunkach prywatnych między jednostkami, tak i w międzynarodowych egoizm wyosabnia, odpycha od siebie ludzi i społeczeństwa. W stosunkach prywatnych rzecz to łatwiejsza do zauważenia i sprawdzenia, a stąd niepotrzebująca, zda się, dowodów. Mniéj to jednak widoczne na większą skalę, ponieważ samolubstwo wielkich mas ludzkich jest już pewną abstrakcyą, uogólnieniem wielu samolubnych czynów. Jeżeli jednak od uogólnień przejdziemy do faktów konkretnych i przykładów, samolubstwo narodowe stanie się tak dobrze zrozumiałém jak indywidualne.

Jakoż, przyglądając się rozwojowi zdarzeń spółczesnych lub niedawno minionych, przekonywamy się, iż rzeczywiście źródłem nienawiści, separatyzmu klas i społeczeństw ludzkich, jest przedewszystkiém myśl o sobie, o swojém ja, żeby mu było i ciepło i syto i bezpiecznie. Stąd wynika, że klasy i narody w sobie tylko widzą wszelką doskonałość, wszystkie cnoty, że siebie tylko uważają za czołowe grupy, którym inne grupy winny służyć jako niższe, podlejsze. Pretensye te osłaniają się potrzebą szerzenia ewangelii, cywilizacyi, wiedzy i t. p., a w gruncie jest to najzwyczajniejsza pożądliwość cudzego mienia i dobra. Gdyby historya mogła nam odkryć najskrytsze pobudki wojen zwyczajnych i celnych, podszczuwań prasy jątrzącéj klasy przeciw klasom, narody przeciw narodom, rasy przeciw rasom, ujrzelibyśmy, że po za pięknemi i humanitarnemi ideami, hasłami kryją się lub kryły ordynarne interesa materyalne. Dlaczego plantatorzy Stanów Zjednoczonych północnéj Ameryki, nie chcieli się zgodzić na wyzwolenie murzynów? Może dla tego, że murzyni cuchną, albo, że powątpiewali o ich ludzkiéj naturze i zdolności do przyjęcia cywilizacyi? Bynajmniéj: chodziło o tanie ręce do uprawy plantacyi, o większe zyski, o materyalne bogacenie się cudzym potém. O co chodziło Niemcom w ostatniéj wojnie z Francyą? Może o zaszczepienie metafizyki w głowach chłopów alzackich, albo o przypomnienie im języka praojców? Bynajmniéj: chodziło o spory kawał dobréj ziemi, o ciepłe posady dla legiona zgłodniałych abituryentów i doktorów wszelkich scyencyi, którzy nie mając co jeść w domu, niemieckim patryotyzmem dowodzili i dowodzą, że są tam konieczni. O co chodzi państwom europejskim w téj gorączce kolonizacyjnéj na wybrzeżach i w głębi Afryki? Może o rozszerzenie ewangelii i oduczenie tamtejszych kró-

ników od kanibalizmu, o cywilizacyą tych czarnych braci? [1]) Bynajmniéj: chodzi o rynki dla zbytu nadmiernéj produkcyi przemysłowéj, o upływ nadmiernéj ludności swojéj, o najzwyczajniejsze interesa materyalne, o swoje najdroższe ja, by mu było ciepło, syto i dobrze, chociażby murzynom było i ciasno i głodno, chociażby ci bracia częścią już w Chrystusie a częścią jeszcze bez Chrystusa, mieli wyginąć co do nogi. Tak samo cywilizowali Hiszpanie Indyan amerykańskich, tak samo i po wszystkie czasy mówią zwycięscy do zwyciężonych: *mors tua, vita mea.*

Przez długie czasy uchodziło za pewnik, że ze wszystkich ludów Francuzi są jedynym, co walczył za idee bezinteresownie i szedł z chorągwią na czele postępu. Powoływano się przytém na jałmużny, udzielane na piękne mowy w ciele prawodawczém, na podaną rękę Włochom i t. d. Pomijając jałmużnę, która powinna być bezinteresowną, gdybyśmy sobie przypomnieli dzieje Francyi od jakich stu lat, okazałoby się, że walczyła ona tak dobrze, jak inne ludy o swoje *ja*, o swoje interesy materyalne, nie o żadne idee. Alboż rzeczpospolita francuska z końca przeszłego wieku walczyła o braterstwo, równość i wolność narodów? Wprawdzie niektórzy jéj ówcześni ideologowie i deklamatorzy prawili na ów temat gorące mowy—ale naród jako całość, jak tylko miał dość siły, rwał po kawałku cudzego, obdarzając mieszkańców kokardami, i uszczęśliwiał ich za to republikańską formą rządu. Alboż Napoleon I-szy niósł w swoich wyprawach wolność ludom? A Napoleon III-ci czy bezinteresownie podał rękę Włochom, albo w Meksyku osadzał Habsburga dla umocnienia na lądzie amerykańskim idei monarchicznéj? Nareszcie, czy wojna z Niemcami miała służyć do skojarzenia rasy łacińskiéj i wyznawców katolickich przeciw nawale germańsko-protestanckiéj?

Kto dzisiaj w takie pobudki wierzy? Kronika już dziś niesekretna, a i wówczas jawna dla każdego, kto miał oczy do widzenia, świadczy, że Napoleon, t. j. Francuzi pożądali Sabaudyi i Nicei, Luksemburga i Belgii, sprostowania granic od strony Niemiec. Czyż-to chęć wyzwolenia Szlezwig-Holsztyńczyków z pod jarzma duńskiego popchnęła Austryą i Prusy do wojny z Danią i okrojenia jéj terytoryum? Potém prawnicy korony pruskiéj dowiedli jak na dłoni, że

---

[1]) Tak mniema p. Leroy-Beaulieu, który usprawiedliwia interwencyę ludów cywilizowanych w sprawy barbarzyńców tém, jakoby pierwsze miały za zadanie edukacyą drugich i opiekę nad nimi. „L'état moderne et ses fonctions", Paryż, 1890, str. 427.

królowie pruscy od wieków mieli nieprzedawnione prawa do Szlezwig-Holsztynu, tak samo jak w przeszłym wieku tacyż prawnicy dowiedli Prusom prawa do prostowania granic od ściany wschodniéj. Byłby bardzo naiwnym, kogoby jeszcze historya nie nauczyła, że odkąd pamięć ludzka sięga, egoizm kierował wszystkiemi zatargami i wojnami, jakie narody prowadziły, i że zawsze siła była pierwszą, a prawo drugiém: *Macht vor Recht!* Prawnicy od tego są prawnikami, żeby prostowali, co siła pogięła i gładzili szczerby mieczem pozębione.

— No, to już zgoda,—powie może jaki sentymentalny czytelnik ze ściśnionem sercem; — niechże będzie na twojém, że egoizm i siła regulują stosunki międzynarodowe. Tego jednakże nie zaprzeczysz, że nie sam egoizm i nietylko siła tworzą dzieje ludzkie, że do gry wchodzą i uczucia i idee nieraz bardzo szlachetne. — Nie myślimy przeczyć téj poprawce, wiedząc, jak liczne przyczyny składają się na zdarzenia życia codziennego, a témbardziéj historycznego. Ale obok egoizmu, interesu materyalnego, wszystkie inne pobudki zwane idealnemi, są tak nieskończenie małą ilością, że trzebaby rachmistrza nielada, by je mógł wydzielić z tego grubego kłębka, na który się składają tysiączne, poplątane nici i niteczki samolubstwa.

Cóż jednak z tego za sens moralny czy niemoralny? Przecież egoizm narodowy równoznaczny jest z patryotyzmem, a chyba tego ostatniego nie godzi się potępiać w Niemcach lub Francuzach. Bez egoizmu ani człowiek, ani naród ostaćby się nie mógł; byle ten egoizm był miarkowany względami na bliźnich i sąsiadów, jest on uprawnionym i prawym czynnikiem życia. Trzeba tylko dążyć do pogodzenia egoizmu z altruizmem, czyli samolubstwa z drugolubstwem. Maksyma prawdziwie ludzka, tylko wykonanie jéj należy do zagadnień nadzwyczaj zawiłych, osobliwie w stosunkach międzynarodowych. W stosunkach prywatnych, jednostek z jednostkami, może się to czasami praktykuje, może egoizm z altruizmem kiedyniekiedy chodzą w parze; chociaż konsekwentny Benthamista w tak dobrze zrozumiany interes własny nie wierzy. Inaczéj wszakże ma się rzecz z narodami, t. j. z masami jednostek. Te rzucają się na siebie, jak bestye o kość z mięsem, a czasami i gołą, tu słychać jedynie: broń się, albo ustępuj.

— To taki sens moralny?—Niechaj będzie niemoralny, skoro go tak nazwiecie. Ale-bo też tutaj nie chodzi o wykład etyki, tylko o zrozumienie zdarzeń minionych i lepsze oryentowanie się w bieżących. Nie jest to bez korzyści, gdy mamy skalę do oceniania faktów historycznych i spółczesnych. Pozbycie się złudzeń jest już wygraną w życiu, chociaż u nas złudzenia i sny na jawie są droższe

nad rzeczywistość, a ten kto z nich ludzi odziera podobien Herostratowi.

Co innego jest stwierdzać fakt nie wszystkim odrazu zrozumiały, a co innego chwalić go lub ganić, cieszyć się zeń lub smucić. Nie przedsiębiorąc ani jednego, ani drugiego, stwierdzany fakt gruby choć osłaniany nieraz podniosłą frazeologią, że egoizm narodowy, że interes materyalny jest główną przyczyną separatyzmu między narodami. A jakie mogą być przyczyny drugorzędne tego zjawiska? Wymieniają pospolicie wśród nich rasę, wiarę i t. d. Nie przecząc, że te przyczyny biorą udział w odpychaniu od siebie ludów odmiennéj rasy, religii, twierdzimy przecież, iż wpływ ich na antagonizm międzynarodowy jest mniéj doniosły.

Najprzód więc co do rasy. Nie można zaprzeczyć istnienia pewnych wstrętów rasowych. Co na to wpływa? Najczęściéj, lubo nie zawsze, uprzedzenia zadawnione. Oprócz uprzedzeń jest przecież w téj antypatyi ras do siebie, coś przyrodzonego. Może to być najprzód odraza fizyczna wynikająca z kształtów twarzy. Europejczyk, albo lepiéj człowiek rasy kaukazkiéj, czuje mimowolny wstręt do Mongoła, patrząc tylko na jego oblicze i nie doznawszy żadnéj krzywdy. Że tak bywa, dość wspomnieć o Chińczykach, Murzynach lub Papuasach. Mniejszy już wstręt czują Europejczycy do Semitów, z powodu ich wyglądu zewnętrznego, chociaż nie można zaprzeczyć, że już Rzymianie mieli Żydów w pewnéj pogardzie, nazywając ich, jak Horacy, *curtati Judaei.* Do pieniędzy ich wszakże nie czuli najmniejszego wstrętu i pożyczali u nich, jak i dzisiejsi ludzie.

Daléj, ta antypatya może pochodzić z różnicy charakteru moralnego, gdy skala obyczajowa dwóch ras jest różną, i co jedni uważają za obrazę czci, honoru, — drudzy, lekceważąc tę drażliwość moralną, sądzą, że byle się nie spotkać z kodeksem kryminalnym, już się zadość uczyniło etycznym zasadom. Takich ludzi oczywiście dostarczają wszystkie rasy, ale w jednéj może być więcéj, w drugiéj mniéj tego cynizmu i stąd oskarżenia zdają się być uzasadnione.

Nareszcie zwyczaje, obyczaje, moda, ubiór i ten nie dający się ściśléj określić sposób zachowania w towarzystwie, *manière d'être*, niemało wpływają na wstręt ku sobie ludzi z rozmaitych ras nawet cywilizowanych, ale każda po swojemu i bez wyrozumiałości na odmienne obyczaje i zwyczaje.

Nie przecząc tedy, że i wymienione okoliczności przykładają się do spotęgowania separatyzmu między narodami ras odmiennych, twierdzimy przecież, że jak tylko interesy ich materyalne nie stają przeciw sobie sztorcem, ludzie i narody mimo różnicy rasy żyją ze

sobą na stopie pokojowéj, czasami nawet przyjaznéj i życzliwéj, zwłaszcza gdy ich interesy są wspólne i zgodne.

Religie zdawien dawna stanowiły czynnik rozdzielający ludy i dzisiaj są tamą powstrzymującą ich zbliżenie. Judaizm i chrystyanizm, machometanizm i chrystyanizm, nie mówiąc nic o bałwochwalstwie, w którém dotychczas pogrążone są miliony, nie dozwalają, między innemi, na małżeństwo między swoimi wyznawcami, a jest to węzeł najbardziéj zbliżający ludzi i ludy. Rozmaite odcienie chrześciaństwa lubo nie tamują bezwarunkowo małżeństwa śród swoich wyznawców, ale otaczają je tylu warunkami, że w ogóle rzadko widzimy zawieranie takich związków.

Tym sposobem interesy materyalne gdy są sprzeczne, wówczas i rasa, wyznanie religijne, poziom ukształcenia, obyczaje, zwyczaje, moda i mnóstwo drobnych uprzedzeń, przesądów, potęgują separatyzm i nie pozwalają na urzeczywistnienie wzniosłych zasad chrystyanizmu o braterstwie ludów. Poganin rzymski mówił kiedyś o sobie: „jestem człowiekiem i wszystko co ludzkie, nie może mi być obojętne“, chociaż spółrodacy jego uważali cudzoziemców za nieprzyjaciół, *hostes*; tak samo i dzisiejsze ludy chrześciańskie mimo zasad ewangelii nienawidzą się i wyrządzają sobie tyle złego, ile tylko mogą. Zawsze łatwiéj o zasady, aniżeli o czyny.

Ze wszystkich jednak różnic, dzielących narody najtrwalszą jest różnica, wynikająca ze sprzecznych interesów materyalnych, ostatecznie z egoizmu. Widziano bowiem już nieraz w historyi, że i rasa i religia i rozmaite uprzedzenia znikają, gdy interesa materyalne nie są w kolizyi. Widziano mahometan, żyjących w zgodzie z chrześcianami, chrześcian z żydami, protestantów z katolikami, Europejczyków z Chińczykami, jak tylko mieli coś wspólnie zyskać, zarobić. Albo ktoby się był przed trzydziestu laty domyślił, że Włosi z Austryakami żyć będą nietylko w zgodzie, lecz nawet w sojuszu? Dzieliły ich interesa materyalne; a gdy Austryacy wrócili do siebie, nienawiść znikła, bo pretensyi do „nieodkupionych“ jeszcze kawałków ziemi włoskiéj (*irredenta*) na seryo brać nie można.

Jeżeli to egoizm jest sprawcą wszystkiego złego, pytam się, coby wart był i człowiek i naród bez egoizmu? Musieliby zginąć.

Ani słowa; pewna doza samolubstwa konieczna jest do zachowania bytu jednostki i narodu. Altruizm, czyli po staremu bezwzględna miłość bliźniego, musiałby doprowadzić w końcu do zanegowania praw własnéj egzystencyi. Myśląc tylko o innych, musielibyśmy zaprzestać troski o siebie. Byłby to stan nie do zazdrości.

Wszakże miarkowanie tego samolubstwa zarówno indywidual-

nego jak i zbiorowego, jest konieczne dla bytu społeczeństw, jeżeli ludzie mają kiedyś zaprzestać warczenia i wyszczerzania zębów na siebie. Przecież już noszą fraki i krawaty. Chcesz żyć? bardzo pięknie; dozwólże i mnie żyć, albo sprobujemy pięści, rozpoczniemy idealny stan natury. Otóż, niestety, mimo postępu, narody wracają do wojny wszystkich przeciw wszystkim o miejsca, o posadę, o chléb, o szmat cudzéj ziemi, słowem o materyalne interesa, jak bywało od wieków. Walczą ze sobą nietyle idee, co interesa i one to utrzymują seperatyzm narodów.

Wszystko to może być nie wesołe, ale powiadają, jest konieczne, a duch czasu, jak nieboszczyk Cromwell do żołnierzy, odzywa się złowrogo: Pana Boga chwal, a proch trzymaj suchy.

K.





WALKA Z PRZESĄDAMI

W POLSCE WIEKU XVIII-go *).



Uprawa nowéj filozofii obudza krytycyzm, podnieca do podkopywania przesądów.— Walka przeciwko czarom, upiorom i gusłom. — Prace duchowieństwa wyższego, dzieło Bohomolca, współudział literatury dramatycznéj i czasopism. — Astronomia dyskredytuje wieszczbiarstwo, wyrabia kredyt teoryi Kopernika. — Spór Łuskiny z Duńczewskim, reforma kalendarzy. —- Zażegnywanie trwogi na widok zjawisk groźnych. — Zapadnięcie się jeziora pod Wilnem, przepowiednie Ziehena i trzęsienia ziemi. — Pierwsze piorunochrony, stosowanie elektryczności w lecznictwie, próby podróży napowietrznych. — Nauki przyrodnicze zyskują popularność, stają się modą. — Możni zakładają gabinety, uczeni piszą dzieła popularne, cudzoziemcy handlują narzędziami. -— Alchemia, kabała i spirytyzm zwolenników znajdują niewielu.

Szerzeniu się nowszéj filozofii (*recentiorum*) w połowie XVIII stulecia towarzyszył u nas krytycyzm, zwrócony ku podkopaniu i wytępieniu przesądów. Nieśmiały z początku, atakujący wiarę w czary, upiory, zabobony, gusła, prognostyki i t. p. ze stanowiska teologicznego,—oparł się z czasem na naukach przyrodniczych i umiejętnościach ścisłych i niemało w świecie starych, wiekami uświęconych wyobrażeń, dokonał spustoszeń.

W pierwszéj połowie stulecia duchowieństwo, powołując się na konstytucyą Zygmunta I-go z r. 1543, dającą Kościołowi moc sądzenia i karania za czary, starało się wyjąć sprawy tego rodzaju z pod jurysdykcyi władz świeckich. Pomimo wyroków sądu asesorskiego i reskryptu Augusta II, datowanego 5 maja r. 1703 z Malborga, zalecających magistratom świeckim roztrząsać sprawy o czary po poprzedniém rozpoznaniu istoty czynu przez władzę kościelną [1]), fak-

*) Jest to jeden z rozdziałów pracy p. t. Przewrót umysłowy w Polsce w. XVIII-go. (*Red.*).

[1]) Raczyński. Gabinet medalów, t. IV, str. 76.

tycznie dawny stan rzeczy zmianie nie uległ. Zabiegami duchowieństwa wydane zostały w czasach następnych nowe reskrypty, na których podstawie uchwały synodalne zaprzeczały burmistrzom i wójtom prawa sądzenia podejrzanych o czary. Odprawiony w r. 1733 synod pułtuski, opierając się na wyjednanym dla dyecezyi płockiéj reskrypcie Augusta II z 25 kwietnia r. 1727, ostremi nieposłusznym groził karami. „Między inszemi szkodliwemi, które się znajdują zwyczajami, i ten częstokroć bywa, że po mniejszych miasteczkach, ba! i częstokroć po wsiach, burmistrze, wójtowie, nietylko nauki prawa nie mający, ale i czytać i pisać nieumiejący, wdają się w sądy względem czarownic z wielkiém niebezpieczeństwem, jako się to nieraz trafia, że niewinne osoby na ciężkie tortury, a czasem na śmierć potępiają. Dlatego, stosując się do tego, co świątobliwie antecesorowie nasi postanowili byli,—surowo i pod klątwą zakazujemy, ażeby te, wzwyż pomienione urzędy do sądzenia tych spraw nie wtrącali się, ale osoby podejrzane do miast główniejszych i kędy na sądach ludzie uczeni i rozumni zasiadają—odsyłali. Nawet nie powinny się żadne świeckie urzędy w takie wdawać sądy, aż wprzód w sądzie duchownym agitowana ta sprawa i potém do sądu świeckiego odesłana będzie... Dlatego, jeżeliby w pomniejszych miasteczkach albo wioskach, takowe odprawować się miały sądy, plebani reskryptem królewskim składać się i wszelakim sposobem oponować się będą, klątwą *etiam* grożąc" [1]). Za przykładem Andrzeja Stanisława Kostki Załuskiego, za którego odbył się synod pułtuski, wydał proces z 1 sierpnia r. 1743 arcybiskup gnieźnieński Szembek [2]), a za nimi poszli i inni [3]). Wierząc w czary. duchowieństwo oświadczało się przeciwko procedurze, praktykowanéj przy dochodzeniu przestępstwa: potępiało pławienie, próbę przez wodę wrzącą lub rozpalone żelazo. „Sędziowie — pisał w r. 1766 biskup kijowski, biskup Józef Andrzéj Załuski [4]) — domagać się powinni od strony oskarżającéj, aby, zadawszy czarostwo komu, oczywistymi stwierdziła dowodami i naturalnemi probacyami. Nie powinni z taką łatwością na fundamencie dowodów omylnych, jak pławienia lub in-

---

[1]) Constitutiones et decreta synodi dioec. ploc. Pultoviae A. D. 1733 die 4 agusti celebratae. Warszawa. 1735, str. 17, 223, 250.

[2]) Bartoszewicz. Znakomici mężowie polscy w XVIII wieku, II, str. 107.

[3]) Statuta synodalia dioec. orthodoxae kijoviensis publicata ab... J. A. Załuski. Culmae in Prussia, 1764, str. 17.

[4]) Objaśnienie błędami zabobonów zarażonych, oraz opisanie niegodziwości, która pochodzi sądzenia przez próbę pławienia w wodzie mniemanych czarownic, jako takowa próba jest omylna, różnemi dowodami stwierdzone. Berdyczów, 1766.

nych nienaturalnych sposobów, karać śmiercią. Wiele bowiem ludzi, o których pobożności, cnotach wszystkim wiadomo było, wrzuceni na wodę tonąć nie mogli... Gospodarze, którzy, widząc suszę, aby deszcz był, pławią niewiasty lub wodę na granicę nosić każą — ciężko grzeszą..." Pod koniec panowania Augusta III sprawy o czarodziejstwo w regestrach trybunalskich w bardzo małéj figurowały liczbie [1]). Za Stanisława Augusta wiarę w czary ludzie wykształceni uważali za przesąd. „Nie jest mi tajno — drwił w r. 1767 *Monitor* (Nr. 79),—iż między moimi czytelnikami niemało takich znajduje się, którzy śmieją się z czarów... Niedawnymi czasy, niedaleko stąd kilka czarownic przykładnie skarano. Prócz tego, że na inkwizycyach z sobą się nie zgadzały, sama szpetność oczu i twarzy wynędzonéj takiemi ich być pokazała. Słusznie więc poszły na ogień..." Edykt cesarski dla krajów austryackich, znoszący odpowiedzialność sądową za czary, w czasopismach polskich zrobił wrażenie najlepsze [2]).

Już Elżbieta Drużbacka nie dawała wiary opowieściom o upiorach, błagała biskupa krakowskiego, Załuskiego, aby wpływem swoim tępił uwłaczające katolicyzmowi przesądy.

„A kiedyś pracy usilnéj nie szczędził
Wygnać z miejsc świętych dyabły, co nam szkodzą:
Uczyń to, żebyś upiorów wypędził,
Co ludzi dławią, a po nocy chodzą" [3]).

Wizytator generalny misyonarzy polskich, Śliwicki, w liście z 3 lutego r. 1745 do księdza Calmet'a istnieniu upiorów zaprzeczał. Przywiódłszy zakaz Sorbony pastwienia się nad trupami i ucinania im głów, starałem się usilnie — pisał — dotrzéć do źródła: badałem tych, o których mówiono, że istnienie upiorów mogą poświadczyć, nie znalazłem przecież żadnego, któryby śmiał twierdzić, że coś podobnego widział własnemi oczyma. Wszystko zatém, co przypisują upiorom, jest imaginacyą, pochodzącą z bojaźni i niedorzecznych powieści [4]). Mało pochopne do zajmowania głosu w kwestyach drażliwych czasopisma polskie wynagradzały trwożliwość swoją rzucaniem w szersze koła społeczne informacyi uczonych obcych. Przetłómaczony z gazet fran-

---

[1]) Kitowicz. Opis obyczajów i zwyczajów za pan. Augusta III-go. Petersburg i Mohylew, 1855, t. I, str. 159.

[2]) Wiadomości warszawskie z 10 stycznia r. 1767.

[3]) Sprzeczka z różnymi zakonnikami o upiorach (Załuski, Zebranie rytmów, t. I, Warszawa, 1752, str. 476).

[4]) List Śliwickiego pomieścił Calmet w dziele swojém, wydaném w r. 1746 w Paryżu: Dissertations sur les apparitions des anges, des démons et des esprits. (Janocki. Lexicon, I, str. 155).

cuskich list doktora Trewurt'a, wyjaśniwszy ze stanowiska lekarskiego tajemnicę rumieńca i krzyku trupów, genezę wrzekomych wędrówek upiorów znajduje w imaginacyi dotkniętych chorobą, w pomysłowości złodziejów i łatwowierności pospólstwa [1]). „Bardzo wielka liczba teraźniejszych Polaków, — pisał w r. 1773 światły bazylian, ks. Aleksander Żórawski — nietylko heretyków, ale też katolików, nietylko świeckich, ale też duchownych trzymają, że upiorów nie ma, że bytność ich między babskie bajki i straszydła dziecinne policzona być winna“ [2]). Szczególniejszą ludzi rozsądnych budziło troskę pospólstwo ziem ruskich, bardziéj niż w innych częściach Rzeczypospolitéj pogrążone w ciemnocie. „Spodziéwaćby się słusznie należało — pisał z Żyrowic w marcu r. 1771 Nieupiorowierski, — iż wkrótce żadnego w Polsce upiora nie stanie. Ale o! jak wiele może źle uprzedzone od kolebki zdanie i niedostatek zdrowéj edukacyi! Podczas teraźniejszéj morowéj zarazy, która na Wołyniu, Podolu i Pokuciu po części grasowała, coby do reszty upiorowie wyginąć mieli, to ich owszem niezmierna liczba dawnych ożyła, a nowych narodziło się... Płoche i zabobonne pospólstwo samym upiorom to, że ludzie gęsto marli, przypisywało. Stąd, zaniechawszy wszelkich przyzwoitych środków, samemi tylko gusłami usiłowało zasłonić się od téj nieszczęśliwości. Duchowieństwo, mniéj oświecone, miało także w tém swoją cząstkę, a mało nie wszyscy, do których to należy, dysymulowali. Z procesyą ludzie koło miast i wsiów chodzili, wodę święconą na wszystkie trakty roznosili i krzyże osikowe poświęcone zakopywali..., a to armując się od upiorów cudzych, aby nie mogli dostąpić. Swoi zaś, aby nie potrafili z grobów powstać, po wszystkich cmentarzach chodzono z procesyą i święcono wodę.“ Nietylko trupom, lecz ucinano głowy i osobom żyjącym, posądzonym o zdolność szerzenia moru [3]).

Potężnie podkopywało wiarę w czary i upiory dzieło jezuity, ks. Jana Bohomolca (1724 † 1795) Dyabeł w swojéj postaci (1772). „Mądremu—pisał Bohomolec — ani na zdaniu pospólstwa przestawać, ani sądów i przesądów jego lękać się przystoi. Co ja pojmuję (mawiał Epikurus), to pospólstwo gani; co pospólstwo chwali, ja tego nie pojmuję i przeto nigdym się onemu podobać nie chciał. I słusznie: nie masz bowiem gorszego dowodu, jako zdanie pospolitych ludzi. Obdarzeni są wprawdzie rozumem, równie jako inni; mają sposobność i ciekawość do poznania, jako inni; lecz głęboko nie szperają, ani do same-

---

[1]) Wiadomości warszawskie z 30 kwietnia i 3 maja r. 1766. — [2]) Monitor z r. 1773, Nr. 23. — [3]) Monitor z r. 1771, Nr. 22.

go jądra przeniknąć nie usiłują, podobni dzieciom, które orzech z chciwością do gęby kładą, a doświadczywszy, że twardy, samą tylko powierzchowną zabawiają się postacią. Na świadectwie zmysłów zupełnie przestają, częstokroć co się marzy — za prawdziwe biorą widoki... Powieściom łacno wierzą, a tém łacniéj, im dziwniejsze i do pojęcia trudniejsze. Co zaś z podania przodków swoich mają, to na równéj z religią kładą szali. Zabobonne wymysły z obrządkami najświętszemi łączą... Do mądrych należy być ich nauczycielami i wodzami... Nie jestem ani z liczby tych, którzy wszystkim; ani z tych, którzy żadnéj rzeczy nie wierzą. Owszem, oba te gatunki ludzi sądzę być godne politowania. Wierzyć bowiem we wszystko — znak jest słabego, nic nie wierzyć — skażonego umysłu.“ W samej rzeczy, wiara Bohomolca była bardzo rozległą: ogarniała ukazywanie się dusz zarówno świętych, jak czyścowych i potępionych; „sny, objawienia i widzenia od Boga“. Odrzuca przecież czarodziejstwo, które „teraz grzechem i sztuką stało się samych tylko nędznych i niedołężnych prostaków“; z wielkim zasobem erudycyi teologicznéj walczy przeciwko przeświadczeniu o grasowaniu upiorów. Na pytanie: „jeśli szatan może władać istotami materyalnemi?“—odpowiada twierdząco, istnieją bowiem, zdaniem jego, opętani, rozmawiający za sprawą złego ducha językami, których się nie uczyli, przepowiadający przyszłość odległą; dokonywający czynów, przechodzących siły pospolite człowieka. Władają jednak szatani w pewnych tylko granicach: nie mają mocy czynienia cudów, nie mogą istoty materyalnéj, zarówno drobnéj, jak wielkiéj, tak żywéj, jak martwéj przenieść z miejsca na miejsce, wzbudzać nawałnic i grzmotów; zabroniono im również ożywiać zwłok nieboszczyków. Że szatani nie mogą brać na się ciał umarłych, t. j. że upiory nie istnieją — dowodzi historya święta i rozum. „Wszystko, co upiorowie mniemani czynią, skutkiem być może albo mózgu naruszonego, albo złości ludzkiéj, albo łacnowierności, albo, nakoniec, jakiego przypadku.“ Dla wyjaśnienia czerstwości trupów powołuje na pomoc chemię i sztukę lekarską. „Gniewu wstrzymać nie mogę, gdy słyszę, jakie środki przeciwko upiorom przepisują! Pierwszy: łajno świnie w usta trupa włożyć... Drugi: ciało odkopać, głowę rydlem uciąć i między nogami położyć... serce wyrwać... albo kołem przebić... Całe ciało wbić na pal... albo zupełnie spalić. Przyznam się, iż, gdy to piszę, od łez wstrzymać się nie mogę. Nie żałuję umarłych, bo oni nie czują, ale żywych, bo ci czuć niegodziwość powinni.“

W subtelnościach teologicznych nie uniknął Bohomolec zarzu-

tów i nagan [1]); w ogóle jednak stanowiskiem religijném trafiał do przekonania mas i w procesie zanikania wierzeń przesądnych rolę odegrał niemałą. Dyabeł w swojéj postaci pomiędzy rokiem 1772 i 1777 kilku doczekał się wydań; pomimo przywileju królewskiego, grożącego przywłaszczycielom własności autorskiéj karą 300 dukatów [2]), przez niewiadomych spekulantów częściowo tłoczony był nieraz. W r. 1789 i 1799 przedrukowano część jedną w Brzegu p. t. Pół-dyable wenecki albo czarownica poleska (8°, stron 176); w 1789 drugą w Warszawie p. t. Upiór ukraiński (8°, stron 296), — obie bez wymienienia autora, z odezwą oryginalną do parochów i rządców dóbr, aby nie żałowali trudu w tępieniu śród pospólstwa przesądów.

Dociekaniom naukowym przychodziła z pomocą literatura dramatyczna. Wydany w r. 1772 [3]) u Szlichtyna we Lwowie utwór dyalogowany: Upiry, dramma z przysłowia: nigdy nie można wszystkiego się ustrzedz i przewidzieć (8°, stron nlb. 31), przykładami z życia potocznego dowodził niedorzeczności wiary w straszydła. Dzieci boją się wejść do pokoju, w którym przed paru tygodniami umarła ich matka. Napróżno dowodzi guwernantka, że umarli nie wstają: opowieści starego sługi o strachach działają mocniéj od rozumnych perswazyi. „Czy téż to — tłómaczył ojciec synkowi — rozumna rzecz ci się zdaje, żeby umarli powracali się na ten świat trapić żywych? Gdyby tak było, to byśmy żadną miarą spokojnie na tym świecie ani w dzień, ani w nocy żyć nie mogli. Gdyby jeden tylko upir miał tę moc, żeby się nazad na ten świat mógł powrócić, tęż samą mieliby i inni. Tylu ludzi poumiérało: nie wiedzielibyśmy, gdzie się schować, gdyby wszystkie upiry nazad na ten świat powróciły. Ja ci powiem wszystko, cokolwiek prawdziwego być może w historyach o upirach. Często w nich naturalny przypadek znajduje się, który nic dziwnego w sobie nie ma, kiedy się roztrząśnie i przeniknie jego przyczyna...“ Przykładami z własnego życia ośmiela w końcu chłopczynę do wejścia do pokoju ze świécą. Za chwilę słyszy krzyk: dziecko, drżące z przerażenia, wraca bez światła, oznajmiając, że je duch matki uderzył w głowę, prawdopodobnie za to, że się razu pewnego nie chciało nauczyć lekcyi. Po zbadaniu rzeczy

[1]) Czacki. O litewskich i polskich prawach. Wyd. Tur., II, str. 104 w przyp. Bronił się Bohomolec w rozprawie: Responsio ad censuram libri: de natura et potestate daemonis. Warszawa, 1775.

[2]) Gazeta warszawska z 27 lutego r. 1779.

[3]) Estreicher. Bibliografia, IX, str. 407.

okazało się, że z powodu gwałtownego otwarcia drzwi, poruszona niemi okienica, opadłszy z zawias, katastrofę ową zrządziła. Przekonawszy się o tém, zapewniał chłopczyna, że z wiary w strachy uleczony został na zawsze.

Starszy brat autora Dyabła, jezuita Franciszek (1720 † 1784), wydrukował w r. 1775 trzyaktową komedyę Czary (bez m. 8°, stron 108), grywaną w teatrze warszawskim [1]), w r. 1779 przedstawioną na akcie uroczystym przez uczniów szkoły łomżyńskiéj [2]). Państwo podczaszostwo wendeńscy Dziwomirowie z Raugieliszek podziwiają pojętność dzieci, powtarzających historye o upiorach i czarnoksiężniku Twardowskim; z ciekawością téż słuchają opowiadań przesądnego sąsiada Drągajły i sługi jego Gwarzyły. Konkurując o córkę Dziwomirów, Konstancyę, otwiéra Drągajło przed rodzicami i panną duszę przesądną naoścież. „Jam rozumiał, — mówi z okazyi widzianego w Warszawie akrobaty — że on sobie kark albo nogę przynajmniéj złamie: jako żywo—nic. Musi to być jeden z tych czarowników, co na Łysą górę latają. Ja nie wiem, jak mu to tam uchodzi. Gdyby ten jegomość był u mnie, musiałby pójść na stos...“ Na zapytanie Dziwomira, czy istotnie w Warszawie wiara osłabła, — „co? — odpowiada Drągajło—osłabła? owszem, cale upadła. Mówić tam o upiorach, o czarach, to się śmieją, a sami publicznie czarują i jeszcze im za to płacą... Sam na swoje oczy widziałem, jako głowa Cycerona bez ciała gadała, jako dyabełki małe tańcują, jako gołąbek z głową uciętą ożył i latał, jako koń liczby składał, karty zgadywał utajone; jako kwiatki, na ręku posiane, zaraz wschodziły i rosły. A najbardziéj jeden chodził od domu do domu z banią szklanną, w któréj miał złego zaklętego. Co téż ten wyrabiał! ktokolwiek jego drutu dotknął się, to palcem swoim wódkę zapalał, to... Ale kto wyliczy wszystkie jego czary? Żegnałem, zaklinałem, ale tak mocne były, żem nic nie wskórał... O! gdybym ich dostał, zrobiłbym tak, jak z ową babą.“ Z dalszego toku rozmowy okazuje się, że Drągajło babę pewną, którą podejrzywał o konszachty ze złym duchem, pławił; gdy zaś nie chciała iść na dno, kazał jéj do szyi przywiązać kamień i utopił. Inną babę stracił znów za uzdeczkę, za któréj pomocą mężczyznę zamieniała na konia. „A w Warszawie temu nie wierzą i utrzymują, iż to jest szaleństwo czarownice topić lub palić...“ Panna Konstancya, edukowana w stolicy u madamy Grandbruit, pomimo nalegań rodziców nie chce

---

[1]) Bogusławski. Dzieła dramatyczne, wyd. Glücksberga, t. IV, str. 379. Dodaje téż (*ib.* V, str. 334), że to utwór Bohomolca.

[2]) Biblioteka Warszawska z r. 1861. t. I. str. 639.

oddać ręki Drągajle, głównie z powodu jego ciemnoty. Nie mogąc go zniechęcić ku sobie afrontami, chwyta się środka innego. Dostawszy razu pewnego w obec Drągajły czkawki, usuwa się do swego pokoju. Namówiona służąca oznajmia konkurentowi, że tego rodzaju przypadłość przytrafia się panience często; daje do zrozumienia, że czkawka zdradza niekiedy obecność złego ducha w człowieku. Drągajło nabiera przeświadczenia, że Konstancya jest czarownicą. „Nie darmo to ona ujmuje się za czarownikami... Czarownictwa się nauczyła w Warszawie“! Po takich refleksyach drapnął Drągajło z domu Dziwomirów bez pożegnania i więcéj u nich, ku wielkiéj radości panny — nie postał.

W r. 1766 obywatelka z pod Warszawy, sprowadziwszy sąd miejski, torturować kazała i tracić poddanki swoje, podejrzane o stosunki z szatanem [1]). W czasie powietrza, grasującego w r. 1770 na Rusi, we wsi pewnéj ucięto głowy trzem ludziom, poszlakowanym o zdolność szerzenia moru; w innéj tyleż osób spalono [2]). W r. 1775 we wsi Doruchowie, powiecie ostrzeszowskim, stracono czternaście kobiét, posądzonych o czary [3]). Wypadki te przecież miały charakter sporadyczny i wywoływały naganę opinii. Członek delegacyi sejmu rozbiorowego, wojewoda gnieźnieński, August Sułkowski, w przemówieniu 26 sierpnia r. 1774 potępiał karę śmierci na podejrzanych o gusła i czary. „Nie dosyć na têm, że za kradzież, za fałszowanie monety i inne występki mniejszéj wagi równą karę śmierci, jak za zabójstwo, naznaczamy, lubo ta już wszędzie za wspomnione kryminały na wieczne więzienie jest przemieniona; ale za gusła, za czary, którym aż nader uwierzamy, palić dotąd nie przestajemy, a co okrutniejszego jeszcze—torturę, jako potrzebny i najpewniejszy sposób do konwikcyi każdego obwinionego, uznajemy.“ Opinię wojewody podzielał podkomorzy gnieźnieński, Gurowski: „Wieleżto, prześwietna delegacyo, po mniejszych subseliach nie czytamy dekretów, które z samych tylko fizyognomii na wieczny ubogich (ale ludzi) skazano ogień“ [4]). Nareszcie w r. 1776 na wniosek kasztelana bieckiego, Wojciecha Kluszewskiego, konstytucya sejmowa zabroniła dochodzenia czarów za pomocą tortur i karę śmierci za nie zniosła na zawsze [5]). Ku upa-

[1]) Raczyński. Gabinet medalów, t. IV, str. 76.
[2]) Monitor z r. 1771, Nr. 22. — Czacki. O lit. i pol. prawach, II str. 104.
[3]) Korespondent Płocki z r. 1887, Nr. 29.
[4]) Protokół albo opisanie zaszłych czynności na delegacyi. Sesya z 26-go sierpnia r. 1774.
[5]) Dyaryusz sejmu r. 1776, str. 432.—Vol. legum, VIII, 547.

miętnieniu faktu wybito medal z napisem łacińskim: „Mękami wyciągać zawsze wątpliwe wyznania zbrodni, pociągać do sądu obwinionych o wrzekome związki z mocą szatańską zakazał sejm r. 1776 na wniosek króla Stanisława Augusta“ [1]). Warstwy ukształcone święciły tryumf światła nad potwornościami ciemnoty, wiarę w czary i upiory zaliczały do faktów, zapadłych w przeszłość. „Żeby uznać — pisano w r. 1783, — jakiém jest dobrem dla społeczności ludzkiéj szerzące się coraz po świecie nauk światło, nie trzeba, tylko wspomnieć sobie na owo zło, o które ją przyprawiły same umysłu ludzkiego ciemności. Jak wiele nie wytępiły ludzi bezrozumne, a zacięte urojenia względem czarów! Kraj nasz, nawet jeszcze za dni naszych, nie patrzył-że na tyle okropnych stosów, które zabobonna srogość po wszystkich stronach podpalała“ [2]). Gorszono się faktem stracenia w r. 1782 czarownicy w kantonie Glarus, wiadomość o niém zaostrzyła ciekawość wszystkich. „Czarostwo i ukaranie go śmiercią na końcu wieku XVIII w kraju... oświeconym zdało się rzeczą godną wszelkiego zastanowienia i dochodzenia przyczyny“ [3]). „Głupie powieści o upiorach dzięki oświeceniu ustały“ [4]). Jeden z współpracowników *Monitora* kontynuacyi rozpoczętego w zeszycie z 7 grudnia r. 1782 artykułu o ukazywaniu się duchów musiał zaniechać z powodu protestu ludzi światlejszych. „Kiedy duch religii prawdziwéj — pisano z téj okazyi w *Monitorze* z 21 grudnia — lepiéj został od ludzi poznanym, a żyjący godny autor swoim uczonym „Dyabłem“ głupie dyabły zawojował,—ustała korespondencya i schadzki, tak niegdyś głoszone, między żyjącymi i duchami... Żałuję mocno pobożnéj imaginacyi autora, którą i siebie obwinił i drugich nie nawrócił. Jeżeli ten tylko skutek powieść jego sprawi, że się ludzie arcy-prawowierni dziś śmieją, mam mu honor powinszować sztuki, że swoją tragedyą na komedyą dla innych przerobił.“ Upiory, symulowane niekiedy dla pokrycia czynów występnych, demaskowały sądy. „Na mówiących stronę, że nie masz upiorów, przytrafiła się w Polsce — opowiada pamiętnikarz pod rokiem 1782-im—konfirmacya téj prawdy. Pewna panna, niedaleko Płocka zostająca u swéj ciotki, zakochała się w parobku. Postrzegłszy to ciotka, napominała ją, a nareszcie policzek jéj wycięła. Ta, rozjuszona będąc takową zniewagą, z inną panienką i parobkiem namówiwszy się, ciotkę w nocy udusiły... Samą do studni wrzuciły, a krwią komin cały zmazały. To uczyniwszy, stukać, jęczeć, ratunku

---

[1]) Raczyński. Gabinet medalów, t. IV, str. 76. — [2]) Pamiętnik polityczny i historyczny z r. 1783, t. II, str. 148. — [3]) Tenże, z r. 1783, t. II, str. 645. — [4]) Tenże, z r. 1783, t. II, str. 74.

potrzebować po pokoju zaczęli, a tak głośno, żeby czeladź inna poczuła. W tém panna owa wypadła z udawaniem wielkiéj bojaźni z pokoju swego i wołać zaczęła: strachy jakieś nadzwyczajne w pokoju pani, och! co się tam dzieje! Zatém weszli do owego pokoju słudzy, ale, pani tam nie znalazłszy w łóżku i postrzegłszy, że komin cały krwią zmazany, krzyknęli zaraz: och! panią naszą upiory udusiły i przez komin wyniosły. Uwierzyli prawie wszyscy, że to upiorów sprawa. Familia jednak owéj pani na męża, acz wówczas nieprzytomnego, podejrzenie mieć zaczęła, głosząc, że to jego robota i że umyślnie dlatego z domu wyjechał, aby łatwiéj utaił swą zbrodnię. Strapiony niewinny mąż w wieczór kazał podać sobie świécę owéj pannie, a postrzegłszy ją całą drżącą i wybladłą, żwawo zapytał się, gdzie jest pani? Ta, témbardziéj przelękniona, do wszystkiego przyznała się. Wzięto pannę i panienkę, która w kluczach chodziła do Płocka. Tam z wydanego dekretu klucznicy rękę ucięto, potém głowę zdjęto. Pannę zaś lokaj, namówiony od krewnych jéj, chustką rzuconą od śmierci uwolnił. Takie to bywają upiory“ [1]).

Oprócz wiary w czary i upiory, atakowano jednocześnie cały świat zabobonów i guseł. „Powinni biskupi — pisał w r. 1766 Załuski [2])—karać i karcić wszystkich, którzy wróżą przez powietrze, przez wodę, przez ziemię, przez ogień... przez przypatrowanie się na paznogcie, przez znaki na rękach, przez sny, przez umarłych i przez inne sposoby, od czarta wynalezione dla upewnienia niepewnego rzeczy pewnych lub niepewnych. Tych także, którzy przyszłe zdarzenia przepowiadają, którzy szukają przedmiotów ukrytych, którzy chcą odkryć i wynaleść skarby utajone i innych, podobne rzeczy czyniących dla zwiedzenia ludzi prostych lub ciekawych... Podobnież, którzy sprzedają pierścionki lub insze rzeczy, dla czarów lub jakich zabobonów służące..., którzy, będąc w podróżach lub w zaczęciu jakiego dzieła, upatrują dni, czasy, momenty, głos zwierząt, śpiewanie, latanie ptactwa, spotkanie człowieka lub zwierząt, z czego wnoszą sobie szczęście lub nieszczęście.“ Zdaniem Załuskiego, „ci, którzy w zabobony i gusla wierzą i tych zażywają, nie mają prawdziwéj wiary, ani zdrowego rozumu.“ Zaleca kaznodziejom i spowiednikom szczególniejszą w tym kierunku natężać baczność i nie szczędzić gminowi perswazyi. Bohomolec gani przypisywanie przyczynom naturalnym skutków, przechodzących ich moc; potępia kabałę, genomancyę, hidro-

[1]) Rękopism ks. Bagińskiego, dominikana prowincyi litewskiéj, wydany przez E. Tyszkiewicza. Wilno, 1854, str. 123.

[2]) Objaśnienie błędami zabobonów zarażonych etc.

mancyą, lekomancyą, teromancyą, gastromancyą, amniomancyą, kataptomancyą, kristalomancyą, klidomancyą, aephitomancyą, pegomancyą, axinomancyą, kościnomancyą, cephalecyonomancyą, onychomancyą, rabdomancyą, xylomancyą, keromancyą, pyromancyą, pnomancyą i t. p. *Monitor* ostrzega panie, aby zabobonnic nie przyjmowały zamamki i nie leczyły dzieci zażegnywaniami lub szeptem. „Wiedzieć każdy powinien, że jeżeli przez co najbardziéj kto czci boskiéj i honorowi jego uwlec może, to przez zabobony i gusła... Zabobonem jest cokolwiek się dzieje nad ustawę, uchwałę, zwyczaj i postanowienie kościoła.“ Zalicza do niego modlitewki, nie potwierdzone przez kościół; wymyślne posty w niedziele lub na wielkanoc; kartki, mające zabezpieczać od kul, ognia i t. p. [1]). Przeciwko kołtunowi, pochodzącemu według mniemania gminu z czarów, leczonemu przez zakonników egzorcyzmami, uczeni pisali rozprawy, światlejsze duchowieństwo używało broni kościelnéj. Biskup poznański, Teodor Kazimierz Czartoryski († 1768), przekonany przez lekarza swego, Vinera, że choroba kołtuna pochodzi z jedzenia oleju lnianego, wyrobił bullę papieską, pozwalającą na używanie podczas postów nabiału [2]). Lekarz wileński, Stefan Wawrzyniec Bisio, ogłosił w r. 1772 rozprawę (*De melancholia, mania et plica polonica*), w któréj zapatrywania duchowieństwa na rzeczoną chorobę poczytywał za obelgę religii, zdjęcie kołtuna za najprostsze lekarstwo od brudów [3]). Najwięcéj jednak energii wyekspensowano na walkę przeciwko kierującéj wszystkiemi niemal czynnościami człowieka astrologii, uprawianéj przez ludzi, zajmujących stanowiska wybitne, bronionéj przez nich z zapałem.

Już w r. 1742-im autor Praktyki astronomicznéj, Łazowski, w prognostykowaniu z ciał niebieskich znajdując zamach na dogmat wolnéj woli człowieka, astrologów nazwał szalbierzami, wierzących w ich przepowiednie głupcami. „Astrologowie dla samych głupich ludzi, prostactwa i wieśniactwa swoje piszą predykcye, którzy i czytać nie umieją, dopiéroż na wymyślnym ich nie znają się języku.“ Dotknięty do żywego profesor akademii zamojskiéj, Duńczewski, w artykule kalendarzowym: „Respons na respons, racya na racyą rzetelniejsza“, — stanął w obronie swéj umiejętności, nie szczędząc Łazowskiemu docinków. „Kto umié święta w kalendarzu pisać, rozumié, iże już z niego *divinus* Plato, albo wytworny Archimedes, szklan-

---

[1]) Monitor z r. 1783, N-ra 58 i 59.

[2]) Moszczyński. Pamiętnik do historyi polskiéj, Żupański, 1867, str. 25.

[3]) Adamowicz. Początki i postęp anatomii w Polsce i Litwie (Historya nauk przyrodzonych Kiuwie, t. V, 309).

nym na ziemi rządzący Kozdroasza niebem“ [1]). W r. 1743 jezuita, Wojciech Bystrzonowski, w dziele: Informacya matematyczna rozumnie ciekawego Polaka świat cały, niebo i ziemię, i co na niéj jest w trudnych kwestyach i praktyce jemuż ułatwiona, również ze stanowiska dogmatu wolnéj woli człowieka, wiarę w przepowiednie astrologiczne osłabiał. „Nie przeczę— pisał,—aby komety: czyli to sublunarne — przez wyciągnienie exhalacyi i waporów ziemnych szkodliwych; czyli planetalne przez rodzaj swój... przez influencyą w żywioły ziemne i samego człowieka różnych nie miały skutków sprawować, złych albo dobrych. Lecz determinować, który planeta które skutki, komu, kiedy, gdzie ziści, — jedyny wieszczbiarzów jest domysł...“ Nie wierzy, żeby z kształtu lub koloru zjawiska przepowiedzieć można wypadki polityczne, chorobę, śmierć lub nieurodzaj; między bajki kładzie wpływ konstelacyi znaków niebieskich na losy człowieka. Szydzi z tych, którzy podają na seryo, że kto się rodzi pod znakiem Barana będzie pyszny, niestateczny i wszeteczny; pod Bykiem oszust i żarłok, pod Bliżniętami dowcipny i muzykalny. Sprawdzają się niekiedy tego rodzaju przepowiednie, lecz jedynie z przypadku, za sprawą dyabła, albo „Bóg dopuszcza nieszczęśliwe prognostyków skutki dla ukarania tych, którzy wiarę niegodziwą w nich pokładają.“ Z tego samego punktu widzenia Informacya zupełniejsza o nierzetelności astrologicznych predykcyi względem ewentów, dependujących od wolnéj woli ludzkiéj (bez m. i r. 4⁰) radzi karać wróżących ze słońca, księżyca, gwiazd i t. p. Z innego już stanowiska oceniał prognostykarstwo wielostronny Mitzler de Kolof. „Dzięki — pisał — nieskończone zdrowéj filozofii przeszłego i teraźniejszego wieku, która, rugując ze szkół wniesienia próżne, mniemania zawodne, subtelności pojęcia rozumnego zacność hańbiące, w takie podała umniejszenie powagi chimeryczne planet influencye, że onych skutki przepowiadać, a nawet najmniejszy na nie mieć wzgląd wstydzą się mądrzy ludzie i wstydzić się będą, chybaby przez nieszczęśliwą jaką odmianę światło—ciemności, rzetelne rzeczy poznanie — nieumiejętności, oczywiste przeświadczenia rozumu—wybiegom w rzeczypospolitéj uczonych ustąpić miały... Astrologia we wszystkich swych kuglarskich częściach nietylko miejsca między godnemi uwagi i chwalebnéj ciekawości materyami nie znalazła, lecz pohańbiona gruntownemi racyami została... Dziś świat, z grubości otarty, ani astrologii wieszczbiarskiéj w liczbie wy-

[1]) Duńczewski. Kalendarz polski i ruski na r. p. 1742. W druk. ak. zamojskiéj, in. f.

zwolonych nauk; ani astrologów, nietylko dla przysługi niebieskich świateł wolność ludzką znoszących, lecz czasów odmianę prorokujących — w rejestrze uczonych nie położy, a nawet gospodarzom, w kalendarzowe wyroki wierzącym, przezorności nie przyzna" [1]). Skuteczniejszą jednak do walki przeciwko prognostykarstwu podstawę stanowiła, obok fizyki doświadczalnéj, astronomia, znachodząca gorliwych od połowy stulecia XVIII adeptów w duchowieństwie zakonném i ludziach świeckich. Główne stacye uprawy nauki astronomicznéj znajdowały się w Wilnie, Warszawie, Poznaniu i Lwowie, gdzie też oprócz broszur, informujących o rezultatach obserwacyi, podawano w kalendarzach wiadomości o kometach, zaćmieniach, zorzy północnéj i t. p. zjawiskach niebieskich.

Kasztelanowa mścisławska, Elżbieta z Ogińskich Puzynina († 1767) „piérwsza nietylko z polskich, ale też podobno ze wszystkich dam cudzoziemskich jest, która tak o matematyczne, a mianowicie astronomiczne nauki gorliwą była, iż przy akademii wileńskiéj wspaniałe obserwatoryum nietylko wybudować swym nakładem kazała, ale też wieczną fundacyą rocznego nań dochodu dała opatrzyć" [2]). Z funduszu Puzyninéj profesor akademii ks. Tomasz Żebrowski (1714 † 1758) zakupił nieco narzędzi astronomicznych angielskich, pomnożonych niebawem hojnością magnatów. W r. 1753 hetman w. lit. Radziwiłł „widząc *praeparatoria* do nowéj erekcyi *observatorii astronomici*, darował *facultati mathematicae thelescopium gregorianum* znacznego waloru i inne przyobiecał *raritates*" [3]). Koadyutor wileński, książę Józef Sapiecha „z swojéj ku wszystkim scyencyom przychylności darował akademii *ad usus astronomicos* przednie angielskie *telescopium*" [4]). Profesor Żebrowski wykładał kurs astronomii, łącząc go z praktyką w dostrzegalni. Więcéj nierównie zasług około uprawy astronomii położył wykształcony zagranicą ks. Marcin Odlanicki Poczobut (1728 † 1808). Objąwszy w r. 1764 obowiązki po Jakóbie Nakcyanowiczu, wyjednał u Puzyninéj fundusz żelazny 6,000 czerw. zł. na utrzymanie obserwatoryum, niezależnie od tego zasiłki na zakup narzędzi, przy których pomocy z przyjacielem swoim, ks. Jędrzejem Strzeckim († 1797), pracował prawie do skonu.

Kolegium jezuitów warszawskich posiadało narzędzia nowe i do-

[1]) Uwagi krytyczne nad przepowiadaniem odmiany powietrza i obserwacyami meteorologicznemi (Nowe wiadomości ekonomiczne i uczone. Warszawa, 1758, T. I, część III, str. 151—182 i IV, str. 185—207). Pod artykułem podpisał się A***. — [2]) Wiadomości warszawskie z 9 grudnia r. 1767. — [3]) Kuryer polski z r. 1753, N. 874. — [4]) Kuryer polski z r. 1753, N. 4.

bre, lecz obserwatoryum nie miało. Profesor matematyki i fizyki doświadczalnéj, ks. Stefan Łuskina, przejście Wenery przez tarczę słoneczną w r. 1761, obserwował z galeryi biblioteki Załuskich. W r. 1764 zaćmienie słońca z pomocą profesora matematyki i fortyfikacyi, ks. Rostana, postrzegał z zamku królewskiego, dokąd przeniesiono z kolegium zégar astronomiczny Le Paute'a. „Niedostatek *observatorii astronomici* i do czasu tylko, naprędce, obrane miejsce sprawiło, że innych instrumentów, w sali matematycznéj kolegium znajdujących się i do delikatnego miarkowania inszych rzeczy służących“ zażyć nie mogli [1]).

Żona Ludwika XV, z domu Leszczyńska, za wpływem spowiedników swoich: Biegańskiego i Trąbczyńskiego, łożyła na obserwatoryum przy kolegium jezuickiém w Poznaniu [2]). Za postrzegalnię służyła wieża, wzniesiona na gmachu kolegium, istniejąca do r. 1781. Zarządzał nią Józef Rogaliński, mający pomocników: w jezuicie Sionest, z którym w d. 1 kwietnia r. 1764 obserwołał zaćmienie słońca, a w jesieni zorzę północną [3]); od 1770 w księdzu Jędrzeju Gawrońskim. Mieszkał téż przy kolegium ks. De la Borde „którego wynalazku klawicymbał elektryczny jest znajomy mądrym ludziom“. Pisano o nim w r. 1764, że „wynalazł świéżo nowy rodzaj teleskopiów i mikroskopiów daleko doskonalszy, niż wszystkie inne, które dotąd wymyślone były“ i zapowiadano szczegółowy ich opis [4]).

Uczeni lwowscy robili niekiedy obserwacye w Obroszynie, z pałacu arcybiskupa lwowskiego. Ks. Dominik Łysogórski, kanonik brzozowski, czynił tam w r. 1764 „obserwacyę zaćmienia słońca, do którego zażywał: zegara astronomicznego, kwadransa z perspektywą i należącym do niéj mikrometrem, oraz perspektywy Newtona“ [5]). Dopiéro w czerwcu r. 1771 nabyli jezuici we Lwowie plac i położyli kamień węgielny pod budowę obserwatoryum [6]). W Krakowie zajmowali się obserwacyami profesorowie akademii, nie posiadający jednak ani gmachu odpowiedniego, ani dostatecznych narzędzi. 6 czerwca r. 1761 „Ichmć xx. profesorowie akademii przypatrywali się z gór pobliskich, w niedostatku strażnicy gwiaździarskiéj, przejściu planety Wenus przez płaszczyznę słoneczną“ [7]). Przygodnie robiono

---

[1]) Kuryer warszawski z 4 kwietnia r. 1764. Sprawozdanie z obserwacyi wyszło p. t. De solis eclipsi anni 1764 exertitatio astronomica, habita in Regio Collegio Varsaviensi Societatis Jesu, praeside P. Stephano Łuskina Soc. Jesu, matheseos ac physicae experimentalis publico profesore. A. 1764 (4-o k. nlb. 5 i tablica). — [2]) Kołłątaj. Stan oświecenia w Polsce, t. I, str. 91—93. — [3]) Kuryer warszawski z 16 maja 14 listopada r. 1764. — [4]) Tenże z 25 kwietnia r. 1764. — [5]) Tenże z 14 kwietnia r. 1764. — [6]) Wiadomości warszawskie z 13 lipca r. 1771. — [7]) Kuryer warszawski z 27 czerwca r. 1761.

obserwacye astronomiczne w Zamościu i Kamieńcu Podolskim. Przejście planety Wenus przez płaszczyznę słoneczną w r. 1761 w Zamościu obserwował Dunczewski, w Kamieńcu „z przytomnymi oficerami garnizonu“ koniuszy litewski książę Udalryk Radziwiłł „pan i w książkach i w mądrych się ludziach kochający“, wynalazca kafara do bicia pali, maszyny do czyszczenia rzek, podziwiany przez współczesnych matematyk i wcale niezły wierszopis [1]).

Pierwsze kroki około uprawy nauki astronomicznéj w Polsce zaznaczyły się głośnym pomiędzy jezuitami i akademikami zatargiem z okazyi obserwacyi przejścia planety Wenus przez tarczę słoneczną; zatargiem, który pośrednio boleśnie dotknął wieszczbiarstwo.

Jezuici warszawscy do obserwacyi zapowiedzianego przez Halley'a przejścia planety przez tarczę słoneczną przygotowywali się skrzętnie. Ogłaszali w gazecie, że z wysłanym przez akademię paryską dla postrzegania zjawiska w Syberyi, a bawiącym w Warszawie księdzem de Chappe Łuskina w materyi przejścia Wenery miał „przydłuższą rozmowę“; że „do téj tak rzadkiéj i nader potrzebnéj w rzeczach astronomicznych obserwacyi wszelkie w kolegium czynią się przygotowania“ [2]). Niebawem wyszla z druku w języku polskim i francuskim Wenera w słońcu, czyli obserwacya astronomiczna przejścia planety Wenery przez płaszczyznę słoneczną, którą ma czynić w Warszawie, na górnéj galeryi publicznéj biblioteki Zaluskich, Xiądz Stefan Łuskina *Societatis Jesu*, profesor matematyki Collegium warszawskiego, w roku teraźniejszym 1761, dnia 6 czerwca (bez m. 4-o, k. nlb. 2). Oznajmiała, że dzięki hojności wojewody mścisławskiego Platera i oboźnego kor. Wielhorskiego „jeden kosztowny instrument, bardzo do téj obserwacyi potrzebny, sprowadzony jest z Paryża“; że ponieważ „miejsce sposobne do widzenia całego Wenery przejścia w kolegium nie znajduje się“, przeto biskup kijowski, nie szczędząc kosztu, przygotował do postrzegania górną galeryę biblioteki Załuskich. Przekalkulowawszy obliczenia najgłośniejszych astronomów na południk warszawski, oznaczał Łuskina czas ukazania się zjawiska i zapowiadał wznowienie się tegoż w latach: 1769, 1874. W Kuryerze warszawskim z 6 czerwca r. 1761 następujący się ukazał artykuł: „Dnia dzisiejszego na galeryi górnéj biblioteki publicznéj Załuskich obserwowane było przez x. Stefana Łuskinę, filozofii i matematyki w królewskiém tutejszém

[1]) Wiadomości uprzywilejowane warszawskie cyt. przez Wejnerta (Biblioteka warszawska z r. 1874, t. IV, str. 468). — [2]) Też z 11 lutego r. 1761

Collegium nauczyciela, przejście planety Venus przez widzialną płaszczyznę słońca, którego widoku początek był obłokami i gęstą mgłą zasłoniony, dalej jednak, niemal do samego końca, można było potrzebne czynić obserwacye, których opisanie wkrótce nastąpi i cudzoziemskim akademiom przesłane będzie. W bibliotece samej przez telescopia przypatrywały się tak rzadkiemu temu widokowi z Państwa tu mieszkającego pierwszej godności osoby: damy i kawalerowie. Takowy widok, jako jedynie jest astronomiczny, tak nie pociąga za sobą żadnych skutków, którymi astrologiczna zabobonność żyjących pod słońcem trwożyć zwykła; jakoż szczęściem to się stało, że ten widok nie wtenczas, gdy astrologia, zawodne z planet wróżenia czyniąca, w szacunku była, ale gdy z akademii mądrych wyrugowana została, jest przepowiedziany i uważany; inaczej, na rok teraźniejszy prognostyki zatrwożyłyby mniej uważne pospólstwo". Wydał Łuskina istotnie po polsku i francusku Relacyę o obserwacyi astronomicznej przejścia planety Wenus, lecz i Dunczewski, pragnący popisać się swą wiedzą, a dotknięty drwinami artykułu Kuryera z astrologii, ogłosił datowaną z Zamościa 26 czerwca i do gazet dołączył Explikacyę przechodzącego planety Wenusa pod słońcem... redukowaną na horyzont zamojski i Obserwacyę drugą o przejściu Wenusa pod słońcem, w których usiłował dowieść jezuicie nieuctwa. „Czytałem w gazetach warszawskich, d. 6 czerwca datowanych — pisał w Explikacyi — że tam była obserwowana ta apparycya (przejście Wenery przez tarczę słoneczną), jednak bez determinacyi czasu, oprócz dnia... A iż pisze x. Stefan Łuskina S. J. obserwator, jakoby przejście Wenusa było przez widzialną płaszczyznę słońca — myli się bardzo, bo słońce jest okrągłe, na kształt kuli sferycznej, nie płaskie i z tym terminem widzialne: bo każdy widzi, że jest okrągłe. Chwali się, że cudzoziemskim akademiom to opisanie przesłane będzie. Prosimy tę ciekawość i dawnym w ojczyźnie akademiom komunikować, bo niedziwno im takie obserwować widowiska. Pisze dalej, że takowy widok, jako jedynie jest astronomiczny, tak nie pociąga za sobą żadnych skutków, którymi astrologiczna zabobonność żyjących pod słońcem trwożyć zwykła. Nie czytałem tego w kalendarzach żadnych teraźniejszego roku 1761, chociaż wszyscy astrologowie o tem wiedzieli; komuż tę przyznać zabobonność? Pisze i te słowa: jako szczęściem to się stało, że ten widok nie wtenczas, gdy astrologia, zawodne z planet wróżenia czyniąca, w szacunku była; ale gdy z akademii mądrych wyrzu-

cona została. Proszę oznajmić, które to mądre akademie, a które niemądre? będziemy wiedzieli: i coby za szacunek astrologia miała, jak pisze, gdyby zawodne z planet wróżenia czyniła? Wszak astrologia częścią jest fizyki, mająca swoje influencye: naprzykład ta konjektura Wenusa z słońcem powietrza wilgoć rodzi — pisze Marchio Gislerus w ephemeridach, najświeższy obserwator bonoński". W końcu Explikacyi podaje, ozdobiony rysunkiem, rezultat własnéj obserwacyi treści następującéj: „Przechodził planeta Wenus pod słońcem d. 6 czerwca w gradusie 16 Bliźniąt zodyacznych. Tego zaś przejścia początek pod horyzontem odprawił się g. 1, m. 38 przededniem, bo wtenczas wschód był g. 3, m. 54. Środek przejścia g. 4, m. 56, kiedy odległość ścieżki jego od centrum słońca zostawała m. 8, drugich (sekund) 48. Złączenie z słońcem g. 5, m. 16 z szerokością południową m. 8, drugich 53. Wyjście Wenusa z pod słońca g. 8, m. 11 rano. Bawił się ten planeta od zaczęcia swego wejścia pod horyzontem do wyjścia z pod słońca przez g. 6, m. 33".

Łuskina końcowy ustęp skryptu Duńczewskiego w formie korespondencyi, datowanéj 26 czerwca z Zamościa, przedrukował w suplemencie Kuryera warszawskiego z 15 lipca z dopiskiem: „Dla pokazania niedoskonałości téj obserwacyi wychodzi pismo, które do gazet tych daje się za przydatek". Pismém owém była Starodawna sława prześwietnéj akademii zamojskiéj, obroniona przy xiędza Stefana Łuskinę *Societatis Jesu*, filozofii i matematyki w Collegium warszawskiém profesora (bez m. i r., 4-o, k. nlb. 8). „Akademii zamojskiéj — pisał Łuskina—od Jana Zamojskiego, kanclerza i hetmana w. kor. fundowanéj, a od najjaśniejszych królów wielkiemi przywilejami z prześwietną akademią krakowską porównanéj, acz nowe w naukach zalety mnie, jako niedawno, po dziesięcioletnim niemal w cudzych krajach dla nabycia nauk mieszkaniu, do ojczyzny przybyłemu, wiadome jeszcze dobrze nie są; dawne jednak téjże akademii w rzeczach mądrych zasługi nietylko w ojczyźnie naszéj, lecz i w postronnych narodach, jawne zawsze były i będą. Téj tedy, tak sławnéj przedtém akademii ponieważ honor pewnym skryptem, z Zamościa do druku podanym, mocno dziś w stołeczném tém królestwa naszego mieście naruszony widzę: za słuszną rzecz sądziłem małą tą moją pracą dać jéj jakążkolwiek obronę. Kilkanaście dni temu, jak rozrzucono po Warszawie drukowaną w Zamościu obserwacyę przejścia planety Wenus przez słońce, którą z wielką ciekawością czytałem, rozumiejąc, że to było dzieło i praca prześwietnéj akademii zamojskiéj; lecz po kilku tylko wierszach przeczytanych omylonym się być w mojém zdaniu postrzegłem; tak wiele albowiem i tak grubych tam błędów przeciwko

filozofii i matematyce znalazłem, iż za pewną i nieomylną rzecz postanowić musiałem, że ta obserwacya nie od którego z profesorów prześwietnéj akademii zamojskiéj, lecz od partykularnego jakiegoś i w naukach wcale niebieglego człowieka wydana była. Chociaż w téj obserwacyi ja mianowicie obrażony jestem, żadnéj jednak odpowiedzi czynić nie chciałem: gdyż człowiek, nauk swoich szczerze pilnujący, uważać nie ma na to, co mówią ci, którzy się na tém nie znają. Ale, że cała niemal Warszawa, patrząc na datę téj obserwacyi z Zamościa, wielkie ma podejrzenie, jakoby ona z akademii zamojskiéj wyszła: przetoż, wzruszony gorliwością o honor téj prześwietnéj i tak przedtém sławnéj akademii — pióra zażyć na obronę jéj umyślilem. Tak tedy i dla tego jedynie na każdy punkt obserwacyi zamojskiéj będę tu odpowiadał, ażebym pokazał, że ten obserwator, jako filozofii i matematyki wcale nie umiejący, nie jest i być nie może z prześwietnéj akademii zamojskiéj". Krytykuje następnie wyrażenie Duńczewskiego, że Wenus przechodziła p o d słońcem. „Rzecz naturalna, gdyż kiedykolwiek Wenus niżéj jest, niż słońce, — przez którekolwiek miejsca przechodzi, zawsze przechodzi pod słońcem, tak jak wszyscy ludzie i zwierzęta przez któreżkolwiek miejsca w dzień przechodzą, zawsze przechodzą pod słońcem. Nie wiele było dotychczas w niebieskich znakach zwierząt i bydląt, jako to: Lew, Baran; ale gdy matematycy zaczną obserwować to wszystko, co pod słońcem chodzi, czy przechodzi, tedy do efemerydów astronomicznych i do kalendarzów wlezie wkrótce cała obora i cały zwierzyniec. Wiemy tedy z obserwacyi zamojskiéj, że Wenus przechodziła pod słońcem, lecz przez co i kędy przechodziła, tego tytuł jéj nie wyraża. Gdyby ta obserwacya wydana była od którego z ichmciów panów akademików zamojskich, tedyby za przykładem wszystkich uczonych akademii i najsławniejszych wieku naszego astronomów nie było położone: p r z e j ś c i e W e n u s a p o d s ł o ń c e m, lecz p r z e j ś c i e W e n u s a p r z e z s ł o ń c e. Pierwszy tedy znak, że obserwator zamojski nie jest z prześwietnéj akademii zamojskiéj..." Broni Łuskina użytego przez się wyrażenia „płaszczyzna słoneczna" i następującą astrologii daje odprawę. „Jeżeli przez s z a c u n e k rozumié JP. obserwator sławę i honor, tedy jasna rzecz jest, iż zawodne wróżenia astrologiczne żadnéj sławy u mądrych ludzi nie mają; jeżeli zaś przez s z a c u n e k wyrazić chce zysk i pożytek — na to odpowiedzieć nie mogę. Nigdy albowiem wróżenia astrologicznego nie drukowałem i nie przedawałem, przetoż nie wiem, wiele ten towar, ludziom nieuważnym przedany, do roku uczynić może"... Należy astrologia chyba do fizyki — zabobonnéj. Ponieważ obserwator zamojski ze złączenia planety

Wenus ze słońcem rokuje wilgoć, uprawia przeto nie astronomię, lecz zwyczajną naukę gwiaździarską „która dawno już od wszystkich mądrych jest wyśmiana“. Najboleśniejsze jednak były ciosy, zadane Duńczewskiemu z tytułu jego obserwacyi. Drwi zeń Łuskina, że „w półtory tylko prawie godziny po północy, a tém samém w nocy, czynił obserwacyę przejścia Wenery przez słońce“; że „widział słońce więcej niż dwiema godzinami pod wschodem“, a „przejście Wenusa nietylko pod słońcem, ale i pod ziemią“. „Gdyby cudzoziemskie akademie wiedziały, że tak dziwne“ i niesłyszane rzeczy miały się widzieć w Zamościu, więcéjby było paryskich, londyńskich i innych akademików dla tak dziwnego widzenia w Zamościu, aniżeli w Indyach oryentalnych i Syberyi. Jakiż przecie był koniec tak dziwnéj i od stworzenia świata niesłyszanéj obserwacyi? Koniec taki był, jaki i początek. Oto mówi JP. obserwator zamojski, „iż w Zamościu wyjście Wenusa z pod słońca było o g. 8 i min. 11 rano. My w Warszawie Wenerę na płaszczyźnie słonecznéj widzieliśmy niemal aż do g. 10, świadkiem tego książę kurlandzki, senatorowie i ministrowie, damy i kawalerowie, którzy tak rzadkiemu widokowi nietylko ciekawie, ale i mądrze przypatrywali się; gdyby zaś oblok nie przeszkodził, tedyby aż do 5 niemal minut po g. 10. planeta w słońcu widziana była. W Warszawie tedy koniec przejścia Wenery był o g. 10, m. 4, minut drugich 54; w Zamościu zaś koniec tego przejścia odprawił się o g. 8, m. 11; więc obserwacya warszawska od zamojskiéj różni się g. 1, m. 53, min. drugiemi 54. Tu już dowiedzieliśmy się z obserwacyi zamojskiéj nowéj i bardzo ciekawéj rzeczy. Rozumieliśmy dotychczas, iż z Warszawy do Zamościa 50 mil nie było, a oto z zamojskiéj obserwacyi dochodzimy, iż Zamość od Warszawy więcéj niż sześć razy dalszy zostaje... Trudno, jak widzę, wiary nie dawać straszliwym skutkom, z planet pochodzącym, kiedy tegoroczne przejście Wenery przez słońce Zamość od Warszawy na kilkaset mil oddaliło! Jeżeli jeszcze raz przejdzie Wenera przez słońce, tedy zapewne Zamość zapędzony będzie aż w antypody... Możnaż dać wiarę, że autor téj obserwacyi w samej rzeczy obserwował i widział przejście Wenery przez płaszczyznę słoneczną? Pewny jestem, że ten Imć nic nie obserwował i nic nie widział. Jakimże sposobem, nic nie widziawszy, wydał tę obserwacyę? Wyczytał w gazetach, iż czyniona była obserwacya w Warszawie: poruszony tym przykładem, chciał się z podobną rzeczą popisać: ale już było po czasie do czynienia obserwacyi, zaczém udał się do swoich najświeższych, od kilkudziesiąt lat drukowanych obserwatorów, w których napadłszy na źle skleconą kalkulacyę i to jeszcze na odległe bardzo od Zamościa miejsce robioną, bez uwagi i wstydu całkiem oną wypisał i obserwacyą zamojską nazwał... Do saméj

prześwietnéj akademii zamojskiéj należy ścisłe i pilne czynić szperanie, ktoby to taki był, który pod bokiem téj prześwietnéj akademii tak niemądre rzeczy śmiał drukować i, zataiwszy swoje nazwisko, ważył się obserwacyę, fizyce, matematyce, gramatyce i tak zdrowym oczom, jako też zdrowemu rozumowi przeciwną, na hańbę prześwietnéj akademii zamojskiéj z Zamościa datować".

W odpowiedzi Łuskinie wyszła z ramienia Duńczewskiego Nowa sława przeświętnego Collegium warszawskiego *Soc. Jesu* przez mathematyka zamojskiego wzajemnie obroniona roku 1761. „Lekkomyślny jakiś—pisał Duńczewski— i niespokojny człowiek, ogłaszając niedawno w gazetach publicznych (które się w Collegium warszawskiém *Soc. Jesu* drukować zwykły) obserwacyę przejścia Venusa pod słońcem mimo, jak dochodzę, wiadomości obserwatora warszawskiego i mimo przełożonego na drukiem gazet dozorcy, — pozwolił sobie przypisać i podrzucić do druku niepotrzebną krytykę na ostrologię i akademie... Gdy z Zamościa zagadniono tę krytykę warszawską, ośmielił się znowu ów lubiący świat bawić człowiek zażyć poważnego imienia zakonnika... i, wziąwszy na się posturę zmyślonego obrońcy sławy akademii zamojskiéj, taką sztuką odważył się prześwietne Collegium warszawskie *Soc. Jesu* i tamecznego nauczyciela, jakoby w szkole i drukarni paszkwilami bawiących się, światu polskiemu pokazać. Bo ktoby czytał skrypt drukowany p. t. Starodawna sława prześwietnéj akademii zamojskiéj obroniona przez xiędza Stefana Łuskinę— któżby poczciwy chciał uwierzyć, że to takiego księdza... w cudzych krajach przez dziesięć lat polerowanego, bibliotekę nietylko matematyczną, ale i moralną mającego — miało być dzieło? Dla czego wiele należy prześwietnemu Collegium warszawskiemu szperać i dochodzić, kto to w jego drukarni tak uszczypliwe i gorszące to gazety, to skrypta podaje i drukuje i one jeszcze imieniem zakonnem ku jakowejś chydzie świętego, mądrego i sławnego zakonu pokrywać". Przyznawał się Duńczewski, jako Wenery nie widział wcale. „Dla słabości moich oczów —pisał, — lubom wiedział obiecujących przejście tegoż planety autorów, nie tak pracowałem wzrokiem, jak oczami rozumu około uwagi tego przejścia". Na zarzut Łuskiny, że obserwował przejście Wenery przez słońce w nocy, prawdopodobnie przy świecy— „wszakże astronom — odpowiadał — powinien wyrachować i przepowiedzieć zaćmienie słońca, miesiąca, choćby się pod horyzontem zaczynały i odprawiały". Zarzuca ze swéj strony Łuskinie, że baczy jedynie na optyczną stronę zjawiska, a lekceważy własności planet, którym wpływu nie przyznaje żadnego. W obronie prognostykarstwa przy-

wodzi okoliczność, że „kościół astrologii tylko wieszczbiarskiéj zabrania, a nie naturalnéj i fizycznéj, która obserwuje planet skutki: niepogody, nieurodzaje, choroby“ i t. p. Przypominał też Duńczewski czterdziestoletnią praktykę nauczycielską w Zamościu i swój wiek podeszły, robiąc w ten sposób alluzyę do młodzieńczości Łuskiny.

Zacięty Łuskina Nowéj sławy Duńczewskiego nie puścił płazem—ogłosił Kopię listu Imci pana A*** X***, pisanego z Warszawy do Imci pana obserwatora zamojskiego dnia 15 października r. 1761 (4-o, str. nlb, 4), w któréj taki pomieścił ustęp: „Samo przedawanie kalendarzy nie tak mi ciężkie jest, zwłaszcza, że z hojności WPana trzydziesty grosz jest mnie za podjętą pracę pozwolony. Lecz to mnie mocno dolega, że, przedawszy komu kalendarz, trzeba codziennéj niemal od niego spodziewać się wizyty z hałasem i łajaniem, że się odmiany czasów z kalendarzem, przedanym odemnie, a od WPana podług wszelkich astrologicznych reguł zrobione, nie wiem, jakiém nieszczęściem nie zgadzają. Najgorsze zaś są na mnie dni owe, o których WPan, wszystkie przyszłe rzeczy bezwątpienia przenikając, w swoich bez najmniejszego zawodu kalendarzach mówisz, że będzie niby deszcz niby pogoda, będzie nakształt zimna, nakształt ciepła; przed tymi albowiem nieszczęśliwymi dniami nie mam czasu i pacierza zmówić, kiedy wszyscy do mnie, jak do proroka, albo przynajmniéj jak do astrologa przysyłają i owszem sami przychodzą, pytając się, czy mają kazać w piecach palić czy nie!...“ Z okazyi Kopii listu, w któréj zresztą Łuskina, oprócz drwin z astrologii, nazwał profesora zamojskiego pijakiem — Duńczewski ogłosił drugą edycyę Nowéj sławy („dla niedostatku exlemplarzów przedrukowaną“), pomnożoną dodatkiem. Nazywał w nim Łuskinę Pantalonem weneckim, niedawno od feruły jezuickiéj uwolnionym młodzikiem; twierdził, że postrzeżenia astronomiczne jego cierpią waryacye; że nie mógł nic rzetelnego dokonać, skoro, zamiast obserwować, zabawiał się w d. 6 czerwca na galeryi biblioteki Załuskich z kompanią imbrykiem kawy... Prawdopodobnie z powodu powtórnéj edycyi Nowéj sławy ogłosił jeszcze Łuskina Kopię drugiego listu, pisanego z Warszawy do Imci pana obserwatora zamojskiego dnia 22 października r. 1761, na którą przecież Duńczewski zamilczał.

Wmieszał się też do polemiki akademik krakowski Jakób Niegowiecki. Ogłosił najprzód obserwacyę własną w języku łacińskim [1]);

---

[1]) Transitus Veneris per discum solis... A. D. 1761, die 6 Junii celebratus et per mathematicos universitatis cracoviensis sub elevatione poli gr. 50, min. 12 observatus. Kraków, 4-o kart. 9.

z okazyi zaś sporu pomiędzy Łuskiną a profesorem zamojskim dowodził w broszurze osobnéj, że wprawdzie Duńczewski nie mógł postrzegać przejścia Wenery przez słońce, albowiem miało miejsce przed wschodem; lecz, nawzajem, dla téj saméj przyczyny nie można go było również widzieć w Warszawie. Powracający z północy astronomowie: Hell, Plaumann i Boscovich, udowodniwszy, że fenomenalne zjawisko ukazało się o godzinie 9-éj, zarówno jezuitom, jak akademikom, zamknęli usta. Kłóciły się przeto strony w kwestyi, któréj nie znały. „Ojczyzna Regiomontana, Kopernika i Heweliusza nie miała wówczas miernego obserwatora, któryby tak prosty fenomen mógł dobrze spostrzedz i rozsądnie opisać“ [1]).

Spór pomiędzy Łuskiną a akademikami nie pozostał bez wpływu: prognostykarstwo dotknięte zostało zniewagą; akademicy, przeświadczywszy się o ubóstwie swoich zasobów naukowych, poczęli około uprawy astronomii zabiegać żywiéj. Zamość po śmierci Duńczewskiego († 1766) zrezygnował z astronomii zupełnie, lecz nie akademicy krakowscy. Niegowiecki dla obznajmienia się z astronomią i zakupu narzędzi wyjechał w r. 1763 do Wiednia; rektor akademii, Wojciech Biegaczewicz, rozesłał listy otwarte do szlachty i duchowieństwa z prośbą o zasiłki na obserwatoryum. Z powodu wstrząśnień politycznych realizowanie zamiarów wypadło dopiéro razem z reformą akademii w r. 1780. Stanisław August ofiarował dla przyszłego obserwatoryum kwadrans Ramsdena, teleskop refraktor Dollonda, lunetę paralaktyczną Canivet'a i globy; biskup koadyutor płocki Szembek kilka narzędzi, robionych w Anglii [2]). Nim jednak zakwitła w Krakowie astronomia pod profesorem Janem Śniadeckim — uprawa jéj ogniskowała się wyłącznie prawie w Warszawie i Wilnie.

Zawiadamiali jezuici wileńscy w lutym r. 1766 za pośrednictwem gazet warszawskich, że obserwatoryum ich „odebrało w tych czasiech z Paryża dwa wielkie mosiężne instrumenta, zrobione przez sławnego we Francyi rzemieślnika pana Canivet, pod dyrekcyą jednego z największych w Europie astronomów, Imć Pana de la Lande, królewskiego w Paryżu akademika. Jeden z tych instrumentów— sextans albo szósta część cyrkułu, którego promień (*radius*) ma sześć

---

[1]) Kołłątaj. Stan oświecenia w Polsce. II. str. 64, 65. Broszury Niegowieckiego, o któréj treści wspomina Kołłątaj, nie znamy. Jest nią może „Relacya astronomiczna o złączeniu Wenusa“ którą przytacza Estreicher (Bibliografia t. IX, str. 314). — [2]) Kucharzewski. O astronomii w Polsce, str. 175 (Pamiętnik Towarzystwa nauk ścisłych w Paryżu, tom. I). Gazeta warszawska z 31 lipca r. 1779.

stopów paryskich, robiony jest na model owego, którym nieśmiertelnéj sławy godzien astronom l'abbe de la Caille znane całemu światu obserwacye czynił. Drugi *l'instrument des passages...* do obserwowania przechodzących przez merydyan gwiazd i planet zgodny. Astronomowie tutejsi tuszą sobie, iż tymi instrumentami będą mogli determinować z pewnością i precyzyą, która może być największa, dwa najpotrzebniejsze elementa do determinowania pozycyi Wilna: długość i szerokość. Tymczasem, zakładając różnicę między paryskim i tutejszym merydyanem, wykalkulowali przypadające w tym miesiącu zaćmienie księżyca... Przez zaćmienia księżyców, tak Jowiszowych, jako też i naszego, dobrze obserwowane, determinuje się differencya merydyanów, a zatém i długość miejsca, bez któréj, niemniéj jako i bez szerokości, pozycya miast i krajów, a tém samém i dobre mapy geograficzne miane być nie mogą. Przetoż zaćmienia teraźniejszego okoliczności tém pilniéj były kalkulowane i z redukcyą czasu do innych też merydyanów: warszawskiego, krakowskiego i gdańskiego do druku podane, im większa jest obserwacyi podobnych w naszym kraju potrzeba" [1]). Po wymierzeniu szerokości i długości geograficznéj Wilna [2]), w myśl życzeń Stanisława Augusta, który obserwatoryum nadał tytuł królewskiego [3]), pragnął zaś współudziału jego w sporządzeniu dokładnéj mapy Rzeczypospolitéj, zajęli się akademicy oznaczeniem położenia znaczniejszych miejscowości na Litwie, w Inflantach, Kurlandyi i na Podlasiu. W lipcu r. 1767 wyjechało kilku z instrumentami do różnych miast, w celu oznaczenia ich szerokości geograficznéj. Obserwacye czynili w kolegiach i rezydencyach swego zgromadzenia, korzystali też z gościnności pijarów w Poniewieżu, karmelitów w Lidzie, proboszczów w Olkienikach, Trokach i Wiłkomierzu, właścicieli dóbr i pałaców: Puzyninéj w Łuczaju, podkomorzego Ważyńskiego w Oszmianie, księżnéj wojewodziny nowogrodzkiéj w Zdzięciole, starosty rohaczewskiego Pocieja w Zyżmorach, stolnika rzeczyckiego Chlewińskiego w Onikszcie, sędziego grodzkiego inflanckiego Benisławskiego w Birżach, wojewody mścisławskiego Platera w Krasławiu, kasztelana smoleńskiego Burzyńskiego w Ikaźni i t. p. „Dochodzą — zawiadamiano w sierpniu tego roku — do obserwatoryum królewskiego akademii ustawiczne doniesienia o pomyślném tych prac

---

[1]) Wiadomości warszawskie z 22 lutego r. 1766. Szczegółowy opis sextansa Canivet'a podał Kalendarz wileński na rok 1769. — [2]) Obliczenia Poczobuta w latach 1766, 1768 podał Kalendarz wileński z r. 1769 i 1770 w artykułach: „Geograficzna szerokość" i „Długość geograficzna miasta Wilna". — [3]) Wiadomości warszawskie z 23 września r. 1767.

i wypraw literackich powodzeniu, którym samo niebo przez pogodę dosyć stateczną zdaje się sprzyjać“ [1]). W listopadzie i grudniu opublikowano szerokość geograficzną dwudziestu miejscowości Inflant, Kurlandyi i Litwy [2]). Drukowane w gazetach warszawskich i Kalendarzu wileńskim relacye z obserwacyi zaćmień księżyca [3]) i słońca [4]), postrzeganego przez Poczobuta w Rewlu 3 czerwa r. 1769 przejścia planety Wenus przez tarczę słoneczną [5]), pierścienia Saturnowego w marcu i lipcu 1774 [6]), a zwłaszcza komet w latach: 1769, 1770 i 1771 [7]) uprzystępniały wiedzę astronomiczną szerszym kołom społecznym, pracom zaś akademii zapewniały daleki rozgłos.

W Warszawie istniało małe obserwatoryum w pałacu błękitnym Czartoryskich i drugie na zamku, kosztem Stanisława Augusta „instrumentami równie wybornymi, jako i kosztownymi: lunetami Dollonda, kwadransami Ramsdena i Canivet'a, zegarami Sheltona i Le Paute'a, sławnych artystów londyńskich i paryskich przyozdobione“ [8]). W pierwszém robił obserwacye w latach: 1775, 1776 lekarz nadworny Czartoryskich Wolff; w drugiém jezuita Jowin Bystrzycki, niekiedy Łuskina, Rostan i inni. 26 sierpnia r. 1775 obserwowali z Bystrzyckim lunetą Dollonda, zegarami Sheltona i Le Paute'a zaćmienie słońca ex-jezuici: Franciszek Narwojsz, matematyk nadworny podskarbiego Tyzenhausa i Jan Koc, profesor szkół publicznych warszawskich [9]). 1 czerwca r. 1777 „z okazyi rozgłoszenia po kalendarzach politycznych de Gotha i różnych pismach drukowanych, że *satelles* Wenery... ma przez środek słońca przechodzić“ — Bystrzycki z Kocem lunetami akromatycznemi Dollonda, teleskopami Nairna i Blunta obserwowali od świtu do ósméj z południa, dopóki dach kościoła kolegiackiego nie zmusił ich do zaniechania czynności [10]). 14 czerwca r. 1779 „przy londyńskim jak najprzedniejszym zegarze i takichże innych instrumentach astronomicznych“ obserwował zaćmienie słońca w przytomności Stanisława Augusta z Bystrzyckim

[1]) Wiadomości warszawskie z 9 września r. 1767. — [2]) Też z 18, 21, 25 listopada, 5, 9, 12 i 16 grudnia r. 1767. Kalendarz wileński z r. 1768, 1770, i 1771 zdał z tego sprawę w artykule „Szerokość geograficzna miejsc determinowanych z rozkazu J. K. M. P. N. M. przez astronomów akademii wileńskiéj Soc Jesu“. — [3]) Też z 12 marca r. 1766, 20 stycznia i 2 marca r. 1768. — [4]) Też z 2 i 20 sierpnia r. 1766, 15 kwietnia r. 1772.— [5]) Też z 24 czerwca i 12 lipca r. 1769. — [6]) Gazeta warszawska z 20 kwietnia, 6 lipca 1774 i 11 marca r. 1775. — [7]) Wiadomości warszawskie z 13, 20, 23 września i 8 listopada r. 1769, 14 lipca 1770 i 18 maja 1771.— [8]) Kalendarz na rok przestępny 1776, tudzież na 1777 i 1778 służyć mający. Warszawa. w druk. nadw. JKMci. — [9]) Gazeta warszawska z 30 sierpnia r. 1775. — [10]) Taż z 7 czerwca r. 1777.

i Kocem lektor króla, kanonik krakowski ex-jezuita, Jędrzéj Gawroński [1]). 23 listopada tegoż roku z Bystrzyckim i Gawrońskim obserwował całkowite zaćmienie księżyca lotaryńczyk, ex-jezuita Franco de Barbuda, bawiący w Warszawie w przejeździe do Rosyi [2]). 4 czerwca r. 1788 przypatrywano się w obecności króla i synowca jego, podskarbiego w. lit. Stanisława zaćmieniu słońca „pierwszy raz... w nowém obserwatoryum, do starego przybudowaném, a mającém już ścianę z ciosów kamiennych, świéżo na merydyanie postawioną dla wielkiego kwadransa“ [3]).

I w astronomii przecież liczono się początkowo ze względami teologicznymi; pewniki naukowe przyjmowano o tyle, o ile nie obrażały podań biblijnych. Jezuita wileński Jan Poszakowski w Kalendarzu prześwietnych dam na r. p. 1741 w obrót ziemi nie wierzy: „słońce—twierdził—ubiega co minuta mil 4320“. Bystrzonowski lokuje ziemię w centrum świata i każe jéj stać. Powołuje się w tym względzie na pismo święte i decyzye papieżów, którzy „zdanie Kopernika... słońce wpośród świata niewzruszone, a ziemię, koło słońca krążącą, utrzymującego“ potępili. Wydawało się Bystrzonowskiemu, że teoryę Kopernika, oprócz powag kościelnych, zwalcza i doświadczenie. „Gdyby ziemia około słońca krążyła, musiałaby podczas porównania dnia z nocą największy cyrkuł niebieski equatora, którego jest mil 5,400, we 24 godzin przebieżéć. Zatém co godzina obieżéć 225 mil. A co minuta jak pół czwartéj mili. Z którego obrotu ziemi tak prędkiego musieliby wszyscy ludzie zawrót głowy cierpieć, jako cierpi ten, który długo i prędko w koło krąży. Musiałaby ludzi, kamienie i inne rzeczy odbijać ziemia w górę tak, jako koło wozowe impetem swego obrotu odbija błoto przylgnięte. Musiałaby strzała, prosto w górę z łuku wypuszczona, albo kamień, w górę rzucony, nigdy na toż miejsce nie upaść dla umknięcia się szybkiego ziemi i z strzelcem“ [4]). Jeden z wychowańców kolegium jezuickiego w Warszawie, Józef Dulski, napisał dwuwiersz „Do Kopernika“, który profesor jego ks. Franciszek Bohomolec uznał za godny druku:

„Mówisz, że słońce stoi, ziemia w koło chodzi:
Gdyś to pisał, pijany byłeś, albo w łodzi“ [5]).

Nawet w dobie rozkwitu astronomii w Wilnie jezuici w poglądzie na system Kopernika ze skrupułami teologicznemi zerwać nie

---

[1]) Gazeta warszawska z 16 czerwca r. 1779. — [2]) Taż z 27 listopada r. 1779. — [3]) Taż z 11 i 21 czerwca r. 1788.—[4]) Informacya matematyczna rozumnie ciekawego Polaka. — [5]) Bohomolec: Zabawki poetyckie niektórych kawalerów akademii szlacheckiéj warsz. Soc. Jesu. Warszawa, 1758, str. 169.

mogli. „Kopernickiego mniemania, — pisali — ponieważ pismo boże, w literalnym sensie wzięte, ziemi, nie słońcu stanie przyznające, jest mu przeciwne; od którego literalnego sensu bez oczywistéj, słusznéj przyczyny, jakiéj tu nie masz, odstępować niewolno, — kongregacya kardynałów za Pawła V, d. 29 listopada 1616 r. zakazała uczyć, a trybunał św. inkwizycyi 1633 r. za Urbana VIII zakaz ponowił. Wszakże 1620 r. pozwoliła taż kongregacya uczyć jako *hipothesim* albo mniemanie. *Hipothesis* nie wyciąga koniecznie, że tak jest, ale tylko, że tak może być“ [1]). Duńczewski w artykule kalendarzowym z r. 1749 system Kopernika podziwiał, nie oświadczał się jednak za nim stanowczo. „Do takiéj Kopernik doskonałości nauki astronomicznéj przyszedł, że ni przed nim kilka tysięcy lat od stworzenia świata, ni po nim już dwa wieki równego nie było. On albowiem pierwszy wszystkich ludzi uczonych na świecie od błędu tego oczywistego odwiódł (jak twierdzą jego sektatorowie), że nie słońce rusza się z miejsca swego, ale ziemia... Tego sławnego Polaka, kanonika warmińskiego, za życia jego ogłoszone systema, potém odrzucone, teraz w Rzymie, Paryżu, w Anglii i całéj Europie kwitnie... Zaraz albowiem poszli za nim najbieglejsi astronomowie z różnych krajów, jako to: Lejbnic, Newton, Mallebranche etc... Rzecz bardzo ciekawa, lubo do zrozumienia i wierzenia trudna, iż ziemia, w 24 godzin ubiegając gradusów 360 codziennie, ubiega pod cyrkułem porównania dnia z nocą mil niem. powszechnych 5,400“ [2]). W rozprawie późniejszéj Duńczewski, uznając teoryę Kopernika, zaznacza, że jest wznowieniem tylko tego, „co dawni Pythagorycy i Arystarchos z Samos napisali“ [3]). Z większą stanowczością oświadczał się za obrotem ziemi około słońca pijar Wiśniewski. Na pytanie, co jest podobniejsze do prawdy: czy że słońce, czy że się ziemia obraca? — „niczyje — odpowiada — o tém zdanie nie może być cale pewne. Nikomu z ludzi dotąd nie jest wiadome ułożenie świata, gdzie jest i co jest centrum jego i jakim porządkiem pryncypalne części jego są dysponowane, Bóg bowiem (jako twierdzi pismo święte) podał świat ludziom do dysputowania o nim... Zaszczyt narodu polskiego, nieśmiertelny Mikołaj Kopernicki, kanonik warmiński, pracą przez trzydzieści lat i wielu księgami za pobudką Tydemana Giżyckiego, biskupa natenczas chełmińskiego, wuja swego i z aprobacyą Pawła III papieża, r. 1540 jaśnie oświecił i mocno utwierdził, że słońce jest w środku czyli cen-

---

[1]) Wiadomości literackie z 23 stycznia r. 1761. — [2]) Kalendarz albo kolendarz uczony, ciekawy i pożyteczny na r. 1749. — [3]) Nowa sława prześwietnego Collegium warsz. Soc. Jesu. 1761.

trum świata tak, że teraz ledwie niepospolicie wszyscy uczeni za nim idą i że takowe systema, czyli ułożenie świata, jest podobniejsze do prawdy, prócz wielu niezbitych astronomicznych racyi... fizycznemi uwagami probują... Pismo św. często się do zdania i pojęcia ludzkiego akkomoduje... Wierzyć mamy, iż Jozue i inni sludzy boscy byli święci i przyjemni Bogu; lecz możemy nie wierzyć, iż astronomię umieli. Jozue mówił, jak się zmysłom jego zdawało, a Bóg uczynił, co trzeba było uczynić. I dla tego papieże, począwszy od Pawła III, w tę się nigdy dotąd nie wdawali dysputę. Ta zaś sama kardynałów kongregracya, która systema to zakazała była za rzecz pewną uznawać, potém je r. 1640 za rzecz bardzo do prawdy podobną publicznie uczyć i utrzymywać pozwoliła... Z Galileuszem podobnie się stało, jak z Wirgiliuszem, biskupem niegdyś salisburskim, który r. p. 745 za heretyka był osądzony, nie tak za to, iż utrzymywał, że są antypody, jako raczéj, iż je przeciw wyraźnemu Zacharyasza papieża zakazowi upornie utrzymywał; tak Galileusz nie za to był między heretyków od inkwizycyi florenckiéj poczytany, iż nauczał, że się ziemia obraca, lecz iż tego nauczał przeciw poważnych inkwizytorów zakazowi. Wszakże to i teraz trafia się, że rzecz, lubo prawdziwa i święta, póki nieznana i nowa jest, częstokroć bywa podejrzana“ [1]. Z parafrazą typowéj odpowiedzi Wiśniewskiego spotkamy się w czasach następnych u rozmaitych pisarzy. „Układ Kopernika — pisał w r. 1781 ks. Lisikiewicz—i astronomicznym doświadczeniom zadosyć czynić się zdaje i z prawami fizycznemi zgadzać się, a zatém jako do prawdy podobny utrzymany być ma... Powszechnie mówić można, że o tych rzeczach, które ani do wiary, ani do dobrych obyczajów należą, jak pismo św., tak i ojcowie święci trafunkowo tylko i podług pospolitego mniemania mówili. Nic tedy przeciw nim nie wykraczamy, gdy odmiennie w rzeczach takowych sądzimy. OO. święci, całą usilnością swoją do tego, co zbawieniu ludzkiemu potrzebne zmierzając, mniéj się nad świeckich rozbieraniem nauk zabawiali; albo jeśli z umysłu do nich się stosowali, czynili to podług mniemania nauczycielów tamtego wieku. Których zdania w rzeczach obojętnych z czasem się nieprawdziwemi pokazały, ani włożyły na teraźniejsze wieki obowiązku, aby przy oczywistości przyczyn, one zbijających, za niemi iść miały. Któżby miał obowiązek teraz trzymać się niegdyś Augustyna św. zdania o niepodobności antypodów, chociaż te on nawet z pisma popiérał; albo iż niemasz żadnéj soli kopalnéj w ziemi, jak mniemał i twierdził św. Hilary“. Usprawiedliwia jednak Lisikiewicz

---

[1]) Kolęda warszawska na rok 1754.

prześladowanie Galileusza. Nie powinien był uznawać systemu Kopernika, skoro go kościół zakazał: „sprawiedliwie skazany został... jako krnąbrny i nieposłuszny prawéj zwierzchności“ [1]). Z pod wpływu teologicznego wyzwalały się nieliczne zaledwie jednostki. Wojewoda nowogrodzki, książę Aleksander Jabłonowski w celu przekonania kuryi, że pomysły Kopernika powadze kościoła nie uwłaczają, wytłoczył u Pagliariniego w Rzymie pod okiem uczonego księdza Jaquier *De astronomiae ortu atque progressu et de telluris motu* (1763). Dzieło swoje dedykował papieżowi Klemensowi XIII, któremu na posłuchaniu 20 stycznia r. 1763 ofiarował egzemplarz w oprawie, ozdobionéj kamieniami i złotém [2]). Drugą edycyę ogłosił współcześnie w Gdańsku, w Toruniu zaś w kościele św. Jana wystawił Kopernikowi w r. 1766 monument. W r. 1765 pijar, Eustachy Dębicki, wydał w przekładzie Rozmowy o wielości światów Fontenelle'a, w których ziemia ma obrót około osi swojéj i słońca. Podobną pracę (*De mundi systemate*) ogłosił w r. 1768 w Przemyślu ks. Grzegórz Arakiełowicz, jezuita.

Powaga teologii, z którą liczono się w poglądzie na budowę świata, nie krępowała ludzi światłych w stosowaniu obserwacyi astronomicznych do walki przeciwko przesądom. Czasopisma skwapliwie prace astronomów notowały i wyprowadzały z nich wnioski, mające na celu zdyskredytowanie prognostykarstwa. „Dnia onegdajszego o godzinie 7 wieczorem — donosiły Wiadomości warszawskie z 19 października r. 1763 — pokazała się na horyzoncie tutejszym (warszawskim) *aurora borealis*, obserwowana od x. Rostana, profesora matematyki *in Collegio Nobilium*... Widok ten, w krajach północnych zwyczajny i z przyczyn wcale przyrodzonych pochodzący, żadnych nieszczęśliwych skutków nie prognostykuje“... Zawiadamiając o obserwacyach, jakie czynili uczeni lipscy nad kometą w r. 1766—„co nato— zapytuje czasopismo [3]) — astrologowie powiedzą, że niedawno Francyi, a teraz Niemcom ukazała się kometa? Pewnie o wojnach wróżyć zaczną i o pożarach... Wszakże perspektywy chyba będą temu winne na 27 stóp długie, bo bez nich niktby komet nie obaczył, chociaż one zawsze nad głowami naszemi okręgi przebiegają“. Z okazyi komety, którą w sierpniu r. 1769 obserwował w Warszawie ks. Rostan Wiadomości warszawskie z 2 września tłómaczyły:

---

[1]) Fizyka czyli wiadomość natury i skutków rzeczy pod zmysły podpadających. Księga II. Sandomierz. 1781, str. 99.

[2]) Wiadomości uprzywilejowane warszawskie z 9 marca r. 1763.

[3]) Wiadomości warszawskie z 26 kwietnia r. 1766.

„Żeby z ukazania się téj komety mniéj uczeni o złych jakich skutkach nie wnosili, niech wiedzą, iż takowe phoenomena, lubo nie częste, są jednak naturalne. Bieg każdéj komety, według powszechnego astronomów zdania, bynajmniéj się nie różni od biegu innych planet“. Obserwowana w Warszawie w poniedziałek zapustny i 18 września r. 1779 przez ks. Bystrzyckiego zorza północna daje powód Gazecie warszawskiéj (z 20 lutego i 22 września) do następującéj uwagi: „Z postrzeżenia takowych świateł na niebie żadnych nieszczęść i przypadków rokować nie należy, chyba tylko śniegi lub deszcze, gdy powietrze jest ocieplone i gdy materya śnieżysta, dająca okazyę do zorzy północnéj, wiatrami górnymi w inną krainę nie będzie uniesiona“. Dla zażegnania trwogi, jaką w powszechności budził widok komety w r. 1769, czasopisma polecały czytanie przełożonéj przez ks. Dębickiego z Fontenelle'a Rozmowy filozofa z damą o wielości światów „gdzie się okoliczność tę naturalną bez bojaźni i zdumienia zobaczy“ [1]); jezuita, Jan Bohomolec, osobną w tym celu napisał rozprawę. W książce Prognostyk zły czy dobry komety roku 1769 i 1770, albo natura i koniec komet (Warszawa, 1770) ze stanowiska naukowego i teologicznego uspokajał umysły, w dodatku rozwiódł się o deszczu krwi, zboża, ryb, popiołu, kamieni i t. p. [2]).

Astronomia z fizyką doświadczalną wpłynęły na zreformowanie kalendarzy, dla których prognostykarstwo było zadaniem głównem. Pierwszy Jan Poszakowski, jezuita wileński, w Kalendarzu politycznym na rok 1737, 1738, 1739, w Kalendarzu jezuickim z 1740, Kalendarzu prześwietnych dam z 1741, Kalendarzu rzymskim z 1742, 1743 i 1744, Kolendzie papieskiéj z 1745 i Kolendzie cesarskiéj, tłoczonéj od 1746 do 1749 z astrologią i prognostykarstwem zerwał, podał w wątpliwość wpływ dni lunarnych i roku klimakterycznego na losy człowieka, przykładem zaś swoim pociągnął braci w Poznaniu, Lublinie i Kaliszu. Zapatrywaniom swoim na proces stworzenia i budowę świata dawał podkład biblijny; przeciwko dniom feralnym i latom klimakterycznym występował nie ze stanowiska umiejętnego, lecz z punktu widzenia religijnego; pomimo tego przez zaniechanie wieszczbiarstwa w reformie kalendarza krok zrobił ważny. Po nim jezuita również wileński, Franciszek Paprocki, w Kalendarzyku politycznym, wydawanym od r. 1759, w 1768 zamienionym na Kalendarz wileński i pijar Antoni Wiśniewski w publikowanéj od 1752 Kolędzie warszawskiéj —

[1]) Wiadomości warszawskie z 6 września r. 1769. — [2]) Krótką treść książki Bohomolca podały Wiadomości warszawskie z 18 lipca r. 1770.

nietylko zerwali z wieszczbiarstwem, lecz nie uwzględniali podań biblijnych. Popularyzowali wiadomości z astronomii i fizyki, wyśmiewali „nietylko filozofskiego, ale nawet i ludzkiego imienia niegodne prognostyki z różnych świateł, kolorów i ogonów formowane“ [1]). Wytrwale tylko uprawiał prognostykarstwo Zamość, na którego kalendarzach figurował i po śmierci Duńczewski; nie zrywali też ze staremi tradycyami akademicy krakowscy. Uchwała akademii z 30 stycznia r. 1765, zabraniająca matematykom w Krakowie i po koloniach uprawy prognostykarstwa, pozostała bez skutku. Jeszcze w r. 1776 Jan Śniadecki, proponując umieszczenie w kalendarzu zamiast „prognostyka“ „domysłu astrologicznego“, w ciele akademickiém napotkał na opór. „Domysł“ przeprowadzić zdołał dopiéro w r. 1778 [2]). Były też kalendarze zamojskie i akademików krakowskich przedmiotem drwin publicystyki. Po atakach Mitzlera w r. 1758, Łuskiny w 1761, szydził wielokrotnie z przepowiedni kalendarzowych Monitor [3]), ośmieszały je Wiadomości warszawskie, Zabawy przyjemne i pożyteczne [4]) i osobne broszury. Autor Wypisu listu pewnego z zagranicy do swego przyjaciela (bez m., 1771, 8-o, stron 128) na zapytanie: w jakim stanie znajduje się w Polsce kalendarz?— otrzymuje odpowiedź pełną wyrzekań. „Kalendarz z swoim prognostykiem dotąd jeszcze jakożkolwiek z wziętością u daleko większéj części dystyngwowanych obywatelów był przyjmowany i daléjby był w téj saméj wziętości, tylko, że niektóre osoby zazdrosne, ani się znające na téj nauce i gruntu jéj nierozumiejące, zaczęły rozsiewać po Polszcze o nieskutkowaniu nieba, o różności powietrza i jego odmianie; że rzeczona odmiana z siebie saméj i tylko od jakości ziemi suchéj lub mokréj przez większość wzniesienia się humorów pochodzi; że kalendarze są to tylko zwodzące ludzi i grosze wyłudzające: takiemi i podobnemi mowami one przed mądrymi obojga stanu ludźmi obrzydzają tak dalece, że już ledwie nie wszystkich do swego zdania przeciągnęli i dla tego w roku niniejszym tylko jeden kalendarz krakowski i to obnażony, bo tylko same święta całego roku piszący, lecz chociaż astronomii cokolwiek, astrologii jednak żadnego śladu w nim nie widać; i tak się spodziewam, że już na przyszły rok o prognostykach nic nie będzie słychać. Sami zaś sprzeciwiający się mnóstwem kalendarzyków i kalendarzy różnego

---

[1]) Kalendarz wileński z r. 1770.—[2]) Baliński. Pamiętniki o Janie Śniadeckim I, str. 15; II, str. 3 i 4. Obacz też naszą rozprawkę: „Kalendarze w Polsce wieku XVIII“ (Biblioteka warszawska z r. 1889, t. III, str. 351—373). — [3]) Z 20 sierpnia 1766, 10 sierpnia 1776, 17 marca 1779.—[4]) W art. z r. 1776 „Astrologiczne przepowiadanie kalendarzom, na sto lat następujących służące, o znakach chronologicznych“ (T. XIII, część I, str. 71—81).

gatunku, które oni politycznymi, gospodarskimi etc. nazywają, z honorem popisują się i te ledwie nie w każdém województwie drukują i kramarzą...“ Utyskuje korespondent, że ludzie uprzedzeni „część matematyki i fizyki doświadczającéj znakomitą, którą astrologią nazywają,“ chcą sponiewierać; że Łuskina akademika Duńczewskiego, „człowieka z obligacyi profesyi swojéj w téj materyi pracującego, katolika prawowiernego, tą nauką i praktyką nigdy nikogo nie gorszącego, prześladować i onego, jakby kacerstwem, apostazyą lub ateizmem obwinionego, wszelkiemi siłami natężonym oporem oskarżać i nawracać postanowił.“ Wydany w roku 1785-ym w przekładzie z francuskiego List o kalędarzodziejach wszystkich krajów dawnych, teraźniejszych i przyszłych (bez m. 8, k. nlb. 11) astrologów i układaczów kalendarzy prognostykujących chłostał straszliwie. Publicystyce przychodziła w pomoc sztuka. Ks. Franciszek Bohomolec w komedyi Małżeństwo z kalendarza [1]) ośmiesza Staruszkiewicza, który według przepowiedni kalendarza oznacza dzień ślubu córki, z kalendarza leczy choroby. Ubolewali w ogóle pisarze światlejsi nad niegodziwością wieszczbiarzy i łatwowiernością ludzi przesądnych; cieszyli się z drugiéj strony, „że ten błąd tylko rozciąga się na prędkowierne niewiasty, alboliteż te ślepe krety, którzy w wieku oświeconym przy tak jawném świetle dawniejszéj pozbyć się nie mogą pomroki“ [2]).

Przytrafiające się zjawiska nadzwyczajne, a groźne pobudzały inteligencyę do zażegnywania ogarniającéj powszechność trwogi przez wyjaśnienie natury ich lub wskazanie środków ochronnych.

W czerwcu r. 1782 rozeszła się po Litwie wieść, że jezioro w województwie trockiém, dobrach sędziego grodzkiego Hryniewicza, a 2 ½ mil odległe od Wilna, śród wyziewów siarczanych z hukiem 27 maja wieczorem zapadło. Dla zbadania zjawiska akademia wileńska wyznaczyła komisyę, która, zjechawszy 14 czerwca na miejsce, znalazła czarną masę, pokrywającą obszar istniejącego przedtém jeziora. Od świadków zdarzenia i podwojewodziego smoleńskiego Dąbrowskiego, który od lat kilkunastu notował własne obserwacye meteorologiczne, zasięgnąwszy informacyi,—nazajutrz przy pomocy ludzi miejscowych dla wymierzenia głębokości masy grzęskiéj zbudowała z faszyn aż do środka jeziora na 168 stóp długą groblę, zbadała naturę okolicznéj ziemi i z raportem powróciła do Wilna. Zdarzenie tak niezwykłe niemały śród ludności sprawiło popłoch. Wnoszono, że Wilno, które

---

[1]) Warszawa, bez r. O wyjściu donoszą Wiadomości warszawskie z 19 marca r. 1766 — [2]) Monitor z 10 sierpnia r. 1776

według oddawna krążących wieści ma zapaść, takiemu samemu, jak owo jezioro, uledz może losowi. Dla zażegnania właśnie trwogi akademia wileńska wydelegowała do dóbr Hryniewicza komisyą i zapowiadała ogłoszenie drukiem rezultatów przedsięwziętych dociekań [1]).

Superintendent związku ewangelickiego Zellerfeldzkiego, Ziehen, w r. 1779 i 1780 przepowiadał na podstawie apokalipsy wielkie trzęsienie ziemi, które miało Europę rozerwać na dwoje i zniszczyć. Alpy w bliskości góry Ś. Gotarda pierwsze uledz miały wstrząśnieniu, po nich pograniczne pasy francuskie, włoskie i niemieckie nad górnym Renem. Początek katastrofy przepowiadał Ziehen na rok 1783, koniec na 1786-ty. 22 lutego r. 1786 około godziny 7 wieczorem przejdzie przez południk nad Alpami, wprost nad górą ś. Gotarda olbrzymia kometa i ona to będzie zwiastunem zniszczenia. 25 lutego znaczny obszar skorupy ziemskiéj w niezgłębioną zapadnie przepaść. Przepowiednie superintendenta napełniły Europę przestrachem, który za pośrednictwem czasopism i broszur dosięgnął i Polski. Zalegające w lecie r. 1783 mgły od Adryatyku do Atlantyku zdawały się być początkiem ziszczenia proroctw Ziehena. Czasopisma polskie nie taiły, że mgły owe skutków dobrych sprowadzić nie mogą, lecz jednocześnie zasadność przepowiedni księdza niemieckiego podawały w wątpliwość. „Podobne proroctwa—pisano—bardziéj nas bawią, niżeli trwożą“ [2]). Rzeczywiście, rok 1783-ci minął szczęśliwie, lecz zdarzenia lat następnych poważną budziły obawę. 22 sierpnia r. 1785 o godz. 7 rano miało miejsce trzęsienie ziemi w krakowskiém, trwające przeszło dwie sekundy. Czuć się dało w Krakowie, Zatorze, Lipowcu, Krzeszowicach, Morawicy, Bolechowicach, w Książu Wielkim i Klimontowie. W Książu, w pałacu margrabstwa pińczowskich, dzwoniły w apartamentach dolnych szkła i filiżanki w kredensie; na drugiém piętrze drżały drzwi i okna, kołysały się łóżka, stoły i krzesła. Bawiący wówczas u margrabstwa z kolegą, profesorem akademii krakowskiéj Jaśkiewiczem, Jan Śniadecki, komunikował ogółowi za pośrednictwem czasopism uwagi swoje nad tém zdarzeniem „ponieważ każda wierna obserwacya zdarzonych w naturze przypadków warta jest pamięci fizyków, zatrudnionych dochodzeniem wszelkich skutków przyrodzenia, tak dobroczynnych, jak i okropnych“ [3]). Gdy

---

[1]) Gazeta warszawska z 3 lipca r. 1782 Rękopism ks. Bagińskiego, str. 123. — [2]) Pamiętnik polityczny i historyczny z r. 1783, t. II, str. 162. — [3]) Gazeta warszawska z 31 sierpnia i 3 września r. 1785 Pamiętnik historyczno-polityczny“ z r. 1785, str. 852.

z wypadków w krakowskiém wzięły niektóre kalendarze [1]) asumpt do straszenia ogółu zapowiedzią ziszczenia się przepowiedni Ziehena w r. 1786,--przezorniejsi wystąpili z polemiką. „Wiek XVIII-ty — dowodził Kalendarz grodzieński na rok 1786, godząc w kolegę supraślskiego — prawie nieskończonością jest odległy od owych, które się lękały zaćmień i komet. A ziemia, jeśli się wzmocniła rządem oświeconym przeciw zabobonom, to przynajmniéj ma polor przed czasem siebie nie męczyć wróżbami. Prawda, iż od owéj strasznie prognostykującéj śmierć Juliusza Cezara komety Seneka i Lukan wróżyli, że bieguny niebios spadną na ekwator, podpory ziemi złamią się, gwiazdy zlecą, ludzie poschną, a bogowie zniszczeją. Mogłoby to nastąpić, choć nie cale, gdyby komety wystrzelone były na ziemię prosto: ale w biegu swym za cóż tak mają być złośliwe, iżby, z dróg swoich ustępując, nam szkodzić miały? A i gwiazdy po co mają zrzucać się, mając swoje okręgi i systemy grawitacyi? Pozwoliłbym prędzéj te biedy na księżyc, na którego się skarżą astronomowie, że się chwieje. Komety mogłyby jego niestałość zaciągnąć swoim ogonem do Syberyi Saturna, żeby tam czy trząsł się od strachu, czy zmarł od zimna... Lecz Supraśl nie miał myśli o kometach, ale naturalniéj, że we wnętrzu ziemi siedzi jéj zguba tak, jak bywa u ludzi, że dosyć być zgryzionym w sobie albo występnym, żeby wszędzie widziéć i nieszczęście i występek. Centralne tu ognie nabawiły strachu. A ze strachu kalkulacya chce pociągnąć w zgubę Włochy, Niemcy, Szwajcaryę, Czechy, Węgry i część Polaków... Przyznam się z doświadczenia, co strach umié. Rok z trzema haczkami minął dla dobrych i ja w r. 1783, widząc atmosferę ziemi pełną siarki i saletry, z których się robią ognie i pioruny, a z tych wicher i burze, przez sen widziałem, że ziemia będzie albo spalona, albo rozdmuchana. Lecz na jawie spostrzegłem, iż ziemia jak była, jest dotąd, a kilka domów zgorzało i stara się karczma zawaliła. I teraz tłómaczowi wróżek piwniczych albo zellerfeldzkich mam honor donieść, że we wszystkich na świecie prochowniach nie tak wiele jest prochów, żeby mogły Europę wystrzelić gdzieś tam za atmosfery Saturna. Supraśl z wulkanów, t. j. z kominów ziemi sądzi, że piec musi być pod Europą, który przez chymię piwniczą ma oną połknąć w r. 1786. Cóż za złość, pod nas piece

---

[1]) Kalendarz supraślski i Grölla Kalendarz polityczny dla Królestwa Pol. i w. ks. lit. (na rok 1786), którego artykuł „Różne wiadomości względem zdarzeń i odkryciów w przyrodzeniu postrzeganych, tudzież uwagi do nich się ściągające“, pod odmiennym nieco tytułem wyszedł także osobno (Warszawa, 1785, 16-ka, stron 30).

podsadzać. Lepiéj pod ocean, gdzie więcéj jest likworów... Kończę prawdziwszém ostrzeżeniem kalendarza supraślskiego, że nie wszystko jest prawdą, co bają. Nie wszystko jest ciekawością, co jest straszydłem i co prostota wierzy; że Alboroka, klacz Mahometa, na któréj jeździł do siedmiu niebios, u Turczynów tylko ma przewodnika z 70 tysiącami głów; że sprężyny natury nie jedynie są tylko w czopkach butelkowych, ani rozum w wieszczbiarstwie.“ Wbrew uspakajającym argumentacyom Kalendarza grodzieńskiego, w nocy z 26 na 27 lutego r. 1786 nawiedziło znowu trzęsienie ziemi całe Podgórze, Szląsk górny i Morawy. Że w przekładzie broszury niemieckiéj o przepowiedniach Ziehena, a za nim w kalendarzach: gröllowskim i supraślskim zmieniono przez pomyłkę 25 lutego na 27-my, w którym właśnie miało miejsce wstrząśnienie powtórne, przeto ziszczenie proroctwa wydawało się niezawodném i uzasadniony powód do obaw. Wstrząśnienie mocniejsze było od zeszłorocznego; w dodatku przypadło w dacie przepowiedzianéj, nie dziw przeto, że przestrach wywołało niemały. Dla osłabienia wiary w proroctwa, niektóre czasopisma wykazywały niezgodność daty zdarzenia z podaną przez Ziehena [1]); tłómaczyły, że w trzęsieniu ziemi nie ma nic nadprzyrodzonego. Łuskina nie zgadzał się z Długoszem, który trzęsienia ziemi uważał za zdarzenia cudowne: „my—dodawał—z tego ojców naszych błędu wyszliśmy; ale nie przeto wyszliśmy z bojaźni i strachu, żebyśmy się przeciwko tym strasznym przypadkom nie mieli już udawać do Boga“ [2]). 3 grudnia r. 1786 kwadrans na szóstą silniejsze od poprzednich nawiedziło Polskę trzęsienie ziemi i na obszarze rozleglejszym, bo od Tarnowa pod Piotrków. W Krakowie niektóre kamienice porysowały się; z jednéj spadł wazon, umieszczony na wierzchu; na drugiéj tak się pochylił, iż go zdjąć musiano. Kościół augustyanów na Kazimierzu z powodu pęknięcia sklepień nad wielkim ołtarzem zamknięto. W Sancygniowie w kominach i ścianach spostrzeżono wiele rys, których przedtém nie było. W Krakowie, Pińczowie i Sancygniowie mniejsze dzwonki taki wydawały odgłos, jakby poruszała nimi ręka ludzka [3]). Przewidywano nowe w przyszłości katastrofy, lecz nie podawano minionych za zjawiska nadprzyrodzone. „To jest godne uwagi, że trzęsienia ziemi w Polsce coraz się częściéj zwykły przytrafiać, tak dalece, że jeżeli natura, prawdziwie od lat kilku w jakimsiś krytycznym stanie zostająca, nie odmieni w tém biegu swego, tedy zno-

[1]) Pamiętnik historyczno-polityczny z r. 1786, str. 272. — [2]) Gazeta warszawska z 8, 15 i 18 marca r. 1786.— [3]) Pam. histor.-polit. z r. 1786, t. IV. str. 237. Gaz. warsz. z 9, 15, 16 i 23 grudnia r. 1786.

wuby nam się i to niedługo obawiać fenomenu tego“ [1]). Profesor akademii krakowskiéj, ks. Andrzéj Trzciński, ogłosił w r. 1787-ym Opisanie przyczyn fizycznych trzęsienia ziemi, w którém zużytkował teorye d'Alemberta, Newtona, Torricelli'ego, Franklina i t. p.

Badania naukowe, podjęte na zachodzie z okazyi panujących w r. 1783 burz i przedsiębrane przez rządy europejskie środki dla zabezpieczenia ludzi i budynków od piorunów, nie pozostały bez wpływu i na nas. Czasopisma przedrukowały edykty: króla pruskiego z 11 września i cesarza niemieckiego z 26 listopada r. 1783, zakazujące dzwonienia podczas grzmotów [2]); ogłoszono w materyi piorunów znaczną liczbę artykułów i rozpraw. Oprócz publikacyi ks. Osińskiego: Sposób ubezpieczający życie i majątek od piorunów (Warszawa, 1784), dużo w tym przedmiocie pisał Świtkowski w Pamiętniku historyczno-politycznym i Magazynie warszawskim [3]), „aby czytelników od zbytecznéj trwogi zachować.“ „Gdy między nami — pisał w Magazynie (1784, część II, str. 335)— jaki taki mniema, że pioruny bardziéj zawisły od rozporządzenia i mocy Boga, niż inne przyrodzenia skutki,—jest to błąd, prawda, który człowiekowi, powodującemu się samymi zmysłami, jest bardzo naturalny, ale który, ponieważ pochodzi z saméj niewiadomości prawd wiecznych, które Bóg przepisał naturze, zaraz zniknie, jak tylko pozna się lepiéj natura, początek i zamiar fenomenu...“ „Od niejakiego czasu—dowodził znowu w Pamiętniku (1784, str. 308) — przestano po wielu w Europie miejscach mniemać, jakoby to było sprzeciwić się sprawiedliwości Boga, piorunami ludzi karzącego, chcieć konduktorami oddalić od budynków niebezpieczeństwo... Wszakże nic tak nie pomogło do osłabienia większego tego zabobonu, jak straszliwe grzmoty i pioruny roku przeszłego. Ciekawi elektrykowie i meteorologistowie wyrachowali, iż w samych Włoszech, Niemczech i Francyi dano przeszło 600 konduktorów nowych w roku przeszłym, z których 30 wybawiły miasta, wsie lub wielkie budynki z oczywistego niebezpieczeństwa. Jeden także obserwator wylicza różne miejsca w saméj tylko Francyi i Niemczech, w których pioruny w roku przeszłym zabiły 96 ludzi, którzy podczas grzmotów dzwonili. Z tém wszystkiém zwy-

---

[1]) Pamiętnik historyczno-polityczny z r. 1786, t. IV, str. 237. — [2]) Tenże z r. 1784, str. 107 i 312. — [3]) Pamiętnik z r. 1784 pomieścił: „O konduktorach i przeszkadzających do ich pomnożenia zabobonach“. Magazyn z r. 1784 „O piorunie i konduktorach“; z r. 1785: „Przestrogi względem zachowania się podczas piorunów w domu i w drodze“, „Ubezpieczenie budynków przez konduktory“ i t. p.

czaj ten szkodliwy trwa jeszcze po tylu miejscach! W Berlinie nawet, tak oświeconym, dopiéro na końcu roku przeszłego za edyktem królewskim, do którego były powodem gorliwe niektórych uczonych pisma przeciw temu uprzedzeniu, poprzestano dzwonić na chmury...“ Gdy w końcu czerwca r. 1784 w Żydowie, majętności misyonarzy, piorun zabił człowieka, któremu kazano dzwonić na chmury, — „te częste—pyta Świtkowski—przykłady kiedyż sprawią u nas zakaz niebezpiecznego zwyczaju?“ [1]). Z radością też zawiadamiał o pierwszym w Polsce konduktorze, 6 lipca r. 1784 kosztem Stanisława Augusta zbudowanym na wieży zamkowéj wyższéj. „Jest on spuszczony z dwóch stron wieży i składa się z dwóch odnóg: jedną, od Starego-Miasta, stanowi drut na pół cala gruby i prętami żelaznymi na łokieć od muru oddalony; drugą, naprzeciw garderoby, blacha żelazna biała, na trzy cale szeroka, do samego muru przytwierdzona. Końce tak drutu, jak blachy wpuszczone w umyślnie wykopane doły“ [2]). Biskup płocki, Michał Poniatowski, rozporządzeniem z 30 sierpnia r. 1784 polecał duchowieństwu, aby przesąd odwracania piorunów za pomocą dzwonienia o ile możności tępiło. „Z nauki fizycznéj i doświadczeń rozlicznych już to niewątpliwa, iż każde metale, a tém bardziéj które gwałtem poruszane bywają, najłatwiéj piorunową ściągają materyą, co téż i w tym nawet roku kilka nieszczęśliwych po dyecezyi wiadomych przykładów oczywiście dowiodło... Zechcą tedy Ichmć xx. plebani lub komendarze, jako téż kapłani zakonni, gdzie są jakie klasztory, wszelkie w téj mierze naganne i uporne złożywszy uprzedzenia, ludowi przy zręcznych okazyach przekładać i nauczać, iż wstrzymanie się od dzwonienia nie czyni się bynajmniéj z żadnego do nowości przywiązania, albo też (uchowaj Boże) jakowéj pogardy nabożeństwa, z których dawniéj pomocnych spodziéwano się skutków; ale że się to tylko dzieje z powodu powziętych niewątpliwych informacyi i odkrycia szkodliwych stąd dla ludzi i ich majątku przyczyn.“ Zamiast dzwonienia, radził zaopatrywać się w książęczkę ks. Osińskiego „o bardzo doświadczonym i ubezpieczającym majątki ludzi od piorunów, a niewiele kosztującym sposobie“ [3]).

W dobie zabiegów około zabezpieczenia człowieka od klęski piorunów, zjawiają się też pierwsze próby zużytkowania elektryczności w celach leczniczych. Z okazyi ogłoszonego przez akademię bur-

---

[1]) Pamiętnik historyczno-polityczny z r. 1784, str. 719. — [2]) Tenże z r. 1784, str. 319 Gazeta warszawska z 10 lipca r. 1784— [3]) Rozporządzenia i pisma pasterskie za rządów JO. Xięcia Jmci M. J. Poniatowskiego, biskupa płockiego etc., do dyecezyi płockiéj wydane Warszawa, 1785, t. IV, str. 183.

degalską tematu do rozprawy konkursowéj, już w r. 1760 pisali w téj materyi jezuici wileńscy, przytaczając opinie: Jallaberta i Nollet'a, jako „elektryka różne odmiany w wielu rzeczach sprawuje“ [1]). Fakt wyleczenia z paraliżu pewnego księdza w Sandomierzu daje Lisikiewiczowi asumpt do artykułu „o sile bursztynowania,“ w którym o błogich skutkach stosowania elektryczności w medycynie nie wątpi [2]). W Warszawie leczył elektrycznością paralityków profesor fizyki, ks. Koc i rezultaty osiągał pomyślne. „Pożyteczne dla zdrowia elektryzacyi skutki coraz bardziéj doświadczeniem w tutejszéj stolicy potwierdzają się... Łukasz Nowakowski, z regimentu dragonii konnéj, mirowskim zwanego, abszytowany dla zdjętéj paraliżem ręki i nogi, gdy używając przez trzy miesiące zwyczajnych na taką chorobę lekarstw więcéj ostrego bólu w członkach, paraliżem tkniętych, niż władzy nabył; udał się nakoniec do JMci ks. Koca... Trzy elektryzowania sprawiły, iż ból z ręki w bok ustąpił, a w nodze zelżał... Dalsze elektryzowania, których było dwanaście, chorego do zupełności zdrowia przywróciły“ [3]). Ks. Trzciński ogłosił w r. 1787 Dysertacyą o używaniu lekarskiém elektryczności.

Współczesne doświadczenia z balonami, podobnie jak budowa konduktorów i zastosowanie elektryczności do sztuki lekarskiéj — przedstawiały zdziwionéj powszechności nową próbę w dążeniu do opanowywania przyrody. W r. 1783 Pamiętnik Świtkowskiego pomieścił kilka artykułów „machinie nowéj p. Mongolfiera.“ Pierwszy balon o 38 calach średnicy, napełniony gazem w przeciągu trzech minut, puścił w Warszawie 12 lutego r. 1784 na trzysto-łokciowym sznurze Okraszewski — w obecności Stanisława Augusta [4]). 24 lutego, również w przytomności króla i „państwa“ puścili balon: Gidelski, Korn i Bach z dziedzińca pałacu kasztelanowéj krakowskiéj Branickiéj. Miał wysokości stóp 4, średnicy 3, wzniósł się ukośnie na łokci 570 [5]). 6 marca puszczał Okraszewski przy huku działa „kulę aerostatyczną“ dwukrotnie na sznurze, trzeci raz bez niego — z piasków śród zamarzłéj Wisły. Przez lunety akromatyczne widzianą była jeszcze po upływie 22 minut. Król przypatrywał się jéj z okien zamkowych, Okraszewskiemu dał złoty medal [6]). Balon Gidelskiego, Korna i Bacha spadł w puszczy o 22 mile za Warszawą, pod Białą;

---

[1]) Wiadomości literackie z 12 grudnia r. 1760 — [2]) Historya naturalna (str. 46—86), dodatek do księgi II-éj (1781) „Fizyki czyli wiadomości natury i skutków rzeczy pod zmysły podpadających.“ — [3]) Gazeta warszawska z 21 października r. 1778 i z 31 marca r. 1779 — [4]) Taż z 14 lutego r. 1784 — [5]) Taż z 28 lutego r. 1784 — [6]) Taż z 10 marca r. 1784.

Okraszewskiego o trzy mile od stolicy, pod Słupnem. Spostrzegł go chłop, Lasota i przeląkł się z obawy czarów. Zabrawszy go wreszcie, za radą bernardyna z Grodziska przyniósł do Warszawy, gdzie otrzymał od króla nagrodę [1]). Profesorowie krakowscy: Jaśkiewicz, Śniadecki, Szaster i Scheidt w przeciągu trzech miesięcy własnym kosztem zbudowali balon, zawierający 7,595 stóp kubicznych powietrza. Napełnili go metodą Mongolfiera w przeciągu minut ośmiu, robili próby 19, 21 i 24 lutego, puścili 1 kwietnia r. 1784 przy huku moździerzy z ogrodu botanicznego w obec tłumu ciekawych. Wzniósł się na 2,247 prętów francuskich. „Po doświadczeniach paryskich i ljońskich nigdzie jeszcze takiéj wielkości balon nie był puszczony“ [2]). W Kamieńcu kosztem szefa de Vitte, rektora szkoły, profesora fizyki Kasprowicza i innych zbudowano z klejonego podwójnie papieru balon o 50 stopach średnicy, ważący „z przyczepioną dla powietrznych żeglarzów galeryą“ 980 funtów. Chciał puścić się na nim Kasprowicz z podchorążym Jakubowskim, lecz „dla spostrzeżonych dziur w téj machinie“ zamiaru zaniechał. Sam balon wzniósł się na 400 łokci, „lecz od tęgości ognia rozpukł się i spadł.“ Przy rozpoczęciu roku szkolnego w Pinczowie, puszczono w obec margrabstwa dwa balony o dwóch stopach średnicy [3]). W lat cztery po wynalazku puszczał w Puławach balon dwunasto-ścienny, zbudowany z papieru z Jeziorny, matematyk L'huilier, co Kniaźnin uwiekopomnił pieśniami. 10 maja r. 1789 puścił się z ogrodu foksalowego na Nowym-Świecie w balonie z kitajki gumowanéj Blanchard „z jedną towarzyszką“ [4]), z okazyi czegoStanisław August kazał bić medal, a Trembecki napisał odę. Dla oświecenia powszechności, ks. Osiński wydał najprzód rozprawkę o gazach [5]); w kilka miesięcy późniéj z okazyi zbudowania pierwszego w Europie balonu opisał i wydrukował z kopersztychami Robotę machiny powietrznéj pana Mongolfier (1784), którą sprzedawano po groszy piętnaście [6]). Pamiętnik Świtkowskiego informował o rezultatach podejmowanych z balonami doświadczeń [7]).

Uprawa nauk przyrodniczych i ścisłych, które tylu w świecie przesądów dokonały spustoszeń, a osłaniały człowieka przed trwogą

---

[1]) Gazeta warszawska z 20 marca r. 1784 — [2]) Magazyn warszawski z r. 1784, część II, str. 392. Gaz. warsz. z 10 kwietnia r. 1784 — [3]) Gaz. warsz. z 20 października r. 1784 — [4]) Pamiętnik historyczno-polityczno-ekon. z r. 1789, str. 534. — [5]) Gatunki powietrza odmiennego od tego, w którém żyjemy. Warszawa, 1783. — [6]) Gaz. warsz. z 21 lutego r. 1784 — [7]) Pamiętnik historyczno-polityczny z r. 1784, w art. Wiadomości o podróżach powietrznych, odprawionych aż dotąd.

w obec zjawisk niezwykłych, — stała się śród wykwintnych warstw społecznych ostatniéj ćwierci wieku XVIII modą, dla klasy inteligentnéj nieodzowną potrzebą. Kolekcyonowanie w domach magnackich zbiorów naukowych prowadzone było z zamiłowaniem i nakładem niemałym. Stanisław August ufundował na zamku zasobny gabinet fizyczny i astronomiczny, będący pod zarządem stolnika kor. Moszyńskiego i księdza Bystrzyckiego. Posiadali zbiory przyrodnicze hetmani litewscy: Michał Kazimierz Radziwiłł i Michał Ogiński, synowiec króla Stanisław Poniatowski, w Siemiatyczach księżna Jabłonowska, w Grodnie podskarbi Tyzenhaus. Zbiory siemiatyckie, usystematyzowane przez kapitana Graebnera, 22 września r. 1777 podziwiał w powrocie z Grodna Stanisław August, 7 listopada r. 1782 wielcy księstwo rosyjscy [1]. Składały się z sali botanicznéj, zoologicznéj, mineralogicznéj i gabinetu fizycznego z kolekcyą starożytności i osobliwości zaeuropejskich [2]. Tyzenhaus ufundował na przedmieściu grodzieńskiém ogród botaniczny i gabinet historyi naturalnéj, celujący głównie skamieniałościami; zamierzał wystawić obserwatoryum astronomiczne, dla którego zakupywał narzędzia w Anglii ks. Narwojsz [3]. Sprowadzony w r. 1775 przez podskarbiego uczony lekarz francuski Gilibert ogród botaniczny na Horodnicy zaopatrywał w rośliny całego świata; kolekcyonował i badał florę litewską, któréj pracowite poświęcił dzieło [4]. Z inicyatywy sprowadzonego z zagranicy przez Adama Czartoryskiego Jana Chrzciciela Dubois, pod koniec r. 1777 powstało w Warszawie towarzystwo fizyczne, do którego oprócz fachowców: górnika Carosi'ego, dyrektora korpusu kadetów Pfleyderer'a, inżyniera Naxa, chemika Okraszewskiego i pedagoga Piramowicza,—należeli magnaci: generał ziem podolskich, Stanisław Poniatowski, Michał Mniszech i August Moszyński. Komunikowali się z uczonymi obcymi, jak z naturalistą berlińskim Achard'em; odczytywali na posiedzeniach rozprawy z fizyki i astronomii; zamierzali założyć organ dla publikowania dociekań [5].

Liczba dzieł przyrodniczych wzrasta z każdym rokiem, chętnych bowiem znachodziły wydawców i czytelników. Ks. Krzysztof Kluk (1739 † 1796) wydał pomiędzy r. 1777 i 1788 dwanaście tomów z dziedziny botaniki, zoologii i mineralogii. Ks. Osiński oprócz rozpraw

---

[1] Gazeta warszawska z 1 października r. 1777 i z 7 listopada 1782. — [2] Korespondent krajowy i zagraniczny z 10 grudnia r. 1793 — [3] Liske. Cudzoziemcy w Polsce, str. 207—211, passim. — [4] Flora lithuanica inchoata Grodno i Wilno, 1781, 1782. — [5] Smoleński. Towarzystwa naukowe i literackie w Polsce wieku XVIII. Warszawa, 1887, str. 40, 41.

pomniejszych Fizykę doświadczeniami stwierdzoną (1777). Ks. Lisikiewicz w latach 1779, 1781 fizykę dwutomową. Pijarzy warszawscy wpadli na pomysł popularyzowania fizyki doświadczalnéj za pomocą systematycznych wykładów publicznych. Podjął się tego zadania autor podręcznika, ks. Osiński i w latach 1779—1782 miewał dla publiczności lekcye po polsku „sposobem cudzoziemskim" w sali teatralnéj kolegium *nobilium* przez maj, czerwiec i lipiec, początkowo trzy, późniéj dwa razy tygodniowo, w godzinach poobiednich. Trzymał się układu dzieła swego i w jednym sezonie przebiegał kurs cały [1]).

Upodobania przyrodnicze otwiérają cudzoziemcom pole do zbytu narzędzi fizycznych, okazów z dziedziny mineralogii, fauny i flory. W r. 1766 handlował w Warszawie zbiorami do historyi naturalnéj, łącznie z naczyniami korynckiemi i obrazami, niejaki Fournier [2]). Przybyły w r. 1775 z Włoch Gasseur sprzedawał machiny matematyczne i fizyczne, z których elektryczna „takiéj była dzielności, że proch zapalała" [3]). Józef Antoni Machio zimą r. 1783 dawał „reprezentacye optyczne wcale nowéj inwencyi." W r. 1784 „czynił wiadomo, że daleko jeszcze piękniejszą optykę do skutku przyprowadził, z którą wieczornym czasem po ulicach chodząc i na piszczałce znak dając, onęż pokazywać będzie." Fabrykował téż narzędzia fizyczne ze szkła; w kamienicy na Krakowskiém-Przedmieściu pod nr. 381, naprzeciw poczty, naprawiał i sprzedawał „barometry, termometry, machiny elektryczne do wielkich eksperymentów, kamery optyczne i ciemne latarnie magiczne, mikroskopia słoneczne i inne, teleskopia, perspektywy, machiny pneumatyczne, instrumenta do doświadczenia natury wody i wszystkich likworów"; na żądanie przesyłał je do najodleglejszych okolic [4]). Współcześnie paryżanin, pan Galliwert, „uczeń sławnego Comus'a, zapraszał do mieszkania swego przy kościele św. Benona tych, którzyby życzyli sobie widzieć jego „nowe i wielkiego podziwienia godne sztuki fizyczne i inne" [5]). W Wilnie Włoch osiadły robił barometry, zastosowane do warunków klimatycznych miejscowych [6]). W r. 1785 niejaki Hoyer zapowiadał okazanie wynalezionego wrzekomo we Francyi i Anglii sposobu kierowania balonem, lecz żądał na to składki publicznéj, którаby mu doręczoną była po

[1]) Gazeta warszawska z 1 maja r. 1779, 6 marca r. 1780, 28 kwietnia r. 1781 i 27 kwietnia r. 1782 — [2]) Wiadomości warszawskie z 12 marca r. 1766 — [3]) Gaz. warsz. z 6 września r. 1775 — [4]) Taż z 30 października 1784 i 18 lutego r. 1786 — [5]) Taż z 28 lutego 1784 i 6 kwietnia r. 1785 — [6]) Kalendarz wileński na rok przestępny 1788-my.

spełnieniu obietnicy [1]). Szarlatanizm wyższego rzędu do sfer inteligentnych dostęp miał trudny. Niektórzy z możnych, jak stolnik w. kor. August Moszyński z Sołłohubem i francuzem awanturniczym Janem Łukaszem de Toux de Salverte prowadził w latach 1769, 1770 w pałacu ujazdowskim pracownię alchemiczną, którą jednak po bezskutecznych eksperymentach i wznieceniu pożaru zamknął; oddawał się sztuce téj hetman polny Seweryn Rzewuski [2]), bez wpływu jednak na szersze koła społeczne. Osiadły od r. 1770 na Podolu kabalista Tadeusz Leszczyc Grabianka prozelitów nie znalazł [3]). Cagliostro podczas pobytu w Warszawie w maju i czerwcu r. 1780 zyskał opinię oszusta [4]). Mesmerysm nie pociągał nikogo [5]).

„Gdyby wiek nasz — pisał Świtkowski [6]) — był od przyszłego zapytany: cóżeś ty nowego wydał? coś widział nowego? — mógłby śmiało odpowiedzieć: upewniłem ostatecznie, jaka jest postać prawdziwa ziemi. Nauczyłem wbrew stawać przeciw piorunom i wyznaczać im, gdzie mają bić, gdzie nie; ściągałem je nawet, niby wino szampańskie, w butelki. Wynalazłem zwierzęta, które dziwniejsze są, niż owa, choć bajeczna, lerneńska hydra, t. j. rodzaj polipów; poznałem inne, które (czego nawet nie mógł dokazać Jupiter) słabsze od siebie, choć pod wodą, zabijają niewidzialnymi piorunami (*gimnotus electricus*). Przez Lineusza ułożyłem pierwszy porządny inwentarz całéj natury. Widziałem powracającego kometę, gdy wyszedł urlop, który mu był dał mój Halley, a w 89 roku obaczę go drugi raz. Zamiast jednego powietrza, które moi przodkowie znali, liczę ich teraz trzynaście rodzajów. Odmieniłem powietrze w ciało tęgie, a ciała tęgie w powietrze. Żywe srebro zbiłem do kupy młotem. Straszne ciężary podniosłem do góry ogniem. Strzelałem wodą, jak prochem. Zwiodłem rośliny, iż rodziły dzieci mimo małżeńskiego łoża. Zapalo-

---

[1]) Gazeta warszawska z 30 listopada r. 1785 — [2]) Raczyński. Gabinet medalów, t. IV. Baliński. Pamiętniki o Janie Śniadeckim, I, str. 42. Materyały rękopiśmienne po Skimborowiczu. — [3]) Dr. Antoni J. Tadeusz Leszczyc Grabianka (Opowiadania historyczne, serya VI). Autor „Wypisu listu pewnego z zagranicy do swego przyjaciela“ (1771) dziwi się, że Polacy, zaniedbując astrologię, wprowadzają kabałę. „I owszem, już śmieją mawiać, że kto téj sztuki nie zna i nie umié, choćby i w innych rzeczach był mądry, bez téj jednak umiejętności jakby nic nie umiał...“ — [4]) Pamiętnik historyczno-polityczny z r. 1786, str. 66 i 560, art. „Graf Cagliostro.“ — [5]) Pam. hist.-polit. z r. 1784, str. 1078—1102 art. „Mesmer i jego magnetyzm.“ „Polak patryota“ (Warszawa, 1785, t. I, str. 121—125) podał artykuł o mesmeryzmie, który zakończył sentencyą z Woltera: „nie wierzę nawet oczywistym świadkom, kiedy mi powiadają rzeczy, sprzeciwiające się zdrowemu rozumowi.“ — [6]) Pam. hist.-polit. z r. 1784, str. 1153, art. „Zaszczyty XVIII wieku.“

nym lontem roztopiłem stal tak łatwo, jak masło. Szkło pod wodą uczyniłem płynném. Złoto zepchnąłem z tronu, który przez wszystkie wieki, jako najcięższe, między metalami posiadało, a na jego miejsce osadziłem na nim platynę. Dałem jedną nową dalekonośną perspektywę, czyli przedni teleskop, który nawet sam Newton miał za niepodobny. Przewróciłem bieguny, czyli pola naturalnego magnesu w jednéj sekundzie. Wyprowadziłem z jaj kurczęta bez kury i jéj ciepła... Małoż na tém? Prócz tego, mam ja na zaszczyt mój jeden nowy i niezmierny kraj: tam piątą część świata, tu zaś nowego planetę i dowód przekonywający, że nasze słońce jest satelitą. Nakoniec w 83 roku moim zrobiłem okręt powietrzny, którego pożytki będą niezliczone... Wiele wspomnionych tu wynalazków, chociaż one się już teraz zdają być wielkimi, jednakowoż są to jeszcze dzieci, które wychowania potrzebują. Czego się nie można po niektórych z nich spodziéwać, gdy owa siła, która przedtém słabo drukarską pracę pociągała, teraz już nawet sam ogromny Watykan od fundamentów wznosi i nim trzęsie; gdy jedna natarta igiełka oddzielone części świata do kupy spaja, a saletra i siarka, na któréj sobie z początku tylko palce parzono, teraz mogłaby zjednoczone części świata rozerwać, gdyby chciano. O! gdyby kto dał klucz do owego niedostępnego skarbca, w którym tysiące podobnych rzeczy kryją się jeszcze... Kto może powiedzieć, czy my znowu życia naszego do kilku wieków nie będziemy mogli rozciągnąć; czy wielorybom nie damy nakoniec uzdy i liców, i nie będziemy poszóstno nimi jeździć od jednego bieguna świata do drugiego po wodzie i w wodzie?...“

Władysław Smoleński.





SEJM GALICYJSKI

R. 1890.

I.

Rzadko kiedy się zdarza, by jakieś oczekiwane zdarzenie w polityce bieżącej, z którém wielkie nadzieje łączono, nie rozwiało tych nadziei, i nie zawiodło oczekiwania. Jestto wyjątkiem równie rzadkim, jak szczęśliwym, a zarazem najkorzystniejszą oceną, jaką można o takiém wydarzeniu wydać, dla ciała parlamentarnego zaś, największą pochwałą. Wszystko to stosuje się do minionéj sesyi galicyjskiego sejmu krajowego. Dawno nie odczuwano równie gorąco potrzeby sesyi sejmowéj, bo dawno nie nagromadziło się tyle zagadnień pierwszorzędnego znaczenia, które tylko sejm może rozstrzygnąć, a które nie cierpiały dalszéj odwłoki; dawno więc nie przywiązywano do sejmu tyle, co w bieżącym roku wagi, bo wiedziano, że od pomyślnego lub niepomyślnego tych zagadnień rozwiązania zależy stan kraju na bardzo długi szereg lat. I nie zawiedziono się; bo nietylko, że sejm podjął rozwiązanie spraw pierwszorzędnych, że rozstrzygnął je zasadniczo i bez dalszego odwlekania, ale nadto rozstrzygnął je dobrze. Mówiąc to zaś, mamy na myśli przedewszystkiém uchwały sejmu, dotyczące skarbowości krajowéj i planu gospodarstwa finansowego, jaki sobie sejm wytknął. Być może, że nie ze wszystkich stron spotka się sejm z tego powodu z równie korzystną oceną swéj działalności; program finansowy sejmu bowiem jest stanowczą klęską zwolenników konwersyi długów nietylko krajowych, ale i indemnizacyjnych, którą chciano przeprowadzić dla uzyskania funduszów na śmielsze gospodarstwo inwestycyjne (nakłado-

we), na robienie w szybszém tempie znacznych wydatków produkcyjnych, mających podnieść zamożność kraju, a przez to i siłę podatkową jego mieszkańców i dochody skarbu krajowego; ta klęska była jednak nieuniknioną z powodu, że nieubłagana logika cyfr wykazała, iż konwersya, przeprowadzona w warunkach, w jakichby jedynie dziś w Galicyi przeprowadzoną być mogła, nietylko reprezentuje dla kraju stratę na kapitale, ale nadto nie da wobec stale i szybko wzrastającego rocznego budżetu wydatków krajowych, albo wcale żadnych środków na ową szumnie proklamowaną „politykę czynu", albo przynajmniéj da je w tak małéj ilości, że się niemi nikt nie pożywi. Czy jednak „konwertyści" nabrali już dziś sami tego przekonania, to się okaże w przyszłości.

O sprawie konwersyi i gospodarki inwestycyjnéj nie zamierzamy tu mówić, nie mogliśmy jéj jednak zupełném pominąć milczeniem, gdyż ona nadawała ton całéj dyskusyi budżetowéj i stanowiła tło, na którém już od wiosny r. b. ściérały się sądy o zadaniach przyszłego sejmu. Jedni znajdowali, że tylko przez konwersyę zdoła sejm rozwiązać problemat uzdrowienia finansów krajowych — i coraz nowe stawiali projekta konwersyjne—inni przeciwnie widzieli w konwersyi pogrążenie finansów krajowych w chroniczną nieuleczalną chorobę. Stosownie do tego, konwertyści wychodzili przy każdéj konkretnéj sprawie melioracyi krajowych, funduszu przemysłowego i t. d. z zapatrywania, że skarb krajowy winien okazać się w tym roku hojniejszym niż dotąd, bo przecież spłyną z konwersyi pieniądze,—większość sejmu przeciwnie, oceniała potrzebę każdego z osobna wydatku jedynie według rzeczywistéj jego pożyteczności, uważanéj bez łączenia go ze sprawą konwersyi. Nie możnaby więc ani ocenić ogólnéj działalności tegorocznego sejmu, ani zrozumiéć wielu szczegółów, gdyby się nie pamiętało, że nad sytuacyą sejmową panowała ciągle konwersya. Zresztą wdrożyła się ona dostatecznie w pamięć obecnych członków téj izby, bo stała się powodem wystąpień i zarzutów, jakich dotąd w izbie sejmowéj nie słyszano, i jakich izba sejmowa nigdy słyszéć nie powinna.

Ale ten sejm zaznaczył się nietylko tém, czego się po nim spodziéwano, lecz oraz i tém, czego po nim oczekiwano najmniéj. Odkąd mamy konstytucyę, nigdy jeszcze kwestya rusińska nie stanęła równie jasno i w téj formie, co w r. b. przed sejmem, krajem, państwem, a nawet wobec zagranicy. Stało się to zaś bez żadnego widocznego specyalnego powodu — niejako mimochodem, w toku dyskusyi budżetowéj; ukrytych powodów, jeżeli jakie były, domyślać się nie chcemy. I o téj sprawie mówić tu nie będziemy, bo ona może być

słusznie ocenioną dopiéro kiedyś w przyszłości, gdy się na zdarzenia dzisiejsze patrzéć będziemy mogli retrospektywnie — i gdy zdania dziś wypowiedziane, hasła rzucone i zapewnienia poczynione zamienią się w czyn i wydadzą owoce.

Wreszcie stanęła przed sejmem dość niespodzianie kwestya reformy najwyższego autonomicznego zarządu kraju. Marszałek krajowy, hrabia Jan Tarnowski, zrezygnował w sierpniu 1890 roku z téj najwyższéj godności, a sposób w jaki to uczynił, mógł wzbudzić mniemanie, iż powodem rezygnacyi jest znaczne zniechęcenie, wywołane uczuciem słabéj władzy marszałka w wydziale krajowym, pomimo, iż kraj czyni go za pomyślny rozwój rządów autonomicznych moralnie odpowiedzialnym. Stąd powstało dalsze mniemanie, że źle musi być w wydziale krajowym, skoro marszałek nie chce dłużéj solidaryzować się z jego działalnością. Stosunek marszałka, mianowanego przez cesarza, do wydziału krajowego, obieranego przez sejm, jest określony statutem krajowym w ten sposób, że marszałek ma tyle władzy, ile jéj sam sobie weźmie. Wszystko zależy więc od indywidualności marszałka. Mieliśmy marszałków takich, jak ks. Leona Sapiehę i Mikołaja Zyblikiewicza, którzy władzę wziąć umieli, a więc ją mieli—mieliśmy i takich, którzy uważali swoje marszałkowstwo tylko za fazę przejściową swego życia, któréj się poddawali jedynie z konieczności na czas krótki, a więc władzy nie brali, choćby byli i umieli. Temperament hr. Tarnowskiego, jego skłonności i usposobienie, nie były tego rodzaju, by władzę zdobywał — a trudności widział on nieraz tam, gdzie ich nie było; poświęcał zaś całą swą osobę i gorliwość wydziałowi krajowemu i pracy w biurze, która mu była ciężarem — nic więc dziwnego, że musiał się uczuć bardzo znużonym. Z tém wszystkiém powody jego ustąpienia były podobno ściśle prywatnéj natury — a sejm, gdy przystąpił w r. b. do rewizyi instrukcyi, która określa szczegółowo w granicach statutu krajowego tok urzędowania w wydziale krajowym, przekonał się, że właściwie nie ma tak dalece co zmieniać, bo wszystko to, co w drodze zmiany przepisu ustanowić można, a co jest korzystném, mogło było wejść w życie równie dobrze i w drodze faktycznéj, gdyby wszyscy marszałkowie brać władzę chcieli i umieli, a wszyscy członkowie wydziału poczuwali się zawsze do wszystkich swoich obowiązków, i mieli tę delikatność poczucia, aby zrozumiéć, że dla ludzi na ich stanowisku wyrażenie życzenia ze strony sejmu lub marszałka — oczywiście w granicach legalnych, możliwych i właściwych— powinno starczyć za rozkaz. Powinni też oni pamiętać, że zdarzają się czasem na świecie ludzie tak delikatni, iż woli swéj inaczéj, jak w formie

skromnego życzenia, wyrażać nie umieją, a widząc, że życzenie nie bywa uwzględnione, ze zdziwieniem się cofają i milczą (co jest błędem ze strony ludzi na naczelnych i odpowiedzialnych stanowiskach) zamiast tę wolę objawić z całym naciskiem. Takim był hr. Jan Tarnowski; a że przytém kraj cenił szlachetne zaparcie się siebie, z jakiém się on poddawał brzemieniu marszałkowstwa; że cenił jego wysokie osobiste przymioty, i że otaczał go sympatyą i pozwolił mu nawet cieszyć się popularnością w dobrém jéj znaczeniu, wzrastającą zwłaszcza od udziału, jaki b. marszałek wziął w całéj sprawie sprowadzenia zwłok Mickiewicza na Wawel — przeto nic dziwnego, że dość nagłe ustąpienie takiéj osobistości, musiało wywołać chęć doszukania się przyczyn tego kroku, i gotowość do usunięcia ich, jeżeli one tkwią w tém, na co sejm poradzić może, t. j. w organizacyi, toku urzędowania, lub nawet osobach członków wydziału krajowego. Gotowość ta była podwójnie chwalebna, bo najpierw każde ustąpienie osobistości o szlachetnych właściwościach charakteru, a przypuszczamy, że zawsze tylko takich marszałków mieć będziemy — jest publiczną stratą — a powtóre, sam fakt ciągłych zmian w naczelném kierownictwie kraju jest dla rozwoju i powodzenia samorządu nader zgubny. Wszelka ciągłość działania, możność przeprowadzenia w administracyi autonomicznéj programu obejmującego dłuższy przeciąg lat, a jedynie konsekwentną i do tego celu zwróconą pracą szeregu lat dającego się urzeczywistnić, słowem, wszelkie przeprowadzenie pewnych kierujących idei w czyn, możebne jest tylko wtedy, gdy na czele samorządu stanie mąż, który nie uważa się li za niedobrowolnego kierownika obrad sejmowych i wydziałowych na lat sześć lub nawet mniéj, lecz który zajmuje miejsce pierwszego obywatela kraju z tém dążeniem i tą myślą, aby to, co on dla rozwoju i dobra kraju pod każdym względem za potrzebne uważa, doczekało się już stanowczego urzeczywistnienia w chwili, gdy on opuszczać będzie monumentalny gmach przy ulicy Marszałkowskiéj, a w galeryi marszałków krajowych zawieszać będą jego portret. Marzeniem naszém byłoby, aby każdy poseł, obejmujący laskę marszałkowską, uczynił to z tém przeświadczeniem, iż nastąpił stanowczy, ostatni zwrot w jego życiu, moment decydujący, po którym już nie ma odwrotu, i żeby się uważał za marszałka dożywotniego, którego tylko nieprzewidziane i nie wchodzące w praktyczną rachubę okoliczności mogą odwołać z jego stanowiska. Przekonani jesteśmy, że w ten sposób zapatrują się i słusznie, wszyscy naczelnicy cesarskiego rządu w kraju, wszyscy namiestnicy, na swoje stanowisko. Tylko wtedy, gdy marszałek uważać będzie swą godność za cel swego życia—a nie za funkcyę czasowo okre-

ślonę—może on podołać swemu zadaniu, i może spełnić to, czego kraj ma prawo po nim się spodziewać; tylko wtedy może on rozwinąć prawdziwą inicyatywę i program, bo tylko wtenczas program stawiać warto i tylko wtenczas jest szansa, że program nie zostanie nasionkiem, które wprawdzie marszałek zasadzi, ale dalszą pieczę nad kiełkującą roślinką powierzy wkrótce innym rękom, które albo ją zaniedbają, albo wyrwą z korzeniem, chcąc zasadzić roślinkę inną, lub też i żadną, gdyby się chcieli uważać tylko za dojeżdżających marszałków. Pierwszorzędne interesa kraju wymagają więc, aby marszałek, równie z namiestnikiem, któremu jest równy w obec monarchy i rządu, a którego otacza nadto urok, jedynie temu stanowisku właściwy, uważał się za powołanego raz na zawsze do steru rządów autonomicznych, oraz, podobnie jak namiestnik, nigdy bez koniecznéj potrzeby rządów tych nawet czasowo ze swych rąk nie wypuszczał. Nadto zważyć należy, że w kraju, który skutkiem szczęśliwego doboru osobistości ma rząd cesarski sprężysty, energiczny i wszechstronnie czynny, rząd autonomiczny, oparty jedynie na dobréj woli jednostek, gorliwości, ofiarności i poczuciu obywatelskiém szerokich kół ludności, musi być o ile możności najstaranniejszym i najzapobiegliwszym, aby zastąpić tą zapobiegliwością brak wszystkich środków przymusowych i wykonawczych, którymi rozporządza rząd państwowy, i utrzymać się na swém stanowisku.

Sejm gotów więc był uczynić wszystko, co w jego mocy, aby uchylić na przyszłość niebezpieczeństwo usuwania się znów marszałków co lat kilka;—wybór zaś, jaki uczynił monarcha co do osoby następcy hr. Tarnowskiego, zdaje się usunął to niebezpieczeństwo istotnie ku wielkiéj radości kraju. Sposób w jaki książę Eustachy Sanguszko pojął swoje stanowisko, określając je w mowie zagajającéj sejm,—sposób daléj, w jaki podjął działalność w wydziale krajowym i przewodniczył w sejmie, następnie osobiste stosunki księcia—bezżenny i mający administracyę dóbr wyłącznie w Galicyi położonych bardzo ułatwioną; wreszcie ogólne najwyższe poważanie, zaufanie i uznanie, jakie sobie zdobył; wszystko to razem wskazuje, że książę Sanguszko nie uważa się za marszałka na pięć lat; zaś sejm, uchwalając ile tylko można na korzyść władzy marszałkowskiéj zmianę instrukcyi, i stosując się do życzenia marszałka w wyborze dwóch członków wydziału krajowego, na dwa miejsca, które w bieżącéj sesyi zawakowały, dał dowód, że pragnie ks. marszałkowi trudne jego zadanie jak najwięcéj ułatwić, oraz zadokumentował wymownie, że pragnie go widzieć stale i ciągle na czele kraju we Lwowie przy pracy w wydziale

krajowym. Może więc zbliżamy się do naszego marzenia o dożywotnim marszałku.

Pisać o osobie księcia trudno, bo nie ma co krytykować, więc możnaby się narazić na zarzut panegiryzmu — wprawdzie nigdy jeszcze podobny zarzut nas nie spotkał—trafiały się za to często wprost przeciwne, ale zawsze lepiéj unikać starannie nawet najdalszéj ku temu sposobności. Zresztą, pisać nie potrzeba, bo dzisiejszy marszałek bardzo jest znany, a nominacyę jego przyjęto z żywą sympatyą w całym kraju. Sejm również znał księcia od lat 18-tu, od których w nim zasiada, a znał go i cały kraj tak z działalności obywatelskiéj na różnych polach, jak i osobistéj z nim styczności, gdyż ks. Sanguszko był zawsze najłatwiejszym i najprzystępniejszym w stosunkach osobistych; nigdy żaden mur go nie odgradzał i nigdy żadna koterya nie liczyła go do swoich, bo nigdy względy wyższéj dyplomacyi nie przeważały w jego postępowaniu nad poczuciem prawdy i słuszności. Sejm wiedział więc kogo dostaje za przewodnika; nie wiedział tylko, czy marszałek w przewodniczeniu izbie okaże się odpowiednio samoistnym, stanowczym i szybko się oryentującym. Otóż, pod tym względem nowy marszałek rósł z dnia na dzień — był ciągle *au courant* dyskusyi, prowadził rozprawy energicznie, oryentował się od razu, nie potrzebował suflerów i nie słuchał ich; a nadewszystko postawił sobie za zadanie, aby na pierwszéj sesyi pod jego laską, żadna donioślejsza reforma, przygotowana już przez komisyę, nie spadła z porządku dziennego dla braku czasu—i przeprowadził to szczęśliwie; a dla przeprowadzenia potrzeba było rozwinąć wielką stanowczość. To téż stało się to, o czém przy końcu sejmu absolutnie już wątpiono; w ostatnich dziesięciu dniach uchwalił sejm budżet pomimo wielkiéj dyskusyi konwersyjnéj, która trąciła już chwilami irlandzkim obstrukcyonizmem; miał czas na obszerne debaty na temat ruski w kwestyi rusińskiéj, uchwalił cztery wielkie kodyfikacye—z tych dwie dość niepopularne—i nadto jeszcze cały szereg ważnych spraw ekonomicznych, kolejowych, szkolnych i t. d. Prawda, że to jest i zasługą izby, ale najpierw izba sama, przy obojętności ze strony marszałka, nie byłaby się na tę energię zdobyła, a następnie, każdy z posłów z osobna może po męczącéj dyskusyi lub sesyi odpocząć daleko łatwiéj i dłużéj, aniżeli przewodniczący; wielu z nich przekraczało pod tym względem dozwoloną miarę; cały ciężar więc obradowania po 10 godzin dziennie — jak to miało miejsce przy końcu sejmu, — spada przeważnie na marszałka, który musi ciągle być obecnym, wszystko wiedzieć, kierować obradami i odczytywać wnioski poddawane pod głosowanie. Marszałek zaś był niezmęczony — i dobił szczęśliwie do portu. To też zupełnie był

w swojém prawie i trafiał w myśl całego sejmu, gdy na zakończenie rzekł: „Nie wiem, gdzie znajdują się ciała parlamentarne w tém położeniu przymusowém, w którém znajdują się sejmy Przedlitawii, skończenia swéj pracy w pewnym określonym czasie, jakakolwiek ona jest. Wyradza się stąd nieraz położenie rzeczywiście uciążliwe pod względem wytężenia pracy. Kraj nasz jest największą prowincyą; pole do działania najszersze; nie dziw więc, że i materyał w téj wysokiéj izbie najobfitszy; a w takiém położeniu praca dochodzi do granic wytężenia sił fizycznych i intelektualnych.“ Nie poskąpił jednak marszałek izbie należnego jéj uznania: „Dzięki nużącéj rzeczywiście pracy, jakiéj panowie poddać się raczyli, został materyał do obrad, bardzo znaczny, prawie zupełnie wyczerpany. Na pracę swą możecie panowie spoglądać z zadowoleniem .... możecie wracać do ognisk domowych z świadomością spełnionego obowiązku w obec kraju, z otuchą lepszéj przyszłości.“

Nominacya ks. Sanguszki nie była wcale dla kraju niespodzianką, gdyż od chwili gdy spostrzeżono, że hr. Tarnowski na seryo nosi się z myślą ustąpienia, opinia publiczna wskazywała jednogłośnie, bez różnicy odcieni politycznych, księcia jako jego następcę. Uznawano zgodnie, że jeżeli osobistość marszałka ma być zastosowaną do jego godności, to tylko ks. Sanguszko, nie kto inny, może dziś zostać marszałkiem; bo nikt inny nie łączy w sobie trzech niezbędnych warunków politycznych: zaufania korony — braku uprzedzenia ze strony wszystkich partyi politycznych — zaufania szerokich kół kraju i miru u większości sejmowéj. Ta *vox populi* okazała się w tym wypadku tak trafną, jak rzadko kiedy, bo i organ lewicy sejmowéj, „Nowa Reforma“, wystąpił po sejmie z artykułem dotyczącym marszałka, a napisanym tak, że mógłby znaleść miejsce w każdym dzienniku kół, do marszałka politycznie bardzo zbliżonych. Wkrótce po nominacyi objął marszałek urzędowanie w wydziale krajowym, i tam oświadczył zebranym urzędnikom krajowym, w obec instalującego go namiestnika, że powinni dążyć do tego, co już dziś w części osiągnięto, aby wydział krajowy i jego administracya nietylko dobrą była, lecz za wzór służyła. Wystąpił odrazu jako zdeklarowany autonomista, a takiego nam potrzeba; kto zaś zna jego osobę, wié, że to nie jest tylko teoretyczne zapewnienie, ale pewna poręka, oparta na charakterze, i że dla bagateli nie byłby się dał ks. Sanguszko oderwać od domu i roli. Dlatego téż, jeżeli w dalszym przebiegu swéj mowy wspomniał ks. marszałek, że dla spełnienia swego zadania potrzebuje wpływu moralnego, opartego na zaufaniu; że sądzi, po sposobie przyjęcia przez kraj jego nominacyi, że na ten ważny czynnik poniekąd

rachować może; że nie wie, czy mu się uda go utrzymać nadal, bo sądy o rzeczach mogą być różne, a on dla zachowania wpływu ani chce, ani potrafi robić ofiary ze swoich przekonań; zaś gdyby spostrzegł, że ten wpływ u ludzi myślących w kraju znika, to prosiłby swego najdostojniejszego mocodawcę o zwolnienie z obowiązków marszałka—to możemy śmiało powiedzieć, nie narażając się na zaprzeczenie z jakiéjkolwiek strony, że marszałek na ten wpływ moralny, oparty na zaufaniu, w rozległéj mierze rachować może, bo zaufanie posiada, a obawa spostrzeżenia zaniku tego wpływu jest dotychczasowém postępowaniem marszałka stanowczo wykluczoną.

Rozpisaliśmy się tak obszernie o przejściu laski marszałkowskiéj w nowe ręce, gdyż widzimy w niém początek nowéj pomyślnéj ery dla samorządu krajowego. Oby trwała jak najdłużéj.

II.

Sprawa rewizyi instrukcyi dla wydziału krajowego wprowadzona została do sejmu wnioskami posłów Wład. Koziebrodzkiego i Madeyskiego; pierwszy z nich był ogólnikowéj treści, drugi natomiast podawał już skodyfikowany projekt. O projektach prywatnych, które się pojawiały przed sejmem, a sięgały znacznie daléj, bo do reformy statutu krajowego, a nawet oddzielenia godności przewodniczącego w wydziale krajowym od marszałka sejmu, mówić tu nie będziemy.

Według dzisiejszego stanu rzeczy, opartego na statucie krajowym, wydział krajowy jest zarządzającym i wykonawczym organem sejmu, i składa się z sześciu członków wybranych przez sejm ze swego grona, pod przewodnictwem marszałka krajowego. Już sama stylizacya tego postanowienia statutu wskazuje, iż punkt ciężkości administracyi autonomicznéj spoczywa nie w ręku marszałka, lecz w ręku grona wybranego przez sejm, które też jest przed sejmem odpowiedzialne, a wszystkie sprawy ważniejsze załatwia kolegialne. Marszałek jest jednak głową tego ciała, i urzęduje tak samo stale i ciągle, jak i członkowie wydziału. Z tego wynika, że przez wydział krajowy jako całość, rozumiemy wszystkich siedmiu razem, t. j. marszałka jako głowę tego ciała, sześciu wybranych zaś posłów, jako jego członków. Rozumie się samo przez się, że każda sprawa, przechodząca przez wydział krajowy, uważa się dopiéro wtedy za rozstrzygniętą, gdy ją zaaprobuje marszałek: jeśli to jest sprawa bieżąca, wystarczy załatwienie jéj w biurze tego członka wydziału, który jest szefem dotyczącego departamentu, i aprobata marszałka—jeśli to sprawa uchwalona na sesyi wydziału, wtedy rozstrzygnięcie stanowcze następuje z chwilą, w któréj marszałek nie uważa za potrzebne uchwałę wydziału

wstrzymać, jako sprzeciwiającą się publicznemu dobru lub istniejącym ustawom, i poddać ją cesarskiemu rozstrzygnieniu (§ 42 stat. kraj.). Rozumie się dalej samo przez się, że na zewnątrz nie może wyjść z wydziału żaden akt, nieaprobowany przez marszałka i przezeń nie podpisany, gdyż nie miałby on inaczej prawnego znaczenia. Z drugiej strony jest rzeczą oczywistą, że skoro administracyę autonomiczną sprawuje właściwie sejm przez wydział krajowy, będący sejmu wyręczycielem, to niepodobna, aby mogły z wydziału krajowego wychodzić na zewnątrz zarządzenia, lub rozstrzygnienia wydane tylko przez marszałka, a do których nie przyłożyłby ręki żaden z członków wydziału krajowego, gdyż taki stan rzeczy równałby się wyjęciu egzekutywy z rąk odpowiedzialnych przed sejmem, bo przez sejm obieranych członków wydziału, a przeniesieniu jej w ręce nieodpowiedzialnego, mianowanego marszałka. Innemi słowy, sejm, który ma sam sprawować zarząd autonomiczny przez swych pełnomocników, członków wydziału, ujrzałby się w tém położeniu, że niektóre rzeczy byłyby w jego imieniu załatwiane bez oparcia się o tych pełnomocników, którzy mają za nie brać w obec sejmu odpowiedzialność. Do tego zaś otwierał drogę jeden punkt wniosku posła Madeyskiego. Dziś podzielone są biura wydziału krajowego na sześć departamentów, gdyż sześciu jest członków wydziału. Każda sprawa należy i każdy urzędnik jest przydzielony do pewnego departamentu; tylko to zaś z departamentu wychodzi i wyjść może, na co się zgodził jego szef, członek wydziału; lub na co się zgodzono na sesyi, a więc za co albo jeden członek wydziału, albo ich kilku przyjęło odpowiedzialność. P. Madeyski zaś proponował, aby mogli być urzędnicy nie należący do żadnego departamentu; aby z drugiej strony mogli być członkowie wydziału bez departamentu, i aby bieżące sprawy, wychodzące od takich urzędników nigdzie nie przynależnych, mógł marszałek sam aprobować, a więc by wychodzić mogły z wydziału załatwienia, za któreby nikt w obec sejmu nie brał odpowiedzialności, boby się nie opierały o żadnego członka wydziału.

Ta propozycya spotkała się jednak ze stanowczym oporem sejmu i wydziału krajowego, skutkiem czego cofnął ją wnioskodawca. Również natrafił na stanowczy opór pomysł stworzenia członków wydziału bez departamentów. Prowadziłby on konsekwentnie do rozbicia wydziału krajowego na ciało dojeżdżające i obradujące jedynie od czasu do czasu, a pozostawiające całą bieżącą administracyę marszałkowi krajowemu z urzędnikami. Ciągłość działania wydziału jako całości zostałaby zatraconą. Dziś wprawdzie statut krajowy, wymagający od członków wydziału stałego we Lwowie zamieszkania, przeszkadza takiej reorganizacyi, a raczej dezorganizacyi wydziału,

ale po wprowadzeniu *via facti* członków wydziału bez departamentów, musianoby pójść konsekwentnie i do zmiany statutu. Wtedy zaś pojawiłaby się mnogość niepożądanych kandydatów na członków wydziału; ubiegaliby się o te miejsca, czy to ze względów polityki partyjnéj, czy ambicyi osobistéj, różni posłowie, którym dziś konieczność stałego zamieszkania we Lwowie kandydować do wydziału krajowego nie pozwala. Wniosek więc p. M. ułatwiał przekształcenie wydziału krajowego w ciało mało wprawdzie administrujące, ale zawsze dobiérane do barwy politycznéj dotyczącéj kuryi wyborczéj. Gdyby wydział był ciałem czysto politycznéin, a nie administracyjném, możnaby uznać słuszność dążenia do takiéj harmonii, — ponieważ jednak my mamy w ogóle zbyt wiele skłonności do bagatelizowania sobie względów ściśle rzeczowych, a wysuwania na pierwszy plan daleko mniéj znaczących względów rzeczywiście lub niby politycznych, przeto powinniśmy usuwać każdą nowo nadarzającą się sposobność do stawiania względów często bardzo czczych, po nad ważniejsze względy przedmiotowe. Skonstruowanie zaś wydziału, jako ciała tylko dojeżdżającego, uważalibyśmy stanowczo za jego destrukcyę. To też i ten wniosek został przez p. Madeyskiego cofnięty.

Natomiast korzystną innowacyą jest złączenie urzędników wydziału krajowego w pewną organizacyę hierarchiczną. Dotychczas wszyscy urzędnicy wydziału, zatrudnieni w jednym departamencie, odpowiadali, bez względu na swoje stanowisko służbowe, wyłącznie tylko członkowi wydziału, a nie tak, jak jest w hierarchii urzędów rządowych, by niższy urzędnik był odpowiedzialny wobec wyższego i t. p. Obecnie marszałek ma wyznaczać w każdym departamencie, oraz w każdém biurze specyalném (które jednak do pewnego departamentu należéć musi) bezpośredniego przełożonego reszty urzędników biura. Ułatwia to szybkość biegu czynności i możność kontroli ich w departamentach, gdyż szef, członek wydziału krajowego, będzie mógł obecnie wszystko zarządzić przez jednego urzędnika, i o wszystkiém się od niego dowiedziéć, zamiast nieustannie znosić się z całym personalem swego biura.

Uchwalono również, że członkowie wydziału mają sami bronić przedłożeń wydziału, dotyczących ich departamentów, w komisyach i w izbie; oraz, że mają osobiście zwiedzać i lustrować wszystkie urzędy, zakłady i instytucye autonomiczne. Postanowiono zreformować personal wydziału krajowego przez usunięcie nadmiernéj liczby dyurnistów „konceptowych, rachunkowych i manipulacyjnych", zabierających miejsce i grosz ze szkodą stałych urzędników kwalifikowanych, a zastąpienie ich płatnymi kwalifikowanymi aplikantami.

To wszystko jednak, co uczyniono, nie wystarcza dla postawie-

nia wydziału krajowego w tych warunkach, by on zupełnie dobrze mógł odpowiedzieć wszystkim stawianym mu wymaganiom. Są dwa błędy zasadnicze, które usunąć trzeba, a które bynajmniéj nie płyną z winy wydziału krajowego. Pierwszym z nich jest, że wydział zawsze jeszcze składa się z sześciu członków i sześciu departamentów, podobnie jak w chwili swego powstania w r. 1861, gdy jego czynności skutkiem ustawodawstwa państwowego i krajowego, oraz licznych uchwał sejmu, może dziesięciokrotnie wzrosły. Jeżeli porównamy dzisiejszy zakres działania wydziału z jego zakresem przed r. 1866, kiedy nietylko nie było jeszcze krajowych dróg, szpitali, szkolnictwa ludowego, licznych zakładów kultury krajowéj, spraw przemysłowych, górniczych i t. d., ale kiedy nawet jeszcze wydział nie był odebrał od rządu administracyi funduszów krajowych i fundacyi, i kiedy jeszcze nie układał sam preliminarza budżetu krajowego — i jeżeli następnie uwzględnimy, że wkrótce musi ten wydział objąć zarząd funduszów indemnizacyjnych, to musimy przyjść do przekonania, że skoro wtedy potrzeba było już 6 członków wydziału, dziś powinno ich być koniecznie więcéj. Czechy, mniejsze od Galicyi i terytoryalnie i co do liczby ludności, mają wydział krajowy, złożony z 8 członków; a mały kraik, górna Austrya, licząca mniéj, niż 800,000 ludności, ma także sześciu członków wydziału krajowego. W Galicyi musimy więc wkrótce dojść do 8 członków, zwłaszcza, jeżeli trwać będziemy w drugim błędzie, wyżéj zaznaczonym, a którym jest brak wszelkiéj miary w żądaniach i wymaganiach wydziałowi stawianych. Dziś już każemy mu masło robić, klucznice kształcić, torf kopać, a jeżeli tak daléj pójdzie, to zechcemy, aby on nad każdém indywidualném gospodarstwem kraju rozciągnął autonomiczną kuratelę. Dziwny jakiś prąd wieje u nas; zamiast rozwinięcia działalności indywidualnéj, zamiast potęgi asocyacyi, składamy wszystko na wydział krajowy i krytykujemy potém, że wydział coś źle wykonał lub polecenia nie dopełnił.

Nic nam łatwiéj nie przychodzi, jak uchwalić: „wzywa się c. k. rząd“, albo „poleca się wydziałowi kr.“, uchwał takich wychodzi z każdego sejmu stanowczo za nadto, ale zapomina się przytém, że nieraz wydział nie jest najwłaściwszym organem do wykonania tego wezwania, i że wszystkim wezwaniom, któremi jest obsypany, nie jest w stanie zadość uczynić. Wogóle zabijamy w sobie skłonność do wysnucia czegoś z samych siebie, wytworzenia czegoś siłą własnéj działalności, i centralizujemy przytém różne agendy tam, gdzie centralizacya jest najniewłaściwsza, bo punktem ciężkości administracyi autonomicznéj, winien być powiat i gmina, nie zaś kraj. Uchwalono

właśnie na tym sejmie np. krajową komisyę dla spraw rolniczych, która uczyni zbytecznemi oba krajowe towarzystwa gospodarcze, tak tradycyjnie już z nami zrosłe, a więc znowu wyręczamy się organem władzy (co zawsze bardzo lubimy).

Ale przejdźmy do spraw ustawodawczych. Na tym sejmie uchwalona została ustawa o urządzeniu służby zdrowia w gminach i na obszarach dworskich, czyli t. zw. ustawa sanitarna. Już ustawa państwowa z d. 30 kwietnia 1870 (Nr. 68 D. p. p.) określa podstawy organizacyi publicznéj służby zdrowia, a zadaniem sejmu było określić w jéj ramach, w jaki sposób mają gminy i obszary dworskie zabezpieczyć sprawowanie policyi sanitarnéj na swych terytoryach, zważywszy, że sprawy policyi miejscowéj należą do własnego zakresu działania gminy, a wiele bardzo spraw sanitarnych uznano powyższą ustawą państwową za t. zw. sprawy poruczonego zakresu działania gminy, których wykonanie znów spoczywa na barkach zwierzchności gminnych.

Jeszcze w r. 1873/4 przedłożył rząd po raz pierwszy sejmowi projekt odnośnéj ustawy krajowéj, wtedy jednak przeszedł sejm nad nim do porządku dziennego, przedstawiając rządowi zasady, na których, jego zdaniem, miałby być osnuty nowy ewentualny projekt [1]. Ten nie pojawił się jednak prędzéj jak w roku zeszłym, ale rząd nie uwzględnił w nim żądania, wypowiedzianego przez sejm z r. 1874, by i skarb państwa przyczyniał się do utrzymania służby zdrowia w gminach, motywując swą odmowę okolicznością, że żądaniu temu brak jest prawnéj podstawy; policya zdrowia należy bowiem według ustawodawstwa gminnego do spraw własnego zakresu gminy, które jéj własnymi środkami winny być opędzane. Z tego też powodu nie przyczynia się niczém skarb państwa do utrzymania gminnéj służby sanitarnéj w krajach, w których na mocy ustawodawstwa krajowego już ją zorganizowano, t. j. w Morawii, Czechach, Karyntyi, Krainie, Istryi, Austryi dolnéj, Dalmacyi, Tyrolu, Vorarlbergu i Bukowinie, a zatém nie może i dla Galicyi robić wyjątku. Galicya jednak żądała wyjątku na téj zasadzie, iż jest krajem ciągnącym się długiém pasmem wzdłuż granicy państwa, a zatém narażonym na zawleczenie chorób epidemicznych, obowiązek tępienia epidemii zaś spoczywa na państwie i jego skarbie. Gdy tedy projektowani lekarze gminni przyczynią się niewątpliwie w wysokim stopniu do zapobieżenia chorobom epidemicznym (a to zapobieganie należy także do rzędu obowiązków

---

[1]) Patrz: Starzyński. „Ustawodawstwo sejmu galicyjskiego 1887—1889". Lwów, 1890, str. 93 i nast.

sanitarno-policyjnych, ciężących na gminach, a przez to i na projektowanych lekarzach, którzy mają przy spełnianiu go współdziałać jako stałe organy fachowe), przeto byłoby słusznem, aby i skarb państwa część kosztów utrzymania ich ponosił. Z powodu odpornego stanowiska rządu wobec tego żądania na sejmie r. 1889, tudzież z powodu innych wad projektu, wytkniętych wyraźnie w zeszłorocznem sprawozdaniu komisyjnem, odmówił i ten sejm uchwalenia projektowanej ustawy, która w r. b. powróciła do izby jako przedłożenie rządowe po raz trzeci. Co do kwestyi kosztów wytrwał rząd stanowczo na swem odmownem stanowisku; natomiast przychylił się do innych żądań zeszłorocznego sejmu, t. j. podporządkował organizacyę służby zdrowia władzom autonomicznym, i uwzględnił do pewnego stopnia zarzut zbytniéj jéj kosztowności, albowiem uchylił żądanie, by okręgi sanitarne dostarczały lokalów dla pielęgnowania chorych, i zaopatrywały je w odpowiednie przyrządy lecznicze.

Ponieważ stworzenie organizacyi sanitarnéj jest niewątpliwie rzeczą pożyteczną i zasadniczo nie można podnieść przeciw niéj żadnego innego zarzutu, jak tylko obawy zbytecznego obciążenia ubogich gmin bez odpowiedniéj, lub może żadnéj korzyści, przeto sejm, przekonawszy się, że rząd stanowczo i nieodwołalnie odmawia wszelkiego współudziału w kosztach, musiał się zastanowić, czy godzi mu się, jedynie dla kwestyi kosztów odrzucać rok po roku przedłożenie rządowe, lub téż czy koszta nie dałyby się tak zmniejszyć, i tak rozłożyć, aby przestały być dotkliwemi i aby skutkiem tego przestały stanowić nieprzepartą dla wprowadzenia ustawy zaporę. Sejm obrał tę drugą drogę; i referent komisyi sanitarnéj, prof. Tadeusz Pilat, przerobił z gruntu projekt ustawy na zasadach, które ciężar wprowadzenia organizacyi sanitarnéj rozkładają na bardzo długi szereg lat, a ponoszenie kosztów rozdzielają sprawiedliwie. Uznać należy tu dobrą wolę rządu, który, ponieważ mu bardzo zależało na przyjęciu ustawy sanitarnéj, zgodził się na to przerobienie projektu, i dla ratowania zasady, wolał przyjąć to, co mu komisya i sejm zdecydowały się ofiarować, widząc, że lepiéj osiągnąć coś aniżeli nic; uznać ją należy tém bardziéj, iż zdrowe zrozumienie interesu kraju wskazywało mu zgodzić się na wnioski komisyi; a więc godząc się na nie, stanął rząd na stanowisku obywatelsko-krajowem.

Uchwalono więc, aby gminy, mające osobny statut miejski, oraz gminy zorganizowane na podstawie ustawy z 13 marca 1889 (Nr. 24 D. u. kr.) musiały utrzymywać własnym kosztem tylu lekarzy gminnych, aby na 15,000 mieszkańców przypadał co najmniéj jeden lekarz (na mocy § 28 cyt. ust. musiała być już i dotąd ustanowiona w tych

miastach posada **j e d n e g o** lekarza); inne gminy zaś **m o g ą** ustanowić własnych lekarzy (gminnych *resp.* miejskich) własnym wyłącznie kosztem. Gminy natomiast, nie utrzymujące własnych lekarzy, będą łączone z innemi gminami i obszarami dworskiemi tego samego powiatu w okręgi sanitarne, dla których ustanawiani będą lekarze okręgowi. Lekarzy gminnych mianuje rada gminna, lekarzy okręgowych wydział powiatowy; lekarze ci mają charakter urzędników publicznych, gminnych względnie powiatowych, płaca ich nie może być niższą od 500 fl. a kwalifikacya polega pomiędzy innemi na wykazaniu się dyplomem doktora medycyny, uprawniającym do wykonywania praktyki lekarskiéj. Płaca lekarzy gminnych ciąży na funduszach gminnych, wydatki na płacę lekarzy powiatowych ponosi fundusz powiatowy, zaś koszta ich podróży ponosi fundusz krajowy. Lekarze ci, oprócz spełniania funkcyi sanitarno-policyjnych, mają także obowiązek leczenia **b e z p ł a t n e g o** chorych **u b o g i c h** i chorych dotkniętych chorobą zakaźną lub zaraźliwą; tudzież bezpłatnie szczepić ospę w miejscu swéj siedziby, przezco zmniejszą się wydatki funduszu krajowego na szczepienie ospy, preliminowane przez sejm na r. 1891, w kwocie 65,500 fl. Natomiast opłacane będą do funduszu powiatowego pewne taksy za oględziny zwłok, bydła i mięsa, dokonywane przez lekarzy powiatowych, oraz wpływać doń będą przychody z zobowiązań prawno-prywatnych na cele publicznéj służby zdrowia. Jeżeli wydatki na płace lekarzy okręgowych przewyższą, po strąceniu powyższych wpływów, 1% podatków bezpośrednich, pobieranych w powiecie, natenczas fundusz krajowy obowiązany jest udzielić powiatowi subwencyi w wysokości owéj przewyżki. Jeżeli natomiast do powiatu, opłacającego lekarzy okręgowych należą gminy, utrzymujące dobrowolnie lub przymusowo własnych lekarzy gminnych, natenczas wydział krajowy poleci zwracać corocznie tymże gminom pewną kwotę z funduszów powiatowych, a to z powodu, iż te gminy, opłacając powiatowe dodatki do podatków, przyczyniają się *pro rata parte* i do utrzymania lekarzy okręgowych; należy im się więc odpowiedni zwrot, aby nie były na cele sanitarne podwójnie opodatkowane.

Za wykonanie czynności, wchodzących w zakres gminnéj służby zdrowia, nie wolno lekarzom przyjmować żadnego wynagrodzenia od stron. O ile zaś czas im pozwoli na prywatną płatną praktykę (po za wspomnianym obowiązkiem bezpłatnego leczenia), o tyle naturalnie wolno im ją wykonywać.

Teraz rzecz najgłówniejsza. Tworzenie okręgów lekarskich odbywać się będzie stopniowo, w miarę rozporządzalnych sił lekarskich i z uwzględnieniem finansowych stosunków powiatów i kraju,

przedewszystkiém w okręgach o najniekorzystniejszych stosunkach sanitarnych. Każdorazowe utworzenie jakiegokolwiek okręgu zależy od uchwały sejmu; w ten sposób w ręku sejmu spoczywa całe stopniowe wprowadzanie ustawy w życie. Możnaby w danym razie nie wprowadzić w życie żadnego okręgu sanitarnego. To się nie stanie, bo potrzeba jest w wielu miejscach oczywista i nagła; ale prawnie jestto możliwém. Ta zaś wyłączność władzy sejmu, w połączeniu z przedstawionéni wyżéj ustosunkowaniem udziału w kosztach, chroni od nagłego przeciążenia ludności kosztami organizacyi sanitarnéj, oraz umożebnia jak najstaranniejszy od początku dobór sił lekarskich. Dziś brak jest lekarzy; zaradzić mogłoby mu jedynie tak konieczne uzupełnienie uniwersytetu lwowskiego, wydziałem medycznym, o który téż upomniał się sejm przy téj sposobności, o który upominał się już i on i rada państwa prawie rokrocznie w całym szeregu rezolucyi do rządu, a którego utworzenie zdaje się obecnie wchodzić istotnie w okres rzeczywistości. Reprezentant rządu w radzie państwa dziękował sejmowi za uchwalenie sanitarnéj ustawy, nie obiecuje sobie jednak z niéj widocznych skutków prędzéj jak za 10 lat. Rzecz oczywista, że przynajmniéj tyle czasu upłynie, zanim powyższa organizacya obejmie znaczniejszą część kraju, komisya sanitarna obliczała, że po zupełném przeprowadzeniu organizacyi lekarzy okręgowych (z pominięciem gminnych) koszta jéj wyniosą rocznie 260,000 fl.

Ustawę o policyi ogniowéj dla miast i miasteczek, która zastąpi wreszcie przestarzałe postanowienia patentu z końca zeszłego wieku (28/7 1786) możemy pominąć milczeniem; o ustawie gminnéj dla mniéjszych miast i miasteczek nie wiele mamy do powiedzenia. Obowiązująca do dziś ustawa gminna z 12 sierpnia 1866 odnosiła się do wszystkich w kraju gmin bez wyjątku (prócz Lwowa i Krakowa, mających własne statuta): organizowała zatém miasta jak: Tarnopol, Tarnów, Przemyśl, Stanisławów i t. d. na równi z najmniejszą wioską górską. Ten jéj niwelacyjny charakter okazał się w skutkach zgubnym, i powszechna opinia sejmu i kraju, bez różnicy stronnictw politycznych, domagała się osobnego ustawodawstwa organizacyjnego dla miast. Zgodzono się na rozdział gmin w kraju na trzy kategorye: dla 30 największych miast stworzono już ustawę z d. 13 marca 1889 (Nr. 24 D. u. kr.), dla innych (w liczbie 56) i dla miasteczek (w liczbie 152) uchwalono tę ustawę, o któréj mowa, a dla reszty gmin w kraju pozostawiono w mocy ustawę dawną.

Ustawa nowa nie różni się zasadniczo co do organizacyi władz gminnych, w niczém od ustawy dotychczasowéj, ani nie wciela obszarów dworskich w miasteczkach do jednolitego związku gminnego; za-

chodzą jednak pewne różnice w szczegółach. I tak, gdy minimalna ilość członków rady może według ust. z 1866 wynosić 8, to tu musi ich być najmniéj 18; natomiast wykluczeni są od zasiadania w radach bez wyboru t. zw. wiryliści, zasiadający w nich z tytułu posiadania nieruchomości tabularnéj, osobne ciało hipoteczne stanowiącéj, a wcielonéj do gminy miasteczka [1]). Co do zwierzchności gminnéj, to ta razem z radą reprezentuje gminę na zewnątrz według prawa dotychczasowego; według zaś nowéj ustawy reprezentuje ją tylko rada, zawiadująca sprawami gminy przez zwierzchność gminną. Ta ostatnia składała się dotąd z naczelnika gminy i dwóch asesorów, których liczbę jednak wolno było powiększyć bardzo znacznie; obecnie składać się będzie z naczelnika, jego zastępcy i najmniéj dwóch, a najwięcéj pięciu asesorów. Gdy dotąd zależało od woli gminy, czy i jakie wynagrodzenie pobiérać mają naczelnik i asesorowie, obecnie ustawa nakazuje wynagradzać naczelnika i jego zastępcę, a urząd asesorów jest bezpłatny. Minimum zaś tego wynagrodzenia oznaczy dla każdéj gminy z osobna sam wydział krajowy.

Gminny zakres działania jest, jak dotąd, własny i poruczony; rada gminna jest w sprawach gminnych organem uchwalającym i nadzorującym, władza wykonawcza jéj nie służy; natomiast organem wykonawczym i zarządzającym była dotąd zwierzchność gminna, t. j. naczelnik z asesorami, a więc kolegium; obecnie będzie nim sam naczelnik, który téż i obecnie, podobnie jak dawniéj, prowadzić sam będzie wszystkie sprawy zakresu poruczonego.

Niepodobna nam tu, dla braku miejsca, prowadzić dalszéj paraleli pomiędzy nową a dawną ustawą, dla tego ograniczyć się musimy do wskazania kierujących zasad reformy. W ciągu szeregu lat, przekonał się sejm dowodnie, że administracya gminna chroma głównie na nieład w gospodarstwie dochodami gminnemi, majątkiem gminy i dobrem gminném. Stąd więc nasunęły się środki zaradcze same przez się; należało w radach gminnych zorganizować jak najściślejszą kontrolę, i zapewnić przełożonym władzom, t. j. wydziałom powiatowym i wydziałowi krajowemu możność skutecznego czuwania nad jéj spełnianiem, a w danym razie dać im prawo zmuszenia, względnie przeprowadzenia kontroli z własnego ramienia. Wszystkie te prawa przysługują i dziś tym władzom wobec gmin i stanowią bardzo znaczną część zajęć wydziałów powiatowych, ale wobec miast okazała się po-

---

[1]) Nie tu miejsce objaśniać znaczenie i stosunki prawne wirylistów w gminach; uczyniłem to w pracy p. t. „Das Reichsgericht und die Virilstimmen“ Lemberg, 1890.

trzeba zorganizowania w drodze ustawy kasowości i rachunkowości gminnéj, i rozszerzenia znacznie dotychczasowych atrybucyi władz przełożonych. I tak, może dziś wydział krajowy orzec, że etat urzędników gminnych jest niedostateczny, i oznaczyć, w porozumieniu z namiestnictwem, ilu i jakich urzędników ma gmina trzymać. Każde sprawozdanie kasowe ma być przedłożone wydziałowi powiatowemu, każdy radny w gminie ma obowiązek przyjęcia wyboru do komisyi szkontrującéj, w przeciwnym razie podlega grzywnom. Jeśli ta komisya nie uczyni zadość swoim obowiązkom, pomimo grzywien, może wydział powiatowy sam przeprowadzić szkontro na koszt gminy; a oprócz tego winien sam od czasu do czasu lustrować kasy gminne niespodzianie. Dla kasy gminnéj mają być wydane przez radę gminną instrukcye, które zatwierdza wydział krajowy. Podobne rygory mają miejsce także co do sprawdzenia rachunków gminnych za miniony rok administracyjny, gdzie wydział powiatowy może nakazać nawet wybór nowéj komisyi lustracyjnéj.

Drugą zasadą przeprowadzoną w nowéj ustawie, jest dokładne odgraniczenie funkcyi wykonawczéj od funkcyi uchwalającéj i nadzorującéj, zaostrzenie ile możności odpowiedzialności członków zwierzchności gminnéj, i nadanie naczelnikowi samodzielnéj silnéj władzy wykonawczéj. Naczelnik wykonywa wszystkie ustawy i rozporządzenia wchodzące we własny zakres działania gminy, prowadzi kasowość i rachunkowość (§ 47), a od odpowiedzialności gminie za swoje czynności urzędowe nie może go uwolnić żadna uchwała rady gminnéj (§ 63). Jeżeli naczelnik zaniedbuje ściągania wierzytelności gmin i funduszów gminnych, może wydział powiatowy ustanowić do tego celu na koszt gminy prawnego zastępcę (§ 56). Z powyższych postanowień wypływa jasno, że gminy wzięte zostały w energiczną opiekę.

Wreszcie trzecią zasadą, bardzo pożądaną, jest uproszczenie toku instancyi rekursowych przez uchylenie odwoływania się do rady gminnéj w sprawach policyi miejscowéj. Odtąd iść będzie rekurs od dotyczących zarządzeń i orzeczeń naczelnika wprost do wydziału powiatowego, o ile policya miejscowa należy do własnego zakresu działania gminy, t. j. o ile nie chodzi o orzekanie kar zagrożonych w istniejących ustawach dotyczących policyi miejscowéj, gdyż prawo karania należy do poruszonego zakresu działania, a zatém rekurs może w tym wypadku mieć miejsce tylko do władzy rządowéj [1]).

---

[1]) Nie możemy tutaj również wchodzić w porównywanie nowéj ustawy z ustawą z 1889 r. dla 30 miast. Co do téj ostatniéj odsyłamy do naszego wspomnianego już „Ustawodawstwa sejmu galic.“

Nakoniec ostatnia kodyfikacya: krajowy podatek konsumcyjny. Oceniamy go nietyle ze stanowiska spodziéwanych przychodów skarbu krajowego, gdyż te nie będą zbyt znaczne (może 400,000 fl.), jak raczéj ze stanowiska zasadniczego: raz, że prawa do nałożenia go niejednokrotnie sejmowi zaprzeczano, pomimo że wiele innych krajów koronnych podobne podatki, na mocy § 22 statutów krajowych, dawno już u siebie wprowadziło [1]); powtóre, że finanse krajowe znalazły się u kresu możności zasilania ich podwyższaniem krajowego dodatku do bezpośrednich podatków rządowych, a zatém okazała się, skutkiem ciągłego wzmagania się wydatków krajowych niezbędna konieczność reformy systemu skarbowości krajowéj. Reforma ta należy do kompetencyi rady państwa w bardzo znacznéj części; sam sejm na tém polu zrobić może bardzo mało, ale najgłówniejszym czynem sejmu może być właśnie wspomniany podatek konsumcyjny, który też przyjmujemy jako pierwszy pozytywny krok na drodze reformy, krok tém ważniejszy, iż tak był trudny. Rząd zgodził się na prawną zasadę, a przytém nie uznał go za niezgodny z poborem państwowych podatków konsumcyjnych, jest więc na razie otwarte nowe źródło dochodów, mniéj uciążliwe, aniżeli wspomniane dodatki. Podatek konsumcyjny ma już w sejmie swoją historyę, a zawdzięczać go należy gorliwym usiłowaniom posła Dawida Abrahamowicza [2]). Zaprowadzony dawniéj, przed znacznem podwyższeniem państwowego podatku gorzelnianego w r. 1888, byłby się okazał o wiele intratniejszym, — dziś wódka została z pod krajowego opodatkowania wykluczona.

System tego podatku jest dwojaki: dodatki krajowe do pobiéranych na rzecz skarbu państwa podatków konsumcyjnych, i samoistne opłaty konsumcyjne. Pierwszy sposób będzie miał zastosowanie przy winie, zaciérze winnym, moszczu i moszczu owocowym (30% krajowego dodatku do podatku kons.), a pobór dodatku krajowego będzie się odbywał razem z podatkiem rządowym i przez te same organa; drugi sposób opodatkowania ma miejsce przy piwie, rumie, araku, koniaku, likierach, oraz wszelkich innych słodzonych spirytusowych napojach gorących. W okręgach miast Lwowa i Krakowa (t. zw. miastach zamkniętych) będzie samoistna opłata pobiéraną tak przy wyrobie,

---

[1]) Istnieją w Styryi, Karyntyi, Krainie, Istryi, Dalmacyi, Salcburgu, Tyrolu, Gorycyi z Gradyską; a na ostatniéj sesyi uchwalił je także sejm szląski.

[2]) Patrz o historyi tego podatku w sejmie naszym: Starzyńskiego: „Sejm galicyjski r. 1885/6“, str. 16 i nast.; i tegoż: „Sesya sejmowa 1886/7“, str. 27 i nast.; daléj artykuły „Gazety Narodowéj“ z r. b. Nr. 266 („Sejm z r. 1885 o podatku konsumcyjnym“), N-ra 269, 273, 279, pisane przez fachowego znawcę i bardzo trafnie rzecz przedstawiające.

jak i wprowadzeniu do miasta; we wszelkich innych zaś miejscowościach kraju tylko przy konsumcyi, t. j. sprzedaży; wynosić zaś będzie wszędzie 1 fl. w. a. od hektolitra tych trunków oprócz piwa, a 50 x. od hektolitra piwa wszelkiego rodzaju. Sposób poboru tych opłat unormowany zostanie osobném rozporządzeniem władz.

Nie możemy nie wspomnieć tu i o budżecie krajowym, choćby dla zaznaczenia, że wydatki krajowe preliminowane są na r. 1891 w kwocie 5,074,103 fl., a dochody własne w kwocie 576,404 fl. Wydatki wzrosły w porównaniu z budżetem na r. 1890 o 416,578 fl., dochody zaś o 79,244 fl. Wzrost wydatków jest nieunikniony nietylko z powodu ciągłego dążenia kraju do ekonomicznego podniesienia się, ale przedewszystkiém z powodu koniecznych prawnych tytułów do ich czynienia, zawartych w ustawach, a wzmagających się cyfrowo co roku. Dr. M. Bobrzyński podnosił w jednym ze swych artykułów o sejmie [1]), że jedną z przyczyn wzrostu budżetu jest okoliczność, iż właściwie nikt, ani sejm, ani wydział krajowy, ani komisya budżetowa nie bierze na siebie za budżet i jego wzrost odpowiedzialności; i proponował, aby jedynie komisya budżetowa miała prawo przedkładać sejmowi wnioski, streszczające się w wydatkach, podczas gdy to dziś czyni i komisya kultury krajowéj, i komisya przemysłowa i t. d., a następnie, żeby komisya budżetowa czuwała, by sejm podczas uchwalania budżetu nie wychodził po za jéj wnioski, nie uchwalał nowych wydatków, nie podnosił już istniejących. Pomijając już, że za to, co jest konieczne, może każdy wziąć na siebie odpowiedzialność, zauważyć należy, że komisya, gdyby miała przeszkodzić sejmowi w zmienianiu swych wniosków, stałaby się *de facto* sama sejmem, a następnie, że zmniejszenie wydatków, jakieby stąd płynąć mogło, iż komisya budżetowa oceniałaby je tylko ze stanowiska fiskalnego, ścisłéj konieczności, podczas gdy inne komisye oceniają je nieraz więcéj szczodrą miarą zamiłowania do rzeczy, byłoby całkiem minimalne i nie mogłoby uchylić tendencyi budżetu, dążącego nieprzepartą siłą elementarną do szybkiego wzrostu. W każdym razie najstosowniéj byłoby, aby przedewszystkiém wydział krajowy poczuwał się do odpowiedzialności za budżet, bo on jeden wié, co dla budżetu jest niezbędne, a co mu szkodzi i zwichnąć go może, będąc sam wnioskodawcą budżetu i administrując funduszami krajowemi. Ani dla sejmu, ani dla komisyi budżetowéj, jako zebranych i funkcyonujących chwilowo,

[1]) „Po sejmie“ („Przegląd polski“ z r. 1888, N-ra 260, 262, 263).

a nadto dla sejmu jako ciała tak licznego, budżet nigdy również przejrzystym być nie może [1]).

W sprawach szkolnych stworzył sejm tegoroczny bardzo pożądany precedens, albowiem po raz pierwszy zostały sprawozdania rady szkolnéj krajowéj o stanie szkół średnich, szkół ludowych i seminaryów nauczycielskich—dotąd tylko dla wiadomości posłów rozdawane pomiędzy nich w druku — formalnie przydzielone komisyi szkolnéj, która się niemi oficyalnie zajęła, przedłożyła z nich sejmowi sprawozdanie wraz z wnioskami; sejm zaś przeprowadził obszerną, a głęboką i pełną wyższego nastroju dyskusyę, i powziął pewne uchwały. Kiedy dotychczas mówiono w sejmie o szkolnictwie ludowém tylko przy sposobności budżetu krajowego funduszu szkolnego, a o szkolnictwie średniém tylko w razie pojawienia się jakiegoś samoistnego wniosku—to obecnie sprawy szkolne stanęły samoistnie na porządku dziennym sejmu, a łączność rady szkolnéj krajowéj z sejmem została w ten sposób stanowczo stwierdzoną, i zaznaczony autonomiczny charakter téj instytucyi, o ile o autonomiczności rady, wcielonéj do organizmu władz, jako c. k. rada, może być w ogóle mowa. Rada szkolna weszła obecnie zresztą, jak wiadomo, w nową a pomyślną fazę swego rozwoju, gdyż nietylko hr. Badeni, jako jéj prezes z urzędu, daleko gorliwiéj się zajmuje szkolnictwem, aniżeli poprzedni namiestnicy, ale nadto otrzymała ona nowokreowanego vice-prezydenta w osobie męża tak wybitnego i pełnego zdolności, jak dr. M. Bobrzyński, którego przeszłość polityczna daje nadto rękojmię, że cenić zawsze będzie umiał żywą łączność rady szkolnéj z sejmem i jéj autonomiczny charakter.

Uchwalono więc w sejmie dążyć do tego, by w przyszłym roku wszyscy nauczyciele ludowi t. zw. młodsi, pobierający dotąd tylko 200 fl. rocznie, doznali poprawy swego losu, aby w piątéj i szóstéj klasie szkół ludowych uwzględniano więcéj, niż dotychczas dzieje kraju rodzinnego, aby krajowy fundusz przychodził w obfitszéj mierze, niż dotąd z pomocą gminom w formie pożyczek na budowę szkół, aby rząd pomnożył liczbę inspektorów szkolnych okręgowych, oraz założył najmniéj dwa nowe seminarya nauczycielskie — zaś skutkiem wniosku p. Romańczuka, prezesa klubu ruskiego, uchwalono, by istniejący na wyższych kursach męskich seminaryów nauczycielskich we wschodniéj części kraju utrakwizm językowy wprowadzić także na pierwszym kursie tych seminaryów, oraz w żeńskich seminaryach we Lwowie

---

[1]) Niejedną słuszną uwagę czyni w téj mierze Antoni Wrotnowski: „Autonomia Galicyi i jéj samorząd“, Kraków, 1889.

i w Przemyślu. Co do szkół średnich zaś uchwalono wezwać rząd, aby przedłożył sejmowi projekt reorganizacyi szkół realnych, aby mianował stałych nauczycieli nadetatowych wszędzie tam, gdzie w gimnazyach istnieją stale klasy równorzędne; aby pomnożył liczbę posad nauczycieli języka niemieckiego, aby przeprowadził umundurowanie uczniów szkół średnich, co już raz w sejmie podnosił St. Tarnowski, wreszcie, aby, zakładając nowe gimnazya, przedewszystkiém z istniejących już klas równorzędnych we Lwowie i Krakowie utworzył gimnazya samoistne. Tu znów należy podnieść, że wspomniany przed chwilą wniosek posła Romańczuka domagał się także zakładania szkół średnich z językiem wykładowym ruskim w południowo-wschodniéj części kraju. Komisya szkolna, załatwiająca ten wniosek, uchyliła jednak to żądanie, powołując się właśnie na powyższą rezolucyę, domagającą się pomnożenia liczby gimnazyów w ogóle. W rozprawie sejmowéj nad wnioskiem p. Romańczuka wystąpił jednak ks. metropolita Sembratowicz z życzeniem, aby rząd, zakładając nowe gimnazya, założył w ich liczbie i jedno ruskie — i zwrócił się do polskich członków izby z prośbą o życzliwość w téj mierze, a do p. namiestnika z prośbą o poparcie tego dezyderatu w rządzie centralnym; na co odparł hr. Badeni, iż znajdzie się sposób, aby przy współudziale rządu i téj wysokiéj izby, życzeniu ks. metropolity zadość uczynić. Nowe ruskie gimnazyum stanie więc wkrótce na porządku dziennym.

Uchwały sejmu w sprawach szkolnych nie są jednak, zdaniem naszém, bez zarzutu. Jeszcze w r. 1880 uchwalił sejm na wniosek ś. p. Józefa Szujskiego, domagać się zlania dwoistości szkół realnych i gimnazyalnych w jeden kierunek, umożebniający uczniowi po zdaniu matury obranie drogi uniwersyteckiéj lub nauk technicznych. W roku 1885-ym ponowiono tę uchwałę, a w r. 1887/8 odwołano się znów do niéj, wzywając rząd ogólnikowo do zapewnienia krajowym czynnikom ustawodawczym i administracyjnym jak największego wpływu na prowadzenie i urządzenie szkół średnich [1]).

Również oświadczono się dawniéj za uchyleniem dwustopniowości nauki gimnazyalnéj, skutkiem któréj dziś jest gimnazyum wyższe prawie tylko obszerniejszém powtórzeniem niższego. Tymczasem tegoroczna komisya szkolna czyni tylko uwagę, że uznaje potrzebę reformy „planu nauki“ w kierunku wskazanym dawniejszemi rozprawami sejmu; ale równocześnie domaga się osobno powiększenia liczby gimnazyów, a osobno reorganizacyi szkół realnych. Czy można widzieć

[1]) Patrz nasze cyt. książki o sejmach od 1885 do 1889.

w tém obstawanie przy dawnych uchwałach sejmu? Komisya mówi daléj, że w obec zupełnego zaufania do rady szkolnéj krajowéj w jéj dzisiejszym składzie, można jéj z wszelkim spokojem pozostawić inicyatywę pożądanych reform dalszych, czy to częściowych, czy nawet zasadniczych; i tu zapewne szukać należy powodu milczenia, — ależ nie chodzi tu o branie inicyatywy w przyszłości, co chętnie pozostawiamy radzie szkolnéj, mając do niéj także zaufanie, lecz o sprawy co do których oświadczenia sejmu są już złożone, i gdzie idzie właśnie o wytrwanie przy nich, albo też mniéj lub więcéj wyraźne odstąpienie. Nadto nie należy zapominać, że sejm, ile razy była mowa o reorganizacyi czy to rady szkolnéj, czy systemów i planów nauczania, domagał się, by to nauczanie oprzéć ile możności na rodzimych właściwościach ducha naszéj młodzieży, czyli aby dążyć do stworzenia własnego systemu; tymczasem na obecnym sejmie oświadczyła rada szkolna krajowa przez usta swego vice-prezydenta, że dążyć będzie do całkowitego wykonania systemu obecnie istniejącego, który dotąd jeszcze w zupełności przeprowadzony nie jest. Nie ma więc, jak się zdaje, widoków, by rada szkolna podjęła już w krótkim czasie inicyatywę, na którą komisya liczy (referent dr. W. Zakrzewski, rektor uniw. Jagiel.). Natomiast ważném bardzo jest wyraźne zaznaczenie w sprawozdaniu komisyi szkolnéj (refer. ks. Jerzy Czartoryski), że jedném z zadań naszego szkolnictwa musi być podniecanie i utrzymywanie poczucia obowiązku i poczucia obywatelskiego w warstwach, w których poczucie to dotychczas w nader małym stopniu rozwinąć się mogło. Zdrową myśl także porusza komisya szkolna, a podnosił ją już raz poseł St. Tarnowski, aby, jako najskuteczniejszy środek zwracania młodzieży niezdolnéj do studyów humanitarnych i uniwersyteckich, z téj drogi, dopóki jeszcze czas, a skierowywania jéj *eo ipso* na drogę właściwszą, wprowadzić po pierwszych czterech klasach gimnazyalnych małą maturę—egzamin przejściowy. Od siebie dodamy, że to moment najstosowniejszy w życiu chłopaka, że ziarno od plewy oddzielić można albo wtedy, albo nigdy, bo już przy wielkiéj maturze najczęściéj zapóźno; — tylko młynkowanie musiałoby być dokładne, czyli egzamin surowy.

III.

A teraz jeszcze słówko o obecnéj organizacyi stronnictw i odcieni w sejmie, i o łączących się z nią kwestyach politycznych.

Zeszłoroczne wybory do sejmu wywołały ożywioną walkę polityczną, posiłkowaną dzielnie polemiką literacką. W Galicyi pa-

nuje jeszcze szkodliwy zwyczaj ścisłego dzielenia ludzi rzekomo według ich przekonań politycznych, na postępowców, czy demokratów, a konserwatystów — na liberałów a rządowców. Jestto zbytek, którego mogą sobie pozwolić społeczeństwa żyjące w warunkach zgoła odmiennych, aniżeli nasze: my możemy i powinniśmy znać tylko jeden podział: na ludzi myślących, stawiających interes ogółu po nad własne czy to zapatrywania teoretyczne, czy skłonności temperamentu lub wybuchy namiętności, czy interesa koteryi, kasty lub osobiste, nie narażających sprawy publicznéj na niepewne tory, a przytém niezawisłych aż do ostatniéj nitki, zachowujących zawsze i wszędzie prawo własnego sądu o rzeczy i robienia zeń jawnego użytku wedle własnego uznania — i na ludzi, którym brak któregokolwiek z tych przymiotów — a więc na ludzi politycznie dojrzałych i politycznie niedojrzałych. Każdy przyzna, że tak pomiędzy politycznie dojrzałymi jak i niedojrzałymi znaleść się mogą i t. zw. konwerwatyści, i t. zw. postępowcy lub liberali, każdy przyzna daléj, że nie można w tych warunkach chrzcić jednych z góry mianem opozycyi lub negacyi, a drugich mianem żywiołów dodatnich i syntetycznych; bo każdy człowiek politycznie dojrzały może się naprzemian kilkanaście razy znajdować i w roli popierającego usilnie pewne dążenia rządu lub społeczeństwa, ogólne lub szczególne, i w roli zwalczającego takowe; to zależy od rzeczy, o którą chodzi i od warunków wśród których się to dzieje. U nas jednak panuje jeszcze zamiłowanie do dawania sobie nazwy postępowca, chociaż się osobistem postępowaniem bynajmniéj na nią nie zasługuje, albo téż przylepiania sobie etykiety konserwatywnéj, nieraz tylko z naśladownictwa lub z niezrozumienia. Człowiek politycznie dojrzały jest zawsze jednaki, i może się z równém prawem nazwać konserwatystą i liberałem, bo każdy nazwie się konserwatystą, gdyby go zapytano, czy téż on ma do stracenia to, co za najświętsze uważa; każdy nazwie się postępowym, gdyby go zapytano, czy téż nie widzi konieczności pewnych przekształceń i usunięcia dawnego złego. Żaden człowiek politycznie niedojrzały, nie ma prawa nazywać się konserwatystą lub postępowym w dobrém i właściwém tych słów znaczeniu, bo on, jako niedojrzały, będzie zawsze tylko wypaczeniem tych głównych typów, będzie albo warchołem albo frazesowiczem, albo prostym zacofańcem, albo t. zw. mamelukiem, t. j. czyimś ślepym zwolennikiem, rezygnującym z prawa posiadania własnego sądu, objawiania go i postępowania według niego. Gdy więc staje się do walki pod hasłem antytez: konserwatystów i liberałów, można być pewnym, że po obu stronach walczy się w imię formułki, doktryny, która zaciemnia rzeczywisty interes polityczny danéj chwili.

Podobnie działo się i u nas; t. zw. postępowi wystąpili do walki wyborczej rzekomo w imię interesu powszechnego i idei demokratycznéj, ale nie uchronili się od nadwérężenia tego interesu, przez co skompromitowali i demokratyczną ideę.

Nadwérężenie interesu powszechnego czyli narodowego leżało zaś we wniesieniu przez nich do walki wyborczéj waśni społecznéj; wystąpiono zasadniczo przeciw wybieraniu t. zw. panów, czyli szlachty wiejskiéj przez kurye włościańskie, i w ten sposób starano się zachwiać z trudem osiągnięte dzieło zaufania włościan do większych właścicieli, z którymi przecie łączy ich przedewszystkiém wspólny rodzaj zajęcia i interesu, a zatém węzeł silniejszy, aniżeli ten, jaki znaleść można pomiędzy ludem wiejskim a inteligencyą miejską.

Były wypadki, gdzie dla reprezentantów „komitetu przedwyborczego miast i miasteczek", który tę akcyę zainicyował, każdy kandydat na posła z gmin wiejskich był dobry, byle nie dopuścić t. zw. obywatela, a Boroński pisał (l. c. str. 22), aby „panów" wybiérać tylko z większych posiadłości „bo oni tam należą, a naszych (t. j. miejskich i włościańskich) potrzeb nie znają i znać nie mogą". Smutna rzecz, że to pisemko znajduje się w rzędzie wydawnictw Tow. imienia Stanisława Staszica. Oczywista rzecz, że celem téj akcyi było przeprowadzenie z gmin wiejskich jak największéj liczby kandydatów, którzyby wzmocnili w sejmie klub lewicy, mieszczący w sobie zwolenników programu wiecu miast. Nadto oświadczono się za zniesieniem w przyszłości wszelkich kuryi wyborczych, co byłoby u nas przeciwne interesowi narodowemu, na razie zaś, i tu wylazło znów z worka szydło partykularnego interesu, starać się przynajmniéj o powiększenie liczby posłów z miast. Z przeprowadzonych wyborów jednak wyszedł interes harmonii społecznéj dość obronną ręką, ale pozostało silne rozgoryczenie u przeciwników téj nielojalnéj roboty. Że wybrano kilku włościan do sejmu, to bynajmniéj nie szkodzi, może być nawet zasadniczo dobre, ale wprowadzenie ich tam powinno się było odbyć pod inném hasłem i w inny sposób. Gdy tak „postępowi" zakłócili akcyę wyborczą, „konserwatyści" przesadzili w przecenianiu niebezpieczeństwa, i w szukaniu sposobów zapobieżenia podobnym „próbom rozstroju" na przyszłość, oraz zgnieceniu ich w teraźniejszości. Skrajne ich skrzydło chciało przenieść do samego sejmu akcyę odwetu, zgnieść w nim całe stronnictwo „liberalne" przez stanowcze odrzucanie wszystkich jego wniosków bez względu na ich treść i przez własną silną i solidarną organizacyę. Sejm miał się stać areną walki prowadzonéj pod hasłem odwetu przez zwartą falangę zaczepno-odporną. Gdyby się ten za-

miar był udał, byłoby to równém nieszczęściem, jak zwycięstwo programu waśni społecznéj, a nie byłoby niczém innèm, tylko powtórną téjże waśni edycyą. Dla tego, że pewne stronnictwo błądzi, nie wolno jeszcze odsądzać go od współudziału w publicznéj pracy, do któréj ma niewątpliwe prawo. Nadto zapomnieli skrajni konserwatyści, że mamy w kraju inne wrogie czynniki, z którymi w pierwszym rzędzie walczyć musimy, a w téj walce właśnie idą „postępowcy“ z „konserwatystami“ ręka w rękę. Wydanie więc „postępowcom“ przez zemstę walki na życie i śmierć w sejmie i po za sejmem, byłoby doprowadziło naturalnie do zupełnego rozbicia w kraju, i ubezwładnienia go, kiedy my potrzebujemy skupienia wszystkich sił, i łączności w działaniu. Byli nadto złośliwi, którzy utrzymywali, że owa zapalczywość konserwatystów podsycana była zakulisowemi wpływami, dążącemi do zupełnego zajęcia konserwatystów walką z postępowcami tak, aby już skutkiem tego zabrakło animuszu na jakąkolwiek opozycyę lub nawet zbyteczną stanowczość z téj strony wobec rządu. Wreszcie nie należy zapominać, że reprezentantom większości, rozstrzygającéj w sejmie i trzymającéj tok i kierunek spraw krajowych w swych ręku, a mającéj do téj roli prawo, nie godzi się i nie wypada walczyć tą samą bronią, którą walczy wobec nich opozycya, zwłaszcza jeżeli się tę broń nieraz słusznie potępia.

To téż wszyscy konserwatyści umiarkowani, i konserwatyści wschodnio-galicyjscy obalili stanowczo ten zamiar na pierwszych zaraz poufnych zebraniach poselskich. Co do organizacyi stronnictw zaś, to przedewszystkiém podstawą ich powinien być program dodatni, nie zaś jedynie odporny; program pewnego pozytywnego działania jako to było w dawniejszym klubie „reformy“, a nie program odwetu, bo tylko na takiéj szerszéj podstawie może się połączyć większe grono ludzi politycznych. Tego programu brakowało od roku 1883 naszym partyom najbardziéj konserwatywnym, jaką była p r a w i c a od 1883—1889, i jaką chciano teraz, w poprawném nadto wydaniu, wznowić. Ludzie bowiem o przekonaniach wybitnych, znanych, nie czują rzeczywistéj potrzeby wywieszania szyldu z tém, co wszyscy i tak wiedzą; w obronie swych przekonań, gdy są zagrożone, potrafią się znaleść zawsze razem i b e z klubu, łączą się zaś w kluby tylko dla celów pewnéj akcyi konkretnéj. To téż i do odpornéj prawicy, 1883—1889, pomimo, iż mieściła w sobie najbardziéj konserwatywnych i do rządu zbliżonych posłów, nie należała właśnie w i ę k s z a c z ę ś ć posłów o historycznych nazwiskach, a ponieważ przez cały czas jéj istnienia przekonywał się sejm coraz dowodniéj o jéj zbyteczności, przeto nie dała się już zrekonstruować na sejmie obecnym. Powstała za to organizacya, zwana „Unią konserwatywną“

wolna od programu zemsty, a ograniczona także tylko do biernego wyznawstwa zasad konserwatywnych, i dla tego tak liczna, że bardzo luźna, bo każdy, kto chce i czuje potrzebę zewnętrznego zaznaczenia ogólnie konserwatywnego kierunku myślenia, może do niéj śmiało należéć, nie sprzeniewierzając się ani na włos swym zapatrywaniom. Unia konserwatywna stawia sobie za cel „utrzymanie i wzmocnienie w kraju zgody i harmonii społecznéj, niezbędnéj dla przechowania tradycyi narodowych i zapewnienia zdrowego postępu", cel bardzo piękny, który każdy powinien podpisać, ale właśnie dla tego nasuwa się pytanie, czy dążeniu do tego celu w sejmie potrzeba aż „Unii"? i czy wtenczas można do „Unii" niedopuszczać ludzi, zwących się otwarcie postępowcami, ale politycznie uczciwych?

„Dla ułatwienia prac sejmowych przez porozumienie się i wzajemne zbliżenie grup konserwatywnych" zawiązana więc została unia, nie naruszająca najpierw w niczém zadania i atrybucyi sejmowego koła polskiego, a następnie pozostawiająca swym członkom swobodę głosowania w *meritum* poszczególnych spraw, ograniczająca zaś solidarność tylko do głosowania w kwestyach formalnych według decyzyi komisyi parlamentarnéj, do któréj wszystkie poszczególne grupy poselskie, i nadal istniejące, wybierają członków w stosunku do ilości posłów wchodzących w skład grupy. Dziś wchodzą w skład „Unii" cztery odrębne grupy: koło krakowskie, koło autonomistów, koło zwane w dawnéj kadencyi „grupką" i koło odpowiadające mniéj więcéj dawnemu centrum. Od 1883—1889 r. stanowiły koło krakowskie i grupa t. zw. autonomistów lub podolaków łącznie sejmową prawicę, centrum zaś i „grupka" istniały osobno; dawniéj zaś pozostawali krakowiacy i podolacy względem siebie przeważnie na wojennéj stopie (co dowodzi nienaturalności następnéj formacyi prawicy), centrum istniało w mniejszych rozmiarach jako t. zw. ateńczycy — „grupki" zaś nie było. Natomiast zawsze są i byli t. zw. dzicy, nie wchodzący do żadnego klubu, a dziwnym zbiegiem okoliczności należy do nich dziś kilku najzagorzalszych i najwybitniejszych członków dawnéj prawicy. Tak więc wielkie zasady i wielkie cele zeszły dziś jedynie do roli węzła formalnego, bo węzłem solidarności *in merito* nie można objąć tylu różnych odcieni. Prócz „Unii" istnieje w sejmie klub lewicy, i był klub ruski, który jednakże wobec ostatnich wydarzeń w kwestyi ruskiéj stał się w dawnym składzie niemożliwym i będzie musiał się rozpaść na dwie połowy, jeżeli do roku nie nastąpi jeszcze zwrot, przepowiadany przez pesymistów.

Prof. dr. Stanisław Starzyński.



Prądy w najnowszéj literaturze niemieckiéj. *)

WSTĘP.

Jeżeli człowiek, stojący nieco na uboczu, spojrzy na masę i rozmaitość ukazujących się poczęści z wielkiemi pretensyami najnowszych zjawisk w literaturze niemieckiéj, to zapragnie on ogólniejszego przeglądu, w którymby się okazały wyraźnie żywioły ruchu, oraz ich dalszy rozwój, i właśnie teraźniejszą porę za najstosowniejszą ku temu uważać będzie. Przeciwnie, krytyczny spostrzegacz ruchu literackiego w Niemczech w ciągu ostatniego dziesięciolecia, jeżeli tylko nie należy do żadnego stronnictwa, a zasięgnie rady przestróg dziejowych z dawniejszych okresów literatury, musi się w obecnéj chwili zawahać z wypowiadaniem sądu o teraźniejszym stanie literatury niemieckiéj i jéj widokach na przyszłość. Kto się na to waży, bawi się cokolwiek w proroka, nie posiadając daru proroczego. Wyniknie-li z téj walki o nowszą poezyą, o któréj się tyle pisze i o którą toczy się tyle sporów, nowa wielka epoka literatury, czy téż sprawa skończy się na wielkich obietnicach? Znajdujemyż się w dobie wschodu, lub téż w dobie zachodu wieku naszéj historyi literatury? Walczący w pierwszych szeregach nowéj szkoły tak chętnie powołują się w swoich porównaniach na „okres burzy i zapędów (*Sturm- und Drangperiode*) przeszłego stulecia,—czy słusznie, to wypadnie nam roztrząsnąć późniéj. Kto chce sądzić

*) Artykuł obecny stanowi początek szeregu innych, w których na zamówienie redakcyi „Ateneum“, Maksymilian Koch, profesor uniwersytetu wrocławskiego, zobrazować ma stan obecny literatury niemieckiéj (Przyp. Red.).

o zjawiskach codziennych, powinien w każdym razie wyciągnąć z tego porównania przestrogę. Zwolennicy starszego kierunku uskarżali się wówczas na upadek sztuki i obyczajów w obec takich dzieł, które my dziś wielbimy, jako punkt wyjścia nowego życia duchowego. A z drugiéj strony ludzie spółcześni młodego Goethego, kładli jego utwory poetyczne w jednym szeregu z utworami Lenza, Henr. Leopolda Wagnera, Klingera, również jak jeszcze na schyłku wieku XVIII-go „Luiza“ Vossa była powszechnie daleko wyżéj cenioną, aniżeli „Herman i Dorota.“ Jużciż, nie wystawiając się bynajmniéj na niebezpieczeństwo, że przyszłość zgromi nas za to, można stanowczo twierdzić, że wśród nowych „burzliwców i zapędowiczów“ nie wystąpił jeszcze taki, coby się ponad swoich towarzyszy w dążnościach wzniósł tak, jak Goethe i Schiller, którzy za pomocą „Götz'a“ i „Werthera“, „Zbójców“ i Luizy Millerówny („Intryga i miłość“) odsunęli towarzyszów swoich na bok. Sąd jednak o ruchu, noszącym nazwę „najmłodszych Niemiec“, uważam w obecném położeniu za niemożebny. W obec wszystkich następnych poszczególnych roztrząsań, chciałbym ciągle przypominać o tém ograniczeniu; z drugiéj strony, nie chcę i nie mogę się ubiegać choćby tylko za przybliżoną dokładnością w przytaczaniu pojedyńczych poetów i dzieł; przeczytałem zapewne bardzo skromną cząstkę cisnących się masami poezyi i tego, co się mieni poezyą. Jednakże mniemam, że na zasadzie własnéj znajomości posiadam tyle prawa, ażeby w wielkich zarysach i na znamiennych przykładach wyjaśnić rozwój literatury niemieckiéj w ostatnich dziesięcioleciach i stan teraźniejszy uczynić zrozumiałym przez zbadanie spoczywających na jego dnie warunków.

Nie popadnę w zarzuconą oddawna niemiecką wadę wznoszenia filozoficznych i historycznych konstrukcyi tam, gdzie chodzi o możliwie bezstronne rozpatrzenie teraźniejszości. Jeżeli jednak na wstępie sięgnę cokolwiek daléj, to niech mi będzie dozwoloném uczynić to w imię obietnicy, że ogólny ten rozbiór ułatwi i uprości nasze najbliższe zadanie. Literatura nie jest czémś w sobie zamkniętém: oddziaływając na społeczeństwo i przyjmując od niego pobudki, otrzymuje ona życie i całe znaczenie dopiéro przez swoje działanie na naród. Jako dla umiejętności lekarskiéj jest niezbędną praktycznie stosowana terapia i jéj skutki, tak samo właśnie literatura potrzebuje wzajemnego obcowania ze społeczeństwem i życiem publiczném. Otóż pod tym względem okazują się w Niemczech zadziwiające sprzeczności. Można przyjąć za fakt, że w Niemczech istnieje więcéj pisarzy—zob. niemiecki kalendarz literacki (*Deutscher Litteratur-Kalender*) Józefa Kürschnera — i więcéj drukuje się książek, aniżeli w jakimkolwiek innym

kraju; a przecież kupowanie, ba, nawet czytanie książek nie pozostaje w żadnym uporządkowanym do tego stosunku. Kiedy duński historyk literatury, Jerzy Brandes, spędził kilka lat w Berlinie, streścił on wynik swoich spostrzeżeń w następującém cierpkiém zdaniu: „Zainteresowanie się poezyą w formie miarowéj prawie jakby wygasło; polityka zajęła stanowisko estetyki.“ Zaznaczony tutaj fakt może nam wyjaśnić, że taki poeta, jak Wolfgang Kirchbach, w szóstym zeszycie wydawnictwa pod tyt. „*Litterarische Volkshefte*“ (Ludowe zeszyty literackie) rozpatruje kwestyą: „Jakie znaczenie może jeszcze miéć poezya dla nowoczesnego świata?“ Wszak istnieje dosyć ludzi, którzy tak przestarzałéj rzeczy chcą odmawiać wszelkiego znaczenia. Coprawda, Kirchbach staje się przytém niesprawiedliwym względem muzyki; poeta odczuwa to, jako rzecz niesłuszną, że we wszystkich towarzystwach panuje zaciekawienie się muzyką, gdy tymczasem ledwie gdzie jest mowa o literaturze. Dzieje literatury niemieckiéj obrabiają się ze wzrastającym ciągle zapałem; rozprawy i książki, obrazy ogólne i badania specyalne ukazują się masami; we wszystkich uniwersytetach w liczbie odczytów mieszczą się wykłady dziejów literatury niemieckiéj,—tymczasem znajomość naszych klasyków wśród dorastającego pokolenia z roku na rok się zmniejsza. W naszéj codziennéj krytyce literackiéj daje się uczuwać poprostu zastraszająca nieznajomość dziejów literatury; wiele zjawisk byłoby całkiem niemożliwych, gdyby brano do serca przestrogi historyi, t. j. gdyby przestrogi te były znane koryfeuszom krytyki. Na innych polach pracy nie bez słuszności chwalą Niemców za gruntowność, z jaką się zajmują przedmiotem. Lecz w rzeczach literackich — a jeszcze gorzéj stoi sprawa z tém wszystkiém, co ma związek z teatrem — nie mogą oni rościć żadnéj pretensyi do takiéj pochwały. Ażeby poznać bezdenną podupadłości tych rzeczy, potrzeba tylko przypomniéć fakt, że takiego człowieka, jak Paweł Lindau, sławiono nieograniczenie i prawie bez zaprzeczenia w ciągu dwudziestu lat, jako głowę krytyki berlińskiéj. Pominąwszy opanowującą wszystko klikę, w krytyce uzyskała znaczenie ślepa wiara w doskonałość raz uznanych wielkości, a jeszcze bardziéj ślepe odpychanie wszystkiego, co zbacza od torów zwyczajnych; właśnie znakomitsi poeci przedzierali się tylko tak powoli, że my teraz niejednemu poecie i niejednemu dziełu, należącemu, ze względu na swój wiek, do doby dawniejszéj, musimy, ze względu na jego działanie, wyznaczyć miejsce w literaturze najnowszéj, jak np. Gotfrydowi Kellerowi. Jego „Zielony Henryk“ (*Der grüne Heinrich*) ukazał się już w r. 1854; w Niemczech atoli nie zaczęto go czytać przed połową ósmego lat dziesiątka. Co się tyczy Grillparzera, któ-

rego powinnibyśmy może czcić, jako największego poetę tuż obok Goethego i Schillera, to w Niemczech północnych bodaj do dziśdnia nie nastąpił jeszcze czas czytania jego utworów. W obec panujących stosunków możnaby prawie darować, jeżeli gawiedź stawia paradoksalne pytanie: „Czy my w ogóle posiadamy jeszcze jaką literaturę?“ Coprawda, pismo Leona Berga zawiera w sobie zbyt wiele przesady; co więcéj, strzelec nietylko chybia tutaj celu, ale stoi na stanowisku, z którego musi strzelać na wiatr. Z drugiéj strony wszakże nie możemy zamykać oczu na fakt, że podobne niezadowolenie, jakie w natarciach socyalno-demokratycznych kwestyonuje stałość całego naszego porządku państwowego i społecznego, powstaje również przeciwko dawniejszéj literaturze i chciałoby na jéj miejscu postawić coś nowego, rzekomo odpowiadającego wymaganiom czasu. Nie przybieram żadnéj postawy stronniczéj w téj walce literackiéj, lecz staram się poprostu na podstawie rozwoju dziejowego poznać zjawiska, ich konieczność, to, co jest usprawiedliwioném, i to, co jest przesadzoném. Podniesionéj głośno przed paru laty skargi na niemoralność naturalizmu dziś nie zechcą powtarzać nawet przeciwnicy nowéj szkoły. W utworach realistycznych popełniono wprawdzie pewną, może nawet wielką liczbę grzechów przeciwko dobremu smakowi, zaleconemu przez etykę i estetykę, i takie niesmaczne okazy winniśmy najsurowiéj potępić. Nie jestto jednak uczciwy sposób walki podnosić z tego powodu zarzut niemoralności przeciwko całemu kierunkowi. Przytém w kwestyach literackich sąd o moralności i niemoralności zmienia się bardzo szybko. Nie chcę przypominać, że „Cierpienia Werthera“ i „Powinowactwa z wyboru“ (*Wahlverwandtschaften*) były okrzyczane, jako książki w najwyższym stopniu niemoralne; wybieram bliżéj leżący przykład. Kiedy w r. 1879, powróciwszy dopieroco z Paryża, wyraziłem swój podziw dla Zoli, wtedy pewien młody krytyk berliński odpalił mię z największém moralném oburzeniem; podług niego, w kołach poważnych bodaj czy wolno nawet wymieniać takie utwory literackie. Tymczasem we własnéj książce ten sam pan sławi Zolę jako wzór, który wypada naśladować, i walczy za najkrańcowszy kierunek naturalistyczny takich ludzi, jak Hauptmann i Strindberg, którzy obrażają moje uczucie zarówno estetyczne, jak i etyczne. Oczywiście, moda, a zarazem sąd o granicach, wyznaczonych dla poezyi, doznały w ciągu tych jedenastu lat potężnéj zmiany. Najprzód chciano w Niemczech poetów naturalistycznych uśmiercić milczeniem, potém szydzono z nich i denuncyowano policyi, obecnie pan Abrahamsohn (dr. Otto Brahm), jako przedstawiciel krytyki berlińskiéj, stawia Gerharda Hauptmanna, autora „Wschodu słońca“ (*Sonnenaufgang*), na-

równi z Fryderykiem Schillerem. Coprawda, istnieją ludzie, którzy, aby przewrotność zdania doprowadzić do ostateczności, nie uważaliby tego nawet za jakąś pochwałę, gdyż dzieła Schillera wydają im się chybionemi i przeżytemi. W istocie takim był już pogląd romantyków; ich mądrość krytyczna nie mogła się naturalnie ostać w obec utworów Schillera; otóż, jeżeli Karol Bleibtreu oświadcza, że nie Goethego, lecz Jana Michała Reinholda Lenz'a, wypada czcić i studyować jako mesyasza literatury niemieckiéj, to nie zdobędzie on więcéj powodzenia, niż było udzielonem Fryderykowi Schleglowi i jego przyjaciołom w walce z Schillerem.

Wśród cisnących się naprzód masami ulotnych i polemicznych pism, które rozbierają „Walkę o nową poezyę", „najnowszy prąd w literaturze niemieckiéj i zasada nowoczesnych", „rewolucya w narodzie czytelników", „tak zwani młodzi Niemcy" i t. d., pierwsze miejsce zajmuje bezspornie „Przewrót w literaturze" (*Revolution der Litteratur*) Bleibtreu'a (Lipsk, 1886; trzecie wyd. 1887): rozpoczyna on chronologicznie tę literaturę bojową i, dzięki czerwonéj jak krew kartce tytułowéj, zwrócił uwagę szerszych kół na młodych Niemców, o których mało dbano dotychczas. Pominąwszy nieuniknione u Bleibtreu'a bezmierne samoubóstwianie, pismo to w pstréj mieszaninie zawiera dobitne prawdy i szalone pomysły. Podług niego, literatura nasza wstąpiła na jedynie właściwą drogę w „epoce burzy i zapędów", potém jednak fałszywy ideał klasycyzmu, sprowadził Goethego i Schillera, a z nimi i całą naszą literaturę na manowce. Powinnibyśmy więc starać się przywrócić nanowo związek z „okresem burzy i zapędów" i jego sposobem odtwarzania rzeczywistości. Już nieraz podnoszono skargę, że poeta „*Götz'a von Berlichingen*" przeobraził się w poetę „Ifigenii", a jeszcze przed kilku laty estetyk Vischer żalił się, że przedrzeźniająca starożytnych forma „Hermana i Doroty" stanęła na zawadzie, iż utwór ten, narodowy w swojéj treści, nie przedostał się do ludu. Jednakże zwrot ten do ideału klasycznego został wywołany nie samowolą pojedyńczego człowieka, lecz losami, które określały charakter naszéj literatury narodowéj od końca wieku XV-go. Bleibtreu, przywołując ducha okresu „burzy i zapędów" dla będącego na schyłku wieku XIX-go, stara się rozwój najnowszy postawić pod opieką historyi literatury. Gdyby tylko rozdziału: „Rozwój historyczny" nie był rozpoczął od takiego zdania: „Literatura niemiecka okazuje zaletę starszéj kultury w porównaniu z literaturą angielską i francuską, ponieważ już w wiekach średnich święciła ona pierwszy okres kwitnący." Właśnie zdanie przeciwne odpowiada faktom historycznym. Niemiecka literatura średniowieczna była w przeważnéj

części tłómaczeniem z francuszczyzny. Epos narodowy we Francyi rozwinął takie bogactwo, że samodzielne utwory naszych kół bohatérskich nie mogły się z niém mierzyć tak samo, jak i nasza dworska poezya miłosna (*Minnegesang*) z pełnością form prowansalów. W wieku XVI i XVII-ym wytworzyła się we Francyi i Anglii wielka literatura narodowa, gdy tymczasem w Niemczech sprawa religijna i swary teologiczne zagarnęły dla siebie wszystkie siły duchowe. Podczas strasznéj, wyniszczającéj ciało i duszę wojny trzydziestoletniéj, tylko z mozołem doprowadziliśmy do skutku pewne formalne wyrobienie poezyi w niesamodzielnych naśladowaniach wzorów francuskich i włoskich; dla literatury niemieckiéj okazało się wielkim zyskiem, gdy w pierwszéj połowie XVIII-go stulecia doskonałość wzorów z „wieku Ludwika XIV-go“ znalazła bezwarunkowe uznanie, i gdy zapanowały reguły Boileau. Naturalistom jednak naszych czasów potrzeba przypomnieć, że, uzasadniając panowanie owych reguł, twierdzono, iż przez ich trzymanie się najłatwiéj osiągnąć „naśladowanie natury, na którém się zasadza istota całéj poezyi.“ Zdanie to, z którego się robi zarzut nowoczesnemu naturalizmowi, Gottsched postawił na czele czwartego głównego oddziału swojéj „krytycznéj sztuki poetycznéj“ (*kritische Dichtkunst*). I te-to właśnie wzory i przepisy, które od roku 1730 do 1757 powinny były zabezpieczyć naśladowanie natury i nie dopuszczać rzeczy nieprawdopodobnych, poczęto w siódmém dziesięcioleciu zwalczać w imię prawdy naturalnéj, skoro tylko w Niemczech, zamiast francuskich, obrano sobie za wzór poetów angielskich. Z ową przeto zaletą starszéj kultury literatury niemieckiéj w porównaniu z literaturą francuską i angielską sprawa przedstawia się niedobrze; jednakże literatura niemiecka po okresie burzy i zapędów dopięła bezwątpienia wyższéj kultury, aniżeli wszystkie nowsze literatury nowoczesne, mianowicie przez to, że w dawnych i nowszych czasach poszukała już nie wzorów, lecz przewodników do osiągnięcia jeszcze większéj doskonałości. Ale ślepe naśladowanie obczyzny tkwi u nas, Niemców, niestety, głęboko we krwi naszéj. Jeżeli zaś „młodzi Niemcy“ romans historyczny Ebersów i Dahnów porównywują szyderczo z bohatérsko-zalotnym romansem wieku XVII-go, to ślepe ubóstwianie z ich strony i naśladowanie Zoli, Tołstoja, Ibsena i Strindberga przypomina daleko gorszy obłęd XVII wieku i, niestety, tak wielu stuleci historyi, mianowicie owo nieszczęsne poddawanie się charakteru narodowego modzie zagranicznéj. Nie ściągając na siebie oskarżenia o przesadę, możnaby przegląd najnowszéj literatury niemieckiéj podzielić na następujące rozdziały: Naśladowcy Tołstoja i Dostojewskiego; Niemieccy Zoliści; Oddziaływanie i naśladowanie

literatury norwesko-szweckiéj; panujący czyli francuski dramat cudzołożniczy. I przytém rozbrzmiewają ze wszech stron zapewnienia o ponownem ugruntowaniu literatury niemieckiéj! Badania nad niedomagającym stanem naszéj literatury i propozycye, jakby temu stanowi zaradzić, mnożą się przytém w sposób prawie zastraszający. Chciałoby się przytoczyć tutaj stary dowcip, który wielu lekarzy nie uważa za zbawienie chorego. Nie powinniśmy się jednak zrażać niedorzecznem fermentowaniem moszczu: może być, że przecież wyrobi się jakieś zupełnie zdatne do picia wino.

Na szczęście, sprawa naszéj literatury nie stoi bynajmniéj jeszcze tak źle. To, co się chwali po dziennikach i przedstawia na scenie, jest po większéj części tylko rozdętą marnotą; pochwała kliki, zręczność nakładcy, lenistwo myśli i zaspokojenie łaskotliwości zmysłów, utrwalają powodzenie takich autorów nowoczesnych, jak Blumenthal, Paweł Lindau, Juliusz Wolff, Eckstein i wielu innych. Jednakże zdala od zgiełku codziennego i mody nawet współczesną literaturę niemiecką reprezentują mężowie, których możnaby wymienić obok najlepszych pisarzów każdego narodu; i właśnie w ostatnich latach wielu z nich zdobyło sobie nareszcie większe koła czytelników. W romansie i noweli Godfryd Keller i Konrad Ferdynand Meyer, obaj szwajcarzy, obok holsztyńczyka Storma, Rosegger w noweli ludowéj; Wilhelm Hertz, Marcin Greif, Piotr Cornelius jako lirycy; Anzengruber i Fitger reprezentują godnie dramat niemiecki; Jordan, nawet uznawszy słabe jego strony, jest potężnym poetą epicznym, jakich historya literatury zna niewielu. Pomiędzy wrzeszczącymi młodoniemcami przynajmniéj Hart i Bleibtreu osięgną trwałe znaczenie; hrabia Schack jest najszlachetniejszym przedstawicielem dawniejszego kierunku klasycznego, gdy romantyk Hamerling jeszcze na schyłku swego życia odważył się na wielką próbę w dziedzinie satyry o którą tak dawno dopominano się napróżno.

Jeżeli spojrzymy na tych poetów, to naprzekór znakomitościom efemerycznym, nabiéra się zaufania do zdrowego ziarna nawet współczesnéj literatury; jużci pomiędzy tymi dzielnymi, zasługującymi na chwałę bojownikami niepodobna szukać potężnego, zwycięskiego gieniusza. Niewymuszoną wielkość Godfryda Kellera porównywać z Szekspirem, jak to czynią jego zbyt zapaleni wielbiciele, jest-to nie poznać się na poecie i jego właściwościach. Żaden z wymienionych pisarzów nie wycisnął swego piętna na sztuce ostatnich dziesięcioleci i nie może wobec zagranicy uchodzić za przedstawiciela niemieckiego życia duchowego. A więc skarga powtarzana od lat dwudziestu, że nasze podniesienie narodowe nie znalazło duchowego wyrazu w sztuce nie-

mieckiéj, jest-że usprawiedliwioną? Kto z umysłem, niezamąconym przesądami stronnictwa, postał na wzgórzu przed teatrem świątecznym (*Festspielhaus*) w Bayreuth i rozejrzał się po masie słuchaczy, napływającéj z całego świata, ten wie także, k o g o z początku nienawiść i szyderstwo, a od wielu lat podziw zagranicy uznaje za potężnego sztuki niemieckiéj gieniusza. Pewna część poetów niemieckich w ciasnéj zazdrości rzemieślniczéj, unosi się przeciwko muzykowi i kompozytorowi oper — Ryszardowi Wagnerowi. Dramaturg Ryszard Wagner, którego część stanowi Wagner-muzyk, wskutek dziesięciu tomów swych zbiorowych pism i poezyi (2-e wyd., Lipsk, 1888) należy do niemieckiéj literatury i poezyi. Stworzył on upragniony oddawna dramat narodowy i o ile to było możebne wobec wstrętnego rozproszenia życia naszych stronnictw, wobec zawstydzającéj obojętności naszych rządów względem literatury i teatru, stworzył także scenę narodową. Przy przeglądzie nowszego dramatu, obszerniéj pomówimy o Wagnerze i bardziéj wyczerpująco; od czterech prawie dziesiątków lat cała sztuka niemiecka stoi pod jego gwiazdą. Napaści przeciwników mogły tylko, nawet dla obojętnych, udowodnić znaczenie reformatora i dramaturga; a nawet przeciwnicy ci przyswoili sobie po kawałku jego naukę, naśladowali jego cechy zewnętrzne, nie oddając, naturalnie, przytém zaszczytu przynależnego prawdzie. Walka wszakże partyj za i przeciwko Wagnerowi jeszcze nie zamilkła, ja zaś wskutek poprzedniego oświadczenia muszę być przygotowany na to, że mię kto posądzi o stronniczość. Nierozumni wielbiciele Wagnera przyczynili się dużo do zagmatwania rzeczy; chociaż tedy spór ten i sam Wagner mają już po za sobą dzieje przeszło czterdziestoletnie, to jednak bodaj, że jeszcze nie rozpoczęto rozpatrywać Wagnera w związku z całym rozwojem historycznym. Tymczasem potrzeba tylko wziąć pod uwagę osobliwy zbieg naszego rozwoju historycznego od r. 1830, oraz te studya, jakie wypadło przebyć Wagnerowi i jego sztuce, ażeby poznać, że tu nie chodzi o jakiś przypadkowy ruch równoległy. Jest to rzeczą również znaczącą, że pomiędzy poetami, którzy opiewają śmierć Wagnera, spotykamy Feliksa Dahna i Wildenbrucha, czyli właśnie tych dwóch mężów, których dzieła dają wyraz poczuciu narodowemu.

Podług zamiarów Wagnera, cokolwiekbyśmy sądzili o wykonanych przez niego dziełach, zbiegają się ze sobą tragedya starożytna i cykl podań niemiecko-północnych, to znaczy, że równocześnie oddziaływały na niego klasyczny kierunek naszéj literatury i romantyczność. Od czasu jak Heine przedstawił sobie świat, jako szlachetnie myślącego wychowanka, który przez wdzięczność za otrzymaną

naukę obił swego nauczyciela romantycznego, romantyzm niemiecki głoszono wielokrotnie za umarły. To też zdaje się, co mogłoby nas prawie napełniać obawą, jakoby wśród dorastającéj młodzieży poczucie romantyczności i wogóle wszelkiego ideału zamarło. Wprawdzie naturaliści niemieccy nie zadają sobie pracy, ażeby utwory romantyczne pomawiać o tyleż złego, ile zarzutów przeciwko romansom Jerzego Sand'a miota Zola, oczywiście jednak dzieje się to tylko dla tego, że uważają oni romantyzm za całkowicie wygasły. A przecież idea cesarstwa niemieckiego, którąśmy urzeczywistnili w granicach i formach, dostarczonych przez rzeczywistość, jest płodem romantyzmu. Ryszard Wagner, Scheffel, Jordan, Dahn, Hamerling, jeżeli pominiemy oba romanse Jordana, nie wypierają się nigdzie swojego związku z romantyzmem. Najlepszém opowiadaniem wiejskiém obdarzył nas nie Auerbach, lecz jego niedościgły wzór, romantyk Immermann („*Münchhausen*“). Lecz wpływ romantyzmu daje się wyśledzić aż wgłąb własnego obozu naturalistów. Jakkolwiekbyśmy się sprzeczali o definicyę pojęcia romantyzmu, a próbowano już niezliczonych i najsprzeczniejszych definicyi, lorda Byrona określi każdy jako romantyka. Lord Byron i jego twórczość są dla Bleibtreu'a szczytem poezyi; w romansie i w dramatach, również jak w swoich dziejach literatury angielskiéj, których głównym celem, jak się zdaje, było napisanie panegiryku dla Byrona, rewolucyonista literatury niemieckiéj składa hołd angielskiemu romantykowi. Czy porywająca scena śmierci niewinnéj zakochanéj pary republikańskiéj w pierwszym tomie Rougon-Macquart'a Zoli da się określić inaczéj jak wyrazem „romantyczna“? a i sam Ibsen, potężny mistrz realistycznego dramatu społecznego, w „~~Pożarze~~“ i „Peer Gyncie“ był aż nazbyt romantykiem. Pomimo wszelkiego uznania dla oryginalności, do któréj rości sobie pretensye najnowsza poezya, jedna lub więcéj kropel romantycznego ichoru [1]) spłynęło do grubo-ziemskiéj krwi naturalistów.

W porównaniu z oddziaływaniem romantyzmu wpływ młodych Niemiec był daleko mniéj głębokim i długotrwałym. Księga pieśni Heinego, gdyby musiała być zapisaną do jakiegolwiek rejestru, należy w każdym razie raczéj do romantyzmu, aniżeli do młodych Niemiec, które w czasie powstania i drukowania owych pieśni jeszcze nie istniały. Dla objaśnienia hasła: „Emancypacya ciała“, Gutzkow kazał wydrukować nanowo „Lucyndę“ romantyka Fryderyka Schlegla. Jeżeli jakieś dzieła po pisarzach, objętych nazwą „młodych

---

[1]) ἰχώρ—tak się nazywa u Homera krew, płynąca w żyłach bogów.
Przyp. tłom.

Niemiec“, utrzymały swoją żywotność, to należą one prawie bez wyjątku do czasów późniejszych, w których ten związek tendencyjny był już zerwany. Literatura teraźniejsza musi się liczyć z młodemi Niemcami tylko o tyle, że był to wogóle ostatni ruch literacki, wypływający z pewnego rodzaju szkoły (młode bowiem Niemcy nie były ścisłym związkiem, jak pierwsza szkoła romantyczna), ruch, który się odbywał przed natarciem szkoły naturalistycznéj, rozpoczętém przez „Przewrót w literaturze“ Bleibtreu'a. Pomiędzy rokiem 1848 a 1880 rozwinęli główną działalność tacy poeci i pisarze, którzy przez młodzież naturalistyczną powinniby być odparci w tył, jako stara gwardya, ciesząca się jeszcze niezachwianie względami czytelników, mianowicie: Gustaw Freytag, Spielhagen, Paweł Heyse, Hamerling, Wilbrandt, Bodenstedt, Gottschall, Lingg i wielu innych. Że młodzież i siła młodzieńcza odstąpiły poczęści od tych koryfeuszów literatury i wstępującego w ich ślady najbliższego pokolenia, temu zaprzeczyć niepodobna. Z pisma „*Deutsche Dichtung*“, wydawanego od r. 1886 przez Karola Emila Franzosa, da się wytworzyć pogląd na najnowsze prace, dokonane przez przedstawicieli tego starszego kierunku; wynik jest jaknajmniéj pocieszający. Włada tu prawie wyłącznie mierność, niedozwolona w poezyi przez bogów i ludzi. Daleki jestem od tego, ażeby chwalić realistyczny ~~tygodnik~~ M. Jerzego Conrad'a „*Die Gesellschaft*“ (od r. 1885): jak z odmętu tryskają tu w górę szaleństwa. Poruszają się tu jednak przynajmniéj siły, człowiek nie kręci się w kółko w deptaku rzeczy oddawna znanych i zużytych. Wbrew pesymistycznym zapatrywaniom na literaturę Berga i Meriana, uwydatniłem rzeczywiście dzielne, zasługujące we wszelkich stosunkach na pochwałę siły, które zajmują przodujące stanowisko w naszéj dawniejszéj generacyi literackiéj. Nie mogę jednak uważać za rzecz pocieszającą, jeżeli jakiś zdolny poeta wciągu całych dziesiątków lat przedstawia jednakowe stosunki w jednakowéj formie. Czy od czasu „Natur zagadkowych“ Spielhagen zrobił jakie postępy? Czy kunsztownie zbudowane nowele Pawła Heysego nie stają się monotonnemi, jeżeli w ciągu ćwierci wieku obrabia się na różne sposoby stary temat miłosny? Bądźcobądź, tacy poeci, jak Spielhagen, Heyse, Jensen, pozostają na raz osiągniętéj wyżynie. Jeżeli jednak, na zasadzie niezasłużonéj sławy jakiejś poezyi młodzieńczéj, Roquette i Bodenstedt uważają się za uprawnionych do głoszenia ustawicznie swéj rymowanéj i nierymowanéj prozy za poezyą, to musimy przecież przypomnieć że „Mirza Schaffy“ jest tylko bardzo słabém naśladowaniem „Zachodnio-wschodniego dywanu“ Goethego. Nie przynosi to zaszczytu niemieckim czytelnikom, że wolą kwiat sztuczny, aniżeli wonny i barwny

kwiat naturalny; a już co do trwałego powodzenia „wycieczki po narzeczoną“ Ottona Roquette (*Waldmeisters Brautfahrt*, 1851), to dowodzi ono tylko, że sąd wielu ludzi pozostaje przez całe życie sądem czternastoletniéj panienki. Albo może Brandes ma słuszność, może w Niemczech czytują jeszcze wiersze właśnie tylko czternastoletnie panienki? Byłoby to przynajmniéj uniewinnieniem dla sławy Roquette'a i Juliusza Wolffa. Czternastoletnie jednak panienki nie piszą przecież do „*Berliner Tageblatt*“ i „*Neue freie Presse*“.

W ostatnich latach swojego życia Goethe rozejrzał się jeszcze raz w nasuwających się zjawiskach literatury i w czasopiśmie „*Kunst und Altertum*“ (sztuka i starożytność), któróm tak wspaniale kierował, wypowiedział on „dla młodych poetów“ przestrogi, w których trzeba tylko zmienić nazwę „młodszych mężów“, ażeby oznaczyć to, czego brakuje pewnemu odłamowi naszéj literatury. „Język niemiecki stanął na tak wysokim stopniu wyrobienia, że każdemu“ (który zabiera się poważnie do pracy pisarskiéj), „danóm jest, zgodnie z przedmiotem i uczuciem, wyrazić się szczęśliwie zarówno w prozie, jak i w rytmach i rymach. Stąd więc wypada, że każdy“ (który raz obrał sobie powołanie pisarza) „czuje się przyniewolonym do wypowiadania swoich myśli i sądów, swoich wiadomości i uczuć z pewnego rodzaju łatwością. Dla człowieka jednak“, którym raz opanował nałóg nieustannego szafowania nowemi utworami, „będzie rzeczą trudną, a może i niemożliwą pojąć, iż przez to w wyższém znaczeniu zrobiono jeszcze mało. Poetyczna treść jest treścią własnego naszego życia: téj nie może nam dać nikt, może nam ją chyba kto zaciemnić, ale nie zepsuć“. Wypowiedziana tutaj przestroga uzupełni się jeszcze i wyjaśni, jeżeli przypomnimy sobie naganę Goethego, skierowaną przeciwko poezyi Uhlanda, która nam przecież wszystkim jest tak drogą od wielu dziesięcioleci. W poezyi Uhlanda Goethe dostrzegał brak tego, co jest wielkie, co włada losami ludzkiemi. Tylko ten, kto podzielił i odczuł w sobie szczęście i niedolę ludzkości a siłą własnego ducha i umysłu, wśród natarcia wewnętrznych namiętności i napaści zewnętrznych, wywalczył sobie wewnętrzną swobodę, tylko ten na najwyższym stopniu swéj godności poetyckiéj może wstrząsać i kształcić swój naród. Nasze sprawy literackie znajdują się w jaknajbardziéj rażącéj sprzeczności z tém wymaganiem, bo nawet u lepszych poetów niebezpiecznie współdziała czynnik chlebowy i rzemieślniczy. Ryszard Wagner określił to raz trafnie: Bóg, powiada on, dał nam poezyę i muzykę, a dyabeł zrobił z tego handel książkowy i koncerty. Omawiając „Wilhelma Meistra“, Fryderyk Schlegel powiada w pe-

wném miejscu, że prawdziwy poeta może w każdym okresie swego życia napisać tylko jeden romans; przez doświadczenie życiowe i sercowe musi on sam stać się naprzód innym człowiekiem, zanim nanowo rozwinie obraz życia. Kto dziś jako poeta nie chce się stać nienowoczesnym, musi na każde Boże Narodzenie wygotować jakiś romans. Keller i Scheffel okazali swą wielkość artystyczną i pod tym względem, że wbrew wszelkim przynętom, nie dali się nigdy nakłonić do panującéj produkcyi fabrycznéj. Wiem bardzo dobrze, że istnieli wielcy artyści, którzy wzbudzają także podziw liczbą swoich dzieł; wszelako nawet tak zapalony wielbiciel Lope de Vegi, jaki Grillparzer, ubolewał nad tym pośpiechem w tworzeniu; a przecież nie każdy wielopis może co do uzdolnienia równać się zaraz z Lope de Vegą lub ze starszym Dumasem. Zresztą, prawdziwy stan rzeczy da się określić znacznie prościéj i trafniéj: Dzisiaj nie panuje już literatura nad rynkiem książkowym, lecz rynek książkowy nad literaturą. Haniebnéj i zupełnéj zależności czytelników od pogrążonéj w nieuctwie krytyki stronniczéj, odpowiada mania naśladowcza przeciętnéj masy naszych pisarzów.

Nie potrzeba być ślepym na grzechy i słabości naturalizmu, ażeby w jego wymaganiach odnaleść niejeden punkt słuszny. Jużciż wypada przytém rozróżniać. Wolfgang Kirchbach, najwybitniejszy z pośród młodszych krytyków, którego „Księga życia“ (*Lebensbuch. Gesammelte kleinere schriften, Reisegedanken und Zeitideen.* Mnichów i Lipsk 1886), jako bogata w treść praca, zasługuje bodaj na większe rozpowszechnienie, aniżeli którykolwiek z podobnych zbiorów ostatniego dziesięciolecia, Kirchbach tedy, kierując wydawnictwem „*Magazin für die Litteratur des In- und Auslandes*“, rozprawiał się niejednokrotnie z młodszą szkołą, do któréj jego samego zaliczano. Wydaje mi się, że jego artykuł p. t. „Realizm, idealizm, naturalizm w obecnych literaturach europejskich“ (r. 1888 Nr. 44), o ile mi jest znaną literatura polemiczna o tych kwestyach, uchwycił istotę rzeczy najlepiéj. Do wiernego odtworzenia rzeczywistości (tak można zapewne najlepiéj przetłómaczyć termin „naturalizm“) zawsze dążono w poezyi. Goethe nauczył się od Homera widzieć otaczającą zwyczajną rzeczywistość i przedstawiać ją w swojéj poezyi. Ben Jonson a po nim komedyopisarze z doby restauracyi starali się również, jak niegdyś Menander i Plautus, odzwierciedlić wiernie społeczeństwo swoich czasów; pomimo to wszakże najbardziéj nawet zdecydowani naturaliści przyznają pierwszeństwo idealistycznéj, zupełnie w rzeczywistości niemożliwéj komedyi Szekspira. Samo tylko mniéj lub więcéj dokładne naśladowanie rzeczywistości nie może rozstrzygać

o wartości lub bezwartości poetycznéj, w takim bowiem razie fotografia sama przez się musiałaby zupełnie konsekwentnie otrzymać pierwszeństwo przed malowidłem. Wszak dobra fotografia z zupełną wiernością naturze oddaje rzeczywisty wygląd człowieka w pewnéj chwili, malarz zaś portretowy stara się wybiedz po za chwilowy wyraz oblicza, zmieniający się razem ze zmianą usposobienia, i utrwalić na płótnie charakter, wewnętrzną istotę człowieka. Malarz, choćby był jeszcze w znacznym stopniu impresyonistą, nie bywa nigdy tak naturalistycznym, jak mechaniczne odbicie fotograficzne. Do tego jednak dołącza się jeszcze inny moment: artysta, na jakiémkolwiek pracowałby polu, może oddać z natury tylko pewien, formą swojéj sztuki ograniczony odłam życia. Zestawia on pojedyncze spostrzeżenia, które porobił na czasowo i miejscowo oddzielonych od siebie zjawiskach. Chociażby każde spostrzeżenie pojedyncze było jaknajzgodniejsze z naturą, przy układaniu całości musi artysta porządkować idealistycznie, t. j. podług zasad artystycznych, a nie rzeczowych. Tylko z tego punktu widzenia potrzeba rozpatrywać romanse Zoli. Poezya doświadczalna,—jedno z pism teoretycznych Zoli nosi przecież tytuł: „*Le roman expérimental*“,—jeżeli ma pozostać poezyą, stanie zawsze na takim punkcie, na ktorym wolne zmyślenie musi przyjść z pomocą spostrzeganiu natury. Różnica pomiędzy nowszą literaturą naturalistyczną a literaturą dawniejszą nie jest tak bezwzględna, jak twierdzi. nowsza szkoła. Za zasadą, że sztuka winna naśladować naturę, obstawali po wsze czasy zwolennicy najrozmaitszych kierunków; z tego powodu przytoczyłem wyżéj cytatę z poetyki krytycznéj Gottscheda. Feliks Dahn dla swoich jasnowłosych staro-germańskich bohatérów-młodzieńców, rości sobie prawo do takiéj saméj wierności naturze, jak i Kretzer dla swych berlińskich postaci robotniczych. Krytyka może mieć zupełną słuszność, przyznając tylko tym ostatnim życie realne. Kwestya sporna jednak pomiędzy starymi a młodymi brzmi nie tak: czy powinniśmy naśladować naturę lub nie? lecz: jak się trzeba zapatrywać na naturę i naśladować ją? Jak w czasach rozmaitych o pięknie i brzydocie w saméj naturze sądzono rozmaicie [1]), podobnie jedno pokolenie widzi w życiu takie zjawiska, których pokolenie poprzednie nie zauważyło.

Jeszcze Winkelmann, wielki założyciel dziejów sztuki starożytnéj, uważał wysokie góry za coś brzydkiego; takiemu pojmowaniu odpowiada sposób malowania krajobrazów u takich ludzi, jak: Thom-

---

[1]) Por. Alfred Biese, „Die Entwickelung des Naturgefühls im Mittelalter und in der Neuzeit.“ Lipsk, 1888.

son, Brockes, Ewald von Kleist. J. J. Rousseau odkrył wspaniałość Alp. Mamyż więc powiedzieć, że dawniejsi malarze natury nie posiadali żadnego zmysłu dla prawdy naturalnéj, ponieważ mniemali, że tylko równiny i łagodne pagórki nadają się do opisu poetycznego? Albo bliższy przykład: w oczach naszych naturalistów Schiller w swoich tragedyach jambicznych oddalił się niezmiernie od naśladowania natury i prawdy naturalnéj. Tymczasem ludziom, współczesnym Schillerowi, wydawało się, że w „Maryi Stuart“ naturalizm jest posunięty za daleko; podług nich, brutalno-zwierzęca natura Mortimera bezcześci to poważne dzieło sztuki. O niemożliwości dramatycznych bohatérów Wiktora Hugo dzisiaj panuje chyba tylko głos jeden: zdaje nam się, że we wszystkich słowach i czynach uchybiają oni prawdzie naturalnéj. Tymczasem obrońcom dawnego klasycyzmu około roku 1830-go „Hernani“ i „Ruy Blas“ wydawały się grubo naturalistycznemi.

Nie jestem sceptykiem estetycznym, któryby temi przykładami chciał dowieść, że właśnie wszystko jest tylko rzeczą zmieniającego się smaku; owszem, chciałbym wszystkim stronnictwom przywieść upomnienie, z jakiém Mefistofeles zwraca się do zuchwałego Bakałarza: „Nie rządźcie się jeno absolutnie!“ Zawzięta walka, w którą się uwikłały w Niemczech starszy i młodszy kierunek, mogłaby być prowadzona z mniejszą zapalczywością a większym pożytkiem, gdyby po obu stronach chciano zasięgnąć rady historyi. Naturalizm nie jest ani jakąś nową, dopiéro wynurzającą się nauką zbawienia, ani ruiną poezyi. Wymaganie, ażeby w literaturze znalazły wyraz wyniki nowszego przyrodoznawstwa i zajmujące nas wszystkich kwestye społeczne, jest całkowicie usprawiedliwione. Co innego znowu, jeżeli zagorzalcy naturalistyczni chcą wygubić romans historyczny, ponieważ Zola i Dostojewskij wcale romansów historycznych nie pisali, i chcą przyznać znaczenie tylko nowoczesnemu dramatowi społecznemu, ponieważ w ostatnich latach Ibsen nie zapożyczał już dla swoich utworów materyału z podań i historyi, jak dawniéj. Wybitny kierunek narodowy, duma z naszego germańskiego charakteru i dziejów, jak ją przedstawiają w romansie Dahn, w dramacie Wildenbruch, odpowiada pewnemu rysowi naszego najnowszego rozwoju i najnowszym wymaganiom tak samo, jak i poetyczne obrobienie stosunków społecznych i darwinizmu. Tymczasem przecież i naturaliści zwrócili się do poezyi historycznéj, Wallroth do powieści rzymskiéj, Bleibtreu i Alberti do dramatu historycznego, jak z drugiéj strony Wildenbruch w „Dzierlatce“ (*Haubenlerche*) postawił przeciwko sobie fabrykanta i dziewczynę robotniczą. Tylko teraźniejsza forma, nie zaś istota

kwestyi jest właściwą teraźniejszéj Europie zachodniéj. Rokosze niewolników rzymskich, średniowieczne rozruchy chłopskie w Anglii i Francyi, niemiecka wojna chłopska XVI-go stulecia stoją w tym samym rzędzie, co i paryska bitwa czerwcowa i komuna. Obrabiając czasy minione, poeta może dotknąć także nowoczesnéj kwestyi robotniczéj. W saméj zaś historyi wzbudzają teraz nasze zaciekawienie takie kwestye, na które dawniéj w ogóle nie zważano. Dla pokolenia, które wyrosło po roku 1870-ym, poeta nie może mierzyć rzeczy tą samą podziałką, którą sobie wystrugał w okresie reakcyjnym po roku 1848-ym. Historye miłosne budzą rzeczywiście teraz współczucie tylko w młodych panienkach. Nie sądzę jednak, ażeby kelnerki i dziewki, przedstawiane przez Conrada i Bleubtreua, wyczerpywały zadanie „poety doświadczalnego.“ Panowie, którzy mniemają, że przez naśladowanie Sardou, Zoli i Strindberga mogą stworzyć niemiecką literaturę społeczną, są w gruncie rzeczy również naiwni, jak dobroduszni poeci XVIII-go stulecia, którym się zdawało, że przez niewolnicze naśladowanie Anakreonta i Horacego wytworzą poezyą niemiecką, godną stanąć obok poezyi starożytnéj. Odprawa, dana temu małpowaniu przez Herdera, byłaby zapewne w nowoczesném opracowaniu na miejscu. Wyznaję, że w tym ruchu naturalistycznym, około którego obraca się przecież cały interes literacki, najsmutniejszém jest dla mnie to, iż znowu oddaliśmy się w zależność od zagranicy, zależność, która była nieuniknioną w wieku XVII-ym i XVIII-ym, któréj jednak niepodobna usprawiedliwić w pięćdziesiąt lat po śmierci Goethego. My wśród żyjących nie mamy ani jednego powieściopisarza, któryby się mógł mierzyć z Zolą, Kraszewskim, Dostojewskim; ani jednego dramaturga, któryby na scenie osiągał tak pewny skutek, jak Ibsen. Lecz cóż to za przewrotność, jeżeli ktoś sądzi, że przez porzucenie całkowite właściwości narodowych potrafi się zrównać z mistrzami obcymi!

Dzieje literatury są od ich początków dziejami literatury porównawczemi [1]. Różne rodzaje treści i formy sięgały po wszystkie czasy swoim wpływem po za granice językowe. Gdyby nawet było możliwém, co faktycznie jest niemożliwém, żeby się jakaś literatura usadowiła na izolującym stoliku narodowym, to dla saméj takiéj literatury byłoby to największém nieszczęściem. Poezya, podobnież jak i sam naród, może się rozwijać tylko przy zachęcającém współzawodnictwie z innemi. Tym sposobem i my, Niemcy, powinniśmy i musimy

---

[1] „Zeitschrift für vergleichende Litteraturgeschichte. Begründet und herausgegeben von Max Koch.“ Berlin, druk i nakład A. Haack'a, 1886 — 1891.

uczyć się od innych. Lecz właśnie wielkie dzieła literackie, należące do literatury wszechświatowéj, poeci, ku którym biją serca wszystkich narodów,—stoją na takiéj wyżynie dlatego, że swemi korzeniami tkwią w gruncie swojéj narodowości. Nie międzynarodowa bezbarwność, lecz tylko wybitne właściwości narodowe zapewniają im międzynarodowe uznanie. Mickiewicz stworzył swego Gustawa nie bez wpływu Werthera Goethego, lecz stworzył on dzieło narodowe, a nie naśladowanie powieści niemieckiéj. Zoliści niemieccy nie pomyślą o tém, że wybitne właściwości francuskie Zoli stanowią pewną, i to nie najdrobniejszą część jego sztuki, i wyjaśniają wpływ jego. Zola po wszystkie czasy kładł nacisk na swoję zależność od Balzaka. Ja w literaturze niemieckiéj nie umiałbym wymienić zjawiska, któreby tylko w przybliżeniu było pokrewne Balzakowi. Chociaż nam więc zbywa na podobnym uprzednim warunku literackim, chociaż nic nie możemy postawić obok zupełnie konsekwentnego rozwoju francuskiego: Balzac—Flaubert—Zola, to jednak chcemy sobie bez dalszych zachodów naśladować Zolę. Goethe zrobił pewnego razu swoim kochanym rodakom zarzut, że, jeżeli się im pokaże kwiatek, to pierwszém ich pytaniem jest: czy mogą go naśladować? Pewnéj części naszych pisarzów pytanie takie wydaje się zbytecznem: naśladują oni, nie zapytując się, czego mogą żądać czytelnicy.

Jakkolwiek przy ogromnéj jeszcze różnicy pomiędzy francuskiemi a niemieckiemi obyczajami i poglądami na życie, musimy zganić stanowczo bezpośrednie naśladowanie utworów poetycznych, które powstały na podstawie życia narodowego, to przecież domaganie się ze strony naturalistów poezyi, któraby odzwierciadlała w sobie stosunki społeczne, wydaje się uzasadnioném. Od czasów Diderota i Lessinga starano się temu wymaganiu nadać znaczenie w literaturze. Zaczęto więc pod wodzą Lessinga, od połowy przeszłego stulecia, przeciwstawiać pańskiéj tragedyi dramat mieszczański; okres burzy i zapędów dał początki całkiem społecznemu dramatowi, którym przy rozbiorze dramatu nowoczesnego zajmiemy się jeszcze bliżéj.

Romans starał się od czasu do czasu odźwierciadlać coraz wyraźniéj stosunki społeczne. Również oddawna już rozpowszechnioném jest żądanie, ażeby studya przyrodnicze wyzyskiwać dla poezyi. Jeżeli kto chce, to pierwszy pochop do tego da się odnaleść już w elegii Schillera „Bogowie Grecyi.“ Czyż z pozbawionéj bóstwa przyrody nie da się wyciągnąć żadna nowa strona poetyczna?

W początkach tego wieku Goethe układał sobie w myśli wielki poemat natury, niby odpowiednik do Lukrecyuszowskiego *De rerum natura*, w którym, jako badacz natury, chciał połączyć umiejętność

i poezyą. Dwa poematy: „Metamorfoza roślin“ i „Metamorfoza zwierząt“ każą nam tém mocniéj żałować, że wielki ten plan spełzł na niczém. Najgorliwiéj, choć z bardzo nierównném powodzeniem estetyczném Jordan starał się wprowadzić do poezyi darwinizm. Już jego „Fantazye ziemskie“ (*Irdische Phantasien*, 1842) służą do tych samych celów poetyczno-naukowych, których późniéj bronił znowu w „Modlitwach“ (*Andachten*, 1877), „Strofach i sztabach“ [1]) (*Strophen und Stäbe*, 1871). Jordan wspomina np. we wstępnych wierszach, jak dawniéj zakochany poeta opiewał czysty, niepokalany księżyc, ażeby nas pouczyć, co to za brzydką ciemną masą metalową i kamienistą jest owa pozornie tylko świécąca pani Luna. Nad przyrodoznawczém tém objaśnieniem księżyca chciałoby się położyć napis: „Pieśń obelżywa przeciwko księżycowi.“ Jeszcze gorzéj spożytkował Jordan w poezyi ideę doboru naturalnego; jak w powieści, tak i w epoce Darwin zaprowadził go do rzeczy, obrażających smak najgrubiéj. Kirchbach, który przez sojusz z przyrodoznawstwem chce uzyskać dla poezyi nową siłę żywotną i nowe znaczenie, w romansie tendencyjnym odważył się właśnie niedawno na próbę praktyczną, która, naturalnie, wypadła źle. Zmyślenia geograficzne Juliusza Verne'a bywają czytywane także w przekładach niemieckich i przedstawiane na niemieckich scenach, choć przytém jakichś własnych, godnych wyszczególnienia prób nie wywołują. Za to hrabia Schack w wierszach swego romansu komicznego p. t. „Przez wszystkie pogody“ (*Durch alle Wetter*) spożytkował dla humorystyki nadzwyczaj zręcznie szybkość nowoczesnych środków komunikacyjnych. Do inwentarza nowoczesnych sztuk salonowych jest już wpisany telefon.

Lwia część w literaturze nowoczesnéj przypada opowiadaniu prozaicznemu, romansowi i noweli. Sam romans, po odliczeniu pewnych gatunków przejściowych, da się dosyć wyraźnie podzielić na romans historyczny i nowoczesny romans obyczajowy; w noweli te formy przejściowe są daleko częstsze, zaciérają one tu i owdzie oba gatunki, jak z drugiéj strony różnica pomiędzy romansem a nowelą w niektórych razach nie da się ściśle utrzymać. Następnie w drugim rozdziale naszych uwag opowiadaniu prozaicznemu przeciwstawiamy opowiadanie w formie metrycznéj, a więc epikę, przyczém łączymy pomiędzy sobą epikę i lirykę. Heyse i inni pisali „nowele w wierszach“, tym sposobem więc nawet pod względem formalnym opowiadanie prozaiczne i epiczne przedstawienie metryczne przechodzą jedno

---

[1]) Nazwa osobliwego rodzaju zwrotek staro-niemieckich, w których występowała alliteracya, czyli rym początkowy (*Stabreim*). Przyp. tłom.

w drugie, jak niegdyś sama nowela wyłoniła się z rymowanych *contes* i *fabliaux*. W rozdziale trzecim mamy się zająć literaturą dramatyczną i teatrem, które-to dwie rzeczy już przecie oddawna nie przystają do siebie wzajemnie; co się tyczy okoliczności, że operę nowoczesną rozpatruję jako należącą do literatury dramatycznéj, to usprawiedliwia się ona stanowiskiem, jakie dramata muzyczne Ryszarda Wagnera zajmują w życiu artystycznêm ostatnich dziesięcioleci. Jeszcze raz jednak chciałbym powtórzyć, że nie myślę o wyliczaniu imion i dzieł; wybieram z całéj masy pojedyncze zjawiska, ażeby na nich objaśnić przebieg rozwoju teraźniejszéj literatury niemieckiéj. Przytém wsteczny rzut oka na utwory dawniejsze ograniczam nie latami, lecz trwającym jeszcze wpływem samych dzieł.

(*D. c. n.*) *Dr. Max Koch.*





DAWNA PIOSNKA.

(Dokończenie).

IV.

Nazajutrz rano cztery głowy pilnie układały plany swéj dalszéj i bliższéj przyszłości.

Kotnicki ciągnąc po polach zaspanego i zadąsanego Ciorkiewicza, rozmyślał co powié pani Jodowskiéj, by ją przekonać, że o małżeństwie nie myśli wcale, a daléj czy téż z Anielki będzie „porządny człowiek". Dzielił bowiem ludzi na trzy kategorye 1) dwunożnych, 2) ludzi, 3) porządnych ludzi, uznawał téż gatunki pośrednie.

W Kalinowéj Anielka daremnie starała się uporządkować chaos myśli wywołany rozmową z aptekarzem. Pragnęłaby stać się pożyteczną. Ale jak? Uczyłaby się z chęcią. Czego? Trzeba będzie pewnie wyjechać z Kalinowéj. Gdzie? Co powié ciocia?

— Ja chyba oszaleję mówiła. Co téż ze mnie będzie? I strach i ciekawość walczyły w niéj gdy myślała o przyszłości.

Pani Ewa zaś w lustrze przyjrzała się sobie owego rana bardzo uważnie. Jużcić nie zbrzydła, a jednak zdawało się jéj, że wielki człowiek przestał myśléć o niéj wyłącznie. Może myliła się, może przeciwnie: bojąc się samego siebie, unika jéj. Wyraźny afekt Grąbskiego pochlebiałby jéj, ale i zawadzał zarazem. Trzebaby go wyprawić z Kalinowéj, a ten dramat, który miał u niéj napisać? Jakoś pióro leżało dotąd nietknięte. Po wyjeździe Grąbskiego musiałaby znowu wynaleść sobie nową zabawkę, no! zawcześnie jeszcze myśléć o tém. Przedewszystkiém trzeba zbadać co literatowi humor psuje. Anielka nie chciała wyjść za Kotnickiego, Grąbski zbaczał z drogi— fatalne lato!

Gdy weszła do jadalnego pokoju, znalazła tu Anielkę, nalewającą kawę Grąbskiemu. Wielki człowiek lekko naprzód pochylony, uśmiechał się i coś mówił półgłosem. Dziewczyna drgnęła i zarumieniła się na widok ciotki. Te nieszczęsne rumieńce, które nie wiadomo po co, co chwila występowały, narażały ją zawsze na przeróżne domysły i docinki otaczających. Ot i teraz! dla czegoż zaczerwieniła się? Nalewając gościowi kawę, spełniala tylko swój obowiązek, a że Grąbski, zaproponował wtajemniczyć ją w arkana gry w szachy, w tém też nic złego nie było. Gość wprawdzie umiał i głosem i sposobem wyrażania się nadawać rozmaite znaczenia swoim słowom. Gdy np. mówił teraz o partyi szachów, możnaby sądzić, że od niéj zawisła przynajmniéj połowa jego doczesnego szczęścia.

Wielki człowiek mało spał téj nocy, poranek nie przyniósł mu też żadnéj pociechy, nienawiść do Kotnickiego wrzała daléj i wywołała niezłomne postanowienie zemsty nad kolegą. Jeżeliby *on* myślał o Anielce, Grąbski był gotów nawet ożenić się z nią, jakkolwiek dotąd środki materyalne oddalały od niego wszelkie matrymonialne zamiary, témbardziéj, gdy chodziło o bezposażną pannę.

Grąbski podczas śniadania poświęcił się wyłącznie rozmowie z panią Ewą. Jakkolwiek na teraz Anielka głównie go obchodziła jako broń zemsty, rozumiał dobrze, że nie należało palić za sobą mostów, a wreszcie przykro mu było z szarmanta pani Ewy stać się jedynie jéj zwykłym gościem. Żal mu było tych rozmów, w których z równą biegłością z sobą walczyli. Każde pragnęło jaknajwięcéj uzyskać, a dać jak najmniéj. Lecz w téj walce kokietki z bałamutem, pierwsza zwyciężała zawsze. Grąbski zbyt łatwo ulegał wejrzeniu pięknych oczu, pani Ewa zaś ulegała tylko własnéj woli. Bawił ją. Posiadał między innemi dwie umiejętności: umiał mówić i słuchać. W tém właśnie leżała przyczyna powodzenia u płci pięknéj. Potrafił wmówić w każdą, że jest jéj najlepszym przyjacielem i kobiéty zwierzały mu się chętnie z tych nieokreślonych melancholii, nieokreślonych pragnień, werterowskich smutków, rosnących bujnie w atmosferze salonów wielkich miast.

— Martwiło mnie wczoraj pańskie grobowe milczenie — zauważyła pani Ewa.—W czém zawiniła panu Kalinowa.

— Ależ pani, mnie tak jak w raju — zawołał literat, rzucając na Anielkę ukośne spojrzenie.

— W raju nie ma smutków — uśmiechnęła się.

— Tak, lecz ludzie przynoszą je z sobą nawet do raju. Zresztą, *c'est dans les régions de l'invisible que se passent les événements heureux ou malheureux de notre vie*, powiedział jakiś Francuz.

Pani Ewa powtórzyła zdanie.

— Jaka to prawda! — zawołała. — Musi mi pan to napisać. Anielko, przynieś mi moją szkatułkę.

Siostrzenica powróciła po chwili, niosąc małe hebanowe pudełko wybite ponsowym atłasem; w szkatułce znajdowały się dwa bogato i gustownie oprawne notesy. Jeden z nich pani Ewa otworzyła, wyjęła z kościanéj rzeźbionéj okładki kartkę brystolu i podała ją Grąbskiemu. W okładce znajdowało się jeszcze wiele białych i kilka zapisanych kartek. Na jednéj widniały grube litery angielskiego zdania „*let us eat, drink and be merry, for to morrow we die*“ z tłómaczeniem polskiém. „Jedzmy, pijmy i używajmy, bo jutro śmierć nas zabierze“. Pani Ewa skrzywiła się odczytując je. Na innéj napisane fiołkowym atramentem: *L'amour a été donne à l'homme pour qu 'il ait la mesure de ce qu 'il peut souffrir.* Pani Ewa westchnęła. Napisał to był poczciwy Staś, ten kochał się w niéj dotąd pono.

Pod każdym aforyzmem umieszczona była data i podpis lub tylko pierwsza litera piszącego.

— Pani zbiéra aforyzmy? — zapytał Grąbski.

— Ot! czasami. Pewnie nazwie pan mój gust parafiańszczyzną.

Literat nie zaprzeczył słowem. Dość mu było wymownie spojrzéć, by rozwiać w umyśle pani Ewy jéj podejrzenie.

— Czy mogę prosić jeszcze o jedną kartkę.

— I owszem.

Schował obiedwie do pugilaresu.

— Oddam je zapisane — wyrzekł.

— Spotkał mnie dzisiaj zaszczyt wielki — zaczął — panna Aniela mianowała mnie swoim nauczycielem... gry w szachy.

— Nie boisz się już pana Grąbskiego, Anielko? — spytała ciocia.

To pytanie zabolało dziewczynę. Traktują mnie jak dzieciaka, pomyślała. Moja w tém wina. Jestem tu rezydentką, ale poczekajcie! nie długo zobaczycie co ze mnie będzie.

Tymczasem przeszła do salonu i według wskazówek literata ustawiła szachy.

— Umiem grać w warcaby — pochwaliła się.

Grąbski byłby z nią grał nawet w loteryjkę, gra była dla niego pretekstem do gawędy.

Korzystając z chwili, w któréj pani Ewa wyszła była z salonu, wyjął z kieszeni jakiś drobny, płaski przedmiot, zawinięty w papiér.

— Czy pani wié, co tu jest? — zapytał.

Anielka nie wiedziała.

— Jakiś anioł zapewne rzucił mi do pokoju różę — zaczął i urwał na widok wchodzącéj gospodyni.

— Piony biją w bok, panno Anielo — dokończył.

— Tak, bardzo dobrze — pochwalił ją znów — ponieważ jest to próbna partya, proszę mi powiedzieć, dla czego postawiła pani tutaj konia.

— Bronię laufra — odparła.

— Doskonale. Ja teraz podstawiam piona, a pani?

Pani Ewa wyszła powtórnie.

— Kotnicki niegdyś bardzo źle grał w szachy — oznajmił.

— Doprawdy!—Anielkę cieszyła zda się ta wiadomość.

Co prawda jak Kotnicki grał w szachy, to wcale jéj nie obchodziło, cieszyło ją to, że grać z nią zapewne będzie, i ze zdwojoną uwagą słuchała nauk literata.

— Pani oddawna zna Kotnickiego?

— Od trzech lat, to... to nadzwyczaj rozumny człowiek, najrozumniejszy z ludzi — dodała z entuzyazmem.

Grąbski zatrząsł się.

— Jednooki króluje wśród ślepych — odparł chłodno.

— A jakto! A cóż pan mu zarzucić może — spytała z oburzeniem.

— O nic! — odrzekł — znam tylko rozumniejszych od niego.

Pani Ewa pomyślałaby zapewne, że Grąbski siebie stawiał w rzędzie owych rozumniejszych, lecz Anielka przyznała mu słuszność.

— Pewnie; gdyby był najrozumniejszym, nie zostałby aptekarzem — zauważyła naiwnie.

Grąbski roześmiał się.

— Bardzo słuszna uwaga. Aptekarstwo potrzebne, ani słowa; lecz wystarczyć nie może szerokiéj inteligencyi.

Anielka postanowiła w duchu spytać Kotnickiego, dla czego też wybrał tak mało pociągające zajęcie. W jéj oczach kręcenie pigułek było jedynym jego grzechem.

— Jeżeli nie jest najrozumniejszym, jest z pewnością najlepszym — zawyrokowała gorąco.

— Szczęśliwy ten Kotnicki!— westchnął Grąbski. — O gdybym był na jego miejscu...

— On szczęśliwy!—nieopatrznie zawołała, lecz urwała natychmiast. Wszak sama prosiła była aptekarza, by ich rozmowy nie powtarzał i ją też obowiązywała tajemnica.

Żywa ciekawość zabłysła w oczach literata.

— Dla czegożby nie? — spytał. — Ma pani sympatyę...

— O gdyby moja sympatya przydać mu się mogła, skakałabym z radości.

— Typowa! nieoszacowana naiwność—pomyślał Grąbski. Tylko na wsi takie znaleść można. Z nią gra pójdzie łatwo.

— Widzę, że panią bardzo obchodzi Kotnicki?

— Bardzo — odparła, potakując głową.

— A ja? — spytał.

— Pan? — Anielka nie wiedziała co ma na to odpowiedzieć.

— Wszyscy moi bliźni mnie obchodzą — odparła sentencyonalnie.

— A ta róża?

Anielka spojrzała na niego z takiém zdziwieniem, że Grąbski natychmiast pożałował swego pytania.

— Dla czego on ciągle tę różę wspomina? — pomyślała. Przyszła jéj na myśl mowa kwiatów i wtedy naturalnie zarumieniła się jak mogła najsilniéj. Boże, co ona zrobiła! Łzy zabłysły w jéj oczach. Cóż mu powiedziéć?

Grąbski tymczasem wziął zawiniętą różę i schował ją znowu.

— Jeżeli ta róża — szepnął — gniewa panią, nigdy już o niéj nie wspomnę, ale téż nigdy z nią się nie rozstanę.

Ta konkluzya zmieszała ją jeszcze więcéj. Doprawdy, od paru dni dziwne się działy rzeczy. Grąbski, który z początku ani na nią spojrzał, teraz... nie mogła wierzyć własnym uszom.

— Będzie to pamiątka po mojéj pierwszéj uczenicy — poprawił się po chwili.

Anielka ochłonęła trochę po tych słowach, i w milczeniu posunęła królowę.

Lecz odtąd daremnie zapytywał ją Grąbski, dla czego poruszyła daną figurę. Bawiło go jéj roztargnienie.

— Jaka pani zdolna — zdziwił się wreszcie. — Gra w szachy jest dobrym probierzem inteligencyi i charakteru.

— Ależ panie Grąbski, ja zaledwie nauczyłam się ruchu figur.

— Jestem pewien, że za parę dni dostanę mata od pani.

Komplementa wydawały mu się najlepszemi przewodnikami do kobiecéj sympatyi.

— Jabym tak pragnęła być zdolną— westchnęła.—Inaczéj, jakże sobie poradzę na świecie.

— Dalibóg wsadzę ją do komedyi — pomyślał literat.

— Świat stoi przed panią otworem. Czy pani pisze pamiętnik?— zapytał.

— Nie...

— A! szkoda. Niech go pani zacznie pisać dzisiaj.

Jéj pamiętnik byłby dla niego nieoszacowanym dokumentem.

— Nie, dzisiaj jeszcze nie mam co pisać, ale za parę tygodni może zacznę pisać — odparła z tajemniczym uśmiechem.

— O! będzie to jakaś ważna chwila w życiu pani.

— Tak, najważniejsza dotąd — odparła.

Zaintrygowała Grąbskiego. Lecz dla panny na wydaniu może być tylko jedna ważna chwila, rozumował, chwila oświadczyn. Cóż u licha! Czyżby Kotnicki miał wkrótce urzędownie wystąpić w roli narzeczonego Anielki.

— Byłoby niedyskrecyą z mojéj strony zapytać, co nastąpi za parę tygodni, ośmielę się więc tylko dodać: Czy *post factum* zaspokoi pani moją ciekawość?

— Dla czegożby nie. Ale teraz ani słowa o tém nie powiem.

— Nikomu.

Anielka uśmiechnęła się i przecząco potrząsnęła głową.

Grąbski potrzebował naradzić się z samym sobą jak ma daléj postępować, dla tego téż zadecydował, że dłuższa gra w szachy zmęczyłaby pannę Anielę i poszedł do swego pokoju.

Tutaj przestał się uśmiechać, zrzucił maskę spokoju, ze ściągniętą brwią i spuszczoną głową, nierównym krokiem przebiegał pokój, szybkim ruchem ręki gładząc jasną brodę.

— Trochę zimnéj krwi — szepnął. — Kotnicki mnie zjeździł, jeżeli rzeczywiście zadurzył się w téj małéj tak, jak ona w nim, nie potrafię téj gąski odciągnąć od niego i mogę w dodatku narazić się na śmieszność. Licho mnie tu przyniosło! Ewa ma pyszne oczy, kokietuje mnie, ale czyni to jedynie dla zadowolenia miłości własnéj. Zachciało się jéj flirtacyi z kimś trochę znanym. Kobiéta żyje sercem; ha! serca u nich szukaj. Fantazyą tylko żyją; ja je znam!

Grąbski z goryczą pomyślał, że pomimo widocznego powodzenia w świecie kobiét, żadnéj dotąd nie rozkochał, a najmniéj panią Ewę. Ta gąska może ma serce, ale nie dla niego ono zabiło.

I zdjął go żal nad sobą, że nie miał nikogo serdecznie sobie oddanego. Najbliższym może był mu ów krytyk z „Gońca", lecz czuł, że ta zażyłość nie dałaby mu w obecnéj chwili żadnéj pociechy. Sława jego świéciła, ale nie grzała, ludzie zwabieni jéj blaskiém, kręcili się koło niego, lecz gdyby ona zgasła, ktoby przy nim pozostał? Wszystkie przykre chwile jego życia stanęły mu w pamięci. Początki literackiéj karyery szły ciężko, pomimo protekcyi wuja. Ileż rozdał ukłonów, ileż nieraz użył drobnych podstępów, by otrzymać zajęcia, które mu teraz we względnéj wygodzie żyć pozwoliły. Wszystko to robił dla chleba! O twarde życie! Kotnickiemu łatwo było iść swoją drogą, miał o co zaczepić ręce, lecz gdyby go puszczono

w świat bez grosza przy duszy... Grąbski przeczuwał, że nic wpłynąćby nie mogło na zmianę jego postępowania. Żelazny charakter! Nie cierpiał go, lecz szanował wbrew woli nieledwie. Szanował go i zazdrościł mu hardego karku i jasnego czoła. Nie potrzebował już pytać o czyny tego człowieka.

Aptekarz po prostu żył dla drugich, a maluczki był mu najdroższym bo był i najbiedniejszym. Grąbski dziecinnie zapragnął powrotu do dawnych lat, byłby może poszedł inną drogą. Wrócić się nie mógł; wrócić, czyli zacząć żyć innem życiem, zerwać wszystkie drobne nitki przyzwyczajeń i silniejsze nałogów, sam nie dokonałby tego nigdy. On miałby wycofać się z téj siatki towarzyskiéj, w któréj znał już każde oczko nieledwie, wyjść z téj wyperfumowanéj, sztucznéj atmosfery, do któréj tak przywykł. Sił by mu nie stało. Wreszcie na progu tego nowego życia czekałyby go dwie nienawistne mary upokorzenia (czynem przyznawałby słuszność Kotnickiemu) i niedostatek, bo z czegóżby żył? Pisma przeciwne poglądami „Gońcowi“ i „Wieści“ krytykowały go nieraz. Jakiego doznałby tam przyjęcia? A wreszcie czy jego dowcipne, lecz lekkie pióro potrafiłoby dostroić się do wojowniczych tonów, które w nich brzmiały. Walka nie była jego żywiołem. Musiał pozostać tém, czém był dotąd. Lecz Kotnicki przekona się jeszcze, że z „ulubieńcem dam“ nie dobrze jest zadziérać. Teraz śledzić go będzie i skorzysta ze sposobności.

Obrażona miłość własna znów zapanowała nad innemi uczuciami i tak go zaślepiła, że nie przyszło mu na myśl pytanie: Za co mścić się będzie?

Jeżeli nie zerwie jego małżeństwa z Anielką, napisze dramat, który jednogłośnie musi być pochwalony, nawet przez tych pseudo-postępowców; napisze i w kąt zapędzi resztę kolegów po piórze, i on, Karol Grąbski, zabłyśnie jedyny w literaturze, jak słońce jedyne na niebie.

Uspokojony nieco tą nadzieją, rozchmurzył czoło. Złość dodawała mu energii.

— Cierpliwości! cierpliwości! — powtarzał.

Postanowił zabawić w Kalinowéj do końca sierpnia i nie tracić fantazyi przez tego przeklętego aptekarza.

— Zresztą, co mnie jego zdanie obchodzić może! — myślał; a jednak sąd ten obchodził go tak bardzo, że całemi dniami nad zdaniem tém rozmyślał.

Przypomniał sobie aforyzmy pani Ewy.

Usiadł przy biurku i po raz pierwszy umaczał przygotowane srebrne pióro w kryształowym kałamarzu.

Namyślał się chwilę, wreszcie na jednéj kartce napisał.

„Szczerość jest największym zbytkiem moralnym, na jaki ludzie pozwolić sobie mogą...“ Karol Grąbski.

Na drugiéj kartce napisał francuskie zdanie, i poszedł wręczyć obydwa aforyzmy pani Ewie.

Przeczytała je i rzekła:

— *O horror!* Ależ to niemoralne! Szczerość byłaby zbytkiem. Otwartość nie przeczę. Niepodobna mówić wszystkiego, co nam na myśl przyjdzie, lecz szczerość?

— Sprzeciwia się dyplomacyi, w któréj pono kobiéty celują—dokończył.

— Nie przyjęłabym tego aforyzmu za moją dewizę.

— Dla czego? Bogacze mogą pozwolić sobie na wszelkie zbytki.

— W takim razie zwracam panu wiarę trochę zachwianą tą kartką — odparła z uśmiechem.

— Zgińcie me słowa, wstańcie czyny moje — zawołał.

Cytata pięknie brzmiała, lecz trudno byłoby pani Ewie zastosować ją do literata. Jakie czyny? Pani Ewa nie spytała oto i pomyślała, że za szczerość Grąbskiego może nie warto było dać i trzech groszy. A Grąbski wzajemnie przypuszczał, że szczerość pani Ewy nie warta złamanego szeląga.

— Lekcya szachów dobrze poszła? — spytała.

— Doskonale. Lecz nie wiedziałem, że Kotnicki zasłużył na tak gorące uznanie panny Anieli.

— Uznanie? Ależ ta dziewczyna go nie cierpi!

— No jeżeli w ten sposób wyraża się antypatya, pragnę, by mnie wszyscy niecierpieli, zacząwszy od pani.

Pani Ewa pominęła milczeniem to ostatnie życzenie, spojrzała tylko.

— Cóż ona mówiła?

— A pani! Toć to najrozumniejszy i najlepszy z ludzi.

— Nic a nic téj zmiany nie rozumiem. Czyżby tak przedemną udawała? Ale dla czego?

Grąbski także nic nie rozumiał. Zdawało mu się, że ów zbytek moralny, szczerość, był dla Anielki koniecznie do życia potrzebnym. Teraz znowu zastanawiał się czém była, kokietką, dość oryginalną przyznać trzeba, czy téż naiwną.

Przez resztę dnia dwie pary oczów podejrzliwie patrzały na Anielkę.

Dziewczyna od dni paru zamyślała się, uśmiechała się, a w uśmiechu jéj było tyle słodyczy, tyle wdzięku, że Grąbski przyglądał się jéj wtedy z rzetelną przyjemnością znawcy. Pani Ewa i Grąbski, każde z osobna, doszli wreszcie do jednéj konkluzyi, że ostatecznie Kotnicki ożeni się może z Anielką.

— Że ja téż téj dziewczynie wierzyłam? —ganiła samą siebie pani Ewa — *J'enfonçais les portes ouvertes*, chwaląc jéj tego aptekarza. Powierzyła tę wiadomość mężowi, i oboje radowali się nadzieją wydania za mąż siéroty; pani Ewa myślała już o wyprawie, Grąbski zaś życzył Kotnickiemu jakiéj ciężkiéj choroby.

V.

Domniemany narzeczony przybył nazajutrz do Kalinowéj w towarzystwie księdza proboszcza, z którym żył w dobréj zgodzie, pracowali na jedném polu, różnemi narzędziami, wyrywając jedne chwasty. Rozumieli się doskonale, czego dowodził urywek ich rozmowy, gdy wjeżdżali w lipowę aleę wiodącą do dworu.

— Jest tam podobno gość z Warszawy? — pytał proboszcz.

— Jest, literat Grąbski.

— I cóż on pisze?

— Komedye, krytyki.

— A więcéj nic?

— Nic.

Ksiądz przestał pytać i bardzo obojętnie przywitał Grąbskiego, pomimo wszelkich dodatnich przymiotników, jakiemi obdarzyła go pani Ewa.

Literat, dowiedziawszy się od Walentego kto przyjechał, wyszedł szybko do ogrodu, gdzie spodziewał się spotkać z Anielką, zobaczył ją też w altance z książką w ręku.

Podszedł cicho i nagle zawołał:

— Panno Anielo! jestem heroldem dobréj wieści. *On* przyjechał.

W głosie jego drgała tak wyraźna złośliwość, nad którą nie umiał zapanować, że Anielka chociaż wiedziała o kim mówił, udała zdziwienie.

— On, kto?

— „O hipokryzyo, maro, skąd ty rodem“ — zaczął. — Panno Anielo czemu rozwiewa pani moje złudzenia? zdawało mi się, że jesteś wcieloną prawdomównością; alboż pani nie wié kto przyjechał?

— Czyż to jeden tylko przyjeżdża do Kalinowéj.

— Przyjeżdża dużo powołanych, ale jeden wybrany.

— Jaki ten Grąbski nieznośny— pomyślała Anielka. — A ja właśnie nie wiem kto przyjechał— rzekła głośno z pewnym niecierpliwym uporem.

— Jaka ona teraz ładna! — pomyślał -- tak jéj się oczy świécą.

— A ja właśnie nie powiem — odparł — przedrzeźniając ją.

Anielka rozśmiała się.

— Może pan myśli, że ja będę bardzo prosić, niech pan nie mówi, wolna wola.

Grąbski pragnął zatrzymać ją tu jak najdłużéj. Sądził téż, że dziewczyna nie pokwapi się pierwsza z powrotem. Lecz omylił się.

— Muszę wrócić do domu — wyrzekła.

— Jaka pani ciekawa.

— Wcale nie. Lecz ciocia gniewa się, gdy nie pomagam jéj w bawieniu gości.

— No, teraz musi pani wybiérać. Ja tu zostaję i jakkolwiek nie chcę pani krępować, przypominam, że i ja jestem gościem.

Anielka przystanęła. Czy miała zostawić Grąbskiego.

— Myślałam, że pan powróci także. Ale widać nie pragnie pan widoku tego naszego gościa.

Zachmurzył się. Przemknęło mu przez myśl, że Anielka wié, jakiego rodzaju rozmowę prowadził z Kotnickim, lecz chwila zastanowienia przekonała go, jak mylne przypuszczenie podsunęła mu rozdrażniona wyobraźnia. „Uderzyć w stół, odezwą się nożyce“. Skądże by wiedzieć mogła? Pisywałby chyba do niéj? Lecz i w takim razie, znając Kotnickiego, wiedział, że nie pytany, słowa o nim nie powié, nie pochwali, ale téż i nie zgani.

— Proszę pani — odezwał się — ja bardzo lubię poziomki, ale wolę wiśnie.

Anielce nie bardzo trafiło do smaku to porównanie, pomyślała jednak, że Kotnicki miał rozmówić się z panią Ewą, więc może lepiéj będzie zatrzymać tu Grąbskiego. Pozostała.

Tymczasem Kotnicki porzucił był zamiar oświadczenia pani Ewie swych antimatrymonialnych chęci, przedtém chciał jeszcze rozmówić się z Anielką.

Zostawił więc księdza proboszcza *en tête à tête* z panią Ewą i szedł poszukiwać swéj protegowanéj.

Chodząc po ogrodzie usłyszał jéj śmiéch i śmiéch drugi, który mu nieprzyjemnie zadraźnił ucho. Jużcić prędzéj czy późniéj musiał spotkać się z Grąbskim. Altankę ociemniały płaczące wierzby i za-

krywały mu w niéj siedzące osoby. Pierwszy dostrzegł go literat, urwał nagle jakieś wypowiadane zdanie.

— Co to? — spytała Anielka, a słysząc jakieś kroki po ubitéj ścieżce wyjrzała z altanki.

Zarumieniła się.

— Dzień dobry panie Kotnicki — zawołała, wyciągając ku niemu rękę.

— Należy koniecznie nadrabiać miną — pomyślał Grąbski.

Wstał z ławki i podszedł również do aptekarza. Podniósł głowę tak, że nieledwie w tył ją przechylił, z wymuszonym uśmiechem patrząc na Anielkę. Kotnicki skinął mu głową nie patrząc na niego.

— Wesołość tu panowała — zaczął.

— A tak — podchwyciła Anielka, lecz nie wiedziała co ma daléj mówić.

Nastąpiło milczenie.

Obecność Grąbskiego zawadzała Anielce, obecność Kotnickiego do pasyi doprowadzała literata.

— Cóż mi pani powié dobrego? — zagadnął aptekarz.

— Na nieszczęście, dzisiaj jeszcze nic dobrego powiedziéć nie mogę — odparła, patrząc na niego z bardzo zakłopotaną miną.

— Mnie także—wyrzekł—dochodzą złe wieści.

— A bo, jak mówiłam panu Grąbskiemu, pan jest taki dobry, że cudze zmartwienia obchodzą pana niby własne.

— To zależy od granicy, jaką stawiamy między cudzém a naszém — odparł.

Grąbski uważał za stosowne wmieszać się do rozmowy.

— Są despotyczne charaktery, które martwi wszystko, co wymyka się z pod ich władzy. Nie chcą pojąć, że wszyscy nie mogą iść drogą, którą oni za najlepszą uważają.

— Cóż w tém dziwnego— podchwycił Kotnicki. — Ja przyznaję się, należę do tych „despotycznych charakterów“. Jeżeli moja droga wydaje mi się najlepszą, *ipso facto* muszę skłaniać innych, by na nią weszli.

— W takim razie nie uznajesz neutralności.

— Neutralność to zwykle maska apatyi i niedołęstwa. Komu nie chce ruszyć się z miejsca, choćby się kto koło niego topił, ten własne lenistwo zakrywa sztandarem neutralności; gdy mocniejszy bije słabszego, on go także przez neutralność nie obroni. Neutralność, to arcy wygodny wynalazek.

— Jakaż to pewność siebie — zauważył ironicznie Grąbski.

— Nie siebie, ale swego — odparł krótko Kotnicki.

— Piękne rzeczy widzielibyśmy — zaczął Grąbski — gdyby tak każdy chciał swoje przekonania narzucać innym.

Kotnickiemu łatwo byłoby odeprzeć niezręczny zarzut literata, milczał jednak, tylko nieznacznie wzruszył ramionami.

Krew zawrzała w Grąbskim. Lekceważono go w obecności osoby trzeciéj, Anielki, która spoglądała kolejno na ex-kolegów zdumiona głuchą antypatyą, przebijającą się w ich rozmowie.

Kotnicki jeden czuł się tu swobodny.

— Pani zapewne będzie na majówce, a raczéj sierpniówce, którą układa Pyszkiewicz? — zapytał Anielki.

— Będę. A pan?

— Ja, nie wiem jeszcze. Jeżeli mi czas pozwoli, pojadę.

— Podobno mamy tańczyć, ale ja nie lubię tańczyć na trawie.

— Czy mogę prosić o zatrzymanie mi pierwszego kontredansa — spytał Grąbski.

— Pan tańczy?

— Od czasu do czasu. Czy panią to dziwi?

— Nie... tylko... nie przypuszczałam, żeby pana taniec bawił.

— A jednak tańczę — odparł z tajoną złością.

Cóż ona widziała w tém dziwnego? był przecie młodym, powagę wielkiego człowieka zostawił w Warszawie, może wydawał się jéj niezgrabnym? Jużcić, w porównaniu z Kotnickim.

— Bo ja inaczéj wyobrażałam sobie pana, sądziłam naprzykład, że pan jest bardzo wysoki — mówiła Anielka, ani domyślając się przykrości, jaką sprawiała literatowi tém wyznaniem. Był niski i zazdrościł wysokim wzrostu.

— Zawiodły panią przypuszczenia — odparł lekko.

Ba! Gdyby był wiedział, jak srogo zawiódł Anielkę.

Wszak on miał być owym ideałem z długą jasną brodą, a chociaż od paru dni rzadziéj o nim myślała, przypomniała go sobie teraz i westchnęła. A ten Grąbski ciągle siedzi w altance, czyż on nigdy nie odejdzie?

— Czemu pani wzdycha? — zagadnął Grąbski.

— Każdy ma swoje zmartwienia.

— Och! panieńskie zmartwienia...

— Czyż panna nie jest człowiekiem — odparła niecierpliwie.

Zaśmieli się.

— Człowiekiem z oranżeryi — rzekł Kotnicki.

— Doprawdy! — oburzyła się dziewczyna. — Dziękuję za dodatek.

— Alboż to źle w oranżeryi. Chuchają, dmuchają, strzegą od chłodu, od burzy.

— A jak burza zniszczy oranżeryę?

Kotnicki serdecznie spojrzał na dziewczynę.

— Wtedy roślina uczy się żyć na świeżém powietrzu.

— W pewnych kółkach coraz mniéj tych oranżeryjnych ludzi — odezwał się Grąbski.—Do uniwersytetów wyjeżdżają.

— Szczęść im Boże. Sądzę jednak, że i bez uniwersytetów mogą żyć pożytecznie.

— Jakże one muszą być mądre, te studentki — zauważyła Anielka.—Chciałabym choć jedną z nich zobaczyć.

— Może pani pójdzie za ich przykładem? — zapytał Grąbski.

— Jakżebym ja mogła! — odparła z pewnym przestrachem. — Gdzież mnie do uniwersytetu!

— Dla czegóżby pani pojechać nie miała—zauważył Kotnicki — gdy ktoś ma pociąg, zamiłowanie do jakiejś nauki, do pewnéj gałęzi wiedzy, niech się jéj oddaje. Do wyjazdu nie namawiam, nie widzę w nim tylko nic nadzwyczajnego, ani niemożliwego.

Anielka nie czuła w sobie specyalnego zamiłowania do żadnéj nauki, pragnęła uczyć się, bo inaczéj pozostałaby jednym z owych bezpożytecznych ciężarków, o których wspominał aptekarz. Czego mianowicie uczyćby się miała, tego nie wiedziała wcale. Ta myśl jednak że ona, we własnéj osobie, mogłaby należéć do owych mądrych studentek, olśniła ją na razie. W téj chwili, zajęcie miejsca na uniwersyteckiéj ławce wydało się jéj szczytem ziemskiego szczęścia. Jakby też ten projekt przyjęła ciocia, cała okolica? Tylko nauka uniwersytecka musi przedstawiać nadzwyczajne trudności.

— Więc pan naprawdę sądzi — spytała — że ja mogłabym zostać studentką?

— Naturalnie; po roku, dwóch latach może, odpowiedniego przygotowania.

— I nie żalby pani było porzucić na lat kilka krewnych, przyjaciół...

— Życzliwych i znajomych — dokończył płaczliwie Kotnicki.

Grąbski wstał z ławki. Czyż każde jego zdanie miało być wyśmiane lub lekceważone.

— Panna Aniela ma zbyt dobre serce, by mogła bez żalu opuścić Kalinowę i swoich krewnych — wyrzekł.

— Zapewne — odparł spokojnie Kotnicki.

— Zdawałoby się jednak, że o tém wątpisz.

— Nie wątpię, panie Grąbski—zapewnił Kotnicki z przyciskiem, wymawiając wyraz panie — tylko ten wzgląd zatrzymaćby jéj tu nie powinien. Zresztą do wyjazdu bynajmniéj panny Anieli nie namawiam. Tu na miejscu kształcić się może, pracować; i jak jeszcze!

— Jeżeli mi wskażą drogę dobrzy ludzie—odparła żywo Anielka, wyraziście patrząc na aptekarza.

Grąbskiemu znowu tchu zabrakło w altance, ruszył w ogród, Anielka odetchnęła.

— Panie Kotnicki, tak pragnęłam naradzić się z panem. Na tyle pytań musisz mi pan odpowiedzieć. A przedewszystkiém postawię jedno pytanie, co pana tak gnębi, że aż myśl o samobójstwie...

Kotnicki przerwał jéj ruchem ręki.

— Na to już nikt nie poradzi, panno Anielo, mówmy więc lepiéj o ważniejszych rzeczach, niech pani stawia dalsze pytania.

Anielka wypowiedziała ich długą litanię. Wszystkie jednak dałyby się streścić w jedném: czém ma się zająć?

Kotnicki słuchał uważnie, wreszcie spytał:

— Przedewszystkiém, co pani umié?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Nic — odparła.

— Ale przecież,—uśmiechnął się Kotnicki.

— No, uczono mnie geografii, historyi powszechnéj, arytmetyki z ułamkami dziesiętnemi, francuskiego, niemieckiego.

— Kto panią uczył?

— Ja byłam cztery lata u pani Korwińskiéj w Warszawie, na czteroklasowéj pensyi, potém rozchorowałam się, doktorzy kazali mi wyjechać na wieś, no i koniec, odtąd siedzę w Kalinowéj i chodzę z kąta w kąt, jak pan mnie łaskawie objaśnił—dokończyła z ukłonem.

— Rządowego patentu pani nie ma?

— O, nie! Pan pewnie powié: „to źle, ale nie pani w tém wina.“

— Nie powiem, bo mnie pani już wyręczyła — odparł. — Gdyby pani miała patent rządowy, można założyć szkółkę wiejską w Kalinowéj. Nie uśmiecha się to pani?

— Przeciwnie, tylko nie pomyślałam o tém.

— W takim razie nie potrzebowałaby pani porzucać krewnych, etc.

— Ja nie mam patentu.

— Możnaby zdać odpowiednie egzamina, przedtém wyjechać do Warszawy i uczyć się.

— To prawda. To świetny pomysł—zapalała się dziewczyna.

— Tak, ale nie dość umiéć saméj, trzeba jeszcze umiéć uczyć innych. Zrobimy próbę, będzie mnie pani uczyła czegokolwiek np. historyi, albo zoologii, wszystko to jedno.

— Anielka zaśmiała się.

— Ale trzeba uczyć mnie tak, jak gdybym nie znał nawet znaczenia wyrazu historya.

Z dalszéj rozmowy z Anielką Kotnicki wywnioskował, że na gruncie najlepszych chęci dziewczyny dopiéro rozwinąć się może właściwy jéj charakter, że zbyt mało umiała, by mogła z zamiłowaniem oddać się któréjkolwiek nauce; widział w niéj, a prędzéj może odczuł prawą duszę i zapał, którym tylko stosownie kierować należało.

Anielkę zaciekawiało téż szczególne postępowanie aptekarza z Grąbskim.

— Coś tam jest między nimi! — myślała, nie śmiała jednak zapytać.

Kotnicki téż nie wspominał o koledze. Dziewczyna pragnęła dowiedziéć się, dlaczego téż wybrał to nieszczęsne, tak pospolitujące aptekarstwo, lecz i to pytanie zamiérało jéj na ustach. Z energicznéj twarzy Kotnickiego każdy łatwo mógł wyczytać, że ten człowiek zdawał sobie doskonale sprawę ze swoich czynów, że nie potrafiłby postawić jednego bezcelowego kroku, jeżeli więc został aptekarzem, musiał miéć do tego jasno określone powody. Nie kierowały nim ani chęć błyszczenia, ani wzbogacenie się, zapewnie jedynie chęć pożytecznéj służby społeczeństwu, która zdawała się być jedynym motorem jego życia.

Grąbski tymczasem gładził brodę, przechadzając się po aleach ogrodu. Sprawa z Kotnickim przybierała coraz to gorszy obrót. Jeśli ten człowiek raz jeszcze dotknie go, trzeba będzie chyba urządzić pojedynek. Brr!—wstrząsnął się literat — Kotnicki biłby się pewno na seryo, mierzyłby wprost w przeciwnika. Grąbski pojedynkował był się raz wprawdzie ze Sterkiewiczem, głównym współpracownikiem „Tygodnika polskiego“, który zjadliwie skrytykował „Ciernie“; rzecz głównie poszła o pewne niegodziwe, a przezroczyste aluzye do czarnych oczów; lecz Grąbski strzelił w ziemię, Sterkiewicz w powietrze, no i skończyło się wszystko bez uszczerbku dla honoru stron wojujących, według zapewnień sekundantów, a przeciwnicy zapewne w myśl maksymy: „nie czyń drugiemu, co tobie nie miło“, także stając do pojedynku, nie myśleli o uszkodzeniu powłoki cielesnéj.

Lecz ten szatan brał wszystko na seryo. Zresztą Grąbski zgodziłby się i na ciężką ranę, byleby już w jakikolwiek sposób rozmówić się z tym człowiekiem. Po namyśle zauważył, że lekka czy ciężka

rana dodałaby mu nawet uroku w oczach kobiét, rozgłosu w obec wszystkich.

Szatan tymczasem, nie domyślając się grożącego mu niebezpiepieczeństwa, radził Anielce, by pomówiła z wujem o swoich zamiarach. Obiecał popiérać ją.

— Tylko proszę jaknajuważniéj pomyśléć nad sobą, nad własnemi upodobaniami i po wyborze szybko zabrać się do pracy,—skończył.

VI.

Panna Aniela Jodowska pewnego wieczora usiadła w swoim pokoju przed stołem, na którym rozłożyła najgrubszy kajet, jaki znaleść mogła w Pantoflowie.

Na pierwszéj stronicy wypisała wielkiém okrągłém pismem: „*Mój pamiętnik*“, poniżéj datę „*10 sierpnia 1888 r.*“

Spisywanie wrażeń, myśli, wydawało się jéj rzeczą zupełnie łatwą, dopóki nie miała pióra w ręku. Zaledwie jednak do pisania siadła, nie wiedziała już od czego zacząć, w jakich wyrazach określić potok chaotycznych pojęć, który od trzech tygodni huczał w jéj młodéj głowie. Nie wiedząc, jak wybrnąć z tego chaosu, postanowiła pisać kolejno co jéj myśl na razie podsunie. I pisała:

„Rwie mi się dusza! Jasność jakąś widzę w koło siebie. Jak ciemna błąkałam się po świecie, jeden człowiek mnie obudził i żyję. Żyję? „Czy słowu temu zajrzeliście w duszę“ — pisze Słowacki. Grąbski pięknie deklamuje Słowackiego. A mnie ta poezya do czynu pobudza! Czynu! Bez niego życie wydaje mi się ciemném, senném, jak stojąca woda. I czuję jakąś wdzięczność ogromną dla tego człowieka i klękłabym, dziękując Bogu, że mi dał przebudzenie.

Tak mi jakoś lekko! tak w koło mnie słonecznie!“

Zerwała się od pisania, przeszła się po pokoju. Przechodząc koło lustra, mimowoli spojrzała na swoje odbicie. Przystanęła i przyjrzała się sobie. Jéj ciemne oczy błyszczały ogniem uniesienia, uśmiéch rozchylał usta, zdziwiła się saméj sobie.

— Jak ja się zmieniłam! — pomyślała. — Prawdę powiedział Grąbski, ja mam twarz wyrazistą. Et! co mi tam! Nie o powierzchowność mi chodzi.

Wróciła do pisania.

„Nie cierpiałam Grąbskiego, teraz lubię go. Czy ja jestem zwyczajną dziewczyną? Fe, to pytanie zarozumiałość mi podszepnęła. Cóż ja umiem! Czém jestem? Co zrobiłam? Tylko w przyszłość patrzę, ręce do niéj wyciągam; ja chcę być jedną z tych bojownic,

o których wspomina Kotnicki, i tylko dziwno mi, że tych bojownic tak mało. Ja jeszcze nie rozumiem jasno jego myśli. Jestem, jak żołnierz, posłuszną rozkazom wodza. Wierzę mu. Coby się téż ze mną stało, gdybym była pozostawiona samej sobie. Było mi źle na świecie i nie umiałam temu złemu zaradzić. Wytworzyłam sobie jakiegoś dziwoląga i zdawało mi się, że jedyném mojém szczęściem byłoby poznać go i pokochać! Okropność! Teraz ty jasnowłosy ideale giniesz i ja cię nie zatrzymam. Ty nie byłeś moim ideałem, lecz z nudów wyrosłą marą. Bo ja teraz chciałabym mówić, jak ów Słowackiego bohatér:

„Boże! zdjąłeś z mego serca jaskółczy niepokój,
Dałeś życiu duszę i cel duszy wyprorokuj,
Jedną myśl wielką dałeś, niechaj pali żarem,
A stanę się téj myśli narzędziem, zegarem:
Na twarzy ją pokażę, popchnę serca biciem,
Rozdzwonię wyrazami... i dokończę życiem!

Gdybym umiérając musiała powiedziéć sobie:

— Życie daremne!—byłoby to już piekło za życia.

— Co się w pani pali? — pytał mnie Kotnicki — chwilowy entuzyazm, czy rozbudzone, głębokie uczucie? Jego niedowierzanie mnie gnębi. Grąbski przynajmniéj okazuje więcéj wiary w moje słowa. Ja się chwilami boję Kotnickiego. On taki wielki! Czuję się prochem, który on spostrzegł i wyniósł nad inne. On jest mistrzem, a Grąbski? Takim miłym, dobrym kolegą. Nie boję go się wcale. Już o téj róży nie wspomina i zawsze odgadnie moje chęci, dba o moją przyjemność. Do Kotnickiego udałabym się zawsze po radę: co czynić? Lecz do pomocy w robocie wzięłabym Grąbskiego. Jeżeli wszyscy literaci do niego podobni, to zawołam: Niech żyją literaci!“

Zaledwie postawiła ten wykrzyknik do pokoju wsunęła się postać służącéj pani Ewy, pokojówki Kasi.

— Chciałabym o coś prosić panienki—zaczęła Kasia.

— A czego to chcesz, Kasiu?

— A to—mówiła dziewczyna, całując ją w rękę — chciałam poprosić, czyby mi panienka nie była łaskawa listu napisać.

— Dobrze, zaraz napiszę. Do kogo?

— A do tatuńcia—niby do ojca. Bo to ten stelmach z Pantoflowa to ma się niby ze mną żenić, więc ojcowie, trzeba, żeby wiedzieli i trzeba się przecież rozmówić, jak to będzie z tém wszystkiém.

Po długiém opowiadaniu, jak to poznała onego stelmacha, Kasia przystąpiła do dyktowania listu:

„Ach, ojcze! ach, drogi! Pomimo że jestem chora i od tygodnia leżę w łóżku...

— Co téż Kasia mówi—przerwała jéj zdziwiona Anielka — jak téż można tak rodziców oszukiwać.

— Proszę panienki, ojcowie to możeby nie chcieli, żebym ja wyszła za tego stelmacha, bo on tam podobno z chłopskiego stanu, a my przecie zawsze mieszczanie od dawien dawna mieszkaliśmy w Bychawie, co jest miasteczko o cztery mile od Lublina. Więc jak panienka napisze, że jestem chora, to oni się pewnie rozżalą, ach tak rozżalą, że już może i na stelmacha prędzéj się zgodzą.

Rozśmiała się Anielka.

— A nie lepiéj to napisać, że stelmach porządny człowiek, i że Kasia go kocha...

— E! proszę panienki, u nas to ojcowie nie tak bardzo uważają na kochanie. Rozumié się, lepiéj żeby i to było, aleć bo to mężczyźni się na tém znają. Aby tylko był porządny człowiek, pracowity, no, i z jaką edukacyą, nie prosty chłop ordynarny, to już tam o kochanie mniejsza.

— Moja Kasiu, ja nie napiszę o twojéj chorobie, bo kłamstwo jest wielkim grzechem.

Zafrasowała się Kasia.

— Sprawiedliwie panienka mówi, ale jak się rodzice zgodzą, to już ja się przyznam, że chorą nie byłam, niech tylko rodzice przystaną na tego stelmacha.

Anielka stanowczo odmówiła napisać o chorobie Kasi, i po krótkiéj naradzie stanęło, że sama pani Jodowska wstawi się za narzeczonym i nazajutrz list wyprawi pod wskazanym przez Kasię adresem: „Do mojego najukochańszego ojca, Walentego Kordacińskiego, koło domu Bejli Szynkwas, w Bychawie.“

— Przeszkodziłam kłamstwu—cieszyła się Anielka.

Postanowiła pilną uwagę zwrócić na Kasię i podnieść jéj etyczny poziom.—Powiem Kotnickiemu, oto moja pierwsza uczenica—rozmyślała daléj.

Powróciła do dziennika.

„Kasia jest odemnie rozsądniejszą—pisała.—Idzie za stelmacha, bo według jéj pojęć, jest to porządny człowiek. Ja tak niedawno jeszcze, nieledwie na pierwszym planie stawiałam powierzchowność, teraz, bardzo lubię Grąbskiego. Przekładam jego brzydotę nad piękność Patkiewicza. Tylko co znaczy ta niezgoda z Kotnickim? Powiem Grąbskiemu, że mię ta niezgoda martwi, może się pogodzą? Ot, jaka zmiana. Ja, rezydentka, mogę przypuszczać, że moje zdanie coś

znaczy dla wielkiego literata! Skąd-ta przyjaźń Grąbskiego dla mnie? Przyjaźń—sympatya—ja sama nie wiem, jak to nazwać. Dobrze mi żyć... Mam cel — nie w zamążpójściu, jak chce ciocia, chociaż, powiem to w sekrecie dziennikowi, nie przysięgłam na staropanieństwo.

Chwilami wydaję się saméj sobie taką małą, taką słabą..., chwilami znów wyobrażam sobie, że świat zdobędę, tyle czuję w sobie siły, energii, woli...“

Gdy w tydzień późniéj Grąbski wyjechał na dni parę do jednego z dalszych sąsiadów Kalinowéj, Anielka znowu dziennik otworzyła i pisała:

17 sierpnia. „Widzę teraz wiele trudności w mojém zadaniu; moja praca należéć będzie do tych prac mrówczych, mozolnych, w których każde ziarnko piasku saméj przynieść trzeba będzie z nieustanną cierpliwością, chwili zniechęcenia miéć—nie wolno.

— Gdyby pani mogła mieszkać w Warszawie! — powiedział mi parę razy Grąbski. — Wszędzie zajęcie znaleść można.—Ja może i wiem dlaczego on to mówi, ale téj przyczyny nie powiem nawet dziennikowi. Dopiéro jutro wróci. Nudno bez niego... Nie mogę już pisać...“

Grąbskiemu zapewne także nie szło pisanie, bo nietylko że komedyi swojéj nie zaczynał, lecz nawet nie kończył listu, którego nagłówek leżał w jego tece od dni kilku. List miał napisać do swego przyjaciela, krytyka, przezwanego Makaronem dla długich a jasnych i w kosmyki pozlepianych włosów. Grąbski téż napisał był w nagłówku: „Srogi Makaronie“ — i na tém skończył, bo téż miał wiele zajęcia.

Czytał Anielce głośno Shakespeara, pomagał w przygotowywaniu lekcyi historyi, którą Anielka wykładała Kotnickiemu, uczył liter greckich i układał katalog książek historycznych, które przeczytać powinna.

Dziewczyna uczyła się nadzwyczaj szybko, a jéj obrazowy sposób opowiadania faktom historycznym nadawał świéży, barwny koloryt.

Grąbski nie miał nawet czasu gniéwać się na Kotnickiego. Gniéw ten gasiła i wywoływała Anielka. Jeśli chwaliła aptekarza, iskrzyły się oczy Grąbskiego, lecz jedno jéj spojrzenie, takie czasem miękkie, takie serdeczne, twarz mu rozjaśniało i uspakajało duszę. O pojedynku nie myślał wcale.

VII.

„Nie było piękniejszéj dzieweczki, daję wam słowo“ — zadeklamował pewnego dnia Grąbski, widząc siedzącą na ganku Anielkę. Bił od niéj wdzięk zdrowia, z oczu śmiało patrzących tryskały żywe promienie jakiéjś wielkiéj radości, wyraz determinacyi nadał wyrazistości jéj przystojnéj twarzyczce.

— Panie Grąbski — zaczęła — muszę panu powiedziéć jedną rzecz, dwie rzeczy, trzy, o, taką górę rzeczy — skończyła, podnosząc rękę.

— Zaciekawiasz mnie pani.

— Po pierwsze, bardzo jestem szczęśliwa, zyskałam aprobatę Kotnickiego za wykład wczorajszy, powiedziałam mu, że pan mi pomaga, i ucieszył się tém, przynajmniéj tak mi się zdawało;—więc, po drugie, niech mi pan powinszuje, po trzecie, świat jest prześliczny, po czwarte, niech się pan nie patrzy na mnie takiemi zdziwionemi oczami, po piąte, moje słowa sensu nie mają, ale muszę dziś mówić, muszę się wygadać.

— Winszuję, ale nie wiem czego?

— Ba! Wszystkiego wiedziéć nie można. No, niech mi pan powié, czém mogę panu przyjemność sprawić, chciałabym widziéć wokoło siebie zadowolenie, bo mnie saméj tak dobrze, ach! tak dobrze.

— Niech pani mówi, to mi największą sprawi radość.

— Tak? Cóż powiedziéć? Może bajkę?

Grąbski, milcząc, przypatrywał się dziewczynie.

— A, przemienienie pańskie nastąpiło—pomyślał.

— Kto milczy, ten przyzwala — ciągnęła daléj Anielka. — A więc bajka:

„Był król i miał trzy córki:
Hanię, Manię i Franię,
Dał im pereł trzy sznurki...

— Bajka nie ma końca — urwała.

— Pani jest kameleonem—odezwał się Grąbski.

— Nie, panie, jakim kameleonem? ja tylko byłam biédną niewidomą, a teraz jestem widzącą dziewczyną.

— Po co ja panu to wszystko mówię, ot, pójdę do ogrodu.

Nie poszła, ale frunęła z ganku, a Grąbski jakby zahypnotyzowany ruszył za nią. Dziewczyna, nie zważając na niego, śpiewać zaczęła.

Rozległ się energiczny rytm pieśni, budząc w Grąbskim dawne wspomnienia; od tylu lat jéj nie słyszał!

— Jak to dobrze, że ja jestem młoda — zawołała dziewczyna — mam tyle zajęcia przed sobą. Żałuję wprawdzie lat ubiegłych.

— Kto żałuje przeszłości, czas marnuje—zauważył literat.

— To mimowolny żal, nad którym zapanować nie można.

— I pomyśléć — dodała poważniéj — że ja całe życie mogłam zmarnować! Wié pan, to straszne — mówiła, zakrywając oczy rękami—tyle ludzi idzie sobie w przepaść, a nikt tego nie widzi, i oni sami o tém nie wiedzą.

— Tak było i tak będzie—odparł.

— Także filozofia — oburzyła się. — Każdemu złemu należy mówić: zginiesz! Rezygnacya — to nie moja rzecz. *Excelsior!* to moja dewiza—dodała z entuzyazmem.

— Co za ogień!—dziwił się Grąbski.

— Co za lodowaty człowiek z pana—odparła.

— Ja!—przerwał żywo.

— Tak, pan. Nie widziałam nigdy, żeby się pan do czego zapalił. Chociaż czasem tak się panu oczy świécą.

Grąbski poczerwieniał.

— Jestem starszy od pani i rozważniejszy.

— Ot, przyczyna! Alboż to nie można całe życie zapalać się do jakiéjś idei. Wolę dziś umrzéć, niż tak z latami lodowaciéć. I pan Kotnicki jest starszy odemnie i rozważniejszy, a jednak posiada zapał.

— Świat nie składa się z Kotnickich.

— Szkoda, ot, znowu oczy pana świécą się. Chciałabym wiedziéć dlaczego?

Dobra sobie! Jak to łatwo odpowiedziéć na to zapytanie.

— Kotnicki jest idealistą, oryginałem — odezwał się — a z pani chce zrobić swego sobowtóra.

— Nie rozumiem dobrze tego wyrazu idealista, wiem tylko, że Kotnicki jest człowiekiem pożytecznym, i że byłby nim zawsze i wszędzie. Ja nawet wczoraj zrozumiałam, dlaczego on został aptekarzem.

— Każdy—mówił—powinien zarabiać na chléb, wszystko jedno czy pracuje pługiem, czy cyrklem, czy dratwą,—uczciwy i inteligentny

człowiek na każdém stanowisku będzie pożytecznym. On zarabia aptekarstwem, a żeby pan wiedział, jakie to po wsiach bywają apteki. Oszukują nieraz strasznie na gatunkach lekarstw, a że Kotnicki nie oszukuje, więc już tém samém przysłużył się okolicy; no, ale o tém to nawet nie ma co wspominać. Założył tu ochronkę dla małych dzieci wiejskich, sam kupił kawałek gruntu, zbudował dom, dwie duże izby, naokoło zasadził drzewa, lecz największy miał kłopot z dozorczyniami, wreszcie wynalazł sobie dwie wyrobnice, którym płaci za dozór. Chłopi potém chcieli, żeby im wszędzie swoim kosztem stawiał takie ochronki, ale jemu nie stało już na to pieniędzy. Ciocia pytała go raz, czy mu też rodzice tych dzieci okazują jakąkolwiek wdzięczność, roześmiał się, mówiąc, że robi to dla samego siebie. Jednemu z parobków w Mysinie kupił także grunta i zbudował mu na wzór innym dom, urządził gospodarstwo; do kogo zbliży się temu chciałby nieba przychylić. Szlachta nazywa go Porządnickim i śmieje się z niego, albo gniewa, że ludowi w głowie przewraca. Ja także przypuszczałam, że nie ma słuszności, skoro wszyscy są przeciwko niemu. Pamiętam raz Pyszkiewicz oskarżył go, że chłopów kradzieży uczy. Schwytał bowiem jednego z gospodarzy z całą furą pościnanych chojaków. Gospodarz tłómaczył się, że mu Kotnicki obiecał dawać darmo lekarstwa dla choréj żony, jeśli kałużę przed domem zasypie, on też pojechał do lasu po faszynę, no, i chojaki, takie maluśkie—mówił—pościnał, a nijakiéj krzywdy jaśnie wielmożnemu dziedzicowi nie wyrządził. Pyszkiewicz podał skargę do sądu, poleciał do Kotnickiego, ale pana przyjaciel ma na wszystko odpowiedź.

— Czy to panu pierwszy raz las niszczą — spytał — chłop byłby i tak chojaki pościnał, tylko na inny użytek byłby je obrócił.

— Czemuż więc pan tak się opiekuje temi złodziejami — pytał Pyszkiewicz.

Kotnicki podobno oświadczył, że czyni to dla téj saméj przyczyny, dla któréj pan Pyszkiewicz najwięcéj pracuje nad najgorszym gruntem.

— Czemu pan tak na mnie patrzy?—zakończyła.

Patrzał na nią i dziwił się. Czyż to była owa nic nie znacząca, nijaka dziewczyna, którą poznał parę tygodni temu. Znalazł w niéj typ nieznany mu dotąd. Typ prostoty, zachowanéj w całéj czystości. Ta dziewczyna nie była kokietką, nie była też zwykłą, rumieniącą się naiwnością.

— Niebezpieczna z pani osoba—wyrzekł.

Popatrzała na niego długo, wreszcie wzruszyła ramionami.

— Ja pana często nie rozumiem—odezwała się.—Doprawdy, jeśli wszyscy warszawiacy mówią tak, jak pan, będę musiała po raz drugi uczyć się języka, by pojąć warszawskie znaczenie wyrazów. Dlaczego mam być niebezpieczną?

— Gdy pani lepiéj świat pozna, dowié się téż pani dlaczego?

— Pan sądzi, że ja już wcale świata nie znam? O, wiem, że na świecie jest wiele złego, i całe życie ze złem walczyć będę. Pan także—dodała tonem dowodzącym, że nie ma pod tym względem żadnéj wątpliwości. Bo i dla czegóżby go nazywano wielkim Grąbskim (ten przymiotnik słyszała nieraz z ust pani Ewy).

Literat spuścił głowę.

— Zło jest, jak owa mityczna hydra, odetniesz jedną głowę, sto wyrośnie — odparł sentencyonalnie. — A zresztą, wszystko więc i zło jest względne.

Anielka znowu zrozumiéć go nie mogła. Zdawało się jéj dotąd, że są wprawdzie rzeczy średnio złe, i średnio dobre, lecz że ten nienawistny ujemny pierwiastek z łatwością zawsze odróżnić można, odrzucić jak wyciągniętą z tkaniny nitkę.

— Przecież morderstwo, fałsz, kradzież, zawsze są złe.

— Zapewne, chociaż co do fałszu...

— A, panie Grąbski!—oburzyła się.

— Proszę pani, kto po świecie chodzi prostą drogą?

Dziewczyna załamała ręce.

— Uczciwi ludzie!

— Większość chodzi tylko utartą drogą i używa tylko utartego fałszu, który już niczyjéj uwagi nie zwraca.

— Naprzykład?—spytała.

Grąbski mógłby tu był służyć własną biografią. Alboż nie używał mnóstwa utartych fałszów, chociaż miał opinię uczciwego człowieka, a raczéj nikt nie zastanawiał się nad jego uczciwością. Każdy czyn dosięgał zwykłéj miary, nawet niektóre ją przechodziły. O swoich czarno, czy jasnookich eks-ideałach naprzykład, mówił zawsze z uznaniem, co zjednało mu nazwę gentlemana.

— Niech pani zapyta się cioci—odparł wymijająco. — Widzimy utarte fałsze w towarzyskich stosunkach, nawet rodzinnych, czujemy go w ukłonie, w uściśnieniu ręki, lecz najfałszywszą jest mowa.

— A ja nie chcę być fałszywą i panu zabraniam używać w rozmowie ze mną utartych fałszów—dodała pół żartem.—W przeciwnym razie znajdzie pan we mnie wroga zaciętego.

— Kto wié, może byłbym zdolnym posłuchać pani — odrzekł po chwili.

— Och, zdolnym! Woli tylko trzeba. Ja taką wolę żelazną czuję dziś w sobie, że żadna trudność mnie nie przestrasza. A mam ich tyle przed sobą!

— Pani mnie intryguje, panno Anielo.

— Czém?

— Zmianą, jaką w pani widzę.

— Więc i pan zauważył we mnie zmianę. O, tak, mogłabym teraz przedstawić się panu powtórnie. Ja sama nie raz myślę, że to sen, tak niedawno byłam sobie biedném stworzeniem, dla którego jedynym celem było... ach! ja nie mogę tego powiedzieć, nikomu nie powiem, nad czém ja czas traciłam. Każdy śmiałby się ze mnie—dodała, zakrywając twarz rękami. Ale to już przeszło. Teraz... no, mówię panu, że będę wdzięczną Kotnickiemu do końca życia.

Nie wiele dowiedział się Grąbski.

— Czy pan wié, że ja pewnie do Warszawy pojadę. Nie cieszy mnie pobyt w tém mieście, lecz cel, dla którego wyjadę z Kalinowéj.

— Może zobaczę panią.

— O, ja będę bardzo zajęta, nie dla zabawy jadę.

Kotnickiego propagandy—pomyślał Grąbski.

— Czém?—spytał głośno.

— Nauką, ale o tém *motus!* wpierw muszę rozmówić się z ciocią i wujem. Mój projekt...

Tu zaczęła mu rozpowiadać o swojém przyszłém życiu. Musi być pożyteczną w miarę swoich zdolności. Nie lęka się pracy, ani trudów, i nie ma siły, któraby ją zmusiła żyć dotychczasowém życiem.

Mówiła z ogniem, zatrzymując się chwilami, słów brakowało jéj do oddania chaosu myśli, a Grąbski słuchał zdziwiony i zajęty tym psychicznym procesem, który rozegrał się w jego oczach i o którym nie miał dotąd pojęcia.

Grąbski był wrażliwy, pomału ogarniała go dziwna sympatya dla téj młodéj, tak szlachetnym ogniem rozgrzanéj duszy. A gdy wreszcie, patrząc na niego poważnym a palącym wzrokiem: Ja nie pojmuję może dotąd całego ogromu tych słów: „życia dla innych“, ale wiem, że nic mnie, prócz śmierci, od téj idei nie oderwie, Grąbski zawołał szczerze.

— Pani jest jedną z najszlachetniejszych kobiét, które mi się spotkać zdarzyło.

Porwała go. Był to może słomiany ogień. Przypuścić trzeba,

że ważną przyczyną jego uniesienia były płomienne oczy Anielki, bo gdy po téj rozmowie wracał do swego pokoju, mruczał od czasu do czasu: co za oczy! jakie oczy!

VIII.

Gdyby Grąbski nazwał był Anielkę szlachetném dzieckiem, byłby zapewne bliższym prawdy, ale zarazem byłby sprawił mniejsze zadowolenie dziewczynie, którą tytuł najszlachetniejszéj kobiéty odurzył na razie. Anielka stała się główną osobą w Kalinowéj, od chwili, w któréj stanowczo oświadczyła opiekunom, że pragnie samodzielnie pracować, a chociaż wahała się dotąd w wyborze fachu, postanowiła przedewszystkiém choć w części uzupełnić wszystkie luki pozostałe po ukończeniu kilku klas na pensyi pani Korwińskiéj. Jodowski zdziwił się, zdziwiła się więcéj jeszcze pani Ewa, w głębi ducha oburzona już nie postanowieniem Anielki, lecz tém, że to postanowienie rozwinęło się bez jéj wiedzy, woli, bez najmniejszego z jéj strony udziału. Ten fakt, w połączeniu z postępowaniem wpływowego Grąbskiego, któremu widocznie Anielka zawróciła w głowie, rozwinął w pani Ewie zły humor, na którym najwięcéj ucierpiała służba. Jaśnie pani zaczęła zajadle gospodarować, pełno jéj było zarówno na folwarku, jak w kuchni i w ogrodzie.

Jéj wysmukła, wysoka postać, jak duch stawała nagle wśród dziéwek folwarcznych, obok tłustéj i krzykliwéj szafarki Specyalskiéj, z drobnych ust wypadał grad napomnień i rozporządzeń, wypowiedzianych cichym, lecz jak lecąca strzała syczącym głosem. Dla Grąbskiego pani Ewa zachowała jednak zawsze słodki uśmiech i dowcipne słowo. Zawiódł wprawdzie jéj oczekiwania, nie pisał dotąd ani dramatu, ani komedyi, widocznie Kalinowa nie sprzyjała natchnieniu, najwięcéj jednak zdumiewał ją wpływ, jaki Anielka wywierać się na nim zdawała. Zbliżał się dzień jego odjazdu, o którym dotąd nie wspomniał wprawdzie literat.

W Grąbskim istotnie zaszła jakaś zmiana.

— Odmłodniałem przy pani—mówił Anielce.

Codziennie odkrywał w niéj jakiś nowy przymiot. Czasami jednak niepokoiła go lekko myśl, coby też powiedziały jego warszawskie znajome, gdyby go zobaczyły w roli pomocnika Anielki przy jéj gospodarstwie; zbiérali bowiem razem owoce w ogrodzie, razem układali bukiety, nawet o *horror*, wielki Grąbski przenosił słoiki konfitur z jednéj szafki do drugiéj i własnoręcznie wypisywał na podłużnych kartkach ich nazwy.

— Dziesięć wiśni i ośm galaret porzeczkowych — komenderowała Anielka.

— Grąbski bawi się w sielankę — powiedziałyby warszawianki.

Literat bawił się, co prawda, doskonale, przynajmniéj tak mu się zdawało. Nie doszukując przyczyny, rządził się jedynie upodobaniem, które kazało mu jak najczęściéj korzystać z towarzystwa Anielki.

— Jak ja mogłem nazwać ją „nijaką“—dziwił się sam sobie.

Teraz serdeczny uśmiéch téj dziewczyny jakieś ciepło wlewał mu do duszy, patrzył na nią, uśmiéchał się do niéj i przytakiwał wszystkiemu, co mówiła. Treść obchodziła go mniéj od głosu.

— Panie Grąbski—spytała Anielka—dawno już zauważyłam, że samo wspomnienie Kotnickiego chmurzy panu czoło, czy mogę zapytać dlaczego?—dodała po pewnéj przerwie.

Grąbski milczał. Ta kwestya była zawsze jego bolącą raną.

— Przepraszam za niedyskrecyę—odezwała się po chwili.

— A dlaczego pani o nim tak często wspomina?

— Ależ, panie Grąbski, Kotnicki to mój zbawca! Któż mi pokazał cel w życiu, kto kazał mi się zastanowić nad własném istnieniem? Kto posłużył radą, dobrém słowem, kto? Kotnicki. Ja o nim i po śmierci jeszcze nie zapomnę. Niech pan sam przyzna — dodała, śmiejąc się—że byłam nieznośna przed swoją metamorfozą.

— Pani!—zawołał Grąbski—jakżeby pani mogła być nieznośną.

— Pamięta pan ten wieczór, gdy uciekłam do swego pokoju po herbacie, bo ciocia śpiéwać mi kazała? Teraz jestem daleko śmielsza, tylko proszę znów nie posądzać mnie o zarozumiałość — mówiła, potrząsając głową.

Złota dziewczyna—pomyślał Grąbski.

— Wyjedzie pani do Warszawy, nie zobaczy pani Kotnickiego—rzekł po chwili.

— I cóż stąd? Wolę uczyć się, niż tutaj widziéć go od czasu do czasu. Naturalnie, że ucieszę się zawsze z niego, a on ze mnie, przecież to mój przyjaciel.

— Przyjaźń prowadzić może do innego uczucia.

— No, jestem zupełnie pewną, że nic naszéj przyjaźni nie rozerwie.

— Ja nie mówię o zerwaniu.

— Więc o czémże... aha! już wiem, pan może przypuszcza to samo, o czém wspomniał mi wuj, gdy mu powiedziałam, że chcę pracować. Już mię to gniéwać zaczyna; ciekawa jestem dlaczego mnie tak

wszyscy w Kalinowéj wydają za Kotnickiego? Z tych przypuszczeń wynika ten sens, że się wszyscy mylą.

Grąbski z zachwytem patrzył na zarumienioną Anielkę.

— A więc to nie prawda?

Dziewczyna zmieszała się pod wpływem jego wzroku i bez słowa odpowiedzi wyszła z pokoju.

— To nie prawda!—powtarzał rozradowany Grąbski.

Miał ochotę śmiać się, śpiéwać, gwizdać, aż go zastanowił ten zbytek wesołości, spowodowany słowami Anielki. Pomyślał, że gdyby Anielka zajęła się kimkolwiekbądź, sprawiłoby mu to niesłychaną przykrość, ba! po co prawdę w bawełnę obwijać, życieby mu zbrzydło.

— O, źle Grąbski—reflektował sam siebie.—Trzeba wyjechać.

Lecz do wyjazdu najmniejszéj nie miał ochoty, niech tam Jodkiewicz zastępuje go jeszcze w redakcyi. Wprawdzie wkrótce przyjedzie z Krakowa pewna naiwna na debiuty w Warszawie, obiecał jéj był poparcie w prasie, niech ją tam bogowie i Jodkiewicz mają w swéj opiece! Jemu było tak dobrze w Kalinowéj!

IX.

Powozy, koczyki, wózki krakowskie, zjeżdżały kolejno do lasu pana Pyszkiewicza, promotora składkowéj majówki, rodzaj pikniku na świeżém powietrzu. Girlandy lampek chińskich otaczały polankę, zasianą już jasnemi sukniami pań i panien-obywatelek, wśród których szarzały płócienne ubrania panów obywateli.

Na boku stały ogromne kosze z prowiantami, niezliczona ilość kurcząt, kaczek, pieczeni, pasztetów, owoców wreszcie, paść miała ofiarą dobrego apetytu braci szlachty.

Młodzież płci męskiéj, panowie Patkiewicze, Ratkiewicze etc. sprowadzili cukry aż z Lublina i z Warszawy. Kotnicki ofiarował ognie bengalskie.

Wieść o wyjeździe Anielki rozeszła się już była po okolicy, panie przypuszczały, że Jodowska wysyła siostrzenicę do stolicy, bo tam może łatwiéj znajdzie męża; panowie, słysząc o jakiéjś nauce, zapewniali, że dziewczyna ma przewrócone w głowie.

— Będzie z panny Anieli Salomon w spódnicy — oświadczył Pyszkiewicz. — Ja już nie ośmielę się przy pannie Anieli ust otworzyć.

— Panna Aniela spajrzéć na nas nie zechce po powrocie—dodał Ratkiewicz.

— Jeszcze nie wyjechałam, co tu mówić o powrocie—odparła ze śmiechem Anielka.

Męczyły ją jednak te uwagi, a spotykała się z niemi ciągle.

— Czego oni odemnie chcą? — szepnęła Grąbskiemu — chciałabym jak najprędzéj wrócić do domu.

— A mój kontredans?

— Pamiętam o nim.

Grąbski tak asystował Anielce, że to zwróciło nawet uwagę Kotnickiego.

Przyglądał się im, przechylając głowę z boku na bok.

— Jeszcze mi dziewczynę zepsuje—pomyślał; tymczasem Anielka zaprzeczyła jego posądzeniom, podchodząc do niego.

— Wié pan, mam pomocnika w osobie pana Grąbskiego.

— Pomocnika? W czém?

— Obiecał napisać powiastkę ludową, zbiéra materyały.

— Winszuję mu, ale tu nie wystarczą dobre chęci. On nie może znać ludu.

Po raz pierwszy Anielka zaprzeczyła Kotnickiemu.

— Jakto, nie może? Nie zna, ale pozna. Zapoznał się już ze starą Walczakową, razem ze mną był u kilku gospodarzy, gdy chodziłam dowiadywać się o zdrowie dzieci, u Kasperków chorował pięcioletni chłopak, a u Bartoszków matka gospodarza. Z początku wcale z niemi mówić nie umiał, aż mi się śmiać z niego chciało. Teraz już mu łatwiéj idzie.

— W takim razie, jeszcze raz mu winszuję.

— Mnie chyba?

Kotnicki uśmiechnął się.

— Pani powinszuję, gdy Grąbski spełni obietnicę.

Z téj rozmowy wywnioskował, że może nie literat na Anielkę, lecz przeciwnie, Anielka na niego dobry wpływ wywrze.

Rozpakowano koszyki z prowiantami i zgromadzeni otoczyli grupami rozesłane tu i owdzie obrusy, zabiérając się do podwieczorku. Anielka gospodarowała, częstując wszystkich słynącym w okolicy pasztetem, zrobionym podług przepisu pani Ewy, wreszce usiadła na trawie, między panią Misińską a Kotnickim.

Grąbski sąsiadował z panią Ewą. Zaczęto pić zdrowia. Literat wniósł toast na cześć Anielki, czém znowu zwrócił na nią uwagę całego towarzystwa.

— Teraz prosimy o rewanż, panno Anielo.

— Panna Jodowska ma głos!—zahuczał Pyszkiewicz.

— Wnoszę zdrowie rycerzy Świętego Ducha — odezwała się po chwili wśród ogólnego milczenia.

— Brawo! — zawołał Pyszkiewicz i korzystając z ogólnego brawa, pochylił się ku sąsiadowi i spytał.

— Czyje zdrowie ona wniosła?

— Nie wiem — odparł sąsiad. — Jakichś rycerzy, dalibóg nie słyszałem o nich.

Grąbski podszedł ku Anielce z kieliszkiem w ręku.

— Zdrowie tych dwóch rycerzy — szepnęła, patrząc kolejno na niego i na stojącego przy niéj aptekarza.

Grąbski poczerwieniał, i zakreślił niepewny gest, jak gdyby chciał podać rękę koledze.

Kotnicki wyciągnął dłoń.

— Winszuję ci — rzekł półgłosem. — Ale ponieważ lubię sobie zawsze zdawać jasno sprawę z każdéj rzeczy, poproszę cię o chwilkę rozmowy.

— Służę.

Odsunęli się od reszty towarzystwa.

— Słuchaj Grąbski, nie posądzam cię dotąd o bałamucenie Anielki, ale że po ludziach wszystkiego się spodziéwać można; ostrzegam, biada ci! gdybym coś podobnego dopatrzył w twojém postępowaniu.

Grąbski odskoczył.

— Czy moich sekundantów mam ci przysłać za to posądzenie.

— Wybacz Grąbski, wiész, że mówię zawsze bez ogródek. Dotąd nie posądzam cię wcale.

— Więc pocóż ten wybuch.

— Przepraszam cię, mam dla téj dziewczyny wiele sympatyi, a ty przecież byłeś dotąd bałamutem.

— Źle zastosowałeś swoje przestrogi, zapomnijmy o tém.

Grąbskiego w duchu uszczęśliwił ten wybuch; schwytał Kotnickiego na nietakcie i mógł powiedziéć mu wspaniałomyślnie, zapomnijmy o tém. I to z powodu Anielki. Czuł pewną dla niéj wdzięczność.

— Jeżeli żądasz satysfakcyi, dam ci ją. Tylko znowu ostrzegam, że jestem najzupełniéj przeciwny pojedynkom — odezwał się po chwili Kotnicki; — pojedynek z tak błahego powodu, byłby potwornością.

— Panna Aniela oczyby mi wydrapała, gdybym cię wyzwał na pojedynek — uśmiechnął się literat.

— Cóż tu panowie spisek przeciw nam knują? — zagadnął na cały głos jeden z obywateli rozmawiających.

— Wiadoma rzecz, że pan Kotnicki zawsze się nam sprzeciwia.

— Dla tego usunąłem się — odparł pół żartem.

— A tu na ognie bengalskie już czas — zawołał Pyszkiewicz.

Noc zapadła, służba zbierała resztki jedzenia, nakrycia, zaczęto zapalać lampki.

Wypuszczono pierwszą racę i na ten sygnał żydowska kapela, złożona ze skrzypiec, trąby i basetli, zagrała poloneza.

Rozpoczęto tańce, tańczyły mamy i ojcowie, synowie i córki, na boku skakały dzieci ze śmiechem i płaczem, wywołanym częstemi upadkami. Pani Mysińska poszła za przykładem najmłodszego pokolenia i runęła na trawę, potknąwszy się o jakąś nierówność gruntu; nie zepsuło to jednak humoru reszcie towarzystwa, bawiono się doskonale, gdy spoczywały nogi, pracowały języki; półgłosem zapewniali jedni drugich, że Grąbski zajęty jest Anielką, a ciotka wysyła ją do Warszawy, by nie wypuścić z rąk konkurenta. Skandal! zaręczali jedni.

— Cóż pani chce, takie ciężkie czasy, kto teraz ożeni się z biédną panną.

— A, moja pani Maryo, już ja w ten sposób nie myślę zięciów łapać — zapewniała druga.

— Jodowska przebiegła, ho! ho! szpakami karmiona.

— Kto tam wie, jak rzeczy stoją.

— Cóż pani przypuszcza?

— Z początku ten Grąbski częściéj patrzał na ciotkę, niż na siostrzenicę.

— Jakto, więc to tylko dla zamydlenia ludziom oczów?

— No ja nie mówię, żeby tam miało być co złego.

Kotnicki posłyszał kilka podobnych wyroków, i zawsze starał się zrobić dywersyę w rozmowie. Najgadatliwszą doletnią pannę Pelagię porwał w wir walca, i póty tańczył, póki tancerce tchu nie zabrakło, a wtedy doprowadził ją do saméj kapeli i posadził na stołku, zaręczając, że właśnie tu jéj będzie najwygodniéj pomimo protestów panny Pelagii, którą przerażało sąsiedztwo trąby.

— Swój niech swego szuka — pomyślał Kotnicki.

Śpiewającéj pani Rawnickiéj zaręczył, że głos straci, jeśli tak wiele mówić będzie po chłodnéj rosie. Lecz nie mógł wszystkim ust zamknąć. Pragnął jedynie, by przyjacielskie gawędy nie doszły do uszów interesowanych osób; lękając się starszych, zapomniał, że skąd inąd grozi niebezpieczeństwo. Mała Mysińska, dziesięcioletnia Józia, posłyszała rozmowę, i z bardzo tajemniczą miną podeszła do Anielki.

— Panno Anielo, chciałabym coś pani powiedzieć.

— Mów Józiu.

— Mama powiedziała, że pani jest zajęta tym panem — oświadczyła, wskazując palcem na stojącego obok Grąbskiego.

Dziewczynka przyglądała się im z wielką ciekawością.

Anielka milczała zmieszana.

— O! Jak się to pani zaczerwieniła — zauważyła Józia.

Grąbski pochwycił dziewczynkę za rękę.

— Chodź Józiu, coś ci dam — obiecał, chcąc ją odciągnąć.

— A co mi pan da?

-- Zobaczysz, coś dobrego.

— W koszu są jeszcze konfitury—szepnęła Anielka. — Walenty niech je wyjmie.

Józia dostała konfitur pod warunkiem, że „będzie cicho“, poczém udała się do matki i wyszeptała całe zajście, za co otrzymała równie ciche, lecz bardzo ostre napomnienie, i przydomek szkaradnéj papli; rozżalona powróciła do grona innych dzieci, przywiązując jakieś straszne a tajemnicze znaczenie do tego wyrazu „zajęta“.

Grąbski zaś rozejrzał się, czy gdzie nie ma Kotnickiego, gdy ujrzał go rozmawiającego z Anielką.

Dziewczyna powtórzyła mu słowa Józi.— Szkaradne plotkarki— zakończyła.

— Proszę pani, mnie to wcale nie dziwi, Grąbski albo z panią rozmawia, albo na panią patrzy.

Odeszła rozdrażniona. Grąbski przysiadł się do pani Ewy, drżał cały z gniewu, wymawiał sobię, że naraził na taką przykrość Anielkę. Nie śmiał także zbliżyć się do niéj.

Pani Ewa zdawało się, była w jak najlepszym humorze, literat pozostawił ją w liczném otoczeniu okolicznéj śmietanki, nie pociągała go rozmowa. Błąkał się chwilę, wreszcie uczepił się Kotnickiego.

— Już o was plotkują — odezwał się aptekarz.

— Kretyni! — syknął literat.

— Podobno w każdéj bajce jest połowa prawdy.

Grąbski wzruszył ramionami.

— Daj mi pokój — mruknął i odszedł.

— Aha, daj mi pokój — szepnął Kotnicki, znamy się na tém.

Literat z desperacyi usunął się od towarzystwa, z niecierpliwością oczekując chwili odjazdu. Języki ludzkie zepsuły mu tak przyjemnie zaczęty wieczór. Odetchnął dopiéro, gdy usiadł w powozie

Jodowskich naprzeciw Anielki. Dziewczyna milczała, łzy miała w oczach, i zaledwie weszła do pokoju, uklękła przed łóżkiem i ciężko zapłakała.

Płacz ustał wkrótce.

— Nie powinnam na to uważać—broniła się i mimowoli łzy spływały po jéj twarzy.

W pokoju Grąbskiego do rana błyszczało światło lampy. Po kilkogodzinném roztrząsaniu własnych myśli, musiał przyznać, że... poprostu zakochał się w Anielce. Tak prędko? Ależ ją tak łatwo można było poznać, a Grąbski nie pojmował, by można było poznać ją i nie pokochać. Że téż nie ubiegł go Kotnicki? Dziwny człowiek! Moje jedyne, złote stworzenie! myślał. Ogarnął go dziwny niesmak na myśl, że znów ma powrócić do dawnego trybu życia. Nie mógł wyobrazić sobie Anielki wśród towarzystwa, w którém przebywał. Patrzonoby na nią jak na dziwoląga, a ona więcéj warta od nich wszystkich! Ona nie chce znosić utartych fałszów? dziecko! a czémże by cię tam ptaku karmili—wołał w duchu, uśmiechając się do ściany, jak gdyby na niéj zarysował się obraz Anielki. Dla niéj mógłby nawet przejść pod sztandar Kotnickiego! Myśl o niéj, niby różczka czarnoksiężka zdawała się usuwać trudności, przed któremi cofał się dotąd, miękczyła nawet jego miłość własną.

Ta broniła się najdłużéj — wreszcie uspokoił ją Grąbski wykrętem, że przyznanie się do winy bywa cechą prawdziwie wielkich charakterów. Stać go i na taki charakter.

Wschodziło słońce, gdy odrodzony Grąbski głęboko zasnął.

X.

— Panno Anielo — zaczął literat.

— Słucham.

Literat milczał.

— Co mi pan powié?

Znowu milczał.

— Pójdę do Kotnickiego — odezwał się z nagłą determinacyą.

Wstał z krzesła, popatrzał długo na towarzyszkę.

— Do widzenia pani.

— Może pan pojedzie — zauważyła Anielka. — Do miasteczka jest zawsze ze cztery wiorsty drogi.

— O nie! pójdę. Do widzenia pani.

— Do widzenia.

— Co mu się stało! — dziwiła się Anielka.

Grąbski znalazł w aptece Kotnickiego.

— Chcę z tobą pomówić.

— Teraz?

— Koniecznie.

Poszli do dworku Kotnickich i rozmawiali długo.

— Grąbski, w ramki cię oprawię, jeśli wytrwasz — mówił Kotnicki.

— Więc pójdziesz ze mną do Kalinowéj.

— Pójdę, boś mi życia dodał.

Gdy doszli do dworu Kalinowéj, Kotnicki oznajmił Anielce, że chce z nią pomówić *en tête à tête*.

— Panno Anielo — zapytał wręcz — czy przyszło ci kiedy na myśl, że Grąbski rozkochał się w tobie.

Nastało długie milczenie.

— Wiem — szepnęła wreszcie po chwili.

— No! jaką mam mu dać odpowiedź? Z mojéj strony dodam, że pani może z niego zrobić bardzo porządnego człowieka.

— Panie Kotnicki, ja... ja nic nie mam przeciwko panu Grąbskiemu. Tylko ciocia ostrzegła mnie...

— Że z niego wielki bałamut? Co?

— Skąd pan wié?

— Bo jest w tém trochę prawdy. Zły swat ze mnie, ale prawda przedewszystkiém, i w imię téj prawdy powiem, że podkochiwał się pono nie raz, ale jestem przekonany, że teraz dopiéro kocha się szczerze.

— Ja, ja może powiem: tak; tylko widzi pan, z początku nie cierpiałam go, wprawdzie i on był inny.

— A teraz?

Anielka miczała.

— Jeżeli przyniosę mu słówko n i e, dziś jeszcze wyjedzie — zauważył Kotnicki, jak gdyby chciał jéj pomódz w rozpoznaniu własnych uczuć.

— Ja się spodziewałam — zaczęła — tak pan to prędko powiedział, dziś wyjedzie... — zamyśliła się, i wreszcie po długiéj chwili szepnęła — Tak.

— Niech pani Bóg szczęści — rzekł, podając jéj rękę — i niech pani o mnie nie zapomina.

— Ja o panu!

— Pójdę teraz do Grąbskiego.

— Słuchaj co ci powiem, i bogdajbym słów moich nigdy nie żałował — odezwał się, wchodząc do pokoju. — Jest wyraz, który cię rzuci na nową drogę, który zaważy stanowczo w twojém życiu, a tym wyrazem... — tu umilkł.

Grąbski blady, ze spuszczoną głową, czekał wyroku.

— Mów — szepnął.

— No tak, rozumié się, że tak. Zawsześ kobiétom w głowie zawracał.

— Królu! — zawołał Grąbski.

— Na teraz zakrzątnijcie się koło Jodowskich.

Po spełnioném poselstwie Kotnicki szedł smutny, dziwnie pognębiony.

— Szczęśliwy ten Grąbski! — westchnął.

Po powrocie do domu, otworzył jedną z szuflad swego biurka, i wydobył z niéj niebieską kopertę. Z koperty wysunął zblakłą fotografią kobiecéj twarzy.

— I dla czego odrzuciłaś mnie!— zapytał. — Na co ci była moja męka? Dla czego marnujesz mi życie! Gdybym mógł zapomnieć o tobie. Lecz ty wiész, że ja nie zapominam.

I silny, żelazny człowiek zakrył twarz rękami, i ciężka łza zabłysła mu u powiek.

— Dla czego? Alboż to można określić co mu każe kochać tę a nie inną — szepnął. — Nie złamałaś mnie jednak. Żyję, lecz przekląłbym cię wtedy, gdyby mi rozpacz resztę sił odebrała. Kocham cię—dodał, ściskając konwulsyjnie fotografię.

W niebieskiéj kopercie leżało rozwiązanie zagadki, nad którą nieraz rozmyślała Anielka. Tu tkwił powód jego nagłych smutków, groźnych chmur, które czasem za lada słówkiem zasępiały mu czoło.

Kotnicki nie należał do sentymentalnego gatunku, i teraz téż szybko zamknął w biurku swoją tajemnicę, a gdy wchodził do apteki, twarz jego miała już zwykły, trochę szyderczy wyraz.

Nazajutrz Grąbski przybiegł do niego z nowinami.

Rozmówił się z Jodowskimi, przyjęto go, jest najszczęśliwszym z ludzi Anielka wyjeżdża do Warszawy. Nieoszacowane stworzenie pragnie pracować, no, i on téż musi wywalczyć jakieś stanowisko. Listownie rozstał się już z „Gońcem“, pobiorą się kiedyś tam, za rok dopiéro, to téż rzecz całą trzymać będą czas jakiś w tajemnicy.

Po kwadransie pożegnał aptekarza.

— Czy pan pomyślał kiedy jaką to potęgę mają kobiéty — zagadnął Ciorkiewicza, Kotnicki.

Ciorkiewicz nigdy o tém nie pomyślał.

— Otóż porządnemu mężczyźnie każda kobiéta może życie zmarnować, ale porządna kobiéta, panie! cudów dokazuje. Odtąd zwracam się do kobiét, a przez nie trafię do reszty. Żeby tylko wytrwał— szepnął...

— Jest nawet o tém przysłowie — zauważył flegmatycznie Ciorkiewicz „Gdzie dyabeł nie może, tam babę pośle“.

Antonina Morzkowska.





W CZELUŚCIACH ANGLII.

In the darkest England and the way out, by the Rev. William Booth, General of the Salvation Army. London, 1890.

W chwili, gdy cała Anglia czytała chciwie książkę Stanleya, w której hardy podróżnik oprowadzał po czeluściach Afryki i święcił swe własne tryumfy, w chwili, gdy rozbudzona jéj filantropia gotową była utworzyć jakie dobroczynne towarzystwo, do zaopatrywania dzikich plemion afrykańskich w kraciaste spodnie i w egzemplarze Biblii, pojawiła się książka, opisująca nie odległe afrykańskie, ale krajowe, angielskie czeluście. Już samo podobieństwo tytułu było trafną krytyką i wskazywało, że nie o pielęgnowanie czarnoskórych, ludożerczych braci afrykańskich, ale przedewszystkiém o wyratowanie z otchłani milionów swoich własnych ziomków powinna troszczyć się Anglia. Książka ta, napisana, a raczéj podpisana przez p. Booth, generała armii Zbawienia, wywarła wrażenie potężne, piorunujące. Przypomniała ona, że istnieje na dnie społeczeństwa angielskiego trzechmilionowy proletaryat, że jest obowiązkiem ocalić, wydobyć z téj otchłani nędzy, zepsucia i występku istoty zepchnięte tam przez walkę życiową. Nietylko że przypomniał p. Booth ten obowiązek moralny i obywatelski, ale zrobił więcéj, gdyż przedłożył cały plan reformy socyalnéj. Nie z fantastyczną jaką mrzonką, ale z pewnym praktycznym planem, albo przynajmniéj podającym się, jako praktyczny, ma się tu do czynienia, i już to samo tłómaczy rozgłos, jaki ta książka znalazła. Mimo wysokiéj swéj ceny, rozeszła się blisko w 200,000 egzemplarzy, a składki, do których wzywała, wynoszą już obecnie, po upływie trzech miesięcy prawie, ową sumę

100,000 funtów, któréj zażądał reformator dla rozpoczęcia swego dzieła zbawczego.

Nic ciekawszego, jak agitacya, która powstała z okazyi téj inicyatywy reformatorskiéj, polemika, jaką wywołała, stanowisko, które zajęły względem niéj rozmaite warstwy społeczne, jak arystokracya, kościół, grona naukowe, zapał i nadzieje wyrażane przez jednych, nieubłagane krytyki formułowane przez drugich. Oryginalność charakteru angielskiego i nadzwyczajne, dodatnie jego strony, uwidoczniły się przytém w sposób jaskrawy. Wydało się nam tedy stosownem przedstawić czytelnikom naszym przedmiot ten w organicznéj jego całości. Ma on w sobie dwie strony, religijną, sekciarską, związaną z osobistością p. Booth'a, jako twórcy armii Zbawienia, i społeczną. Ażeby ocenić jak należy drugą, wypada koniecznie poznać się bliżéj z pierwszą.

I.

William Booth urodził się w 1829 r. w Nottinghamie. Chociaż rodzina jego należała do kościoła anglikańskiego, on, już jako 14-toletni chłopak przyłączył się do sekty metodystów. W siedmnastym już roku życia miewał kazania, a w roku 1853-im został pastorem w Londynie. Obdarzony wymową i znajdując łatwo sposób opanowania umysłów prostaczków, był wysyłany na prowincyą dla werbowania adeptów sekcie. Popularność jego rosła, i gdy po kilku latach zaszło pomiędzy władzami kościelnemi metodystów a nim drobne jakieś nieporozumienie, skorzystał z niego, ażeby się wyzwolić z wszelkiéj zależności od téj sekty i ufundować swoją własną. Przedsięwzięcie takie jest łatwém w Anglii i nie ma roku, żeby nie powstała jaka nowa sekta, budująca swoje kaplice, fundująca swe instytucye dobroczynne, znajdująca potrzebne dla swego istnienia kapitały w ewangelicznym nastroju społeczeństwa. Nie wiele jednak sekt znalazło takie powodzenie, jak utworzona przez Rev. Williama Bootha. Nie szczędził on wprawdzie pracy i zachodu. Korzystając ze swobody propagandy religijnéj, zatrzymywał się na pierwszym lepszym placu, na rogu ulicy, w parkach: przemawiał do przechodniów, nawracał słuchaczy. Jako główną kwaterę obrał sobie *East end* londyński, te najuboższe, najnędzniejsze cyrkuły wielkiéj stolicy, gdzie się gnieździ bezkarnie występek i ostatnie moralne zepsucie. Znajdywał widocznie drogę do serca tych wydziedziczonych, skoro niebawem A r m i a Z b a w i e n i a zgromadziła się około niego, jako około swego generała. Obchodziła już ona w roku zeszłym 25 rok swego istnienia, a chociaż w pierw-

szych latach lekceważono ją, wyśmiewano, chociaż zdawała się skazaną na śmierć wskutek śmieszności, to z każdym rokiem rosła w siły, potężniała i nie da się zaprzeczyć, że obecnie wyrobiła sobie stanowisko potężne i że nad wielu sektami, daleko starszemi, góruje powodzeniem popularnością i wpływem.

Twórca Armii Zbawienia nie troszczył się bynajmniéj o dogmatyczną kazuistykę i z metafizyką teologiczną nic nie ma do czynienia. Przyjmuje on, jeżeli się tak wyrazić wolno, chrystyanizm przeciętny, *grosso modo*. Względem żadnéj z istniejących sekt i kościołów nie stanął nieprzyjacielsko, lecz przeciwnie w każdym widzi sprzymierzeńca. W pierwszych latach nawet, jego żołnierze uczęszczali na nabożeństwa do parafialnych kościołów lub kaplic, a jeżeli stopniowo się z nich wycofali, to pochodzi to z prześladowań i napaści, jakich im nie szczędzili pastorowie z wysokości swych kazalnic. Obecnie mają swe własne zbory. Ta obojętność dla subtelności dogmatycznych tłómaczy się wystarczająco przez niski poziom wykształcenia adeptów, należących, jakeśmy powiedzieli, do proletaryatu, do klasy wyrobniczéj, służących, drobnych rzemieślników, etc. Dość było, ażeby ich drzémiące wyobraźnie rozbudzić, przedstawić im z jednéj strony dyabła, co na nich czycha i do czeluści piekielnych ich zapędza za grzechy, a z drugiéj miłosiernego Zbawcę, Chrystusa, który ich tarczą jest i opiekunem. Życie sprowadzone zostało do ciągłéj walki pomiędzy temi dwoma sprzecznemi żywiołami, i Armia Zbawienia uformowaną do nieustannego staczania walki z grzechem i występkiem, do zdobywania jednéj duszy po drugiéj dla Chrystusa.

Sama z siebie wynikała wojenna organizacya. Armia Zbawienia podzieloną została na korpusy i brygady, ma swój sztab generalny, swoich oficerów o hierarchicznych stopniach, podoficerów, sierżantów, żołnierzy, ma swoje koszary, obozy, czyni wyprawy na zdobycie jakiego miasta, prowincyi, kraju, odbywa mustry, rewie, posiada swe mundury, chorągwie, orkiestry wojskowe, pobiéra żołd regularny. Organizacya ta, tak śmieszna i teatralna w oczach każdego wykształconego człowieka, stała się właśnie ponętą dla warstw najniższych społeczeństwa. Jednostki przedtém rozprzęgłe i wydziedziczone poczuły się członkami skupionéj organizacyi; ich miłość własna, poczucie godności człowieczéj zostało rozbudzone; rangi, które mogły pozyskać, były pożądaném odznaczeniem; mundury były nieraz pierwszém schludném odzieniem, które mieli w życiu; smak ich estetyczny nigdy przedtém nie rozbudzony, podobał sobie w jaskrawych chorągwiach, w hałaśliwych muzykach, w dzikich hymnach, obrzędach religijnych, doprowadzających do histerycznych napadów. Ta cała strona ze-

wnętrzna, którą profesor Huxley sprawiedliwie nazwał „*Corybantic Christianity*“, porównywując ją do mytologicznych orgii Cybeli, zawładnęła naiwnemi umysłami i zmysłami masy i stała się w ich ponurém, jednostajném życiu strumieniem światła, promieniem wesołości.

A nie należy zapominać o materyalnéj stronie życia. „General“ nietylko dostarczał im duchowego, ale i codziennego chleba. Werbując swych żołnierzy po największéj części wśród najbiedniejszéj ludności, zapewniał im byt. Od pierwszéj chwili, gdy daje pokarm wycieńczonemu głodem nędzarzowi, pijakowi albo rozpasanéj prostytutce, stawia sobie za cel podtrzymanie ich nadal. Powstały rozmaite instytucye dobroczynne dla członków armii: tanie kuchnie, domy przytułku, lecznice, biura dostarczające pracy, jednonocne przytuliska i stałe koszary. Wystarcza przystać do Armii Zbawienia, być ślepo posłusznym zwierzchności, okazywać gorliwość w prozelityzmie, ażeby naprzód jako żołnierz pobiérać mały, a potém jako podoficer i t. d. coraz wyższy żołd.

Dzięki temu zrozumieniu umysłowych, estetycznych i materyalnych potrzeb klas społeczeństwa, o które arystokratyczny kościół państwowy troszczyć się nie zdawał, udało się Wiliamowi Booth uorganizować sektę potężną. Nie można naturalnie obliczyć ściśle jéj wyznawców, ale cyfra 2,000,000, którą się chełpią, nie musi być o wiele przesadzona. W każdym razie sztab Armii Zbawienia liczy blisko 10,000 oficerów różnych stopni, a korpusów w Anglii, w koloniach i różnych krajach nie angielskich jest półtora tysiąca. Majątek nieruchomy wynosi blisko milion funtów szterlingów i roczny obrót kapitału wznosi się do takiéj saméj sumy. Nie można przeczyć, żeby p. Booth nie był dobrym finansistą! Przeciwnicy jego zarzucają mu nawet, że jest zbyt dobrym, i w każdym razie ani on sam, ani jego rodzina nie mogą się uskarżać na ciężkość losu. On sam, jako generał armii, nie potrzebuje zdawać rachunków nikomu z funduszów, któremi rozporządza, ani ze sposobu, w jaki żyje. Żona jego, znana jako „Matka Kościoła“, świadczyła istotnie wiele dobrego. Od lat kilku złożona była ciężką chorobą i p. Booth nie szczędził żadnych kosztów na jéj uratowanie, skoro ofiarował przez gazety sumę 40,000 funtów operatorowi, któryby ją ze skira wyleczył. Tylko magnackie fortuny są w stanie tego rodzaju wydatki wprowadzić do swego prywatnego budżetu! Wszyscy jego synowie i córki są dygnitarzami w armii i pobiérają odpowiednie pensye. Najstarszy syn, Bradwell Booth, jest szefem sztabu generalnego i od kilku lat stale rozwija działalność w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnéj. Córka,

niedawno poślubiona pułkownikowi armii, jest sama jéj marszałkiem, gdyż, jak wiadomo, płeć nie jest zawadą do rang oficerskich; młodzi synowie i córka idą w te same ślady. Ale wszyscy, trzeba przyznać, gorliwie, wyłącznie poświęcają się swemu zadaniu. Piszący miał sposobność znać osobiście przed kilku laty „marszałkowę“ Booth. Jéj idealna, ascetyczna postać, ogień wewnętrzny, który ją trawił, niestrudzona działalność ewangeliczna, jakiéj się oddawała, musiały nawet najobojętniejszego natchnąć dla niéj sympatyą i szacunkiem.

Nie zatrzymujemy się nawet nad zarzutem, czynionym p. Booth, iż się jako organizator Armii Zbawienia za własnemi, materyalnemi ubiega korzyściami. Byłby to zarzut niegodny sprawy, o jaką idzie. Osobistości takie, jak generała, innych jak materyalnych, zmysłowych dobijają się zysków. Dominującą stroną ich charakteru jest ambicya, despotyzm, żądza wpływu, władzy. Pod tym względem najcięższe, najsurowsze skargi formułowane były przeciwko niemu i odrazu zrozumiéć można ich sprawiedliwość. Oskarżono go, że jest papieżem w swéj sekcie, i że uważając się za nieomylnego, nie znosi ani żadnéj rady, ani żadnego nadzoru, ani żadnéj opozycyi. Wymaga on ślepego, niemego posłuszeństwa od każdego ze swoich adeptów i pomocników; dyscyplina żołnierska nie jest tylko zewnętrzną formą, ale jądrem całéj organizacyi. Jest w takiém samowładném kierowaniu i rządzeniu masą, jest w tém modelowaniu jéj podług samoistnie ułożonego planu, bezwątpienia wysokie zadowolenie dla potężnych umysłów. Taki ideał przewodniczył założycielom wielkich stowarzyszeń zakonnych. Dość jest przypomnieć Franciszka z Assyżu albo Ignacego Lojolę. Historya oświeca nas jednak co do następstw, jakie miały dla rozwoju ludzkości takie zgromadzenia zakonne. Walka Franciszkanów z Dominikanami, działalność rozgałęziona zakonu Jezuitów są wypadkami, o których opinie są już obecnie ustalone. Porównanie z Franciszkiem z Assyżu byłoby tylko mogło być arcy-pochlebném dla p. Booth'a. A wszakżeż ta instytucya stworzona przez genialnego ascetę, jeszcze przed jego śmiercią, w 1226 r. została zwichnięta w pierwotnym celu. Można się zapytać, co się stanie z Armią Zbawienia po śmierci pana Bootha. Albo się rozejdzie, albo podzieli na stronnicze obozy, albo cele swe zmieni: innego wyjścia nie będzie. Tego, czemu nie podołały instytucye zakonne w wiekach średnich, sprzyjających ich organizacyi, temu nie podoła w XX-ym wieku żaden następca obecnego generała. On jest obecnie instytucyą, on rządzi nią i kieruje i jak słusznie powiedziano, jest pewna ilość Boothistów obecnie na świecie, ludzi, którzy wierzą bezwzględnie w to, w co ich wódz wierzyć im każe i robią to, co im robić każe. Jemu to wystar-

cza. Ale społeczeństwo, świat współczesny, mają prawo inaczéj się na stworzony przezeń organizm zapatrywać i nic dziwnego, że sąd o nim nie wypada przychylny.

Przyznajemy najprzód chętnie, że Armia Zbawienia oddała usługi społeczeństwu angielskiemu. Wymagając od swoich członków, ażeby zaprzestali całkowicie używać gorących trunków, zmniejszyła w widocznych, dotykalnych rozmiarach liczbę nałogowych pijaków i rozszerzyła wstrzemięźliwość. Jedna z najohydniejszych plag, gnębiących proletaryat angielski, została zmniejszona. Odciągnął on także wiele dziewczyn ulicznych od prostytucyi. Kładziemy takie umoralnienie warstw ludowych, jako zasługę p. Booth'a i jeżeli tych nałogów i występków nie mógł inaczéj wytępić, jak przez swe procesye, swe orkiestry, swe sensacyjne spowiedzi publiczne grzeszników nawróconych i komedyanckie obrzędy, to mu się to wszystko przebacza dla celu, do którego zdąża.

Ale jeżeli stopniowo wyrabia w pośród swych adeptów fanatyzm religijny, jeżeli, przychodząc w pomoc ich materyalnym potrzebom, kładzie na ich umysł swoje piętno, pozbawia ich samodzielnego sądu, jeżeli wytwarza w łonie swobodnego społeczeństwa pewne grono niewolników i bezmyślnych agentów, to mamy prawo zapytać, czy dobro, które czyni, nie jest przeważoném przez zło, czy należy go uważać jako dodatniego, czy jako ujemnego cywilizacyjnego działacza. Wątpliwość taka w kraju całkowitéj swobody religijnéj i swobody stowarzyszania się, zostawiała panu Booth otwarte pole do działalności i nikt takowéj krępować nie miał zamiaru.

Obecnie jednak położenie się zmienia. P. Booth występuje z całkowitym planem zniesienia proletaryatu i ofiaruje się gotowym do ocalenia materyalnego i moralnego owych trzech milionów mieszkańców Wielkiéj Brytanii, które są pogrążone w czeluściach nędzy i występku. Oświadczając swą gotowość do takiego dzieła, obiecuje pomyślny rezultat a jako rękojmię pokazuje dodatnie rezultaty Armii Zbawienia i instytucye filantropijne, które już stworzył. Żąda od klas zamożnych narodu hojnych datków, a mianowicie oświadcza, że mu potrzeba miliona funtów. Dziś tedy w obec przedłożonego sobie programatu i w obec powołania się na swoją przeszłość, społeczeństwo angielskie ma prawo zapytać go o rachunek, poddać jego działalność dotychczasową ścisłéj krytyce i zawyrokować, czy p. Booth i kadry Armii Zbawienia są w istocie jedynie dobrym, albo czasowo najlepszym organizmem do przeprowadzenia danego zadania społecznego. W chwili, w któréj piszemy, cała prasa, organy duchowieństwa i filantropijne stowarzyszenia prowadzą właśnie ową ankietę nad planem

p. Booth'a. W ogóle zrozumiano, że idzie mu o socyalną reformę, ale że mu idzie jednocześnie, aby nie powiedzieć, głównie, o danie nowego, potężnego popędu Armii Zbawienia, o znalezienie dla niéj niewzruszonych fundamentów. Skoro jednak sekta ta religijnie nie jest ideałem wysokiéj moralności, a przeciwnie odstrasza swym utylitaryzmem, skoro jest ona niebezpiecznèm narzędziem w ręku despoty, pokazuje się z każdym dniem niezawodniéj, iż byłoby wbrew dobrze zrozumianemu interesowi narodowemu, powiększać dobrowolnie zakres działania tego despoty i nadawać mu charakter pełnomocnika społeczeństwa do przeprowadzenia reformy socyalnéj.

Zaznajomiwszy się z osobistością p. Booth'a i Armią Zbawienia, możemy z kolei przystąpić do przedstawienia jego planu i do oceny takowego.

II.

Książka: „*In darkest England and the Way out*“, zawierająca plan zniesienia proletaryatu w Wielkiéj Brytanii, wyszła na widok publiczny w końcu października r. z. Jeżeli idee przewodnie są p. Booth'a i noszą jego piętno, to samo dzieło napisane zostało przez pana Stedd'a byłego wydawcę i naczelnego redaktora dziennika *Pall Mall Gazette*, osobistość rzutką, o charakterze dwuznacznym, o opiniach, opiérających się na krańcowym radykalizmie z jednéj strony, a ciasnéj bigoteryi z drugiéj. Tak jak Armia Zbawienia, tak i on lubi używać bębnów i trąb do czynienia około siebie reklamy. Oto jeden z współpracowników p. Booth'a. Drugim był p. Smith, człowiek, który przez wiele lat był prawą ręką „generała“ w jego filantropijnych fundacyach. Właśnie obecnie, w czasie kampanii, jaką prasa wszystkich odcieni wytoczyła panu Booth, nastąpiło pomiędzy nim a generałem nieporozumienie co do zużytkowania napływających funduszów i wystąpił on z Armii Zbawienia. Ci, co się spodziéwali skandalów i zwierzeń niedyskretnych, przerachowali się. P. Smith zamyka się w milczeniu, które w najlepszym razie nie może być dla p. Booth'a przychylnèm. Trzecim nakoniec, choć pośrednim, współpracownikiem jego był jego syn, Karol Booth, a książka jego *Labour and life of the People* i zawarte w niéj statystyczne dane posłużyły mu jako jedyne i wyłączne źródło do obliczeń i oceny warunków bytu proletaryatu, o którego ocalenie idzie.

Ale ktokolwiek trzymał zań pióro i ktokolwiek szedł mu z pomocą, on sam niesie odpowiedzialność za swój plan i jemu należy się zań zaszczyt i zasługa. Są one niezaprzeczone, nawet gdyby z tych

projektów nic się nie urzeczywistniło, bo dowodzą gorącej miłości dla ludzkości, żywego współczucia dla cierpiących i są wskazówką, że poczucie solidarności pomiędzy wszystkiemi warstwami społeczeństwa weszło już obecnie w krew i życie towarzystwa ucywilizowanego. W chwili, gdy zagadnienia socyalne są podnoszone na tylu naraz punktach świata, mógł on rachować, że wywoła uwagę powszechną, a miał do niéj tém większe prawo, iż stanął z planem reformy całościowéj, że nie poprzestał na ogólnikach, ale wszedł w szczegóły. Jeżeliby był on wykonalny i odpowiedział celowi, to istotnie nietylko przebaczyć by można autorowi samochwalczą pychę, jaką w każdém słowie okazuje, ale trzebaby w nim było widzieć prawdziwego dobroczyńcę ludzkości.

Przystępując do wyłuszczenia swego planu, p. Booth jest świadomy trudności, z jakiemi ma do czynienia. Zamierza on przeistoczyć moralną naturę ludzi wykolejonych i upadłych, zmieniając całe ich otoczenie i warunki ich dotychczasowego bytu, i w tym celu chce utworzyć szereg instytucyi odpowiadających temu zadaniu, instytucyi trwałych, natychmiastowo działających, nie szkodzących nikomu, mogących liczyć na sympatyę każdego uczciwego człowieka, jakiekolwiekby były jego teologiczne, naukowe i humanitarne opinie. Gdy się działa w takim celu i gdy się chce wyratować od zguby miliony cierpiących jednostek, nie można naturalnie natychmiast urzeczywistnić całościowo swego ideału. Trzeba rozpocząć od dania żywności i dachu tym, co są ich pozbawieni, potém wypróbować do jakiéj pracy są zdolni, dostarczyć im takowéj, zabezpieczyć ją stale. Pod wpływem takiéj opiekuńczéj i dyrygującéj działalności, wykolejona jednostka nabierze sił życiowych, otuchy, wiary w siebie i odrodzi się duchowo. Gotowość do pracy i bezwarunkowa uległość dla wskazanego regulaminu są jedynymi warunkami, stawianemi przezeń tym, których z czeluści chce wyprowadzić na jaśnię.

Szereg ochronnych i pomocniczych instytucyi obejmuje tanie kuchnie, przytuliska nocne, warsztaty i pracownie, biura pracy, zbieranie po domach prywatnych datków dla potrzebujących pomocy. Są to części składowe stanowiące pierwszą grupę, miejską. Druga grupa obejmuje kolonizacyę wiejską z działem rolniczym, ogrodowniczym i gałęziami przemysłowemi wiążącemi się z nią organicznie. Trzecia i ostatnia grupa obejmuje osiedlenie w zamorskich koloniach.

Armia zbawienia posiada już kilkanaście tanich kuchni i nocnych przytulisk i znajdujemy w rocznym wykazie z 24-go roku jéj działalności, iż każdy taki zakład jest powodem straty pieniężnéj mniejszéj lub większéj, że zatém nie są instytucyą stojącą o własnéj

sile, ale dobroczynną. Ponieważ istnieje wiele tego rodzaju zakładów niezależnie od Armii zbawienia po wielu miastach i krajach i ponieważ udało się tak je uorganizować, że pokrywają swoje koszta, jest widocznėm, że organizacya tych, o których tu mówi p. Booth, jest wadliwa. Każdy, co do tych tanich kuchni przychodzi po posiłek, dostaje dużą misę kawy, herbaty albo kakao i spory kęs chleba. Kosztuje to 4 pensy, ale dawane bywa i darmo, jeżeli tėj sumki zgłodniały nie posiada. Za te pieniądze może się umyć, ogrzać, napisać list i spędzać czas na czytaniu. W przytuliskach nocnych śpią od 10-éj wieczorem do 6-éj rano. Wtedy otrzymują śniadanie i po krótkiéj modlitwie mogą opuścić zakład.

Ażeby nie dawać darmo przytuliska nocnego i żywności a otrzymać za nie przynajmniéj owe *minimum* 4 pensów, są uorganizowane warsztaty i pracownie. Każdy biėdak w łachmanach i bez obuwia, który się uskarża, że napróżno się o robotę stara a znaleść jéj nie może, tu ją znajduje, taką przynajmniéj w pierwszych chwilach, żeby owe 4 pensy zarobił, za które może przeżyć dwadzieścia cztery godzin. Kiedy najbardziéj podupadli nie otrzymują żadnéj płacy a tylko jéj równoznacznik w żywności i noclegu, to umiejący i chcący pracować są w stanie po upływie tygodnia zarobić z jakie 5 szylingów, co im wystarcza na kupienie narzędzi robotniczych. Robota w tych warsztatach najniższych polega na reparacyi ławek i krzeseł, rąbaniu drzewa, wyrabianiu szczotek, wyplataniu krzeseł, pleceniu dywaników pospolitych, praniu, obrębianiu ścierek i t. d. Dotąd jest kilka tego rodzaju pracowni i mogą się utrzymać dla tego, że znajdują klientelę w zborach i koszarach Armii zbawienia. Samo się przez się rozumie, że gdyby tego rodzaju pracownie były rozgałęzione i rozpowszechnione, napotkałyby trudności takie, z jakiemi miały do walczenia warsztaty narodowe, uorganizowane we Francyi w 1848 roku.

Biuro pracy jest następną z kolei instytucyą. Jak jego nazwa pokazuje, ma ono służyć za pośrednika pomiędzy robotnikami szukającymi pracy, a przedsiębiorcami i chlebodawcami potrzebującymi robotników. Dotąd statystyka takiego biura, utworzonego przez Armię zbawienia, nie daje pocieszającéj wróżby. W ciągu trzech miesięcy zgłosiło się do tego biura 2,670 robotników po pracę, a znaleziono ją tylko dla 400. Nie chcemy jednak widzieć w tych cyfrach potępienia instytucyi jako takiéj. Wiemy jak gorzko ubolewa klasa robotnicza i wszyscy żyjący z zarobku na biura stręczeń, które wyzyskują biédaków i krwią się ich żywią. Były po niektórych wielkich miastach prawdziwe bunty przeciwko tym stręczycielom-oszustom. Ale nie sądzimy, ażeby takie biura pracy proponowane przez p. Booth'a mogły

rachować na stałą klientelę i na byt trwały. Jeżeli klasa zarobkująca powiązaną będzie w syndykaty, stowarzyszenia i izby, to będzie miała, i ma już w wielu krajach, biura, gdzie ich członkowie i uczestnicy bez żadnéj opłaty otrzymać mogą pracę, do któréj są zdolni. Takie, o jakich p. Booth mówi, zajmować się mogą jedynie odpadkami, robotnikami nie dającymi rękojmi ani zdolności ani uczciwości. Nie można w żaden sposób przeceniać ich znaczenia i wpływu.

Ostatniém ogniwem w miejskiéj organizacyi pomocniczéj ma być urządzenie specyalnéj służby zbierającéj po domach prywatnych niedojadki, popiół, próżne butelki, stare rzeczy i obuwie, pudełka, papiery, jednem słowem przedmioty, nie mające w oczach ich posiadaczy żadnéj wartości, a które należycie i właściwie zużytkowane, mogą się stać dla klasy ubogiéj źródłem produkcyjnéj pracy. Bezwątpienia myśl jest praktyczna i oddawna już w Paryżu niektóre zakony żebrzące, jak *Petites Soeurs des Pauvres* wprowadziły ten plan w wykonanie. Zadziwia tylko forma obowiązkowa, jaką tym datkom p. Booth nadaje. Członkowie téj brygady miejskiéj, złożą w każdym domu swego rewiru worek i codzień w oznaczonéj godzinie będą przybywać po przedmioty doń wkładane. Koszta takiego poboru w samym Londynie obliczone są na pokaźną sumę 25,000 funtów szt.

Ponieważ wiele z tych przedmiotów, dostarczanych w naturze przez dobroczynnych dawców, nie może być zużytkowane na miejscu w stanie, w jakim do rąk administracyi Armii zbawienia dochodzą, zatém rodzi się potrzeba zakładów fabrycznych i rolniczych. Stanowią one drugą grupę instytucyi projektowanych. Jeżeli pierwsza grupa obejmowała zakłady proste, mało skomplikowane, wykonalne i już w części wypróbowane, to w następnéj mamy już do czynienia z instytucyą o wiele trudniejszą i pod wielu względami utopijną.

P. Booth chce wziąć w dzierżawę, a ewentualnie zakupywać folwarki, mające od 500 do 1000 akrów gruntu, położone w niezbyt wielkiéj odległości od Londynu, z dobrą komunikacyą kolejową i wodną ze stolicą. Gdy pionierowie Armii zbawienia znajdą miejscowości w odpowiednich warunkach, utworzone tam zostaną kolonie wiejskie i administracya zaludni je członkami znajdującymi się w jéj miejskich zakładach. Ci osadnicy będą używani do budowy domów mieszkalnych, stajni, obór, chlewów, stodół i t. d., do kopania rowów, kanalizacyi, drenowania, irygacyi, do uprawy roli i wszystkich do niéj przywiązanych prac i zajęć. Ogrodownictwo, produkcya owoców, jarzyn, hodowle drobiu, królików, trzody, wyrób masła, séra i t. d. stanowić będą piewszorzędne działy pracy wytwórczéj. Przygotowanie sztucznych nawozów, garbarnie, papiernie, huty szklane, tartaki i inne

gałęzie przemysłowe, stojące w zależności i związku z rolnictwem, będą uzupełniać kolonie wiejskie i obok nich się grupować. Organizator nie wątpi, że wytwórczość nabiału i hodowla drobiu, znajdująca się w Anglii w stanie niemowlęctwa, sama jedna może dać wielkie dochody, a z hodowli trzody obiecuje sobie Paktol prawdziwy. Bezwątpienia, kolonie te wiejskie dobrze administrowane dać mogą dochód czysty. Idzie tylko o to, czy między proletaryatem miejskim, który stanowić będzie jego ludność, znajdą się chętni i sposobni pracownicy wiejscy i czy będzie można wdrożyć ich i przykuć do tych nowych dla nich zajęć.

Gdy ci wiejscy osadnicy okażą się moralnie odrodzeni przez dłuższy pobyt w koloniach prowincyonalnych, gdy nabędą doświadczenia w swym zawodzie, wtedy dane im będzie wkroczyć do ostatniego cyklu zbawczego. Na okrętach, należących do Armii zbawienia, przewiezieni będą za morze, do jakiéj z brytańskich kolonii w niższym stopniu ekonomicznego rozwoju, np. do południowéj Afryki, tam zakupione będą dla nich grunta i oddane im na własność. I tu jeszcze pozostaną w zależności i pod czujném okiem władzy zwierzchniéj, ale po spłaceniu rat amortyzacyjnych będą nakoniec, owi nieszczęśliwi i upośledzeni proletaryusze swobodnymi i zamożnymi obywatelami. Jakiekolwiek krytyki ta część projektu p. Booth napotyka, przyznajemy, że nie rozumiemy, dla czego znęca się nad nimi tylu polemistów. Zakładanie osad w różnych zamorskich ziemiach, należących do monarchii wielko-brytańskiéj, weszło w krew i soki jéj mieszkańców i nie widzimy powodu, dla czegoby się takich kolonii nie dało zakładać. Rozumiemy raczéj, że opozycya powstaćby mogła ze strony osadników, którzy dzięki niezależności i przedsiębiorczości właściwéj rasie anglo-saskiéj, chcieliby się nakoniec wyzwolić z ciążącéj nad nimi oddawna kurateli i pracować na własną rękę. Ale mniejsza o to. Skoro owa kolonizacya zamorska jest uwieńczeniem gmachu i skoro mogłaby o tyle tylko wejść w życie, o ile wszystkie uprzednie instytucye byłyby łańcuchowo z sobą powiązane i stały o własnych siłach, to można doprawdy to ostatnie ogniwo zostawić jako *pium desiderium*.

Oto główne rysy planu wybawienia z czeluści nędzy i rozpaczy wielkiéj liczby społecznych topielców. Ale są jeszcze inne, dodatkowe jego strony, jest, że się tak wyrazić można, plan drugiego stopnia. P. Booth obejmuje swém opiekuńczém skrzydłem wszystkie formy cierpienia i upadku i wszystkie do siebie przygarnia. Chce on zorganizować rodzaj sióstr miłosierdzia odwiedzających biédne rodziny w ich komorach i norach, pokrzepiających je materyalnie i duchowo, i brygadę więzienną, która będzie się szczegółowo opiekować wię-

źniami wychodzącymi na wolność i znajdującymi nieprzezwyciężone nieraz trudności w otrzymania uczciwéj pracy. Daléj otwiéra domy przytułku i zdrowia dla nałogowych pijaków, którzy tam będą doprowadzeni do wyleczenia się ze swego nałogu. Obok nich będą domy poprawy dla prostytutek, które nawrócone zostają na drogę uczciwości i obowiązku. Domy przytułku i schronienia dla dzieci i włóczęgów ulicznych ze szkółkami, znajdują tu także swe miejsce. Domy wzorowe dla biédnych rodzin i mieszkania dla bezżennych, kluby ludowe, banki i lombardy ludowe przychodzą z kolei. Jest także biuro prawnicze, gdzie proletaryusze mogą zasięgać rady w procesach i kwestyach spornych, do których są wmięszani, jest biuro informacyjne, zbierające wszystkie szczegóły, odnoszące się do reform, projektów i idei socyalnych, i nakoniec *the last but not the least*, biuro małżeńskie, stojące jako pośrednik bezpłatny pomiędzy kandydatami płci obojéj do stanu małżeńskiego. Pominęliśmy w téj długiéj liście szpitale koczujące i domy dla rekonwalescentów nad morzem, dla których autor znalazł dobre nazwisko *Whitechapel-by-the Sea*. Jak wiadomo, Whitechapel jest dzielnicą Londynu, gdzie się gnieździ najuboższa warstwa rodzin proletaryatu; przeniesiona nad morze będzie dla wydziedziczonych prawdziwym Edenem.

III.

Po streszczeniu o ile można było najbezstronniejszém planu, jaki p. Booth przedłożył, ma się prawo zapytać: na jakich statystycznych danych jest on oparty, o ile jest wykonalny, o ile nowy, oryginalny i czy zamierzonemu celowi, zniesienia nędzy, odpowiada. Téj drugiéj części naszego zadania będziemy mogli dotknąć tylko pobieżnie spostrzegając, że przedmiot rośnie pod piórem naszém a daleki jest końca.

Książka p. Booth zaopatrzona jest w kolorowaną rycinę streszczającą w obrazowy sposób plan społeczny jaki sobie Armia zbawienia zakreśliła. W środku obrazku mnóstwo istot ludzkich walczy z falami oceanu, w których giną a z których wydobyć się usiłują. Na wybrzeżach oficerowie Armii podają im zbawczą rękę i prowadzą ich naprzód do instytucyi miejskich, potém na drugim planie ukazują się kolonie wiejskie, a nakoniec statki z flagą armii wiozą osadników do zamorskich posiadłości. Po bokach stoją słupy z następnemi statystycznemi danemi, które obejmują wszystkie kategorye tych, których wyrwać chce z czeluści. Jest tu 2,297 samobójców, 2,157 dorosłych umarłych z głodu w ciągu jednego roku, 10,700 dzieci umierających przez brak żywności i złe traktowanie; 100,000 prostytutek; 993,000

pozbawionych wszelkich środków utrzymania, 190,000 utrzymywanych w *work-housach* kosztem gmin i państwa, 155,000 zbrodniarzy i 711,000 przestępców. Suma tych wszystkich ujemnych czynników społecznych wynosi 2,363,000. P. Booth dla zaokrąglenia podaje cyfrę trzech milionów i pozwala mu to ciągle mówić, że na 30,000,000 mieszkańców Wielkiéj Brytanii, 3,000,000, to jest $^1/_{10}$ część są upośledzonemi, wydziedziczonemi ofiarami społeczeństwa. Przeciwieństwo zamożności i nędzy, egoistycznego używania jednych a okropnego cierpienia drugich widoczniejszém się staje w ten sposób. Pierwszym obowiązkiem jest sprawdzenie o ile te statystyczne dane są prawdziwe.

Otóż naprzód wypada powiedzieć, że cyfry podane przez p. Booth'a są żywcem powtórzone z książki wydanéj przez jego syna Karola *Labour and Life of the People* i że już po ich pojawieniu się w pierwszéj swéj formie udowodnione było, że nieodpowiadają rzeczywistości i nie są w zgodzie ze statystyką urzędową. Nietylko, że dla potrzeby swéj argumentacyi bierze te cyfry jako prawdziwe, ale w dodanych do nich komentarzach koloryzuje i przesadza. Tych, których Karol Booth mieści pomiędzy biednymi robotnikami i wyrobnikami, nie mogącymi liczyć na stały dochód z zarobku, generał Booth bez wahania mieści pomiędzy ostatnimi nędzarzami umierającymi z głodu. Różnica namacalna. Gdy tedy mówi, że jest w Wielkiéj Brytanii 1,600,000 ludzi umierających z głodu, to nie należy brać tego w dosłownem znaczeniu, a szkoda, bo gdy fakta podstawowe są poddane w wątpliwość, cała dalsza argumentacya się chwieje.

Następną uwagą co do statystycznych jego tablic jest, że niektóre kategorye występują po dwakroć w jego obliczeniach, jak np. więźniowie, i że wprowadza jako kandydatów do podtrzymania przez społeczeństwo tych, którzy są już obecnie utrzymywani w *work-house'ach*. Skoro *Poor law* istnieje w Wielkiéj Brytanii i ma moc obowiązującą, nie można zrozumiéć dla czego p. Booth uważa owych parukroć stotysięcy pensyonarzy domów pracy za spadających na koszt jego instytucyi. P. C. S. Loch, sekretarz *Charity organisation Society*, jedna z najkompetentniejszych osobistości w téj kwestyi, po długich wywodach, w które tu wchodzić nie ma powodu, dochodzi do wniosku, że istotnie p. Booth nie potrzebuje uważać jako kwalifikujących się do wybawienia przezeń z czeluści więcéj niż 400,000 ludzi, czyli nie jedną dziesiątą, ale jedną siedmdziesiątą siódmą część ludności Wielkiéj Brytanii. Można odetchnąć swobodniéj wobec takiéj cyfry i miéć nadzieję, że mając z liczbą o tyle mniejszą nieszczęśliwych do czynienia, łatwiéj będzie celu dopiąć. Gdyby było inaczéj, mimo całego optymizmu reformatorskiego, opadłyby ręce. Nigdyby się téj syzyfowéj nie podźwignęło bryły.

Obok statystów występują ekonomiści. Zarzuty ich przeciw planowi p. Booth są liczne, i jedne ważniejsze od drugich. Sama zasada oburza. Gdy cały organizm społeczny opiéra się na swobodnéj podaży pracy, oto mamy do czynienia z reformatorem, który samowolnie zmienia istniejące warunki, werbuje ludzi do swoich miłosiernych zakładów, a potém wyzyskuje ich zarobek. Jest np. w dokach londyńskich kilkadziesiąt tysięcy robotników, którzy najmowani są do wyładowania okrętów w miarę potrzeby i na warunkach odpowiednich napływowi towarów. P. Booth uważa tę całą ludność portową za kwalifikującą się do jego instytucyi. Ma się prawo zapytać, czyby się stosunki handlowe londyńskiego portu nie zmieniły całkowicie w razie, gdyby owe masy robotnicze były prowadzone do pracy przez swego organizatora, działającego i zawierającego umowy w ich imieniu. Istotnie, cywilizacya ekonomiczna uczyniłaby wówczas wielki krok, ale nie ku postępowi, lecz ku tyranii i wyzyskiwaniu jednostek.

P. Booth staje przed społeczeństwem i żąda, ażeby dało mu środki dostarczania pracy tym, którzy chcą pracować. Wiemy, co znaczy owo prawo do pracy, które w jego umyśle nie ulega żadnéj wątpliwości. Wszyscy rewolucyoniści socyalni oddawna zapisali je na swym sztandarze i niepodobna widziéć w téj doktrynie żadnéj inowacyi. Po tysiąc razy wymaganie to teoretycznie i praktycznie otrzymało przynależną sobie odprawę. Przy organizacyi społecznéj, opartéj na indywidualném gospodarstwie i konkurencyi, nie ma podobieństwa ażeby naród wynajdywał i dostarczył środki zarobkowania dla wielkiéj masy osobników, pozbawionych takowych. Nieprodukcyjne przedsięwzięcia wywołałyby w danéj chwili przesilenie i spowodowały reakcyę, któraby najciężéj tym wydziedziczonym we znaki się dała. Są to wszystko oklepanki ekonomiczne, które wstyd powtarzać, ale które wywołane są przez propozycye, jakie mógł sformułować tylko człowiek z teoryami ekonomii politycznéj nie obeznany.

Istotnie w każdym ustępie swéj książki zdradza jéj autor najzupełniejszą nieznajomość literatury i historyi reform socyalistycznych. Zdawaćby się mogło, że nikt do tego czasu o zagadnieniach tych nie myślał, i że trzeba było Armii Zbawienia, ażeby je dostrzedz, zrozumiéć i pośpieszyć im z pomocą. Ale taki brak naukowego wykształcenia możnaby jeszcze wybaczyć sekciarskiemu pastorowi. Problematy, nad którymi ludzie wiedzy i najpoważniejsi mężowie stanu suszą sobie głowy, objawiły mu się nagle i w nieświadomości swéj uważa je za daleko snadniejsze do rozwiązania, aniżeli są w istocie. Mniejsza o to. Ale co przebaczyć mu trudniéj i co mu wyrzucają gorzko, to że ów filantrop z umysłu pomija i przemilcza istnienie najrozmaitszych,

zasłużonych, oddawna już działających, potężnych stowarzyszeń dobroczynnych, i przedstawia siebie samego i swoją Armię Zbawienia jako jedyny, jako wyłączny organizm, dążący z pomocniczą ręką dla zaprzepaszczonych. Taka taktyka wywołała okrzyk zgrozy i trzeba przyznać, że pokrzywdzeni mieli prawo zaprotestować. Nietylko urzędowy kościół państwowy, rozporządzający olbrzymiemi kapitałami, szczodrobliwie nimi obraca na fundowanie i utrzymywanie najrozmaitszych instytucyi dobroczynnych, nietylko każda z sekt odpadłych od niego współzawodniczy w téj saméj działalności dobroczynnéj, ale obok téj kościelnéj istnieje świecka dobroczynność. Nie ma kraju pod słońcem, gdzieby było więcéj filantropijnych towarzystw, a gotowość do świadczenia pieniężnych usług uboższym w formie subskrypcyi i corocznych regularnych wkładek do tych lub owych stowarzyszeń jest wśród klas zamożnych angielskich rzeczą zwykłą, normalną, obowiązkową, od któréj nikt się usuwać nie myśli. Nie mówimy już o filantropach, jak Peabody albo lord Shaftesbury, których fundacye dobroczynne stoją jak słup drogowy, albo morska latarnia, wskazując bogaczom drogę do ratowania nędzy moralnéj i materyalnego ubóstwa, ale jest tysiące towarzystw, działających w szerszym lub ciaśniejszym zakresie, stosownie do swych środków a każde zagrzane szlachetnym zapałem ulżenia ciężaru cierpiącym. Gdy p. Booth mówi o przyjściu w pomoc uwolnionym więźniom, albo nawróconym grzesznicom, albo o przygarnianiu włóczących się dzieci, zdawaćby się mogło, że jest twórcą tych instytucyi. On projektuje je dopiéro, gdy istnieją one i wiele innych, od lat dziesiątków i mają za sobą doświadczenie i złotą księgę oddanych przysług. Jest cynicznem zuchwalstwem pominięcie tego ważnego czynnika filantropijnego. A zapominać nie należy, że dobroczynność taka, jaka była praktykowana dotąd w Wielkiéj Brytanii, ma podwójną wyższość nad planem generała Armii Zbawienia. Naprzód świadczyła ona dobro, ociérała łzy, karmiła, odziéwała, dostarczała pracy, etc., bez żadnego prozelityzmu sekciarskiego, nie werbując biédaków do swoich kaplic. P. Booth otwarcie oświadcza, że idzie mu o zbawienie ich dusz, — a wiemy co pod tém zbawieniem rozumiéć należy — i że o ich ciało troszczy się tylko pośrednio. Następnie każde z istniejących stowarzyszeń zajmowało się pewną specyalnością, pewną gałęzią dobroczynności i doszło do technicznéj w niéj biegłości. Ambicya p. Booth daléj sięga. On chce włączyć do swego organizmu wszystkie działy dobroczynności i pochlebia sobie, że im podoła. Dowiedziono mu, że w wielu kwestyach nie ma najmniejszego wyobrażenia o naturze rzeczy: tak np. chciał założyć bank i obiecywał procenty, których żaden uczciwy bank dać nie może.

Gdyby ten nieszczęśliwy pomysł się był urzeczywistnił, byłby popchnął do ruiny tych, coby mu swe ostatnie powierzyli grosze. Tak samo stałoby się w wielu innych zakładach i instytucyach, które zapowiada, o których mgliste tylko zdaje się mieć wyobrażenie. Rezultaty, jakieby osiągnąć mógł, byłyby dalekie od przewidywań i utrudnione przez wielką komplikacyę.

Jeżeli p. Booth pomija w nieświadomości, albo przez hipokryzyę, wszystkie istniejące, najzasłużeńsze i najpotężniejsze instytucye narodowe, jak np. *Charity Organisation Society*, to dziwić mu się nie można, że nie czyni najlżejszéj wzmianki o tém, co uczyniono w innych krajach. Ale przy nacisku, jaki kładzie na kolonie wiejskie, zdawałoby się przynajmniéj obowiązującém powiedzieć o tém, co w sąsiednich krajach w tym kierunku zdziałano. Nawet ostatni profani, zajmujący się kwestyami społecznemi, zasłyszéć musieli o kolonii karnéj w Mettray we Francyi, o osadach żebraczych wiejskich w Weenkesysen w Holandyi, albo o koloniach niemieckich, wytworzonych za inicyatywą pastora von Bodelschwingh i rywalizujących z niemi osadach w Wilhelmsdorf, i t. d. Byłoby się dało w ich statystycznych wykazach, i z ich raportów wyciągnąć pewne przestrogi i wskazówki, któreby p. Bootha zapewne ostrożniejszym uczyniły. Ale brak informacyi i brak wykształcenia prowadzi tu, jak w każdéj innéj dziedzinie, do radykalnych, absolutnych wniosków.

W obec takich krytyk i spostrzeżeń, którym słuszności odmówić nie podobna, nie podobna także przykładać do apodyktycznych twierdzeń p. Booth'a wielkiéj ufności. A są jeszcze inne, które się nasuwają zwartym szeregiem. Mimo całego zarozumienia, jakie ma do swéj własnéj organizacyi, ucieka się on na niektórych punktach, jak np. w utworzeniu lombardów, do interwencyi państwowéj. Na tym właśnie punkcie interwencya ta nie przedstawiałaby żadnego wielkiego niebezpieczeństwa i lombardy administrowane przez państwo, tak jak to ma miejsce we Francyi, albo przez municypalności, jak w wielu innych krajach, zniosłyby mnóstwo pijawek-lichwiarzy, wyzyskujących obecnie biédaków w Anglii. Ale i na tym punkcie jest możność zwalczyć nadużycia bez uciekania się do władzy państwa. W wielu innych, tendencya, jaką ten autokrata okazuje do posługiwania się organami państwa, zdradza pohop do socyalizmu państwowego. Ci, którzy nie uważają rozwoju tego ostatniego, jako leżącego w interesie postępu ekonomicznego, wstrzymają się od powiększenia orszaku p. Booth'a.

Przypuścimy nakoniec, żeby mu się udało dopiąć celu swego, problemat społeczny nie byłby bynajmniéj rozwiązany. Nawet prole-

taryat, wytwarzany normalnie przez istniejącą organizacyę fabryczno-przemysłową, nie byłby miał sobie zagrodzonéj drogi. A cóż dopiéro mówić o innych formach, w któreby świat ekonomiczny musiał się przedzierzgnąć dla zaspokojenia wzrastających i coraz głośniejszych dążeń masy zarobkującéj!

Łatwo jest oskarżać ekonomistów o skrzepłe serca i brak humanitaryzmu. Nie zmieni to stanu rzeczy. Miłosierdzie, nawet najlepiéj uorganizowane, nie jest w stanie zapobiedz pauperyzmowi. Tylko gdy klasy upośledzone same wezmą się do praktycznych reform, i gdy starsi ich bracia z jednéj strony, organa ogólnie narodowe w ściśle zakreślonych granicach, z drugiéj, wesprą ich swém doświadczeniem i swoją pomocą, tylko wtedy można miéć nadzieję, że uda się społeczeństwu zmniejszyć liczbę cierpiących i urzeczywistnić to marzenie o sprawiedliwości i powszechnym dobrobycie, które nosimy wszyscy w głębi ducha. P. Booth nie daje w gruncie niczego innego w swoim projekcie, jak organizacyę miłosierdzia, a to w celu egoistycznym, który już był wykazany. Warsztaty, które otwiera dla swych zaimprowizowanych robotników, będą tylko przytułkiem dla próżniaków i gdyby się rozpowszechniły, zagroziłyby chaosem.

IV.

Jeszcze jedno słowo zostaje nam do powiedzenia. P. Booth zażądał od społeczności angielskiéj dla urzeczywistnienia swego planu miliona funtów szterlingów, ale nie potrzebuje go całego. Sto tysięcy funtów wystarcza mu na początek, a w następnych latach 30,000 funtów rocznie, jako odsetek od tego kapitału. Po uczynionéj odezwie publiczność angielska została olśnioną. Tak małéj sumy potrzeba zatém tylko do zwalczenia tak olbrzymiego zła! I jakże jéj odmówić? Posypały się tedy dary, i obok darów listy wyrażające sympatyę dla organizatora krucyaty przeciwko nędzy. Królowa poprzestała na liście i tak samo uczynił arcybiskup kanterburyjski, prymas Wielkiéj Brytanii. Ale byli członkowie rodziny królewskiéj, którzy nadesłali swe subskrypcye; wysoka arystokracya, duchowieństwo, świat finansowy, filantropi, śpieszyli z datkami. Aktor jeden ofiarowiał pokaźną sumę 10,000 funtów. Byli tacy, co ofiarowali ziemię na kolonie wiejskie. Jak powiedzieliśmy na wstępie, żądaną sumę 100,000 funtów można już uważać jako zebraną.

Akt pierwszy odegrany został tedy pomyślnie. Ale drugi inaczéj się zapowiada. Gdy się posypały krytyki i gdy przesiano przez przetak ziarno p. Booth'a, pokazało się, że jest w niém wiele, bardzo

wiele plew. Ostygł zapał i nietylko że ofiary sypać się przestały, ale zaczynają się cofać te, które warunkowo tylko były obiecane. P. Booth jest zniechęcony tą krytyką i opozycyą. Dotąd nigdy działalność jego nie podlegała takowéj i jako autokrata miał swobodne ruchy. Przekonywa się, że trudniéj jest zapewnić sobie współdziałanie ludzi, którzy nie dają się zagłuszyć bębnami i rykiem hymnów wojennych, którzy rozumują i układają bilanse, aniżeli otumanić prostaczków.

Nie wiadomo, czy wytrwa w swém przedsięwzięciu, ale zanadto jest rzutny i obrotny, aby w ten lub ów sposób nie wyciągnął zeń dla siebie i dla swéj sekty praktycznych korzyści. Już dotąd pozyskał dla Armii Zbawienia olbrzymią reklamę. Należy życzyć, aby wziął się do dzieła. Nawet gdyby mu się tylko setną część istniejącego zła udało usunąć, jużby przedsięwzięcie to zasługiwało na sympatyę. W każdym razie zwrócił uwagę świata na ważne humanitarne zagadnienia. To jedno wystarcza, ażebyśmy się wstrzymali od zbyt surowego o nim wyroku.

Londyn, styczeń, 1891 r.

Dr. M. E. Trepka.





Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.

I.

Fauna wielkich głębi morskich.— Wyprawy oceanograficzne. — Organizmy zwierzęce.—Budowniczowie gruntu morskiego. — Pokarm zwierząt głębi morskich. — Światło i ciepło, jako czynniki pionowych wędrówek zwierząt morskich.— Organy świecące. — Geologia doświadczalna. — Synteza minerałów. — Geologia i chemia nafty. — Teorye powstawania nafty. — Doświadczenia Englera.

„*Da drunten aber ist's fürchterlich,*
Und der Mensch versuche die Götter nicht
Und begehre nimmer und nimmer zu schauen,
Was sie gnädig bedecken mit Nacht und Grauen."

Oto motyw, powtarzający się w niezliczonych mytach starożytnych, w cudownych legendach nowszych czasów. Fantazya człowieka zaludniła głębie morskie potwornemi postaciami zwierzęcemi, wymyśliła najdziwaczniejsze, nigdy nie widziane kształty, a przestraszona niemi, stanęła na przeszkodzie trzeźwéj myśli w badaniu rzeczywistego świata żywego, kryjącego się w głębokości setek i tysięcy metrów pod powierzchnią wód. Braku narzędzi, umożliwiających wydobycie z tych głębi okazów żywych, nie można chyba poczytywać za jedyną w tym kierunku zaporę. Prawda, że dopiéro ostatnie lata wydoskonaliły technikę pod tym względem; narzędzia wszakże używane w tym celu tak prostéj są budowy, że możnaby je było już mieć znacznie dawniéj, gdyby tylko pomyślano o tém. Pewną natomiast jest rzeczą, że do ostatnich niemal dziesiątków lat panowało, pomiędzy zoologami zwłaszcza, przekonanie, że poniżéj jakich 300 sążni w morzu nie ma życia zwierzęcego.

Podczas wstępnych wszakże prac przed ułożeniem pierwszego

kabla transatlantyckiego podjęto sondowania, które dostarczyły wcale nie dwuznacznych dowodów o istnieniu fauny w głębokościach przenoszących 1000 sążni. Dowody te nabrały jeszcze mocy przekonywającéj, gdy pierwszy ten kabel, ułożony w roku 1858, zerwał się i gdy wkrótce potém kabel, łączący Sardynię z Algierem, temu samemu uległ losowi. Udało się bowiem obydwa kable wydobyć na powierzchnię, i ku zdziwieniu ujrzano na obudwu wcale bujne życie zwierzęce. Trzy lata wystarczyły na to, aby na kablu morza Śródziemnego w głębokości 3,600 metrów osiedliły się zwierzęta, należące do piętnastu gatunków.

Odkrycia te przekonały o wydoskonalonéj do niepojętych niemal granic zdolności przystosowywania się organizmu zwierzęcego; miano tu bowiem do czynienia z takiemi warunkami istnienia, które pod względem domniemanéj nieprzyjazności prześcigały wszystko, cokolwiek wiedziano przedtém o rozmieszczeniu geograficzném zwierząt. Nic przeto dziwnego, że biologowie téj miary co Ehrenberg, Huxley i Milne Edwards, gorąco przemawiać zaczęli za podjęciem badań zoologicznych w znacznych głębiach morskich.

Na dnie morskiém poczęli szukać zoologowie obiecanéj swéj ziemi, a najgorętszemu wyznawcy tego przekonania, edynburskiemu profesorowi Wyville Thomsonowi udało się w roku 1868 wyekwipować dwa niewielkie okręty, na których wraz z Carpenterem w ciągu dwóch lat wykonał on wielką liczbę sondowań dokoła Anglii, u brzegów Hiszpanii i na morzu Śródziemném. Badania te stały się pierwszą podwaliną nowszych poglądów na faunę głębi morskich. Miejsce postaci fantastycznych, jakiemi dawniéj zaludniano otchłanie morskie, zajęła fauna tak bujna, różnobarwna i nęcąca przenikliwe oko biologa, że dziwić się nie można zapałowi, z jakim wystąpił członek parlamentu i nazwał obowiązkiem Anglii urządzenie na wielką skalę wyprawy, któréj celem byłoby zbadanie głębi wszystkich oceanów. Wniosek ten jednomyślnie przyjęto. W grudniu 1872 roku, korweta „Challenger“, mając na swym pokładzie szereg dzielnych badaczów z Thomsonem na czele, odbiła od brzegów Anglii; powróciła zaś po latach pięciu. Zdobycze naukowe téj wyprawy pozwalają słusznie uważać ją za początek nowego okresu w dziejach oceanografii i zoologii.

Pierwszy ten bodziec nie pozostał bez poważnych skutków. Amerykanie starali się, pod wodzą Pourtalèsa i Aleksandra Agassiza, poznać rzeźbę zachodnich wybrzeży oceanu atlantyckiego i napotkali przytém cudnie obfitą faunę w wielkich głębiach zatoki Meksykańskiéj i morza Karaibskiego. Badacze skandynawscy nie mniejszą

obfitość materyału naukowego zebrali pomiędzy Irlandyą i Szpicbergiem, w latach 1876—1878. Rząd włoski w roku 1880 wysłał jeden ze swych okrętów, pod kierunkiem Giglioliego, dla zbadania głębokich regionów morza Śródziemnego. Francuzi wykonali kilka ekspedycyi od roku 1880 do 1883 pod wodzą Alfonsa Milne-Edwardsa i zbadali nietylko duże obszary morza Śródziemnego, lecz i wschodnią część oceanu Atlantyckiego. Wreszcie zmarły niedawno książę Albert z Monaco własnym kosztem wyekwipował wyprawę, która w ciągu dwu lat ze znakomitém też powodzeniem badała głębie oceanu Atlantyckiego; obecnie zaś w wspaniałém wydawnictwie ogłaszane są rezultaty naukowe téj wyprawy. Niemcy, nie chcąc w tyle pozostawać, nawołują obecnie swe władze do poparcia ekspedycyi, dla zbadania choć cząstki pozostałych jeszcze a nietkniętych obszarów morskich. „*Africa semper aliquid novi affert* — dotyczy to nietylko lądu, lecz i mórz omywających jéj brzegi. I oto, na ostatnim zjeździe przyrodników i lekarzy niemieckich w Bremie p. C. Chun [1]) gorąco przemawiał za zbadaniem wschodnio-afrykańskich wybrzeży od Przylądka przez Madagaskar i Zanzybar do Adenu. Cały zresztą ocean Indyjski jest jeszcze w tym względzie prawdziwie dziewiczym gruntem.

Dwie trzecie powierzchni ziemi zostały niemal na nowo odkryte w dwu ostatnich dziesiątkach lat. Nikt własnemi oczyma nie oglądał podmorskiego gruntu, a jednakże lepiéj dziś jesteśmy obeznani z kształtem dna morskiego, z własnościami spoczywającego na niém szlamu, z chemicznemi i fizycznemi cechami najgłębszych wód i z fauną tych przepaści podwodnych, aniżeli z geologicznem ukształtowaniem i żywym światem wielkich obszarów lądowych.

Przekonywamy się, jak stopniowo z wybrzeży zwierzęta wędrowały do głębi morskich, krok za krokiem wyśledzić jesteśmy w stanie, jak dokonywa się przystosowanie zwierząt do olbrzymiego ciśnienia, do ciemności i lodowéj niemal temperatury tych głębokich regionów; obok gatunków, których najbliższych krewnych spotykamy w powierzchownych warstwach wód, widzimy też takie, które znaliśmy dotychczas tylko jako okazy kopalne. Przy obecnym wszakże stanie badań fauny głębi morskich naturalném jest, że pytania anatomiczne i systematyczne na pierwszym stoją planie, szereg zaś kwestyi ogólno-biologicznych długo jeszcze czekać będzie musiał rozwiązania. Jak odżywiają się te zwierzęta, jak zdobywają sobie pokarm, jak się rozmnażają? Czy istotnie zaludnienie dna morskiego odbywało się

[1]) C. Chun. Die pelagische Thierwelt in grossen Meerestiefen.

tylko z wybrzeży, czy też może i formy, swobodnie pływające na powierzchni morza, opadały w kierunku pionowym i przystosowywały się do niezwykłych dla siebie warunków istnienia? Czy twory te całe życie spędzają w głębiach, czy też za młodu przynajmniéj dano im rozkoszować się światłem i ciepłem powierzchownych warstw wodnych? Na żadne z tych pytań obecnie jeszcze z zupełną pewnością odpowiedziéć nie można.

Szczątki skorupek tych mikroskopowych prawie organizmów, które życie całe przebywają na p wierzchni wód, opadają, po obumarciu miękkich części, na dno morskie i z biegiem czasu skupiają się tam, tworząc wielkie ławy. W niektórych miejscach oceanu Spokojnego szlam głębin z 4,000—7,000 metrów utworzony jest prawie wyłącznie z pięknych krzemionkowych szkieletów radyolaryi; w morzu Południowém, ku granicom lodów podbiegunowych, występuje czysta krzemionka, utworzona z mikroskopowych szkieletów okrzemek, aż do głębokości 3,500 metrów; w strefach cieplejszych, aż do głębokości 4,400 metrów składają ten szlam wapienne skorupki otwornic (*Foraminifera*), zmieszane w znacznéj bardzo ilości ze skorupkami skrzydłonogich (*Pteropoda*) i wręgonogich (*Heteropoda*). Dno morskie jest olbrzymią mogiłą, pochłaniającą wszystko, co żyje na powierzchni. Miliardy trupów przesiąkają tu codziennie, a wraz z niemi opadają delikatne cząstki szlamu, pył kosmiczny, popiół wulkaniczny oraz trwalsze utwory, porywane przez lodniki i rozpraszane na brzegach daleko po za granice mórz biegunowych. Cały ten organiczny i nieorganiczny materyał, pod wpływem olbrzymiego ciśnienia wód, a zapewne też przy współudziale kwasu węglanego zawartego w wodzie, ulega rozkładowi i przemianom, aż wreszcie pozostaje zeń charakterystyczna dla największych głębi czerwona glina. W badaniach odnośnych usiłowania geologa ściśle wiążą się z zadaniami zoologa. I jeden i drugi przekonywają nas, że w pracy zbudowania naszéj skorupy ziemskiéj, bardzo wybitny udział przyjmować musiały organizmy morskie. Gdy więc z jednéj strony geolog stara się zrozumiéć, w jaki sposób organiczny materyał dna morskiego został rozłożony lub zachowany, dzięki jakim siłom wyniesione zostały warstwy podmorskie, ażeby utworzyć część tego gruntu, na którym żyjemy, zoolog z drugiéj strony zająć się powinien zbadaniem stosunków biologicznych tego morskiego świata organizmów, powinien zdać sprawę z tego, w jaki sposób światło i ciepło, prądy wodne i ukształtowanie lądów wpływa na rozmieszczenie i zwyczaje życiowe pływających tworów zwierzęcych.

W niewielu słowach możemy tu streścić najważniejsze dane,

jakie biologowie dotąd w tym kierunku zdobyli, opierając się na najnowszych badaniach oceanograficznych. Znaczną część pływającego materyału organicznego stanowią niższe organizmy roślinne, mianowicie okrzemki, wodorosty, oraz zawierające chlorofil wiciowce (*Flagellata*). Pod wpływem światła budują one swe ciało protoplazmatyczne z dwutlenku węgla, związków azotowych i soli rozpuszczonych w wodzie morskiéj. Żywą siłę światła i ciepła słonecznego przeobrażają one w chemiczne siły napięcia. Żaden organizm zwierzęcy, choćby budowy najpierwotniejszéj, nie potrafi stworzyć swego ciała ze związków nieorganicznych. Widzimy też, jak zwierzęta morskie, owładnąwszy pokarmem roślinnym, przy pomocy swych sieci nitek haczykowatych, rozmaitych narządów sterowych, biczyków, macek i t. d., przerabiają ten materyał, wytwarzając z niego znów żywą siłę, przejawiającą się w ich wrażeniach i ruchach. W pierwszéj linii przerabiają w swém ciele ten pokarm roślinny pierwotniaki (*Protozoa*), miryady drobnych widłonogów (*Copepoda*), pływających osłonnic (*Tunicata*). Z kolei one same stają się zdobyczą polipów, robaków, większych skorupiaków, mięczaków i całego legionu ryb; w ten sposób wreszcie substancya organiczna skupia się w ciałach największych olbrzymów morskich. Jeden wieloryb po śmierci swéj oddaje morzu taką ilość substancyi organicznéj, roskładającéj się powoli na kwas węglany, ciała azotowe i wodę, ile potrzeba dla życia miliardów istotek mikroskopowych.

Jak wogóle — zapytać można — możliwe jest życie zwierzęce w strefach, do których nigdy nie przenika promień światła? Czy tam, gdzie niższe rośliny, z powodu braku światła, asymilować nie są w stanie, może wogóle rozwinąć się świat zwierzęcy?

Doświadczenia przekonały, że w głębokości 460—550 metrów, czułe płyty fotograficzne, pomimo wiele godzin trwającéj ekspozycyi, nie ulegają żadnéj zmianie; wiadomo też, zgodnie z tym rezultatem, że poniżéj 300—400 metrów nie znajdują się już wcale osiadłe rośliny, jak np. wodorosty. Ponieważ jednakże ekspedycye naukowe jednomyślnie przemawiają za istnieniem obfitéj fauny w głębokościach wielu tysięcy metrów pod powierzchnią morza, pozostaje przeto tylko przypuszczenie, że za pokarm tym w głębiach osiadłym zwierzętom służą organizmy, opadające z warstw górnych, albo w stanie jeszcze żywym, albo przynajmniéj w stanie odpowiednim do spożywania. Nie ulega wątpliwości, że zawartość soli w wodzie morskiéj oraz niska temperatura głębi morskich w znacznym stopniu przeciwdziałają szybkiemu rozkładowi substancyi organicznéj. Znacznie jednak obfitszém byłoby źródło pokarmów dla fauny wielkich głębi, gdyby nie-

tylko powierzchnia wód, lecz i głębsze warstwy były siedliskiem pływających zwierząt. Podmorskie prądy z jednéj strony, z drugiéj zaś czynne ruchy pływających zwierząt, mogłyby się przyczynić do bezpośredniego zdobywania żywych roślin. Możnaby przypuścić, że gatunki zwierząt, w umiarkowanych głębiach żyjące, są niejako pośrednikami pomiędzy roślinną substancyą organiczną, wytworzoną pod wpływem światła słonecznego, a fauną dna morskiego, pogrążoną w wiecznéj ciemności. Pomyślmy z drugiéj strony, że średnia głębokość oceanu Atlantyckiego została obliczoną na 3,680 metrów, że w pobliżu Antyllów sondowano do głębokości 7,056, a na oceanie Spokojnym nawet do 8,870 metrów, a zrozumiemy, że wypadłoby nam zupełnie odmienne od dotychczasowego wyrobić sobie pojęcie o sile produkcyjnéj oceanu pod względem substancyi organicznéj, gdyby udało się wykazać, że całkowita masa wodna wypełniona jest zwierzętami i w kierunku pionowym. Ekspedycye, o których wspomniano wyżéj, w saméj rzeczy dowiodły tego. Wprawdzie ilość nietylko poszczególnych osobników, lecz i gatunków zwierząt maleje z wzrastaniem głębokości, jednakże pływające organizmy znajdowano jeszcze poniżéj 3,500 metrów.

Te pływające zwierzęta składają się zarówno z form, które często znajdowane bywają i na powierzchni wód, jak i z takich, których dotychczas nigdy, lub przynajmniéj rzadko napotykano w obszarach oświetlonych. Nowych typów zwierzęcych, nie napotkano dotąd ani w głębszych warstwach, ani śród osiadłych na dnie morskiém zwierząt. W wielkich głębokościach od 3,500—2,000 metrów głównie przeważają widłonogie skorupiaki (*Copepoda*), a śród pierwotniaków pewne gatunki radyolaryi. W głębiach od 2,000—1,000 metrów przyłączają się do nich rozmaite pływające i pełzające w wodzie gatunki robaków, daléj polipy, meduzy, małżoraczki (*Ostracoda*), dziesięcionogie (*Decapoda*) i obunogie (*Amphipoda*), skorupiaki i żachwy (*Appendiculariae*). Obok tych występują téż sprzągle (*salpy*), ognice (*Pyrosoma*) i t. p. Powyżéj 1,000 metrów fauna staje się coraz obfitszą, im bardziéj zbliżamy się do powierzchni.

Powolne zmniejszanie się liczby gatunków i osobników zwierzęcych w miarę wzrastania głębokości, bądźcobądź głównie chyba przypisać należy coraz większemu brakowi pożywienia, inne bowiem warunki istnienia, jak np. ciśnienie, ulegają bardzo stopniowéj przemianie, co się zaś tyczy światła, to prawie brać tego czynnika pod uwagę nie możemy wobec tego, że już kilkaset metrów pod powierzchnią zupełna panuje ciemność; temperatura również opada, lecz w sposób nie bardzo znaczny. Poważną wskazówkę, dowodzącą trudności zdoby-

wania sobie pokarmu, stanowi monstrualne prawie wyposażenie niektórych form głębi morskich w organy dotykowe. Doskonale widać to u niektórych przedstawicieli skorupiaków, zwłaszcza zaś u raków dziesięcionogich, które należą do stałych mieszkańców wielkich głębin morza Śródziemnego i oceanu Atlantyckiego. Organy te są nietylko narzędziami dotyku, lecz stanowią jednocześnie siedlisko wrażeń węchowych; w dwóch trzecich swej długości posiadają w dwu rzędach ułożone szczoteczki, z których na każdej umieszczonych jest około 20—30 delikatnych włosków. Silny nerw, wychodzący z przedniej części mózgowia, zaopatruje ów organ zmysłowy, wypuszczając z siebie liczne gałązki do poszczególnych włosków. Taki niepomierny rozwój jednego organu zmysłowego, przy współczesnym zaniku innych narządów, służących zwierzęciu do oryentowania się, nie zadziwia bynajmniej zoologa; zewnętrzne zaś warunki istnienia odnośnych organizmów dają wyraźne i przekonywające dowody, dlaczego rozwój w tym a nie innym kierunku odbywać się musiał. Czyż bowiem nie jest zrozumiałém, że w ciemnych siedzibach zaniknęła władza widzenia, a rozwinęły się doskonale zmysły dotyku i węchu? Wiele bardzo form morskich rzeczywiście jest ślepych, podczas gdy pokrewne im gatunki, zamieszkujące powierzchnię, posiadają dobrze rozwinięte oczy. W wielkich rodzinach organizmów morskich napotykamy też powolne przejścia, wskazujące stopniowy zanik oczu, postępujący w miarę przystosowania do życia w coraz większych głębokościach. Tém dziwniejszym wszakże wydaje się fakt, że obok form ślepych lub wyposażonych szczątkowym organem wzroku, występują także zwierzęta z niezmiernie dużemi i dobrze rozwiniętemi oczami. Fakt ten nie uszedł uwagi pierwszych badaczów fauny dna morskiego, którzy spotkali się z nim u wielu przedstawicieli skorupiaków i ryb. Starano się w tym razie wytłómaczyć to zjawisko przypuszczeniem, że zielone lub ultra-fioletowe promienie światła, niedostrzegalne dla naszych oczu, przenikają do dna morskiego i umożliwiają oryentowanie się zwierzętom, posiadającym oczy, które na promienie te są wrażliwe. Jeśli jednakże dotychczas brak nam dowodów, popierających to przypuszczenie, to z drugiej strony nie powinniśmy zapominać, że mogą istnieć źródła światła w samych głębiach morskich. Same zwierzęta nawet światło to wytwarzać są w stanie. Wiemy dziś istotnie, że bardzo duża, może nawet przeważna część zwierząt z wielkich głębin morskich posiada organy świecące. Cały organizm takich zwierząt już to świeci słabo fosforyzującém niebieskawém lub zielonawém światłem, już też nieprawidłowo na ciele rozrzucone gruczoły wysyłają silne promienie, już wreszcie wy-

występują w ciele symetrycznie ułożone organy świécące, których działanie wzmocnione zostaje dzięki utworom podobnym do zwierciadeł i tkankom, zawierającym pigmenty. Rozumiemy obecnie, poznawszy te zwierzęta świécące, do czego służyć mogą oczy wielu morskim gatunkom.

Do owego osobliwego świata zwierzęcego znacznych głębi morskich, przybywa w pewnych okresach niezmiernie pstra fauna, złożona z organizmów zamieszkujących powierzchnię wód. Wiadomo, że nie wiele gatunków stale zamieszkuje powierzchnię przez cały rok. Znaczna ilość form z niezwykłą regularnością występuje w pewnych miesiącach, aby po pewnym czasie zniknąć i znów powrócić. Podczas lata powierzchnia bardzo jest uboga; obficiéj zaludnioną staje się ona na jesień i zimę; z początkiem zaś wiosny ilość jéj mieszkańców dochodzi do *maximum*. Lecz oto znów nadchodzi lato i szybko znika cała wspaniałość fauny; bardzo niewielka tylko liczba gatunków rozwija się bujnie w warstwach silnie opromienionych przez światło słoneczne. Gdzież się to wszystko podziało? Czy prądy morskie lub wichry rozrzuciły ten cały świat żywy na wielkich obszarach wody, czy może obumarł on po krótkim okresie pysznego życia? Na pytania te nieoczekiwaną dają nam odpowiedź badania zoologiczne głębi morskich. Pouczają nas one, że zwierzęta powierzchniowe nie podejmują rozległych wędrówek w kierunku poziomym, że natomiast największa ich ilość w peryodycznych okresach czasu odszukuje wielkich głębi.

Podczas najskwarniejszego lata jesteśmy obecnie w stanie — co prawda w sposób dość mozolny—odszukać takie organizmy, o których napewno wiemy, że dopiéro z nastaniem zimy lub wiosny wypłyną na powierzchnię.

Nie należy sobie wyobrażać, że to opadanie i podnoszenie się szybko się odbywa. Przeciwnie, zachodzi ono—o ile się zdaje—nader powolnie, jakkolwiek niższe zwierzęta, niezależnie od swych narządów ruchu, posiadają jeszcze aparaty hydrostatyczne, a także przez wydzielanie lekkich tłuszczów i olejków eterycznych dopomagać sobie mogą przy poruszaniu się w kierunku pionowym.

Nie możemy dziś z całą pewnością powiedzieć, co jest bezpośrednim powodem tych peryodycznych wędrówek. Wszystko wszakże zdaje się przemawiać za tém, że światło lub ciepło, albo obadwa te czynniki razem, główną tu rolę odgrywają. Rybacy na wyspach Kanaryjskich powiadają, że z pełnią księżyca rozpoczynają się takie wędrówki; to samo stwierdzili uczeni amerykańscy przy badaniu golfstromu. Podobne zresztą podnoszenia się i opadania mieszkańców

mórz, a nawet i rzek dają się postrzegać codziennie, oczywiście w głębokościach znacznie mniejszych. Z chwilą, kiedy słońce opromienia powierzchnię morza, duża część zwierząt morskich opada do głębokości 50, a nawet 100 metrów, powraca zaś z nastaniem zmierzchu. Niestety, w skąpéj nader ilości dokonanych dotychczas doświadczeń nad t. zw. heliotropizmem zwierząt niedostatecznie jeszcze starano się o to, aby powstrzymać działanie promieni ciepła, które przenikają jednocześnie z promieniami światła. Tyle jednakże i teraz już wywnioskować można, że pewne formy, uzbrojone w oczy, nader wrażliwe są na silne światło i reagują w ten sposób, że wyszukują sobie miejsc ciemniejszych. Jakkolwiek wszakże bylibyśmy skłonni światłu głównie przypisać znaczenie owego czynnika, zmuszającego zwierzęta morskie do peryodycznych wędrówek w głąb i na powierzchnię, to jednakże i temperatura chyba powinna w tym kierunku być brana pod uwagę. Rozmieszczenie geograficzne zwierząt już daje w tym względzie pewne wskazówki. Gatunki bardzo rozpowszechnione ukazują się na powierzchni mórz podbiegunowych wówczas, kiedy w strefach zwrotnikowych i podzwrotnikowych pozostają jeszcze w głębiach.

Pomijamy szczegóły, jakie zdobyto przy ostatnich badaniach fauny wielkich głębi morskich. Chodzi nam głównie o zaznaczenie tych zadań ogólno-biologicznych, jakie w badaniach tych na pierwszy niejako plan się wysuwają. Widzimy, że i w téj dziedzinie nie same tylko obserwacye bezpośrednie rozstrzygają wszelkie nastręczające się kwestye. Doświadczenia, dokonywane w pracowni biologa, nie mniejszą odgrywają rolę od spostrzeżeń. Wiemy téż dobrze, że biolog-morfolog dziś doświadczeń wyrzec się nie może, i to właśnie głównie daje mu przewagę nad biologiem z niedawnych jeszcze lat, który wyłącznie opisem form badanych się zajmował.

Jeśli z morza na ląd się przeniesiemy i chwilę jeszcze czytelnik pozwoli zająć go pewnemi postępami w geologii, to i tu przekonamy się, że ostatnie czasy dokonały wielkiego przewrotu w téj dziedzinie wiedzy przyrodniczéj. — Geolog do niedawna jeszcze także tylko opisywał te wszystkie cuda, jakie skorupa ziemska w łonie swém mu ukazywała. Wytłómaczenia wszakże zadawalającego w wielu wypadkach póty nie znalazł, póki nie sięgnął do tych środków pomocniczych, jakiemi dziś rozporządzają pracownie fizyczne i chemiczne. Gdy zadano sobie pytania: w jaki sposób materya mineralna takie, a nie inne, przybrała kształty, dlaczego poszczególne minerały i skały w ten, a nie inny sposób, są ugrupowane, jakie czynniki naturalne działać musiały przy tworzeniu się oddzielnych składowych części skorupy ziemskiéj, jak te czynniki wzajemnie na się wpłynęły i t. d., wówczas

przy coraz większém zagłębianiu się w istotę procesów geologicznych spostrzeżono, że samo przyglądanie się przyrodzie nie wystarcza. Poczęto przeto zadawać jéj pytania, sztucznie wytwarzając warunki zbliżone do tych, jakie panowały niegdyś na planecie naszéj. Nie zapomniano przytém naturalnie, że w doświadczeniach naszych spętani jesteśmy jedną niedoskonałością: brak nam mianowicie czasu, brak owych tysięcy i setek tysięcy lat, jakie w naturalnym biegu rzeczy składały się na to, aby dany osobnik geologiczny wytworzyć w jego ostatecznéj, dla oczu naszych dziś dostępnéj formie. Użyto przeto fortelu. Czas zastąpiono innemi czynnikami: olbrzymiém ciśnieniem, wysoką temperaturą. I oto obecnie więcéj, niż kiedykolwiek, w stanie jesteśmy odtworzyć w umyśle naszym długie dzieje rozwoju naszéj planety. Dzięki chemicznym reakcyom, wykonywanym w pracowniach geologicznych, potrafiliśmy sztucznie stworzyć całe szeregi minerałów, znanych nam przedtém jako wytwory natury; umiemy naśladować przyrodę nietylko pod względem składu chemicznego jéj martwéj materyi, lecz i co do jéj najsubtelniejszych kształtów krystalicznych. Badania te trwają zbyt krótko, a kwestyi geologicznych, domagających się tą drogą rozwiązania, zbyt jest wiele, abyśmy dziś w zupełności tryumfować już mogli. O powstawaniu jednakże wielu martwych owoców ziemi naszéj, pozyskaliśmy na téj drodze tyle już cennych wskazówek, że zdobycze te nie powinny być obce nikomu, kto rozwojem spółczesnym nauk przyrodniczych prawdziwie się interesuje. Jeden z jaskrawszych przytoczę tu przykładów, dowodzący, w jak znakomity sposób doświadczenie chemiczne popiéra obserwacyę geologiczną.

Od dość dawna zajmuje geologów i chemików pytanie, w jaki sposób i z czego powstała nafta. Geologowie starali się przeto poznać warunki, w jakich nafta w skorupie ziemskiéj się znajduje, chemicy zaś skrzętnie zajęli się zbadaniem jéj składu chemicznego.

Nafta nie występuje w pewnych ściśle określonych formacyach górskich; a jakkolwiek przeważnie znajduje się w pokładach osadowych pochodzenia morskiego, to jednak, że fakt występowania jéj w lawie dolerytowéj na Etnie niezmiernie utrudnia obmyślenie zadawalającéj naukowéj teoryi tworzenia się tego produktu. Aby dać choćby przybliżone pojęcie o tém, w jak różnorodnych warunkach geologicznych nafta wytwarzać się mogła, a co najmniéj, w jak rozmaitych warunkach z miejsca na miejsce krążyć mogła, podam kilka następujących przykładów. Na jednéj z wysp jeziora Huron znajduje się łupek bitumiczny z niewielkiemi skupieniami nafty, należący do formacyi dolno-syluryjskiéj. W Haspe (Kanada), na południowym

brzegu zatoki św. Wawrzyńca, nafta znajduje się w pokładach górnosyluryjskich. W okolicach sąsiednich, w południowéj Kanadzie, nafta w wielu miejscowościach i niezmiernie obficie występuje w formacyi dewońskiéj. Nafta pensylwańska należy do górnéj części formacyi dewońskiéj. Napotykamy ją tutaj przeważnie w łupkach gliniastych. W formacyi węglowéj źródła nafty istnieją w basenie rzeki Ohio; również wzdłuż brzegów Wołgi w granicach gubernii Samarskiéj. Permska formacya w ogóle mało zawiera nafty; jednakże zaliczyć tu wypada pewne miejscowości gub. Kazańskiéj. W tryasie również mało jest nafty, lecz i tutaj jednak należą źródła w Karolinie. Rzadko napotykaną bywa nafta w jurze, niemniéj pewném jest, że do formacyi téj należy nafta w gub. Symbirskiéj, w południowo-wschodniéj części Hanoweru i w Alzacyi. Do formacyi kredowéj należą źródła nafty w Hanowerze, Hiszpanii, Konnekticucie i Galicyi. Jeszcze obficiéj występuje nafta w formacyach trzeciorzędowych. Tutaj zaliczamy naftę meksykańską, kalifornijską, włoską (z Parmy i Modeny), galicyjską, kaukazką na półwyspach Apszerońskim i Tamańskim, a także krymską. W Galicyi nafta występuje w téj formacyi głównie w pokładach eocenu i miocenu, na Kaukazie w miocenicznych pokładach marglu i piaskowców.

W obec tak wielkiéj różnorodności miejsc znajdowania nafty, geolog w prawdziwym jest kłopocie; ażeby przeto wyrobić sobie choćby tylko hypotetyczny pogląd o sposobie jéj powstawania, udaje się przedewszystkiém po radę do chemika, prosząc o wskazanie istotnego składu nafty.

Nafta w przeważnéj swéj ilości składa się ze związków chemicznych dwu pierwiastków: węgla i wodoru. Węglowodorów takich wszakże, wchodzących w skład nafty, znamy bardzo dużą liczbę; a pod względem ilościowego składu właśnie stosunek tych węglowodorów nie we wszystkich naftach jest jeden i ten sam. Prócz tego, z wielkiéj liczby innych związków, ubocznie niejako w nafcie znajdowanych, nie zawsze jedne i te same ciała dla wszystkich gatunków jednakowo są charakterystyczne. Jeśli zaś dodamy do tego, że w rzadkich wypadkach—o ile sądzić możemy—nafta znajdowaną dziś bywa w pierwotnych miejscach swego wytworzenia się, to zrozumiemy, jak trudno o sposobie powstania nafty wyrobić sobie należyte pojęcie.

Głównie trzy dotąd wygłoszono teorye o tworzeniu się nafty. Jedna przypuszcza, że ciekły ten produkt wytworzył się z ciał nieorganicznych, druga źródło nafty widzi w szczątkach roślinnych, trzecia wreszcie w szczątkach ciał zwierzęcych.

Potrafimy sztucznie otrzymać węglowodory, gdy pewnemi związ-

kami wodoru, jak np. kwasami, a nawet wodą, działamy na metale połączone z węglem. Tak np. związek metalu sodu lub potasu z węglem, wydziela pod wpływem wody gaz węglowodorowy, t. z. acetylen. Na reakcyę tę zwrócił uwagę słynny współczesny chemik Berthelot. I jakkolwiek acetylen nie należy do normalnych składników nafty, wypowiedział jednak Berthelot przypuszczenie, że w ziemi mogą się znajdować sód lub potas w stanie metalicznym i, skombinowawszy się z węglem, mogą pod wpływem prężnéj pary wodnéj wydzielać bądź węglowodory właściwe nafcie, bądź też acetylen, który w dalszym ciągu zamienia się na węglowodory naftowe. Trzeba dodać, że acetylen w samej rzeczy może dać inne węglowodory. Lecz nie mamy żadnéj podstawy do przypuszczenia, że w łonie ziemi znajduje się metaliczny potas lub sód. Bardziéj przeto prawdopodobnemi wydają się te hypotezy, które, w zasadzie nie różniąc się od Berthelotowskiéj, rolę potasu lub sodu w téj ostatniéj przenoszą na żelazo. Zwłaszcza imponującą tego rodzaju hypotezą jest hypoteza Mendelejewa. Powstała ona drogą czysto dedukcyjną, a opiéra się na poglądach Laplace'a o powstaniu ziemi. Określenie ciężaru właściwego naszéj planety, oraz bliżéj nam znanych skał, składających zwierzchnie jéj warstwy, doprowadza do wniosku, że wnętrze ziemi powinno posiadać ciężar właściwy około 7. Otóż, Mendelejew sądzi, że w wielkich głębiach kuli ziemskiéj znajduje się odpowiadający właśnie temu ciężarowi właściwemu metal, żelazo w połączeniu z węglem, ciało podobne do surowca, które pod wpływem pary wodnéj wydziela węglowodory, przy współczesném utlenieniu samego metalu kosztem tlenu wody. Szczegóły geologiczne nie popierają téj nader pomysłowéj hypotezy Mendelejewa, a choć zjawisko magnetyzmu ziemskiego może również być poczytywane za dowód, że wielkie masy żelaza skupione są w głębiach planety naszéj, to jednakże do godności faktu naukowego dziś podnieść téj teoryi nie można. Twierdzono, że teorye, wyjaśniające powstawanie nafty z ciał nieorganiczych, mają tę wyższość nad teoryami „organicznemi", że według nich nafta mogłaby się tworzyć bezustannie i zapasy jéj, nie powinnyby się wyczerpywać. Lecz fakty rzeczywiście pouczają, że niektóre źródła nafty wyczerpują się z czasem, i, jak się zdaje, na zawsze. W ostatnich czasach dochodzą nas doniesienia tego rodzaju z rozmaitych okolic Pensylwanii. Powtóre zaś, owe olbrzymie ilości nafty, wydobywane w Ameryce, bynajmniéj nie są tak przerażające i niezgodne z innemi podobnemi zjawiskami. Cała ilość nafty, wydobyta w Północnéj Ameryce w ciągu 15 lat (od 1860 do 1875 r.), wynosi w przybliżeniu 606 milionów pudów, gdy tymczasem roczna produkcya węgla kamiennego w saméj tylko Anglii 13 razy przenosi tę

liczbę. A wszakże węgiel niewątpliwie pochodzi ze szczątków roślinnych, które uległy powolnemu rozkładowi.

W świecie naukowym przeważa ten pogląd, że nafta musi mieć swe źródło w szczątkach roślinnych lub zwierzęcych. Szczątki takie znajdują się przecie na dużych obszarach w postaci pokładów węgla, oraz w warstwach utworzonych z pozostałych twardych części skorupiaków, ryb i t. d. Ciepło albo ciśnienie, a może jedno i drugie, mogło z tych materyi organicznych wytworzyć oléj ziemny (naftę), który siłą wody lub przez dystylacyę mógł być podniesiony i do warstw wyżéj położonych. Uwzględniając skład chemiczny substancyi roślinnéj, włókna drzewnego, musimy wszakże powiedzieć, że jeżeli dzięki wysokiéj temperaturze i ciśnieniu powstają z niéj węglowodory takie, jakie zawiéra nafta, to nie może się to odbywać bez współczesnego obfitego wydzielania węgla. Tymczasem dotąd nie napotkano pod najważniejszemi pokładami nafty (w Ameryce północnéj, na Kaukazie, w Galicyi, Rumunii i t. d.) oczekiwanych pokładów węglowych; a rzadko téż znajdują się te ostatnie w takiém bliskiém sąsiedztwie miejsc naftonośnych, ażeby można było wnioskować o jakimś stosunku genetycznym. Z drugiéj strony, jak wiadomo, olbrzymie posiadamy skupienia szczątków roślinnych w pokładach węgla kamiennego, węgla brunatnego i torfu; lecz właśnie tu znów najczęściéj brak źródeł nafty.

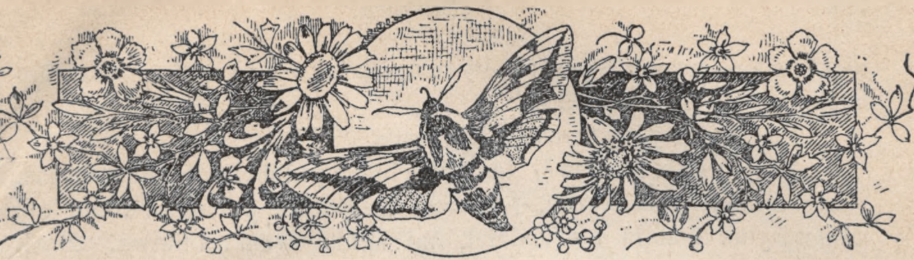
Zapytajmy zatém z kolei: co przemawia za tworzeniem się nafty z materyi zwierzęcych? Nafcie prawie zawsze towarzyszy woda słona, a w wielu razach nawet pokłady soli kuchennéj, których pochodzenie morskie jest jednym z najlepiéj w geologii dowiedzionych faktów, towarzyszą naftodajnym źródłom. Wszystkie bitumiczne łupki obficie dostarczają palnego oleju przy destylacyi, w wielu razach nawet zostają wprost na oléj taki przerabiane; przytém zawsze obfitują one w szczątki zwierzęce (ryby, mięczaki i in.), nader rzadko zaś zawierają materye roślinne. Lecz co najbardziéj popiéra przypuszczenie o zwierzęcém pochodzeniu nafty, to doświadczenia w ciągu lat ostatnich wykonywane przez prof. C. Englera [1]). Mało prawdopodobném wydaje się już *a priori*, aby związki białkowe, wchodzące w skład ciał zwierzęcych, mogły dostarczać nafty. Engler też głównie zwrócił uwagę na inne związki, których nigdy nie brak w ciałach zwierzęcych, mianowicie na tłuszcze. Destylował on tran i inne tłuszcze, a także kwasy tłuszczowe, stanowiące istotne składniki tłuszczów, poddając je ciśnieniu 5—10 atmosfer. W próbach, wykony-

[1]) C. Engler. Erdöl und Erdgas.

wanych w pracowni, temperatura nie podnosiła się powyżéj 350°; produktem zaś destylacyi były węglowodory w ilości, wynoszącéj 75% ciężaru użytych tłuszczów. Jeśli uwzględnimy, że tłuszcze zawierają zawsze przeszło 10% tlenu, który odszczepia się podczas destylacyi w postaci wody, a także dwutlenku i tlenku węgla, to zrozumiemy, że prawie całkowita ilość tłuszczów zwierzęcych daje się przy odpowiednich warunkach zamienić na sztuczną naftę. Produkty bowiem, otrzymane przez Englera przy omawianéj destylacyi, zarówno chemicznym swym składem jak i własnościami fizycznemi najzupełniéj do naturalnego oleju ziemnego się zbliżały. Tworzyły się przytém i gazy, w głównych swych częściach składowych podobne do towarzyszących nafcie gazów ziemnych. Sztuczna nafta, Englera pali się w lampach tak dobrze, jak zwykła nasza nafta z przyrody czerpana. Próby, dokonane przez Englera na wielką skalę, najzupełniéj potwierdziły to, czego się od nich spodziewano. Trzeba przyznać, że w celu poparcia teoryi mineralnéj, oraz teoryi pochodzenia nafty z destylacyi materyi roślinnych, również niejednokrotnie do doświadczeń laboratoryjnych się udawano, lecz doświadczenia owe, jeśli je porównać z rezultatami otrzymanemi w czasach ostatnich przez Englera, muszą być uważane za zupełnie niepomyślne. W drobnych szczegółach co prawda, teorya zwierzęcego pochodzenia nafty, tak znakomicie przez próby chemiczne poparta, nie jest jeszcze zupełnie wolna od zarzutów; i ona przejść musi jeszcze próbę ogniową. Dziś wszakże i geologowie i chemicy godzą się na to, że jest ona prawdy najbliższą. W dziedzinie zaś tak zawiłéj, tak mało bezpośrednio dla zmysłów naszych dostępnéj, jaką przedstawia ta gałązka wiedzy, w któréj usiłujemy odtworzyć sobie wszystkie fazy dziejów naszéj ziemi, — każdy krok, wiodący do prawdy, niepospolite posiada dla poznania ludzkiego znaczenie.

Maksymilian Flaum.





O REWIZYI
TARYFY CELNÉJ.

Niepodobna przeglądu tak poważnego przedmiotu, jak nowella taryfy celnej załatwić w krótkiém sprawozdaniu, możemy jedynie naszkicować myśl przewodnią, nie całego planu reformy, bo sposób zapatrywania władzy wyższéj nie jest nam znany, lecz jednego z reformatorów.

Materyały do przeglądu taryfy stanowią dziś już grube tomy *in folio*,— dostarczone zostały przez profesorów wyższych specyalnych zakładów naukowych, przez korporacye handlowe różnych miast Cesarstwa, a głównie przez firmy fabryczne, bezpośrednio zainteresowane w przeprowadzeniu zmian. Jeśli nie można się dziwić, że prywatni, którzy mogą zarobić lub stracić na zmianach taryfy, wytężają wszystkie siły na zgromadzenie argumentów przekonać mogących, to należy podziwiać ogrom pracy teoretyków-profesorów.

Pierwsze miejsce w tym ostatnim dziale należy się referatowi profesora Mendelejewa, uczonego głośnéj sławy w świecie naukowym. Referat ten, po za interesami fiskalnemi, ma ustawicznie na oku takie kształtowanie taryfy celnéj takie stosowanie środków pomocniczych, jak koszt i udogodnienia komunikacyi, premie wywozowe, etc., któreby zapewnić mogły rychłe przeniesienie punktu ciężkości produkcyi narodowéj z rolniczéj na hutniczą i fabryczną. Zdaniem profesora, należy wszelkiemi siłami dążyć do wywozu przedmiotów droższych, wziętych przeważnie z kopalnianych bogactw kraju, oraz do wywozu fabrykatów, — zatém do wywozu węgla, chemikalii, tkanin nawet, boć już obecnie ma miejsce wywóz nafty, okowity, cukru; a nie ogra-

niczać się na wywozie produktów rolnych, jak zboże, mąka, kasza, konopie, len, otręby, makuchy.

Rozejrzyjmy się trochę w położeniu.

Kłopot układu nowéj taryfy celnéj, podobnie jak dotychczas, ponosi ministeryum skarbu, ponieważ Rosya nie posiadała dotąd ani ministeryum handlu i rękodzieł, ani ministeryum rolnictwa. Brak tych dwóch instytucyi odczuwany oddawna, obecnie staje się o tyle dotkliwszym, o ile coraz poważniejsze interesy w grę wchodzą, o ile częste, w jednym tylko kierunku zaprowadzone zmiany, coraz uciążliwsze brzemię ciężarów, w postaci podrożenia mnóstwa artykułów codziennéj potrzeby, zwalają na barki niemej masy, pospolicie konsumentem zwanéj. Nie posądzając bynajmniéj o brak poczucia sprawiedliwości w przedstawicielach dekasteryi rządowych i wielkiego przemysłu, którzy w naradach udział brali, żałować należy braku w ich gronie urzędowych obrońców interesów konsumentów, a takimi byliby, ośmielamy się mniemać, ministrowie handlu i rolnictwa.

Cła w Rosyi posiadają podwójny charakter, fiskalny i protekcyjny. Charakteru fiskalnego ceł dopatrywać się godzi w normowaniu opłat od takich przedmiotów, jak np. kawa, herbata, które się w obrębie państwa nie produkują. Protekcyę celną dopatrujemy w wysokiém, względnie do wartości, ocleniu wszelkich wyrobów zagranicznych, które choć znacznie taniéj wytwarzane zagranicą, mogłyby być wytwarzanemi lub są już wytwarzane w jakimkolwiek punkcie obszernego państwa.

Ponieważ to państwo jest ogromne i siedliska wytworu, w wielu wypadkach, oddalone są od wielu punktów konsumcyi na setki mil geograficznych, jak np. kopalnie miedzi od Petersburga i Warszawy; zdarzać się może, iż mieszkaniec tych np. miast wprost nie rozumié, jakim sposobem protekcya celna wyjść może na dobre pewnéj grupie poddanych tego samego państwa, gdy o istnieniu takiéj grupy nader mgliste posiada pojęcie.

Dokonany obecnie przegląd taryfy celnéj brał pod uwagę z jednéj strony przysparzanie dochodów skarbowi, z drugiéj strony, zachęcenie wabikiem wielkich zysków do eksploatacyi bogactw mineralnych, do tworzenia wielkich zakładów przemysłowych dla przerobu surowych płodów na fabrykaty. Ogólna jednak tendencya jest z małemi wyjątkami w kierunku utrzymania cęł fiskalnych na dotychczasowéj wysokości, a prawie bez wyjątku — podwyższenia ceł protekcyjnych.

Ponieważ z jednéj strony, wszystkie istniejące w środkowych i wschodnich prowincyach państwa zakłady przemysłowe, na pod-

wyższeniu ceł spodziewają się zysk osiągnąć, przeto bezpośredni ich interes nakazał, dostarczyć na posiedzenia jaknajwięcéj argumentów, uzasadniających potrzebę i konieczność podwyżki; — z drugiéj znów strony, tłum konsumentów, który ma podwyżkę zapłacić, jest tłumem niemym, nie posiadał organów, któreby w jego sprawie występować mogły, któreby go zasłoniły od powiększenia ciężarów w formie podwyżki podatków pośrednich; bez szczególnego téż oporu, projekt podwyższenia taryfy przechodził, a w najlepszym razie udało się coś odtargować od norm wskazywanych jako pożądane.

Dotąd tylko jeden poważny głos opozycyi dał się słyszéć. Wolno-ekonomiczne Towarzystwo w Petersburgu starało się przekonać obszernym memoryałem, poważnie napisanym, że jeśli wszystko ma podrożéć, to przynajmniéj na maszyny i narzędzia rolnicze, większego cła nad dotychczasowe nakładać nie należy. Drugim głosem opozycyi było wystąpienie jednego z najsumienniéj prowadzonych pism codziennych w Moskwie, „Ruskich wiadomości“, które szeregiem artykułów pragnęło dowieść, iż taryfy kolejowe, i tak już dosyć drogie, nie powinny przez dalsze podwyższenie zmienić opłat protekcyjnych celnych na opłaty prohibicyjne.

W naszéj prasie, dosyć ubogiéj w artykuły ekonomiczne, — dwa powyższe głosy, za wyjątkiem „Dziennika Łódzkiego“, a świéżo w „Wieku“, bardzo dyskretne, o ile wiemy, znalazły echa, jak gdyby społeczeństwo polskie nie brało nader czynnego udziału w życiu ekonomiczném państwa. Sprawa protekcyi celnéj, to sprawa bardzo ważna i nietylko dlatego, że pieniądz z kieszeni wielu przechodzi do kieszeni niewielu protegowanych, lecz i dlatego, że w téj sprawie leży jeden z czynników przyszłego kapitalistycznego ustroju społeczeństwa, łącznie z wszystkiemi ujemnemi skutkami takiego ustroju. Zanim pójdziemy daléj, warto choćby dla porównania przytoczyć jeden z argumentów zwolenników wolnego handlu. Z obszernéj literatury temu przedmiotowi na Zachodzie poświęconéj, wyrywamy kartkę z dzieła Henryka George'a, która w wolnym przekładzie tak charakteryzuje znaczenie protekcyi celnéj.

Wyobraźmy sobie na dalekim oceanie, gdzieś pod równikiem zaludnioną wyspę, któréj mieszkańcy nie znają błogosławieństw cywilizacyi, wojska, podatków, własności, przywilejów; żyją z połowu ryb i zbierania owoców, stykają się z światem tylko o tyle, o ile w dalekich odstępach czasu jaki okręt do nich zawinie, i marynarze, w zamian za ryby i owoce dadzą im pewną ilość tkaniny. — Na raz, jeden z wyspiarzy, zwoławszy sąsiadów, powiada im: widzieliście zamorskich mieszkańców, posiadają oni tkaninę, któraby mogła być u nas wyra-

biana,—u nas rośnie bawełna, konopie, len, — czemużbyśmy nie mieli nosić własnéj krajowéj tkaniny? Potrzeba tylko nazbiérać wiele owoców, nałowić wiele ryb i oddać to cudzoziemcom, oni nawzajem dadzą nam potrzebnych narzędzi do wyrobu tkaniny. Wprawdzie nasz produkt będzie znacznie droższy, aniżeli produkowany zagranicą, lecz będzie własny, a jeśli kto z was zechce mieć tkaniny zagraniczne, to oprócz téj saméj liczby orzechów i ryb, które teraz na tkaniny wymienia, — dodać będzie musiał dla publicznego skarbu jeszcze pewną ilość owoców swéj pracy, dla zrównoważenia konkurencyi. — Jak ci się zdaje czytelniku — pyta George — jakąby odpowiedź ów projektowicz usłyszał od swych sąsiadów? Czyby uznali za słuszne powiększyć liczbę godzin pracy na zbiéranie środków dla stworzenia własnego przemysłu, i czy dopłacaliby chętnie do dotychczasowéj normy wymiany, w przekonaniu, że tym sposobem wstrzymują konkurencyę zagranicznego, w dogodniejszych warunkach ufundowanego przemysłu?

Skomplikowane funkcye tegoczesnych organizmów społecznych i państwowych zmuszają do zapatrywania się na tak proste pozornie sprawy, jak przymus cłowy, o wiele inaczéj, jak się wydawać one mogły z punktu widzenia szczęśliwych mieszkańców Utopii George'a.

Wszelako, co jest prawdą w tamtych pierwotnych stosunkach, nie przestaje być prawdą gdzieindziéj, i nie byłoby od rzeczy zapożyczyć od wyspiarzy George'a argumentów dla krytykowania niejednego z wywodów profesora Mendelejewa.

Zamiast dowodzeń abstrakcyjnych, które wolimy pozostawiać powołanym, pragnęlibyśmy opiérać się na faktach. Chcielibyśmy np. przytoczyć, że całe szeregi wyrobów rzemieślniczych, w rolnictwie potrzebnych, od epoki wzmocnionéj protekcyi, podniosły się w cenie. Tymczasem, dla braku źródeł krajowych, a przynajmniéj niedostępnych doraźnie, — niepodobna stanowczo wskazać, jaką szkodę protekcya celna wyrządza naszemu rolnictwu. Dowodzić tego przez analogię nie można, bo pewno nie ma kraju, któryby się taką protekcyą celną, jak nasz, mógł poszczycić. Nowe zmiany taryfy w Stanach Zjednoczonych nie dostarczą dowodów, bo trwałość tych zmian jest problematyczna; z czasów zaś poprzedzających bil Mac Kinleya, jeśli porównamy ceny między rokiem 1880-ym i 1890-ym niektórych przedmiotów w gospodarstwie folwarcznem używanych, zobaczymy, że pomimo protekcyjnéj taryfy, dzięki wynalazczemu geniuszowi Amerykanów, nastąpiły poważnie zmiany na korzyść konsumentów, i tak:

	ceny 1880 r.			ceny 1890		
	w funtach szterlingach, szylingach i pensach					
Kosiarki . . . . fszt.	17,	0,	0	fszt. 10,	0,	0
Drut kolczasty na płoty, funt .	0,	0,	5	0,	0,	2
Gwoździe żelazne, beczka . .	1,	4,	0	0,	9,	0
Oskardy za sztukę	0,	5,	8	0,	3,	6
Podkowy za beczułkę	1,	12,	0	0,	18,	0
Widły, sztuka	0,	3,	1½	0,	2,	1
Latarnie	0,	6,	0	0,	3,	0
Czarki do mléka, tuzin. . . .	0,	9,	0	0,	4,	0
Kubły . . . . , .	0,	4,	0	0,	2,	8 i t. d.

Zmiany te znaczą tyle, że przedmioty używane w gospodarstwie folwarczném spadły w cenie około 50%.

Jednocześnie taki fakt objaśnia, dla czego liczna klasa farmerów w Stanach Zjednoczonych nie zdobyła się na energiczny protest przeciw polityce handlowéj, prowadzącéj normalnie za sobą uszczerbek dla konsumentów wyrobów fabrycznych.

Przy téj sposobności, niech nam wolno będzie zwrócić uwagę, że skutki systemu protekcyjnego osłabione zostały przez stopniowe obniżenie kosztów przewozu kolejami. Tak np. w r. 1870 płacono za przewóz buszla kukurydzy na odległość 1000 mil angielskich, od Chicago do New Yorku, 28 centów, obecnie płacą 10 centów; za przewóz pszenicy między temiż miastami płacono 30 centów, teraz 12 centów.

Pomimo więc polityki protekcyjnéj, tak olbrzymie zniżanie kosztu przewozu, pozwoliło farmerom w Stanach Zjednoczonych wychodzić względnie obronną ręką z ciężkiéj konjunktury niskich cen na zboże, sprowadzającéj ruinę dla naszego folwarcznego gospodarstwa. Gdy posługiwano się kolejami w Ameryce w taki sposób, że rocznie w przecięciu na każdego mieszkańca Stanów przypada 600 pudowy ładunek wagonowy, w Rosyi europejskiéj, gdzie ludność przeszło o 40,000,000 większa niźli w Stanach Zjednoczonych, przypada na głowę około 20 pudów rocznie, pomimo, że w stosunku do posiadanéj sieci kolejowéj, powinnoby przypadać przeszło 60 pudów. Czém to się dzieje, że względnie do rozległości sieci kolejowéj trzy razy mniejszy z niéj mamy użytek niżbyśmy mieć powinni? Na to pytanie dają odpowiedź dwa bardzo cenne wydawnictwa: „Sbornik“ ministeryum komunikacyi w Petersburgu w r. 1890 wydany i Poor's Manual wydany w New Yorku w tymże 1890 roku.

	koszt przewozu puda na wiorstę kopiejek	koszt przewozu tonny na milę ang. centów
1882	0,029	1,236
1883	0,028	1,236

	koszt przewozu puda na wiorstę kopiejek	koszt przewozu tonny na milę ang. centów
1884	0,027	1,124
1885	0,027	1,057
1886	0.027	1,042
1887	0,027	1,034
1888	0,027	0,977
1888	—	0,976

Obniżenie kosztu przewozu na sieci kolejowéj w Rosyi wynosi 6$^1/_{10}$ między rokiem 1882 i 1888, a dla Stanów Zjednoczonych między 1882 i 1889 zniżenie wynosi 30%.

Gdyby ilość transportów, w tém siedmioleciu przewiezionych na kolejach Stanów, obliczyć podług stawki z r. 1882, to koleje Stanów zarobiłyby o 734 miliony dolarów więcéj, średnio więc corocznie w tém siedmioleciu oszczędzały sobie rolnictwo, górnictwo, przemysł na przewozie około 105 milionów dolarów w porównaniu z kosztami poniesionemi w 1882 roku.

Przy innéj sposobności zaznaczyliśmy, że w téj chwili w Ameryce uległ poważnéj zmianie stosunek konsumenta do polityki handlowéj, i prawdopodobnie w niedalekiéj przyszłości antagonizm między konsumentami a wielkiemi syndykatami wytwórców, skończy się ustępstwem w stronę wolnego handlu.

Rozwielmożniający się u nas duch protekcyi nie ogranicza się sferą czysto celną, lecz szuka pomocy w zwyżce taryf kolejowych.

Taryfy dla przewozu towarów od kresów ku środkowi państwa, znakomicie podwyższone zostały. Tak np. dla maszyn i narzędzi rolniczych, podług taryfy do 20 grudnia 1890 r. obowiązującéj, przewóz z Petersburga do Moskwy w partyach półwagonowych kosztował od puda pługów 20 kopiejek za całą odległość; od kos, sierpów, grabi, łopat, rydli, wideł, 15 kopiejek; przewóz pozostałych narzędzi rolniczych 25 kopiejek.

Nowa taryfa ustanawia dla wszystkich wymienionych przedmiotów jedną opłatą 29$^{5}/_{100}$ od puda. Skutkiem tego, koszt przewozu od Petersburga do Moskwy dla łopat, rydli i t. d. wzrasta o 48%, dla kos, sierpów o 97%, dla wszelkich innych narzędzi o 10%.

Ponieważ jednak norma taryfy drogi mikołajewskiéj ma być stosowaną na wszystkich liniach od kresów do Moskwy, przeto koszt przewozu tych narzędzi np. z Libawy do Moskwy wzrośnie o 63%.

Koszt przewozu lokomobil z Petersburga do Moskwy podniesiony o 42%, od Rewla do Moskwy o 83%, od Rygi o 86%, od Liba-

wy o 92%. Koszt przewozu wód mineralnych podniesiony z Petersburga do Moskwy o 193%, z Rewla o 122% z Libawy o 133%. Taryfy przywozowe dla kawy podniesione od 83 do 110%, dla herbaty zaś od 123% do 162%.

Przytoczone dane ilustrują położenie, a stosować się taryfy mają do transportów, które są niezmiernie cenne dla kolei żelaznych, które (z wyjątkiem drogi warsz.-wiedeńskiéj) pracują w kierunku odśrodkowym, dla kolei, które dotąd wszelkiemi siłami starały się o zapełnienie choćby częściowe próżno wracających wagonów.

Ponieważ zbyt wiele miejsca zabraćby mogło rozglądanie się we wpływach proponowanych zmian cłowych na rozwój rozmaitych gałęzi przemysłu, zatrzymamy się na tak ogólnie znanym produkcie, jakim jest żelazo; jeden przykład starczy dla zcharakteryzowania całości.

Prof. Mendelejew, na poparcie twierdzenia, iż cło od surowego, walcowanego żelaza i od wyrobów żelaznych winno być podniesione, wskazuje: z jednéj strony na bogactwa mineralne Krzywego Rogu i Donieckiego zagłębia, a z drugiéj strony na sumę 1,500,000 rs. zapłaconych w ciągu 20 lat ostatnich przez Rosyę zagranicznemu hutnictwu; profesor wyraża przytém nadzieję, iż podobnie, jak się stało obecnie z naftą, któréj wywóz zagranicę ustawicznie się wzmaga, powinno stać się z żelazem. Dzięki protekcyi celnéj, przemysł metalurgiczny, do tego stopnia rozwinąć się może, iż nietylko w całości potrzeby własnego wielkiego państwa, lecz i potrzeby zagranicy, w znacznéj części pokryć zdoła.

Zapewne, wielki był import żelaza w ciągu ostatnich lat 20 działo się to raz dla tego, że taniéj produkowała je zagranica, a daléj dla tego, że gwałtowną była potrzeba budowy kolei żelaznych, daleko pilniejsza, niż oczekiwany rozrost hutnictwa.

Amerykanie rozpatrując ten sam przedmiot, powiadają: cła ochronne zmusiły nas do zapłacenia za importowane szyny kolejowe i stal o 700,000,000 do 800,000,000 dolarów więcéj, niż ta sama ilość towaru kosztowała na rynkach angielskich. Jeśli połowa powyższych 800 mil. dolarów wyraża ciężar nałożony przez taryfę celną, to za każdego dolara pobranego przez komory, konsument amerykański, własnym producentom zapłacił wielokrotnie więcéj, jeśli się weźmie pod uwagę całość produkcyi krajowéj, pobierającéj zapłaty za swój wytwór nie w stosunku do cen towaru zagranicznego, lecz w stosunku do ceny tegoż towaru z dodatkiem cła.

Zdawaćby się téż mogło, że gdy oczywiście tak wielkie bogactwa kopalniane rudy żelaznéj i koksującego się węgla, posiada zagłę-

bie Donieckie, to tém samém istnieją już dane dla rozwoju hutnictwa, i niepowinno być mowy o podnoszeniu i tak już nader wysokiéj ceny żelaza gwoli korzyści pewnéj grupy przemysłowców i gwoli korzyści, jaką kiedyś z eksportu żelaza państwo odnieść może. Jedne i drugie korzyści zapłacić ma całe pokolenie konsumentów krajowych. Czyż, ostatecznie nie byłoby słuszniejszém, oprócz dotychczas praktykowanéj premii wydawanéj za każdy pud wyprodukowanéj stali, wydawać premie za żelazo surowe, czy walcowane, dla spotęgowania napływu i tworzenia się kapitałów w przemyśle metalurgicznym,— jeśli podług prof. M. koniecznie pożądaném jest takie tworzenie się kapitałów.

Dla zdrowia narodowego organizmu, taki środek wypadłby taniéj, bo dokładnie wiedzianoby, ile z kieszeni płacących podatki idzie na wspomożenie potrzebnego a wątłego przemysłu, a cena żelaza, tego artykułu pierwszéj potrzeby, mogłaby się powoli wewnątrz kraju obniżyć, wywołując coraz powszechniejsze, wszechstronniejsze zastosowanie metalu, z jawnym pożytkiem dla wszystkich pozostałych gałęzi pracy narodowéj.

Cyfry spożycia, zastosowania żelaza w danym kraju, w porównaniu z takiemiż cyframi innych krajów, doskonale odzwierciadlają stopień energii pracy w porównywanych społeczeństwach. I tak, zużytkowanie żelaza w Stanach Zjednoczonych w przecięciu na głowę ludności wynosiło w 1881 roku 270 a w 1889 roku 310 funtów angielskich; w Anglii, w 1889 r. około 300 funtów ang. na głowę wynosiły: produkcya, zużytkowanie i wywóz razem. W Rosyi prof. Mendelejew oznacza minimum zużytkowania na 60 milionów pudów, co podzielone na 100 milionów ludności, daje w przecięciu tylko16 funtów na głowę.

Przypomnieć warto, że w lipcu r. 1884 cło na surowiec naznaczono w wysokości 9 kop. złotem od puda, w marcu 1885 roku podniesiono je do 12 kopiejek, w 1886 do 15 kopiejek, a w 1888 roku surowiec dowożony do portów płacił już 25 kopiejek, lądem 30 kopiejek od puda. Dziś protekcyoniści uważają, że i tego za mało i pragną jeszcze wyższego oclenia.

Czém jest żelazo dla rolnictwa wskazuje obliczenie, że we Francyi wyprodukowanie 1 hektolitra pszenicy pociąga za sobą roczne zużycie 0,8 kilograma żelaza. Gdyby rezultat tego obliczenia przystosować do produkcyi zboża w Rosyi, wypadłaby potrzeba zużycia w rolnictwie sumy 45 milionów pudów żelaza; czyżby wszelkie fabryki, koleje żelazne i t. d., kontentować się mogły 15 milionami pudów rocznie? Zdaje się nam, że dzieje się w praktyce przeciwnie, że lwia część spożycia. wskazanych przez profesora, 60 milionów pudów,

przypada na przemysł fabryczny, na środki lokomocyi—a drobny tylko ułamek na rolnictwo; obliczono téż, że w Belgii, zużywającéj więcéj żelaza aniżeli Francya, na przeciętne gospodarstwo wieśniacze przypada około 20 pudów żelaża, umieszczonego w narzędziach rolnych. Podług téj skali, gdyby było w Cesarstwie tylko 15 milionów gospodarstw wieśniaczych, musiałoby się znajdować na wsi około 300 milionów pudów żelaza.

Nietrudno dopatrzéć się bezpośredniego związku między niedostateczną ilością narzędzi żelaznych w produkcyi rolnéj i niezmiernie niskim rezultatem téj produkcyi właśnie w gospodarstwach wieśniaczych w Rosyi.

Wzmożenie się produkcyi rolnéj, powiększenie wydajności sprzętów zboża względnie do zasiewów, choćby tylko o 1 ziarno, stanowiłoby dla całego państwa powiększenie wartości produkcyi o cyfrę bliską 260 milonów rubli rocznie.

Wolno téż się spodziewać, że najwyższe ciało prawodawcze weźmie pod uwagę skutki podrożenia żelaza, i obok skądinąd uznawanéj potrzeby protegowania przemysłu hutniczego, pamiętać będzie o pilnych potrzebach rolnictwa.

Chcemy wierzyć słowom uczonego profesora, że kiedyś tak potężną będzie produkcya surowca w zagłębiu Danieckiém, — że pud surowca kosztować będzie 25 kopiejek; czyż jednak byłoby słusznem, aby przez cały ten czas, w którym zbliżać się będziemy do tego ideału *sui generis*, niesłychanie ciężkie brzemię dźwigać mieli konsumenci, by cały rozwój ekonomiczny miał nieustannie walczyć z wysokiemi cenami na żelazo?

Dla okazania czém bywa w swych skutkach niestosownie pomyślany podatek, możnaby przeciwstawić profesorowi, tryumfującemu nad doniosłemi skutkami ceł ochronnych od nafty,—fakt wzięty z pokrewnéj dziedziny podatkowéj.

Od roku 1878-go zaprowadzono podatek od biletów pasażerskich 1-éj i 2-éj klasy na kolejach w całém państwie. Dochód z przewozu pasażerów wynosił w ostatnim roku przed zaprowadzeniem podatku 51,110,000 rubli. W roku 1888-ym, zatém w dziesięć lat po ustanowieniu podatku, pomimo że sieć kolejowa powiększyła się około 30%, ludność państwa przeszło 15%, dochód był mniejszy o prawie okrągłe 4 miliony (wynosił 47,289,000).

Pomijamy też rozbiór pytania, nasuwającego się mimowolnie, — czy właściwém jest porównywanie doniosłości taniego żelaza z doniosłością taniości nafty, lub czy można spodziewać się, że równie szybkim będzie przyrost produkcyi żelaza, jak nafty, choćby ze względu na ogrom kapitałów potrzebnych do przemysłu metalurgicznego.

Rozumiemy tylko, że skutki podnoszenia cła na żelazo, skutki sztucznéj drożyzny artykułu tak nieodbicie potrzebnego dla wszelkiéj produkcyi, jakiém jest żelazo — już musiało się odbić na rezultatach gospodarstwa całego organizmu narodowego, lecz dla mnóstwa postronnych czynników, jak np. nieurodzaje, — stron ujemnych owego podrożenia, niepodobna tak drastycznie oświetlić cyframi, jak to uczyniła tabelka, o dochodach kolei żelaznych, umieszczona na str. 12 ostatniego wydawnictwa ministeryum komunikacyi.

Wreszcie rozwój wielkich przedsiębiorstw hutniczych, może wcale nie iść równolegle z obniżaniem się poziomu ceny, ponieważ porozumienie między wielkiemi przedsiębiorcami jednego kraju jest daleko łatwiejsze, aniżeli między kapitalistami różnych narodowości. Wytworzenie monopolu w przemyśle metalurgicznym u nas jest równie możliwe i znaleść się może swego rodzaju Rockfeller, jak w przemyśle naftowym „*Standard oil company*“.

Mieliśmy już sposobność zwrócić uwagę na monopole w Stanach Unii. Zawitały one do Europy oddawna, nie będziemy przecież nużyć wyliczaniem takich monopolów w Anglii, Francyi, Niemczech. Wskażemy tylko na fakt, że w czerwcu 1889 roku niemieckie żelazo kosztowało w Kopenhadze 30 do 40 marek na tonnie taniéj, niż płacił za takowe konsument w Niemczech. Superfosfat niemiecki w Rotterdamie kosztował 290 marek, a w Niemczech 420 do 500 marek dzięki syndykatom. Wszak mamy już porozumienie między kopalniami soli około Bachmutu, mamy normowanie cen cukru, a świéżo w dzienniku „Kaspij“ cały szereg artykułów dowodzi potrzeby porozumienia się właścicieli źródeł naftodajnych i rafinerów.

Grube kapitały pomieszczone w przedsiębiorstwa naftowe Towarzystwa Noblów, towarzystwa kaspijskiego, towarzystwa Szybajewa, dają gwarancyę, że porozumienie, faktycznie rozpoczynane, dojdzie formalnie do skutku, czy z korzyścią dla konsumentów—wątpić wolno.

Dla wykazania potrzeby wyższego oclenia żelaza, robi się rachunek podwójny; jeden przy najniższéj cenie szkockiego surowca i najwyższym kursie papierowego rubla, drugi przy najwyższéj cenie tegoż surowca i najniższym kursie rubla, biorąc za punkta dostawy naturalnie Petersburg, punkt w państwie, oddalony najbardziéj od punktów produkcyi Uralu i Krzywego Rogu. W pierwszym rachunku istniejące cło stanowiło przeszło 100% wartości towaru, w drugim przeszło 80%.

Tak wysoko sięgającéj protekcyi jest zamało. Ponieważ cena kosztu krajowego surowca w miejscu produkcyi na Uralu, wynosi 55

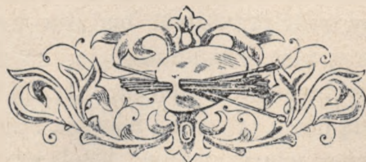
kopiejek od puda, 10 kopiejek na pudzie chce mieć zarobku przedsiębiorca, 23 kopiejki ma kosztować przewóz do Petersburga, zatém takiego cła pożądają, by przy najpomyślniejszym kursie, zagraniczny surowiec nie mógł kosztować mniéj niźli 88 kopiejek papierowych *loco* Petersburg. Nadpłata konsumenta w tym wypadku wynosi już ponad ceny surowca w Szkocyi około 70 kopiejek papierowych na pudzie.

Takie same rozumowanie, jakie w skróconym bardzo szkicu podaliśmy o żelazie, zastosowane zostało do siarki, sody, chlorku, bawełny i t. d. Przy każdym z tych artykułów, wskazywano na wielkie przyrodzone bogactwa Rosyi, dotąd bardzo słabo albo wcale nie eksploatowane; wskazywano na niezawodny skutek opieki celnéj, bo tak było z naftą, na fakt np. że towarzystwo fabryk chemicznych Uszkowa dostarczyło kwas solny do Petersburga. Naturalnie, nikt nie pyta, ile ten kwas kosztował, kto zapłaci różnicę między ceną danego towaru w kraju a ceną tego samego towaru na rynku międzynarodowym.

Podług referatu profesora Mendelejewa, niedalekim jest czas, gdy Rosya posiadać będzie tak wielkie ilości bawełny surowéj z własnych posiadłości, że nietylko dowóz bawełny zamorskiéj ustanie, lecz krajowe przędzalnie i tkalnie zwycięsko konkurować będą przędzą i tkaninami z wyrobem zagranicznym na rynkach azyatyckich.

Oddając należny hołd pracy licznych referentów, którzy prawie żadnego artykułu taryfy nie pominęli, z pewném zadowoleniem zaznaczyć wypada, iż uchwały obrad w ministeryum skarbu nie prześcignęły życzeń referentów, a występują podobno czasem i poglądy oświadczające się za pozostawieniem taryfy *in statu quo*; tak np. cło od maszyn i narzędzi rolniczych, ma zostać utrzymane na dotychczasowéj wysokości.

B. Werner.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Biblioteka najcelniejszych utworów literatury europejskiéj.“ Luiz Camoens. „Luzyady.“ Przełożył Adam M-ski. Warszawa, S. Lewental, 1890.

Poeta, który pragnie wykształcić w sobie artystę, nie znajdzie lepszéj szkoły, jak tłómacząc obcych mistrzów. Ujeżdżanie niesfornéj w początkach fantazyi, karcenie jéj nieokiełzanych zapędów, zmuszanie do porządnego stępa wpływa nader korzystnie na wyrobienie się pewności i trafności w wynajdywaniu odpowiedniego dźwięku, określenia, figury i uderzaniu niemi w odpowiedniéj chwili.

Będąc w ten sposób studyum pomocniczém, jest przekład równocześnie sam przez się przedmiotem sztuki, jak portret lub transkrypcya muzyczna; ma téż swoją teoryę. Przekład musi działać drogą suggestyi: brzmienie portugalskiego wyrazu wpływa inaczéj na Portugalczyka niż Anglika, a choćby nawet wpływało tak samo, to musi inne wywoływać zmysłowe wrażenie oryginał a przekład; inaczéj drażni ucho nosowe *mãi* (matka), niż szepleniące *mother*.

To różnica strony muzycznéj, która żadnym środkiem znieść się nie da; chodzi o to, aby ocalić przynajmniéj wyobrażenia, łączące się z dźwiękiem, t. j. aby treść przekładu budziła w czytelniku ten sam nastrój i wywoływała w nim te same uczucia, co oryginał; w tém téż zadaniu wykazuje się biegłość tłómacza. Jeżeli ucho jego nie jest dość czułe na harmonią obcéj rytmiki i wiersza i nie dość wtajemniczone w prawidła własnego wierszowania; jeżeli wyobraźnia nie dotrwa w żywości i nie wyrówna w sile oryginałowi, nie umié go w danym razie, tam, gdzie ułożenie odpowiednich rymów w strofie wymaga zmiany figur lub obrazów, parafrazować bez ujmy dla jego wielkości; jeżeli pamięć leniwa lub umysł nieudolny nie poddaje mu bezustannie

z językowego zapasu najodpowiedniejszych wyrazów i zwrotów, przekład musi wyjść słaby, blady, okaleczały, niezgrabny, z widocznemi kroplami potu na przywleczonych gwałtem rymach.

Wstęp ten mam zaszczyt poświęcić krytykom, żądającym od przekładu koniecznie wierności, którą też praktykują w dużych wierszowanych tomach niepoetyckich tłómaczeń, lub w studyach literackich ilustrowanych koniecznie próbami własnego pióra tam, gdzie z większą korzyścią dla sprawy można było wybrać wzory z przekładów już dokonanych.

Zwracając się do „Luzyad“ p. M-skiego, z największą uciechą miłośnika rzeczy pięknych wyznaję, zestawiwszy liczne ustępy jego książki z oryginałem, że dawno nie widziałem tak artystycznego przekładu. Oryginał nic w nim nie traci, chyba czasem, gdy tłómacz prostotę i naiwność świeżego, ledwo urobionego języka, bezwiednie lub z nieco naganném niedbalstwem oddaje tą dziennikarską gwarą, pełną skrzepłych figur, formuł, komunałów, co tak bardzo trąci *seicentismem*, albo gdy utknąwszy na jakimś szkopule, w desperacyi błąd językowy, nawet gramatyczny popełnia — na szczęście tylko w ostateczności, która w całéj książce przycisnęła go ledwo kilka razy. Czytając, ma się przed sobą cały dramat młodego pisarza, borykającego się z trudnościami oktawy: na pierwszéj stronicy ona go jeszcze za bolesny czub trzyma, od końca 4-téj strofy on już tryumfuje i jeździ buńczuczno rydwanem, zaprzężonym w cztery pary dzielnych rymów.

Usprawiedliwiając swobodę przekładów, nie rozumiałem bynajmniéj swobody w odmienianiu myśli, co większa, intencyi poety. Zaraz też w pierwszych strofach miałbym tłómaczowi do zarzucenia samowolną interpretacyą oryginału: I, 2. „Gdy ty mię wesprzesz o geniuszu sztuki!“ wywołuje obraz jakiéjś alegorycznéj figury ze skrzydłami, któréj nie ma w oryginale. P. Święcicki w swych wzorach do Camoensa [1]) tłómaczy ten wiersz:

> Jeśli mię sztuka i talent wspomoże,

i słusznie, to bowiem znaczy: *o engenho e arte*.

Równie ostatnie wiersze str. 5:

> Bo w dźwięcznych rymach, wzdłuż przez ziemię całą
> Taką zasługę wysławiać przystało

winny według oryginału brzmieć inaczéj, dajmy na to, tak:

> Światu całemu niech pieśń o nim (narodzie) wieści,
> Jeśli zasługi takie pieśń pomieści,

---

[1]) „Dzieje lit. powsz.“, III, 424.

co przedstawia zaraz inaczéj patryotyzmem wygórowane pojęcie poety o portugalskiéj wielkości.

Usterki te,—szkoda że zaraz w pierwszych popełnione strofach—rehabilituje tłómacz aż nadto mnóstwem ślicznych ustępów, rzeźbionych *con amore*; do najpiękniejszych zaliczyłbym opis wyspy Miłości w pieśni IX. W str. 55 nie ma wprawdzie mowy o zakochaniu się w sobie drzew, do tego antycypowaném:

(Ponad brzegami gęsto rosną drzewa
I chylą czoła nad modre przestrzenie,
I zakochane we własnéj urodzie
Pragną się przejrzéć w kryształowéj wodzie).

Poeta bowiem mówi, że drzewa nachylają się do zwierciadła, które ich kształty dokładnie odbija, jakby włos trefić chciały (*affeitar-se*); w str. 72 wiersze:

Lecz je ciał białość zdradza przed pogonią,
Przed żądném okiem i spragnioną dłonią

gubią równie piękny zwrot oryginału: naga nimfa migoce przez zarośla

„...aos olhos dando
O, qué as mãos cubiçosas vão negando,“

co bez trudu można było przełożyć:

„...i oczom odsłoni
To, czego wzbrania niecierpliwéj dłoni“,

lub w sposób podobny. Za to reszta strof zbudowana z całém poczuciem malowniczości, harmonii oryginału; obrazy układają się z tą sielankową prostotą, jakiéj chciał poeta, rytm nigdzie się nie zrywa, rym dobrany najwykwintniéj, przytém wolność parafrazy wyzyskiwana nader oględnie. Oto na próbę strof kilka:

IX. 56. (Drzewa) strzelają w górę; tu jabłonie
Wonnym owocem przynęcają oczy,
Tu pomarańczy złota kula płonie,
Koloru Dafny złocistych warkoczy.
Tu znów cytryna pochyliła skronie,
Tak ją do ziemi złoty ciężar tłoczy;
Ówdzie woń zioną limony nadobne,
Okrągłe, piersi dziewiczéj podobne.

57. Niby kędziory zieleni gęstwina
Kryje wzgórz czoła, krzewy leśne, drzewa,
Wawrzyn, kochanek boga Apollina
I Alcydowa topola powiewna;
Mirty Wenery, Cybeli sośnina,
Co Atysowe przygody opiewa:

Wreszcie cyprysy smukłe, których szczyty,
Rzekłbyś, że pragną wzbić się pod błękity.

— — — — — — — — — —

68. W tém między drzewy mignęły kolory,
W pośród zieleni coś nagle zaświeci:
A wzrok rycerzy mógł wydać sąd skory,
Iż to nie barwy róż, ni innych kwieci,
Lecz miękka wełna, jedwab' różnowzory,
Strój, co podnosi wdzięk i miłość nieci,
Więc go przywdziewać zwykły ludzkie róże,
Chcąc sztucznym wdziękiem przyjść w pomoc naturze.

Jeżeli po tych wyrazach szczerego uznania zasłużyłem na posłuch szanownego tłómacza, niech mi wolno będzie wytknąć mu wady, zdaniem mojém ważniejsze, niż niedostateczna tu i owdzie zgodność z oryginałem. Mówię o urabianiu stylu z fałszywych, przeżytych żywiołów, który to błąd, stawszy się chronicznym, może na zawsze zgubić pisarza.

Dlaczego w III p. str. 122, wiersz: „*Do filho que casarse não queria*,“ tłómaczy autor przez:

Syna, co puścił namiętności wodze.

zamiast po prostu: „Syna, co nie chciał wstąpić w związki ślubne“, lub jak p. Święcicki: „Który o wejściu w związki zapomina“? [1]). Skąd w str. 123 ów:

„...miecz stary,
Co hordy dziczy w najezdczym zalewie
Na ostrzu trzymał...“

skoro w oryginale jest mowa tylko o „ostréj szpadzie, którąby mogła utrzymać wielki ciężar wściekłości Maurów“; skąd w téj samej strofie: „ponęt czary“ lub „stałych ogni zarzewie“; dlaczego w p. V, str. 47 dzieci zwą się pompatycznie:

„...wielkich uczuć owoc święty, błogi“,

gdy w oryginale: „*os filhos caros em tanto amor gerados e nascidos*“, są skromnie: „drogiemi dziećmi, spłodzonemi i zrodzonemi w wielkiéj miłości“; czyż Camoens mówi w str. 48 o „duchu rozwijającym swe anielskie skrzydła“? czy brużdżą u niego „śmierć głucha dławiąca Chry-

[1]) Opis zabójstwa Inezy de Castro w III p., słusznie podnoszony jako jeden z najpiękniejszych w poemacie, umieścił p. Święcicki w „Dziejach lit. pow.“ (Tom III, str. 427) w przekładzie własnym. Nie chcę wyzyskiwać sytuacyi i popełniać niekonwenansu względem spółpracownika i sąsiada w owym tomie „Dziejów“ krytykowaniem jego przekładu, sądzę jednak, iż p. Święcicki tak baczny na ścisłość tłómaczenia, musiał sam spostrzedz, że strofy 120, 124, 131, 132, 133, u p. M-skiego oddane bez zarzutu, u niego odbiegają od oryginału zuchwale daleko.

stusa" (I. 65),—„prądy nienawiści" (I. 71), — „życie pełne niebezpieczeństw kaźni" (I. 105),—„jasnym aniołom podobna Wenus" (II. 38), „łzy, które miękczą pierś tygrysa" (II. 42) i t. d.

Obrazowanie takie, po większéj części używane bezwiednie — tém gorzéj, znać, że już nadto głęboko tkwi w organizmie — jest zabytkiem romantycznego poetyckiego słownictwa, da się zaś odnieść do dalszych jeszcze epok, a popełniamy je wszyscy, wielcy i mali; czyż nie czas ostatni wytrzebić je z naszéj pisarskiéj niwy... (otóż i macie!), chciałem rzec, czy nie czas oczyścić z nich do ostatniego szczętu zachwaszczoną pamięć i próbować tworzyć jakieś obrazowanie nowe, złożone z innych—nie przesądzam jakich—części składowych, byle nie tak nieprzystępne dla zmysłów, na które ma właśnie działać, byle nie kłócące się z przyrodą, z któréj brało życie?...

Dr. Edward Porębowicz.

Materyały do historyi drukarstwa i księgarstwa w Polsce. I. Maciéj Scharffenberg i Floryan Ungler. Wydał dr. Artur Benis W Krakowie, 1890, str. 71. (Odbitka z Archiwum do dziejów literatury i oświaty. Nakładem Akademii umiejętności).

Ze szkodą dla historyi cywilizacyi i historyi piśmiennictwa, dziedzina badań nad dziejami drukarstwa i księgarstwa w Polsce była do ostatnich czasów nader zaniedbana. Przyczyny zastoju tego szukać należy nie w braku zamiłowanych w przedmiocie tym pracowników, ale w téj okoliczności, że wszystkie niemal dostępne źródła zostały przez bibliografów wyzyskane i że najmozolniejsze poszukiwania nie były w stanie dostarczyć materyałów do rozszerzenia dotychczasowego zakresu wiadomości w tym przedmiocie. Największą część zdobyczy naukowych w téj dziedzinie zawdzięczamy dawniejszym pracownikom, jak Bandtkiemu, Bentkowskiemu, Lelewelowi, z późniejszych: Jocherowi, Maciejowskiemu i Estreicherowi, którzy materyał dostarczony przez współczesnych i późniejszych uzupełnili i naukowo opracowali. Od tego zaś czasu, a w szczególności od ogłoszenia pracy Estreichera: „Günther Zeiner i Świętopełk Fiol", która ostatecznie rozświeciła długoletnie bałamutne wiadomości o pierwszych drukarzach w Polsce, nauka nie wzbogaciła się prawie żadną nową zdobyczą. Z prawdziwém w obec tego zadowoleniem powitać należy pojawienie się wydawnictwa, które w odnośnéj dziedzinie jest zapowiedzią ciekawych i ze wszechmiar pożądanych przyczynków.

Dr. Artur Benis, jeden z młodszych badaczy, o którego zajmującéj pracy „Ochrona praw autorskich w dawnéj Polsce" zdawaliśmy niedawno na tém miejscu sprawę, odnalazł w archiwum sądowém po-

między staremi aktami dawnego sądu ławniczego krakowskiego z XVI-go wieku (wcielonemi obecnie za zezwoleniem rządu do archiwum akt dawnych miasta Krakowa). Księgi t. zw. „skabinalne“, zawierające protokóły, sporządzane przez sąd ławniczy krakowski przy rozmaitych czynnościach prawnych, a w szczególności przy przeprowadzaniu pertraktacyi spadkowych po zmarłych mieszczanach krakowskich. Między temi znalazły się foliały rękopiśmienne z inwentarzami księgarń krakowskich Macieja Scharffenberga i Floryana Unglera z lat 1547 i 1551. Inwentarze te, których doniosłość już na pierwszy rzut oka się nasuwa, ogłasza p. Benis w starannym odpisie, jako materyał źródłowy, którego naukowe opracowanie rozświecić może wiele niejasnych dotychczas poglądów, dodać niemało szczegółów do historyi umysłowości wieków ubiegłych, a przedewszystkiém uzupełnić zakres dotychczasowych wiadomości bibliograficznych o naszych drukach z XVI wieku.

Jak nagłówki inwentarzy wskazują, sporządzono oba te spisy na żądanie stron interesowanych, a mianowicie: pierwszy na żądanie Heleny, wdowy po Scharffenbergu, drugi na żądanie spadkobierców Heleny Unglerowéj. Obadwa spisy obejmują razem 1,351 pozycyi tytułów dzieł, z podaniem ilości egzemplarzy. W układzie spostrzedz się daje pewien system i pewne ugrupowanie dzieł według materyi, formatu i języka. Widocznem jest, iż księgarnie miały, podobnie jak dziś, osobny oddział dla t. zw. sortymentu, a osobny dla dzieł własnego nakładu, osobne oddziały dla książek oprawnych (*ligati*) i nieoprawnych (*non ligati*). Spisy te sporządzone ręką niezbyt udolnego pisarza miejskiego, prawdopodobnie pod dyktandem, jak to z nieskończonéj ilości błędów ortograficznych fonetycznéj natury, wnosić można, są w najwyższym stopniu niedokładne, przekręcają w niemożliwy sposób nazwiska autorów i tytuły dzieł, nie zawierają żadnych zgoła objaśnień i adnotacyi bibliograficznych, stąd téż odcyfrowanie i oznaczenie ścisłe tytułów dzieł niemałe przedstawia trudności, — mimo to uważać je należy za materyał pierwszorzędnéj naukowéj wartości, materyał, który odsłania dziedzinę zupełnie nową, dotychczas naukowo niewyzyskaną i nieocenioną.

Już pobieżny przegląd tych spisów i rozpatrzenie się w tytułach dzieł, jakie wówczas największą cieszyły się poczytnością i popularnością, daje miarę wielostronnéj naukowéj doniosłości tych inwentarzów. Po raz pierwszy odsłaniają się tu przed naszemi oczyma nieznane dotąd szczegóły o ówczesnym ruchu księgarskim i wydawniczym. Jeżeli słusznie zawsze uznawano konieczność konstatowania związku pomiędzy gospodarskiém tłem piśmiennictwa, t. j. ruchem

księgarskim i wydawniczym a literaturą, to nigdy może zasada owa nie znalazła wyraźniejszego potwierdzenia, jak w danym wypadku, gdy w owych księgarskich spisach mamy sposobność oglądać całą kuchnię umysłową naszego społeczeństwa z XVI-go wieku. Nie potrzeba już gubić się w domysłach, bo tytuł tego lub owego dzieła zagranicznego autora, spotkany w spisach, świadczy nietylko o tém, że autor ów znanym był i czytanym w Polsce, ale zarazem wyjaśnić może, czy i o ile wpływ myśli obcych odbić się mógł w dziełach naszych pisarzów. Zwłaszcza do oceniania ruchu reformacyjnego, jak nie mniéj do porównania naszéj umysłowości z zagraniczną w źródłach tych przybywa pomoc silna i pewna. Takie byłoby znaczenie spisów dla uzupełnienia dotychczasowych badań nad rozwojem pojęć i umysłowości naszéj, w dobie największego rozkwitu literatury złotego wieku.

Z innego jednak jeszcze względu zaznaczyć należy ważność tych źródeł. Wiadomo dobrze, jak skąpe i niedostateczne posiadamy dotąd wiadomości o naszéj bibliografii XVI-go wieku. W pismach autorów współczesnych naszych i obcych napotykamy wzmianki o książkach, których ślad zupełnie zaginął. Wprawdzie czas uchyla w swym biegu niejeden rąbek zakrytéj przeszłości i nie ma prawie roku, aby gdzieś nie natrafiono na ślad zaginionych rzadkich książek lub druków, mimo to wiele jeszcze nie dostaje do pełności bibliograficznego obrazu naszego ruchu piśmienniczego w XVI-ym wieku. Pod tym względem niespodziewaną, a nader znaczną pomoc znajdą badacze w owych spisach inwentarskich. Z niedokładnego bowiem brzmienia tytułu dzieła zamieszczonego w spisach, można w drodze porównawczego badania bez trudu oznaczyć książkę, a tém samém ustalić w wielu wątpliwych wypadkach wiadomości bibliograficzne.

Wydawca oddał spisy w możliwie dokładnych odpisach z zastosowaniem ortografii oryginałów. W licznych przypisach stara się wyjaśnić błędy, o ile wyjaśnić się dadzą, i uzupełnić tytuły niedokładnie podane, przy pomocy bibliografii. Udaje mu się to jednak tylko w części, a i tam, gdzie komentarz jego ma cechy prawdopodobieństwa, nie zawsze można uważać go za ostateczne rozstrzygnięcie wątpliwéj kwestyi.

Cały materyał uporządkował p. Benis cyfrowo, a mianowicie oznaczył tytuły książek liczbami w sposób, w jaki się oznacza wiersze poematów, co mu ułatwiło przy powtarzaniu się tytułów, powoływanie się na poprzednie przypisy. Znamiennym jest tu szczegółem, że w spisach owych liczebnie bardzo znacznie przeważa ilość książek ła-

cińskich i to książek z zagranicy sprowadzanych. Uderza tu czytelnika między innemi częste powtarzanie się tytułów licznych dzieł i rozpraw Erazma Rotterdamskiego, Melanchtona i Ulrycha Huttena, nie brak też najgłośniejszych dzieł współczesnych, po łacinie piszących cudzoziemców, dalej klasyków łacińskich i greckich, polskich kronikarzy, (jakieś nieznane „Chroniki polskie“ w spisie z r. 1547, zatém przed wydaniem Bielskiego) dzieł Reja, literatury religijnéj, oraz kuchennéj.

Z tego ostatniego np. działu wymienia inwentarz między polskiemi książkami „Kuchmisthrzowsthwo“, książkę, któréj ślad nawet zaginął, daléj rozliczne tytuły książek do nabożeństwa, jak „Sposób ziuotha chrześciańskiego“, „Tharcza duchowna“, „Zołtharze dwa Polskie“, „Rai dussni“, kilka książek p. t. „Hortulus“, „Kupiecz Polski“, „Joseph Polski viersami“, „Rozmowa s Turkiem“, „Tragedye zebracze“ i w. i.

Co do kilku ostatnich tytułów, to historyk literatury będzie tu miał ciekawy szczegół do zbadania, ażali np. „Kupiecz polski“ nie jest owym zaginionym „Kupcem polskim“ Mik. Reja, o którym wspomina Trzycieski [1]), albo „Rozmowa s Turkiem“, czy nie jest utworem Gieorgiewicza p. t. „Rozmowa z Turczynem o wierze chrześciańskiéj“. Co do „Tragedyi żebraczych“ to znany nam jest tylko 4-o kartkowy za- fragment zachowany w Bibliotece ks. Czartoryskich w Krakowie p. t. „Thragedya żebracza nowo uczyniona“ z r. 1552, zatém być może, iż wymienione tu „Tragedye“ są pierwszém téj książki wydaniem, gdyż spis nosi datę 1551 r.

Dział z którego przytoczyłem powyżéj kilka ciekawszych tytułów, a który nosi napis „*Libri polonici*“ jest niewątpliwie najcenniejszym i najpożądańszym ustępem inwentarzów księgarni Unglera. Dział ten zawiéra około 40 pozycyi, a niemal każda z wymienionych tu książek, figuruje w inwentarzu z pozycyą kilkuset egzemplarzy, co wskazuje, że były to po największéj części własne nakłady oficyny Unglerowskiéj. Jak widzimy z porównania spisów tych z bibliografią, mieści się tu niemal większa część dzieł takich, o których po raz pierwszy dopiéro z tych spisów otrzymujemy wiadomość, one też doczekać się winny jak najprędzéj naukowego oznaczenia.

Do uzupełniających badań nad bibliografią polską XVI stulecia, jak niemniéj do studyów nad historyę rozwoju umysłowości naszéj

[1]) Albo też jest to może utwór Jana Seklucyna p. t. „Kupiecz to jest kształt a podobieństwo sądu Bożego ostatecznego“ (Królewiec, 1546) o którym zob. „Ateneum“ 1888, I, 78 w artykule p Bronisława Chlebowskiego. (Przyp. Red).

w wymienionéj epoce przysporzył p. Benis piśmiennictwu źródło ważne, godne pod każdym względem uwagi i bliższego rozpatrzenia. Jestto wprawdzie materyał surowy, wymagający długich, bardzo mozolnych badań i poszukiwań, niemniéj jednak wdzięczny i zasługujący na jak najrychlejsze opracowanie. Życzyćby należało, aby nauka jak najprędzéj odnieść mogła pozytywne korzyści z tego sumiennie przygotowanego materyału, do którego kontynuowania zbytecznem chyba byłoby zachęcać zamiłowanego w swym przedmiocie pracownika.

Wł. Prokesch.

Dr. Breitenbach. Das Land Lebus unter den Piasten. Fürstenwalde Spree. 1890. 8-o, str. 132, 2 k. nlb.

Historya ziemi lubuskiéj, będącéj najdaléj wysuniętym krajem na zachód w epoce historycznéj panowania Piastów, nie ma prócz dzieła Wohlbrücka (*Gesch. des ehemal. Bistums u. Landes Lebus*, 3 t. 1829—1833) nowszego gruntownego przedstawienia. P. Breitenbach chciał widocznie temu zaradzić, ale pracę jego, można tylko uważać za uzupełnienie w pewnych miejscach w tym okresie czasu dzieła Wohlbrücka, bo autor oparł się na tém dziele, uzupełniając go głównie regestami szląsk. Grünhagena na tle stosunków politycznych, zaczerpniętych z dzieła Roeppla i Cara: „*Geschichte Polens*“.

Prace historyograficzne polskie w tym kierunku są mu zupełnie nieznane, a jeżeli się zważy, że opracowania te są gruntowniejsze, wprawdzie luźnie porozrzucane, to musimy uznać, że książka p. Br. nie spełniła dostatecznie zadania, jakie jéj było zakreślone, zwłaszcza, że i tego materyału, którym autor rozporządzał, nie wyzyskał należycie.

W pierwszym rozdziale, obejmującym historyę ziemi lubuskiéj aż do śmierci Bolesława III (podział dobry), autor traktuje początkowe dzieje pobieżnie i hipotetycznie. Polemizować z nim w tym względzie nie opłaciłoby się, bo według niego „*die Feste Lebus im Jahre 1109 zum ersten Male in der Geschichte erwähnt wird*“ (str. 8, 16, 17). Gdzież więc wszelkie wiadomości jedynego do początkowych dziejów Lubusza źródła—kroniki Thietmara, którą zna przecież p. Br. (w wydaniu Mon. Pol. I). Zamiast przypuszczać, że musiały tu trwać walki nadgraniczne za czasów Mieszka I i Bolesława Chrobr., należało skreślić je według Thietmara. Dopiéro od czasów Bolesława III zajmuje się autor szczegółowiéj, jemu przypisuje najprawdopodobniéj założenie biskupstwa lubuskiego, opiérając się na bulli Innocentego II z r. 1133 (C. maior. Pol. I. 6). Tego samego zdania z podaniem r.

1125, jest Dr. Wł. Abraham (Organiz. kośc. w Polsce do poł. XII w.). Kwestya ta nie da się stanowczo rostrzygnąć przy dotychczasowym zasobie źródeł, a podała w naszéj literaturze histor. sposobność do odmiennych przypuszczeń (Małecki, Kętrzyński), w specyalnéj nadto rozprawie: „O założeniu biskupstwa lubuskiego“ („Bibl. Warsz.“, 1883. t. II. str. 168—189) Maroński przyjmuje r. 1075, jako czas założenia tegoż biskupstwa przez legatów Grzegorza VII. W każdym razie biskupstwo to istniało już przed r. 1133 (por. Böttger. *Diöcesan u. Gaugrenzen Norddeutschlands.* Halle. 1876. t. IV. str. 67, nota 150 i str. 256).

Ważną także kwestyę zabiegów i pretensyi biskupów lubus. do biskupstwa halickiego, podniesionych w połowie XIII w. jako nieuzasadnioną (str. 19), pomija z góry p. Br., nic dziwnego, bo nie znał dokumentów do téj sprawy w Theinerze Mon. Pol. I, a także gruntownéj pracy dra Reifenkugla, w któréj kwestya ta, zdaje się, już jest rozjaśnioną: *Die Gründung der röm. kat. Bisthümer in den Teritorien Halicz u. Wladimir* (*Arhiv. f. oester. Gesch.* t. 52. 2. 1875). Por. także Stadnicki: O początkach arcyb. na Rusi. Lwów. 1882. Podobnie i stosunek biskupów lubuskich do ich metropolii w Gnieźnie, jak niemniéj ich działalność w sprawach kościelnych, jeżeli nie zupełnie pomija, to tylko lekko zaznacza, chociaż pierwszym biskupom lubus. poświęca nawet osobne rozdziały. Tak np. bardzo mało słyszymy o udziale biskupa Wawrzyńca (str. 67), w sprawach kościelnych polskich a przecież on najwięcéj dołożył starań o powiększenie dóbr i znaczenia biskupstwa lubuskiego. Historya bowiem ziemi lubuskiéj w tym czasie, to raczéj historya biskupstwa. Granice dyecezyi lubuskiéj schodziły się przeważnie z granicami politycznemi. Te oznaczył autor szczegółowo i trafnie, str. 13 i nstp.), chociaż znowu nie słyszymy nic późniéj o sporach granicznych między biskupami lubus. a kamińskimi (Klempin. *Pommersch. Urkundbuch* II). Przy oznaczeniu następstwa pierwszych biskupów lubuskich (str. 21), można raczéj przyjąć, że biskup Arnold nastąpił po Cypryanie w pierwszych miesiącach r. 1201, nie zaś Wawrzyniec, a to dla tego, że dokument Mieszka Starego (Mon. Pol. I. str. 359), z mylną datą 1103 r., w którym Arnold jest wymieniony, odnieść należy na początek r. 1202 (Smolka, Mieszko Stary, str. 328 i 543, not. 15), a nie na czas przed r. 1193, jak to p. Br. przyjmuje. Wawrzyniec dopiéro występuje w r. 1209 (*Grünhagen schl. Reg.* Nr. 129) a i Gams (*Series episcop.*) podaje, że w tymże roku objął on dopiéro stolicę biskupią; tak więc Arnold byłby biskupem lubuskim od r. 1201—1209.

Historya ziemi lubuskiéj za czasów Henryka Brodatego, kiedy

ten był jéj panem, w głównych, ale dosadnych rysach przedstawiona jest w pracy prof. Smolki (Henryk Brodaty, Lwów, 1872), w rozprawie zaś p. Breitenbacha, wyłącznie poświęconéj téj ziemi, zaledwie w sposób zbliżający się do pierwszéj jest skreślona. Za to lepiéj i szczegółowiéj omówione są za Henryka II zabiegi Askańczyków, a głównie arcypiskupstwa magdeburskiego, jak niemniéj i koleje za Bolesława Łysego, aż do układu z r. 1249 (*C. Maior. Pol.* IV. Nr. 2055), w którym Bolesław odstępuje połowę Lubusza temuż arcybiskupstwu. Tu także autor nie zadał sobie pracy wyzyskać należycie ten układ, omawia wprawdzie podział i kreśli w dokumencie powyższym zaznaczone granice ziemi lubuskiéj, ale pomija zastrzeżenia co do prawnego wejścia w posiadanie i użytkowania téj części ziemi lubuskiéj, co przecież było rzeczą ważną i samą przez się nasuwającą się.

Starania arcybiskupstwa magdeburskiego o przyłączenie pod swoją jurysdykcyę biskupstwa lubus. były dawne i jednym z głównych celów — ale bezskuteczne, bo oprócz chwilowéj zależności (4 czerwca 1133— 7 lipca 1136. C. Mai. Pol. I. Nr. 6, 7), biskupstwo lubuskie należało do archidyecezyi gnieźn. W układzie z r. 1249, jest to również zapewnione (a poświadczają to późniejsze dzieje) w słowach: *Dominus eciam episvopus, prepositus et clerus omnis in castro libertatem omnimodam retinebunt, quam hactenus habuerunt*". Tymczasem według p. Breitenb (str. 111) stosunek nastał taki: „*Erzbischof Wilbrand hatte ja in dem Vertrag vom 20 April 1249, die Oberlehnsherrlichkeit über den Patronat vom Bistum und Propstei erworben*", patronat nad biskupstwem zastrzeżony był bowiem Henrykowi.

Na pozyskaniu jednéj części ziemi lubuskiéj przez arcyb. magdeburskiego, a niedługo potém drugiéj przez Brandeburgią kończy się właściwie praca p. Breitenbacha. Podnieśliśmy kilka ważniejszych usterek, mniejsze trzeba było pominąć, bo i tak praca ta nowych szczegółów nie wiele dla nas przynosi, jak nie ma również pretensyi do ściślejszéj gruntowności. Na jedyną ważniejszą wzmiankę zasługują miejsca, w których p. Br. mówi o żywiole niemieckim, grożącym ustawicznie zalewem téj słowiańskiéj ziemi, a szczególniéj o kolonizacyi niemieckiéj tejże ziemi za czasów Piastów szląskich, przedstawionéj w dłuższym ustępie, w którym uzupełnia Wohlbrücka wiadomościami, jakie znalazł w kodeksie wielkopol. i obficiéj w regestach szląskich. Ziemia lubuska przez długi czas opiérała się temu żywiołowi a nawet przeszedłszy z łaski Bolesława Łysego w posiadanie arcybiskupstwa magdeb. i brandeb., długie jeszcze czasy pod względem hierarchii kościelnéj zależała od arcybiskupstwa gnieźnieńskiego (*Deutsche Reichstagsakten* t. IX, akta z 21 lipca 1428, str. 237, not. 1,

16 paźdz. 1428, Nr. 195 i z 4 marca 1429, Nr. 209). Czy przejście to w ręce niemieckie w czasie: *„als der polnische Adel und Klerus Schlesiens begann der deutschen Einwanderung Hindernisse in den Weg zu legen“*, było dla niéj „s z c z ę ś c i e m?“—to jest zdanie p. Breitenbacha, wzięte zapewne z dzisiejszego niemieckiego punktu widzenia, a zdań tego rodzaju jeszcze kilka w pracy jego spotkać można.

Adam Chmiel.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— **Studya bibliograficzne nad literaturą litewską. II.** Bibliografia litewska od 1547 do 1701 r. przedstawił Maurycy Stankiewicz. Kraków. 1889. str. 74. Literatura nasza nader skąpo zajmowała się dotąd piśmiennictwem litewskiém, stąd téż z szczerem zadowoleniem powitać należy każdą pracę, która rozjaśnia horyzont dotychczasowych naszych na piśmiennictwo to poglądów. Przyczynkiem do przyszłych prac w téj dziedzinie są nader sumienne „Studya bibliograficzne nad literaturą litewską“ p. M. Stankiewicza. O pierwszym zeszycie tego wydawnictwa, zawierającym wiadomość o biblii litewskiéj z r. 1663 zdawało w swoim czasie „Ateneum“ sprawę, obecnie przeto zanotować wypada pojawienie się drugiéj z kolei, niemniéj cennéj pracy tego autora, która stanowi dalszy zeszyt wydawnictwa „Studyów“, a któréj przedmiotem jest bibliografia litewska od r. 1547 do 1701. Wobec obojętności, z jaką dotąd traktowano literaturę litewską, wobec zupełnego braku źródeł a przedewszystkiém dzieł i druków litewskich w naszych bibliotekach, przedsięwzięcie p. St. napotykało na niemałe przeszkody, mimo to zdołał on dopełnić tegoż z sumiennością godną uznania. Znajdujemy tu wyliczonych ogółem 59 druków, z których przypada na Litwę pruską 24, na polską zaś 35. Spisu dokonał autor w porządku chronologicznym, nie poprzestając na podaniu samego tytułu, lecz dołączając także opis książki, krótką wiadomość o autorze, tłómaczu lub wydawcy, treść książki a czasami także krótkie wyjątki z tekstu celem pokazania właściwości języka. Na wstępie podał autor „Przegląd źródeł ważniejszych do dziejów literatury litewskiéj, z którego okazuje się, że niemieccy uczeni Ostermayer, Benzenberger i Schleicher najwięcéj i najważniejszych dostarczyli dotąd prac i przyczynków do badań nad historyą języka i literatury litewskiéj, i że w tym przedmiocie do bardzo poważnych naukowych doszli wyników W Heildelbergu istnieje nawet osobne stowarzyszenie badaczy litewszczyzny, które owoce ścisłych swych badań składa w peryodycznem

wydawnictwie „*Mittheilungen der littanischen litter. Gesellschaft*“. Że jednak i p. Stankiewicza badania przyniosły świetny rezultat naukowy, dowodem ze wszech miar ciekawy szczegół, który autor w przedmowie przytacza mianowicie, że opisywana przezeń w I-ym zeszycie „Studyów bibliograficznych“ Biblia londyńska z r. 1663, najrzadszy druk litewski, uważana w świecie naukowym za zaginioną, po wskazówkach podanych przez p. St., odnalezioną została w Petersburgu.

W. P.

— **Księgi, statuta i protokóły zgromadzeń nacyi polskiéj w Padwie** wydał St. Windakiewicz. Kraków. 1890. str. 78, 14, 58 (Odb. z archiwum do dziejów liter. i ośw. Nakładem Akademii umiejętności). Wyprawa naukowa do Włoch odbyta w r. 1887 i następnych przez studentów uniwersytetu krakowskiego pod przewodnictwem prof. St. Smolki, przyniosła w plonie obok obfitego materyału do badań ściśle historycznych, także nie mało cennych źródeł do historyi literatury i cywilizacyi. Wśród poszukiwań w archiwach za rzeczami historycznemi, młodzi pracownicy napotkali nadspodziewanie wiele materyałów do historyi stosunków naszych z Włochami. Archiwa watykańskie, biblioteki rzymskie, zarówno publiczne jak prywatne, dostarczyły przeważnie źródeł historycznych, natomiast prawdziwą kopalnią nieznanych a ważnych dla nas szczegołów odnoszących się do pobytu rodaków naszych na uniwersytetach w Padwie i Bolonii były archiwa i biblioteki obu tych uniwersytetów. Czyniąc tu poszukiwania, p. Windakiewicz odnalazł w gmachu uniwersyteckim w Padwie w t. z. archiwum dawnych aktów uniwersyteckich kilka ksiąg, dotyczących wyłącznie spraw nacyi polskiéj w Padwie, t. j. stowarzyszenia Polaków, którzy w uniwersytecie padewskim nauki pobierali. Księgi nacyi polskiéj są to dwa, jak autor opisuje, kodeksa papierowe *in folio* z XVII wieku, pięknie oprawne. Pierwszy z nich obejmuje okres od r. 1592 do 1649, drugi od 1649 do 1749. Foliały te przeznaczone do zapisywania członków nacyi polskiéj, przybywających do Padwy na studya, jak niemniéj Polaków przez Padwę przejeżdżających, kryją w sobie historyę 153 lat istnienia nacyi przy tamtejszym uniwersytecie. Znajdujemy tu w chronologicznym porządku spis nazwisk Polaków z wyszczególnieniem każdorocznego konsyliariusa, czyli przełożonego nacyi, powoływanego na tę godność drogą wyboru. Obok regestru tego wydanego *in extenso*, podaje p. W. także odpis statutu nacyi polskiéj, oraz najważniejsze akta do historyi jéj się odnoszące, jakie w księgach rzeczonych się znalazły. Księgę praw nacyi polskiéj odnalazł p. Windakiewicz w saméj bibliotece uniwersyteckiéj

w Padwie. Jestto mały ćwiartkowy rękopism, oprawiony w safian, zapisany nader starannėm i urozmaiconėm pismem kaligraficznėm. Genezę tėj książki i jėj historyę znajdujemy opisaną szczegółowo na innėm miejscu w aktach nacyi. Książeczka zawiera akt założenia nacyi, 12 paragrafów statutu (ogłoszonego przez p. W. już poprzednio przy „Księgach“), oraz prawa z lat 1609—1704. Te ostatnie spisane, jak wszystko zresztą, w języku łacińskim, podaje wydawca w pełnėm brzmieniu i chronologicznym porządku. Protokóły zgromadzeń nacyi, o których powszechnie do ostatniėj chwili mniemano, iż zaginęły, odnalazł p. Wind. podczas drugiego swego pobytu we Włoszech w r. 1888-ym również w bibliotece uniwersyteckiėj w Padwie. Mieściły się one pomiędzy księgami nacyi niemieckiėj, nie różniąc się od nich zupełnie formatem, ani oprawą, stąd téż nikomu nie przyszło na myśl tam ich poszukiwać. Księga nosi tytuł: „*Acta inclytae ac illmae Naton. Polonae an Dni 1592*“ i obejmuje protokóły z obrad nacyi polskiėj w Padwie. Od r. 1592 do 1733, t. j. przez 141 lat, w ciągu których zgromadzenia nacyi się odbywały, zapisano w tėj księdze 123 protokóły. Liczba ta nie jest kompletną, biorąc bowiem do pomocy metryki, wykazać się da, jak utrzymuje autor, że powinniśmy ich posiadać przynajmniėj 213. Wina to niewątpliwie niedbałych asesorów, którzy mieli obowiązek protokóły owe spisywać, a obowiązku tego nie zawsze dopełniali. P. Windakiewicz podaje tylko streszczenie tych protokółów w języku polskim, dalėj przytacza w całości wybrane ważniejsze akta zgromadzeń, przywileje udzielone przez nacyę różnym osobom, interesami z nią związanym, wreszcie wykaz pism i dokumentów zaciągniętych do protokółów. Trzy omówione wydawnictwa są pierwszorzędnėj wartości źródłem do badań nad stosunkami, jakie łączyły kraj nasz z Włochami, jak niemniėj do historyi nacyi polskiėj w Padwie. Już przy pobieżnėm przeglądaniu tych źródeł uderza czytelnika mnogość niezmiernie ciekawych i ważnych szczegółów. W objaśnieniach wydawcy, zamieszczonych na wstępie tych dokumentów, znajdujemy najogólniejszy tylko obraz tego, co ze względu na doniosłość przedmiotu zasługuje ze wszechmiar na obszerne i wyczerpujące studyum. Nie należy wątpić, że na pracę tego rodzaju nie będziemy długo czekać, i że przy pomocy tych obecnie wydanych i innych jeszcze niebawem ogłosić się mających źródeł, historya nacyi polskiėj, która, jak się okazuje, była w Padwie potężnėm i dobrze zorganizowanėm stowarzyszeniem, doczeka się naukowėj monografii. Zasługa położenia podstaw pod ten budynek pozostanie wyłączną p. Windakiewicza własnością. *Wł. Prokesch.*

— *S. S. Tatiszczew*, „**Z przeszłości dyplomacyi ruskiéj**”, (Petersburg, 1890). Zbiór niniejszy poświęcony jest pamięci M. N. Katkowa, którego uczniem i współpracownikiem mianuje się autor w przedmowie. Gdzieindziéj znów mianuje się p. T. byłym dyplomatą. Z takich dwóch precedensów wyłoniła się teza zasadnicza autora, niepozbawiona aktualności pewnéj, że „odkąd wydział dyplomatyczny przeszedł w ręce cudzoziemców... inowierców“, państwo narażone zostało na „ciężkie próby“ (VIII—X). W głównéni dziele autora, obszernym—nawskroś kompilacyjnym—rysie „Polityki zagranicznéj ces. Mikołaja I-go“ (Pet., 1887) ofiarą téj tezy padł „mały Nesselrode“, jak lubi nazywać p. T. długoletniego kanclerza i ministra spr. zagr., na którego barki zwala odpowiedzialność całkowitą za wyniki kampanii krymskiéj. W rozpatrywanym zbiorze „Studyów“, gdzie *pièce de résistance* stanowi rzecz o „Ks. Adamie Czartoryskim“ (155—342), téjże tezie—z mniejszym już znacznie zachodem — poświęcony zostaje ks. Adam, winowajca, jak się okazuje, zarówno Austerlitzu i Borodina. „Studyum“ to znane jest czytelnikom polskim z wyciągów szczegółowych w „Kraju“ (ostatnie N-ra r. 1888, N-ra 2—7 r. 1889). P. T. korzystał wyłącznie prawie z t. I „*Mémoires*“ (Par., 1887), nie uwzględniając już nawet „Korespondencyi“ (wydanéj po raz pierwszy 1865 r., a nie 1876 r. jak dwukrotnie podaje p. T., str. 158). Daléj czerpał obficie z urzędowéj, cennéj lecz przestarzałéj „Historyi ces. Aleksandra I-go“ gen. Bogdanowicza, oraz nazbyt już jednostronnie i powierzchownie z „Archiwum ks. Woroncowa.“ Tak np. ogłoszoną tamże korespondencyę ks. A. z hr. Szymonem Woroncowem (1880) całkiem pomija, skwapliwie natomiast doszukując się zgryźliwych wycieczek z listów do tegoż hr. W. dyplomatów w rodzaju hr. Rostopczyna lub Morkowa. P. T. oczywiście utrzymuje w pełni legendę walenrodyczną, gromiąc po katońsku „obłudnego przyjaciela, wiarołomnego sługę“ (332), który „bezczelnie“ (334) przyjął portfel ministeryalny. Wyprawienie książąt do Petersburga przypisane wyłącznie rodzicom (164), choć z powoływanego przez siebie często t. XVI „Zbioru Ces. Rus. Tow. Hist.“ dobrze wiedział p. T. o udziale Repnina. Tamże (162) powtórzona bajka niedorzeczna o przyrzeczeniu naczelnikowi ręki ks. Maryi Wirtemberskiéj—podówczas jeszcze zamężnéj przecie. Gdy młodzi książęta, oczywiście nie bez wiedzy i milczącego zezwolenia cesarzowéj, upoważnili rodziców starych do zarządu, gdy nie chcieli sióstr ukrzywdzić, postępek równiez sympatyczny, jak legalny, wywołuje wybuch oburzenia ze strony p. T., który takie karygodne obejście prawa radzi mieć na uwadze aż — przy stosowaniu Ukazu z d. 14 marca 1887 r.! (183). — Cechą pism p. T. w ogóle jest równa surowości nie-

konsekwencya i mglistość sądów o ludziach i rzeczach, nazbyt wyraźnie powiązana z brakiem ścisłych i jasnych wiadomości o owych rzeczach i ludziach. Jeżeli ze „studyami“ p. T. zestawimy dla przykładu odnośną pracę istotnego uczonego (z któremi poglądami zresztą zgodzić się często niepodobna), prof. Traczewskiego, poświęconą pamięci historyka Sołowiewa, „Stosunki dyplomatyczne Rosyi z Francyą w epoce Napoleona”, Pet., 1890) odrazu rzuca się w oczy mglistość owa poglądów i pretensyi p. T-a. Tak np. kiedy prof. Traczewskij, będąc zwolennikiem zbliżenia się ku Francyi, konsekwentnie potępia wpływ angielski za panowania Aleksandra I-go i politykę francuzożerczą Woroncowów i hr. Morkowa, p. T., błąkając się na oślep, wynosi Woroncowów za anglomanię, którą gani u ks. A. i w téj saméj chwili karci go z goryczą za brak sympatyi dla sprawy maltańskiéj! (217). P. T. wyrzuca ks. A. niechęć dla Morkowa i przypisuje ją temu, że M. zatrzymał część jego dóbr podolskich—niechajby raczéj miasto téj insynuacyi wskazał p. T., z kim umiał w zgodzie żyć M., którego zarozumiałość i nieporadność z równą surowością osądziła cesarzowa Katarzyna, Paweł I-szy, Aleksander I-szy, osobiści przyjaciele i dzisiejsi historycy ruscy. Niemniéj wyjątkową jest predylekcya p. T. dla męża stanu tego gatunku, co hr. Rostopczyn (218, 232, 308). Wreszcie *curiosum* istotnie stanowi oskarżenie, wyniesione przez autora przeciw ks. A. w osobném „studyum“ („*Ruskaja diplomatia*“, 17), że on to pierwszy wprowadził język francuski do wydziału dyplomatycznego, przez co „zadał Cz. naszéj polityce zagranicznéj cios dotkliwszy od jednoczesnéj przegranéj pod Austerlitz.“ Niepodobna przypuścić, aby p. T. nie wiedział, że za Katarzyny II-éj korespondencyi z Kayserling'iem, niekiedy z Repninem, za Pawła z Kołyczewem, Sprengtporten'em i in., w pierwszym roku panowania Aleksandra I-go choćby z Morkowem, prowadzoną była po francusku. Podobnież skargi ustawiczne na ks. A., jako pioniera rzeszy cudzoziemców w dyplomacyi ruskiéj (17, 341, 342), pomijając już dziwaczność zasadniczą skierowania zarzutu, dziwnie brzmią w ustach „dyplomaty“, który przecie o Bironach, Münichach, Ostermanach musiał zasłyszéć. *Szymon Askenazy.*

— W ostatnim numerze „Świata“ z roku zeszłego znajdujemy krótki, ale ładnie napisany artykuł p. Karola J. Nitmana o pismach i działalności **Ksawerego Liskego**, profesora historyi w uniwersytecie lwowskim, złożonego od lat kilku ciężką niemocą, a mimo to nie przestającego pracować z wielkim pożytkiem dla słuchaczów swoich i dla wiedzy dziejowéj w ogóle. Jako autor, jako profesor i kierownik se-

minaryum historycznego, jako wydawca cennych dokumentów z archiwum bernardyńskiego i jako redaktor „Kwartalnika historycznego“ przedstawia się nam Liske w tym zwięzłym zarysie jasno, dobitnie i nadzwyczaj sympatycznie. Szczęśliwym nazwać się może człowiek, który, lubo cierpieniami znękany, widzi w koło siebie zebrane grono młodszych pracowników z czcią i miłością zwracające się ku swemu mistrzowi, zasięgające jego rady w pracy, wymagającéj sumienności, wytrwałości i gorliwości, — który widzi owocność swoich starań i zachodów w bujnym rozroście badań monograficznych na polu dziejopisarstwa krajowego. P. Nitman uwydatnił ze szczególnym naciskiem, widocznie sam jako uczeń Liskego, nadzwyczajną staranność, a zarazem umiejętne kierownictwo w seminaryum historyczném, gdzie potrzeba poznać stopień i rodzaj uzdolnienia wychowańca, ażeby pracę jego należycie spożytkować. Niewątpliwie, same dzieła wydane przez profesora, mianowicie dotyczące wieku XVI-go, oraz wydawnictwa zapewnićby mu zdołały pamięć w dziejach piśmiennictwa naszego, ale wytworzenie w koło siebie zastępu młodych pracowników, przejęcie ich zasadami zdrowéj, rozumnéj krytyki, przy całkowitém oddaniu się przedmiotowi, pamięć tę w sercach pokoleń utrwali najdzielniéj i miłość ku przewodnikowi wdal przeniesie.

— *Marya Rodziewiczówna*, **Obrazki** (Warsz., T. Paprocki, 1891, str. 218). Elegancko wydany ten tomik prac poczytnéj autorki zawiera jeden większy szkic powieściowy p. t. „Złota dola“, oraz pięć drobnych zarysów, mających znamiona, albo rozszerzonéj anegdoty („W noc grudniową“, „Znachor“), albo też zbioru refleksyi („Na wigilię“, „Myśl“) i nauczki moralnéj, obrazowo przedstawionéj („Południca“). W „Złotéj doli“ przedstawiła p. R. ulubiony sobie charakter gwałtowny, energiczny, niespokojny i niesforny, który dla miłości matki stara się przytłumić w sobie ogień wewnętrzny, pragnienie doświadczenia nadzwyczajnych przygód i zdobycia sobie wymarzonéj złotéj doli. Z nadzwyczajnym wysiłkiem woli zdołał Paweł wytrwać w pracy regularnéj a ciężkiéj, jako pomocnik rybaka; byłby się nawet może ułożył do warunków życia powszedniego, gdyby nie zawód doświadczony w miłości dla pięknéj, ale płochéj, lekkomyślnéj dziewczyny. Skończył poświęceniem swego zdrowia i życia podczas pożaru i miał zadowolenie, iż spełnił czyn szlachetny, ale przywiązania do życia już nie miał, i „dogorywał tak długie dni i noce, osłabły, bez nadziei poprawy, bez chęci do czegokolwiek, codzień bardziéj wychudły, zczerniały, wyniszczony; codzień śmierć zdobywała na własność część téj natury, tak silnéj i nieugiętéj, i znieczulała ją swém dotknięciem;

codzień bliżéj było wyzwolenie i cisza“ (str. 133, 4). Trzeba przyznać, że charakter ten, lubo szkicowo tylko, lecz konsekwentnie, śmiało, wydatnemi rysami nakreśliła i przeprowadziła autorka, umiejąc dla niego obudzić sympatyę czytelnika, chociaż nie ukrywała bynajmniéj jego słabości i błędów. Ta jedynie okoliczność, że to nie pierwsze odbicie typu, przez autorkę przed innemi ukochanego, osłabia jego znaczenie, gdy się je rozpatruje w związku z całą uprzednią działalnością p. R. W interesie rozwoju jéj talentu byłoby potrzebném koniecznie rozszerzenie sfery obserwacyjnéj i wydobywanie na jaw różnorodniejszych okazów natury ludzkiéj.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Kim jest Anusia.—Wyprawa jéj do Brazylii. — Skąd do tego przyszło. — Dola parobcza.—Emigranci z „rozkoszy". — Wychodźtwo parami. — Bezpłatna podróż.— Rada spowiednika i co ją przeważyło. — Dwie mile i ocean. — Istotna przyczyna emigracyi Anusi. — Zawrócona fala.—W Warszawie.— Prośba do czytelników.— Tuż pod Warszawą.—Pośrednie skutki emigracyi.—Prasa jako zmysł społeczny.— Stolice i prowincye. — Co warte korespondencye z osad i miasteczek. — Nowa kolej.—Sklepy „chrześciańskie".—Agentura handlowa dla prowincyi.— Bazar spożywczy wiejski dla Warszawy.— Pokrowiec antysemicki. — Mur chiński i stronnictwa wyznaniowe w handlu.—Niezdarność kupiecka.—Tendencya bar. Hirscha.— Szczęście Muzeum i smutny los bazaru rzemieślniczego. — Niedelikatność za ofiarę. — Opieka hygieniczna nad życiem warszawiaków. — Świadome i codzienne trucie się z konieczności.— „Fizyka bez przyrządów". — „Biblioteka warszawska". — „Tygodnik powszechny".

Przed kilku laty miałem służącą Anusię, która wychowywała się niemal u ciotki mojéj. Ciotka ją bardzo lubiła, i ona też za „panienką" w ogieńby poszła.

Po wyjeździe moim z Warszawy, Anusia wróciła do rodziców swoich i niebawem wyszła zamąż za parobka z bliskiego folwarku. Straciłem ją z oczu.

Parę miesięcy temu spotykam ją tu na ulicy. Wynędzniała, widocznie zbiedzona, chwieje się na nogach. Rzuciła się do ręki mojéj, jakby za ratunek chwytała.

— Co tu robisz?

— Szukamy jakiego zarobku.

— Dla czegoście służbę porzucili?

— Jechalim do Brużyli.

Dowiaduje się, iż mają małe kilkomiesięczne dziecko.

Wezwałem ją do siebie do domu i jąłem rozpytywać o szczegóły wyprawy. Opowiadanie Anusi zawiéra kilka ustępów interesu-

jących i nie bez pewnego znaczenia, wobec doniosłości gorączki emigracyjnéj, dla tego uważam za właściwe powtórzyć je tutaj.

Ponieważ Anusię znam dobrze oddawna i ponieważ posiadam, zdaje się całkowite jéj zaufanie, nie sądzę więc, aby była ze mną nie szczerą, zataiła coś, lub przekręciła.

Przedewszystkiém naturalnie chodziło mi o przyczynę gorączki. Nie wié ona, kto pierwszy opowiadać zaczął o szczęściu zamorskiém. „Ludzie gadają“, że tam dobrze, że papież się wystarał, że rząd pozwolił. Nikt ich nie podmawiał, nikt obcy do wsi nie przychodził. Przeczy stanowczo, ażeby żydzi w jakiś sposób podbudzali.

Przez szczegółowe wybadywanie o bezpośrednie przyczyny powzięcia zamiaru dochodzę do wniosku, że biéda nie była tu obcą. Z pensyi i ordynaryi parobczéj wyżyć nie mogli. Początkowo mąż jéj służył u p. M. w gub. łomżyńskiéj. Tam było lepiéj, nawet dobrze. Ale się przenieśli do p. C. do gubernii grodzieńskiéj (powiat białostocki, kąt między Narwią i Biebrzą). Złą tę zamianę zrobili, bo mąż jéj chciał wrócić w strony rodzinne; przytém ojciec jego służył w tym majątku lat 20. Ale stary p. C. umarł, a młody „już nie jest taki dobry dla ludzi“.

Pensya i tu i tam jednakowa — 20 rs. rocznie. I tu i tam dają morgę gruntu pod kartofle, zagon pod len i pół zagonu pod warzywo. W ordynaryi, na korce též niewielka różnica: tam było 10 korcy, tu—9 (żyto, groch, jęczmień), ale p. M. dawał uczciwą miarę, korzec ważył półtrzecia puda; korzec p. C. waży ledwie dwa.

Gdzie kobiéta może chodzić na zarobki, tam koniec do końca da się dociągnąć, ale Anusia do robót polnych za delikatna i chorowita.

— A od p. M.—pytam—poszedł kto z parobków do Brazylii?

— Wszyscy, i od p. D., co jeszcze lepiéj mieli.

— Więc nie wszyscy przed biédą uciekali?

— E—twierdzi Anusia — inni to z rozkoszy popochodzili. Co nic im nie brakło i pieniądze mieli, a jak ludzie zaczęli iść, to poszli.

Jedném słowem zupełnie cechy epidemii. Początku jéj wyśledzić niepodobna i dróg zbadać niesposób.

Podobno wielu chłopców młodych umawia się z dziewczętami, że wyjadą razem i ślub wezmą... w Krakowie. Prawie wszystkie takie pary wróciły... bez ślubu, budząc we wsi zgorszenie.

Już po opowiadaniu Anusi, poznałem dwudziestoletnią całkiem zamożną dziewczynę z tych samych stron, którą matka wyprawiła ze znajomą do Warszawy na służbę, aby nie dopuścić do wędrówki z kawalerem. Dodać należy, iż rodzice nic nie mieli ani przeciwko związkowi, ani przeciwko wyjazdowi, za warunek tylko

stawiali ślub uprzedni we własnéj parafii. Młodzi uparli się przy Krakowie.

Pytam daléj Anusi o środki na podróż. Sprzedali wszystko, co mieli, sprzęty, zapasy, kury, wieprzaka. Gotówka wyniosła okrągło rs. czterdzieści.

— I wyście myśleli za te pieniądze z dzieckiem zajechać do Brazylii?

— Ludzie gadali, że od Łap [1]) darmo powiozą.

Pragnę się dowiedzieć, jak ona sobie wyobrażała, czy to w Łapach czekał już ktoś i odnajduje takich, co do Brazylii jadą, czy téż trzeba samym do kogoś się zgłosić? Kto i dla czego miał uznać, że ich do Warszawy należy zawieść darmo.

Powiada, iż wcale sobie nie wyobrażała nic.

Na uwagę moją, że na niepewne narażała siebie i dziecko, że ludzkim gadaniom wierzyć nie można, a ona przecie już kawał świata widziała i męża powinna była przestrzedz — jest widocznie zażenowana. Zdaje mi się, iż się wykręca, kiedy mówi:

— Ja téż nie wierzyła, że my do Brazylii dojedziem. Tak myślała, w Warszawie ostaniem.

— No a kto bardziéj chce wyjeżdżać kobiéty, czy mężczyźni?

— O kobiéty — opowiadą od razu, ale się zamyśla i dodaje po chwili:—Choć różnie, zdarza się, że i mężczyźni.

Anusia była bardzo pobożna. Pytam więc, czy przed takiém ważném przedsięwzięciem nie poszła do spowiedzi, nie radziła się księdza jakiego?

— Mąż był u spowiedzi. Ksiądz bardzo go skrzyczał. Gada, żeby papież co postanowił, to myby wiedzieli. Mąż wrócił i tak mówi: „Musi my nie pojedziem, ksiądz się bardzo gniéwał". Ale przyjechał szwagier męża, téż parobek od p. M., tylko, że on ma i swoje pole, co w dzierżawę oddawał. Już on to pole sprzedał i mielim razem jechać. Tak szwagier mówi: „księdza panowie przekupili, jedziem".

— Na cóżby panowie mieli przekupywać?

— Bo jakby wszyscy ludzie poszli, toby służby nie było.

Jednocześnie jednak opowiada, że p. C. sam namawiał swojego tracza do emigracyi.

— Ja się tobie dziwię — powtórzyła Anusia niby słowa p. C. — żonaci i dzietni wychodzą, a ty sam jeden i tu siedzisz.

— No, a czemuś ty — pytam daléj — nie pojechała poradzić się i rozpytać „panienki". Wiesz, że ciebie tak lubi. Jeśli księży panowie przekupili, to panienki przecie nie przekupili.

---

[1]) Stacya drogi petersburskiéj.

— Daleko sztraśnie od nas, dwie mile.

A do Brazylii wyruszyła!

Księża wogóle—według relacyi Anusi—sprzeciwiali się wychodźtwu. Podług mniemania ogólnego, do Brazylii koniecznie z metryką jechać trzeba. Otóż księża pytali, czy polecili pytać: na co metryka? i jak do Brazylii — nie dawali. Ale naturalnie ludzie prędko zmądrzeli i kłamali różne powody: procesy, spadki, śluby i t. d.

Wogóle w rozmowie z niedoszłą emigrantką uderzyła mnie przedewszystkiém najzupełniejsza nieświadomość przyczyn i skutków postępku. Ona nietylko nie wié co to Brazylia, ale wyraźnie nie zdaje sobie sprawy, po co tam jedzie i czego się spodziéwa. Poprostu oszołomiona prądem, który ją unosi, bez jéj woli, a może w części i pomimo woli. Przychodzi mi na myśl, że jednostka każda tak głęboko i silnie wzrosła w aglomerat społeczny, że jéj czynów i zamiarów wytłómaczyć nieraz niepodobna właściwościami pojedyńczego umysłu i pożądań. W zjawisku emigracyi prawda ta występuje wyraźnie, kiedyindziéj dostrzedz jéj łatwo nie można. Ile błędów popełniamy zapewne codzień, usiłując wyjaśnić, usprawiedliwić lub potępić postępki ludzkie, na zasadzie psychologii jedynie lub własnéj praktycznéj znajomości serca ludzkiego? A to pojedyńcze drobniuchne przejawy ogólnego ruchu olbrzymiéj skomplikowanéj machiny. Obrót każdego kółeczka warunkuje się przedewszystkiém siłą i kierunkiem pędu wspólnego. Nikt praw tego ruchu nie poznał, nikt nie wié i nie domyśla się, jaki stosunek łączy cząstkę ludzką z całością społeczną.

Anusia porzuciła, a właściwie zmuszona była wyrzec się projektu jechania do Brazylii w najbliższém miasteczku, bo tam spotkała zawróconą od granicy falę wychodźców.

Sporo szczegółów opowiadała mi o smutnym losie tych nieszczęśliwych. W drodze i w aresztach pogubili szczupłe resztki mienia. Każdy prawie pozostał przy téj tylko koszuli, którą miał na grzbiecie. Mąż rozłączył się z żoną i nie wié, jaki los ją spotkał. Matka potraciła dzieci.

Łatwo bez opowieści odtworzyć sobie ich stan moralny. Uratowani zostali od większego nieszczęścia, ocaleli od plag brazylijskich, ale ich nieszczęście téż niemałe. Przedsięwzięcie, w którém o los życia i o byt chodziło, w które włożyli wszystkie nadzieje jaśniejszéj przyszłości—złamane. Zanim energia powróci, rozpacz jest aż nadto naturalną.

Anusia teraz mieszka w Warszawie z mężem i dzieckiem u jakichś krewnych na poddaszu czy w suterynie. Zarobku żadnego nie

znaleźli. Mąż czasem wezwany zostanie do usuwania śniegu z szyn tramwajowych i dostaje za to 5 złotych. Im daléj tém dola straszniejsza.

W izbie, gdzie przytułek znaleźli, cały dzień ludzie się tłuką, rozmowa o emigracyi nie milknie na chwilę. Każdy się wybiera. Każdy niedolę dzisiejszą myśli niebawem zakończyć. Męża Anusi namawiają, aby rzucił żonę i dziecko i jechał. Jak się dorobi — wróci po nie.

Anusia upewnia, iż mąż skusić się nie da. Ale co doradzi jeszcze za parę tygodni głód i zimno — kto może przewidzieć!

Ideałem ich byłoby otrzymać posadę stróża. Czy to jednak łatwo bez zasług, znajomości, stosunków. Przewiedzieli się o kilku prawdopodobnych wakansach, dotychczasowi jednak szczęśliwi posiadacze podschodowych komórek chcą wysokiego odstępnego.

Widuję ją czasem. Coraz bardziéj przezroczysta, oczy coraz błędniejsze. Dziecko pewnie już zsuwa się w mogiłkę.

Gdyby kto litościwy mógł im dopomódz! Wymagania tych ludzi tak małe, że lada co ich uszczęśliwi. Trzeźwość, uczciwość, pracowitość poręczam.

Jednocześnie otarłem się w innéj stronie o prąd emigracyjny.

Tuż pod Warszawą, na 13-éj wiorście, o kilkaset kroków w prawo od szosy petersburskiéj, leży duża i zamożna wioska Dąbrówki Szlacheckie. Jeden z jéj mieszkańców był moim dostawcą wiejskich produktów spożywczych. Rozmawiałem z nim kilka razy dłużéj. Człowiek całkiem rozgarnięty i rozsądny. Pragnął syna oddać do szkół, upewniał, że ma czém płacić, bo mu się dobrze powodzi. Ale chłopak umarł... Gruntu własnego nie posiadał, cudzy jednak, brany na odrobek, rodził mu tyle, iż co targ do Warszawy wóz kartofli, kapusty, brukwi przywoził.

Na dziesięć dni przed Bożém Narodzeniem córka mego dostawcy oświadcza, iż więcéj się pewnie nie zobaczymy, gdyż oni natychmiast po świętach jadą do Brazylii.

— Skąd, co, dla czego? — Nigdy przedtém mowy o tém nie było.

— Wrócił stamtąd człowiek do wsi sąsiedniéj, tak mu się dobrze działo, że sobie poprzysiągł wszystkich od nas tam wyprowadzić. I my z nim jedziem.

Od świąt miesiąc już minął — dostawca się nie pokazał.

Upewniano mnie i zdaje się z dobrego źródła, że gwałtowna i nieprzewidziana emigracya chłopska z ubiegłéj jesieni wywarła wielkie i bardzo pomyślne skutki pośrednie. Mianowicie rozproszyła jakoby złudzenia, o rajskiéj szczęśliwości wiosek naszych, w którą wie-

rzono jak w aksyomat. Podobno wypłynięcie oliwy na wierzch już nawet wydało praktyczne rezultaty. To możliwe.

Pomyślnym rezultatem byłoby również, gdyby prasa, korzystając z zainteresowania się ogółu emigracyą, pomyślała nietylko o tych krajach, do których wychodźcy idą, ale także i o tych okolicach, które opuszczają.

Dziennikarstwo nie stanowi może zmysłów społeczeństwa, ale nieustannie zmysłom tym pomagać powinno, lub nawet je wyręczać: widzieć, słyszeć, odczuwać. Tymczasem taki wypadek jak emigracya jest dla nas wszystkich, codziennie niemal figurujących w roli, jeżeli nie mistrzów, to przynajmniej korepetytorów ogółu, taką osobliwością nieprzewidzianą, jak np. zorza północna.

Rzuciliśmy garść rad, ale to były kompozycye, naprędce sklecone.

Jednym z powodów takiego stanu rzeczy, jest zbytnie poddawanie się wpływom najbliższego otoczenia, zasklepienie się w murach Warszawy.

Właśnie tę kwestyę podniósł niedawno „Kuryer Codzienny“.

Ci nawet z pośród nas — twierdzi on — których prąd życia wyrwał z téj jakoby martwéj krainy i wśród wielkomiejskich murów osadził, szybko tracą łączność z rodzinną swoją okolicą, stają się obojętnymi na jéj szare sprawy, rychło przestają rozumieć jéj potrzeby, interesy, jéj troski i dążności. Wyrzuceni po za obręb prowincyonalnego deptaka, sądzimy, że on już całkiem przestał się obracać. Co więcéj, usiłujemy go popychać sami zdaleka, przez suggestyę, narzucając prowincyi swoje poglądy i doktrynki, swoje widoki i sposoby działania, swoje nauki moralne i niezawsze moralne gusta.

Uwagi całkiem słuszne, ale co poradzić na to? Jak zwykle dyagnoza łatwiejsza niż odszukanie środka leczniczego. Taką drogą idzie życie, że sprawy najważniejsze skupiają się w punktach centralnych. Miasta stanowią najdoskonalszy wyraz materyalnego rozwoju cywilizacyi, to też wraz z jéj wzrostem potężnieją i terytoryalnie i pod względem znaczenia. Dochodzi do tego, że w kraju bodaj czy nie najnormalniejszym w Europie, we Francyi, Paryż stał się jakby czubkiem „łzy batawskiéj“ — sercem i głową kraju.

Perorują przeciwko temu mówcy i pisarze, moraliści i ekonomiści, ale faktu zmienić, ani nawet osłabić nie są w stanie.

Niemcy, dzięki decentralizacyi politycznéj przez długie wieki, unikali dotychczas tego losu, ale Berlin powoli wchłania już życie prowincyi, albo raczéj tam przenoszą się ośrodki nerwów społecznych.

Całkiem właściwe jest żądanie, aby prasa częściéj i szerzéj uwzględniała życie prowincyonalne—dodać jednak do tego zaraz trze-

ba, iż zadanie to trudne i bez znacznego wysiłku, przez wprowadzenie jakiéjś dodatkowéj rubryki, uskutecznić się nie da.

Obowiązki względem prowincyi rozumiane są u nas zwykle w ten sposób, iż należy zamieszczać korespondencye z miast gubernialnych i miasteczek powiatowych. Niektóre pisma to robią, szczególniéj systematyczny i wytrwały jest pod tym względem „Kraj“. Rubryka „korespondencyi prowincyonalnych“ należy do teoretycznie cenionych i szanowanych, naprawdę jednak nie jest ona wcale poczytna, a nawet posunę się do tego, że powiem nie jest...bardzo pożyteczna.

Niesmaczny opis reporterski balu w resursie Kupieckiéj, lub w sali ratuszowéj prawdopodobnie przeczyta prenumerator w każdym zakątku, najpoważniejszą korespondencyę z Sosnowca w najlepszym razie przejrzą w powiecie będzińskim, w Maryampolu nikt już na nią okiem nie rzuci.

I dziwić się nie można, odtrąciwszy bowiem wypadki nadzwyczajne, życie jednego miasteczka ani zajmującego, ani ciekawego w sobie nie zawiera nic. Biorę np. korespondencyę z Pułtuska w jedném z pism: dziewczyna skaleczyła się scyzorykiem w palec i umarła; śniég duży, zające i kuropatwy giną, chłopi sprzedają je w miasteczku za bezcen; karnawał wesoły, odbył się już jeden wieczór składkowy... i koniec. Zupełnie raport z anegdoty: donoszę, że nie mam nic do doniesienia.

Takich wypadków z bruku warszawskiego cytujemy setki, ale też one obchodzą dziesiątki tysięcy ludu bezpośrednio, istotnie, a cały kraj pośrednio, bo to się stało w Warszawie. Przytoczona korespondencya nie stanowi wyjątku i nie jest wyłączną własnością jednego pisma, takie mniéj więcéj są wszystkie korespondencye z prowincyi.

Ale i do podobnie bagatelnych sprawozdań trudno znaleść człowieka piśmiennego i chętnego. A jak często się zdarza, iż korespondent-rejent wyrządzi psikusa aptekarzowi, potém polemika sprostowania, odwoływania... ambaras dla redakcyi bardzo dokuczliwy.

Jedném słowem — i o to mi jedynie chodzi — niedostateczne uwzględnianie prowincyi jest złem gorszém, niż z początku przypuszczać można. Nie wynika ono z niedbalstwa lub niechęci pism, nie stanowi ułomności miejscowéj, lecz jest zjawiskiem ogólném, utrzymaniu którego sprzyjają przyczyny naturalne, od woli ludzkiéj i redaktorskiéj w znacznéj części niezależne.

Nie znaczy to, aby ze złem nie walczyć -- o, bynajmniéj, lecz pamiętać należy, iż trudność większa, niż się początkowo wydaje. Nie wystarczy znaleść i ugodzić jednego korespondenta, trzeba jakoś bezpośrednio docierać do drobnych ognisk życia prowincyonalnego. Albo

należy suchych notatek kronikarskich dawać tyle, aby one same przez się tworzyły jakieś pojęcie, czy jakiś obraz, na co nie zawsze rozmiary pisma pozwolą, — albo też mniéj regestrować drobnych faktów codziennego życia, a bardziéj wyzyskiwać wypadki znaczenia ogólniejszego.

Otworzenie np. przytułku dla starców i kalek starozakonnych w Płocku i ofiarność obywatelska na ten cel, oświetlone należycie zwrócą uwagę, zapoznają z biegiem spraw i warunkami życia płockiego; sama, telegraficznym stylem skreślona wiadomość zajmie, w najlepszym razie, fizycznie oko czytelnika na kilka sekund.

Mowa jest obecnie o kolei z Białegostoku jakoby do Mławy,—sądzę, że znaczna część ogółu z zajęciem i uwagą przeczytałaby niedługą informacyę o tamtéj miejscowości, o bogactwie ekonomicznem, o przypuszczalnym wywozie i dowozie i t. d. Mamy tylu i dosyć biegłych krajoznawców, że artykuły podobne nie byłyby wcale dla pism naszych niemożliwe.

Zdarza się, iż gdy chodzi o podobne przedsięwzięcie zagranicą dzienniki warszawskie dają dokładne informacye i nawet mapy, bo to się bez wielkiego zachodu i trudu bierze z pism obcych. Gdyby projekt dotyczył nowéj drogi w Niemczech np., gdzie koléj nie jest faktem tak doniosłym, gdyż ich tam więcéj niż u nas traktów bitych, pisma dałyby całe, dokładnie opracowane referaty. A jak referaty podobne sprzyjają rozwojowi przedsiębiorczości ludzkiéj!

Wspomniany artykuł „Kuryera“ wywołany został ciekawym, nadesłanym do redakcyi referatem o rozwoju i potrzebach handlu „chrześciańskiego“ na prowincyi.

W ostatnich latach kilkudziesięciu w osadach i miasteczkach Królestwa ukazało się zjawisko, dawniéj prawie nieznane: sklepy i sklepiki „chrześciańskie“.

Podupadli obywatele, byli urzędnicy, a nawet chłopi rzucili się do handlu, nie dlatego w znacznéj części, żeby na tém polu utworzyła się wtedy właśnie wolna przestrzeń, żeby odkrytą nagle została Kalifornia w państwie Merkurego, lecz głównie z braku innego środka zarobkowania.

Skutkiem tego i tu zrobiło się ciasno, wywalczenie sobie pewnego stanowiska okazało się trudnem, częstokroć niemożliwém. Nowicyusze konkurować musieli z klasą handlarzy dziedzicznych, którzy w téj sferze, przez praktykę i obyczaje wielu wieków posiedli monopol faktyczny, i bynajmniéj ustąpić nie chcieli, ani zresztą mogli — słowem, z żydami.

Referat, który wywołał artykuł w „Kuryerze“, a który i mnie

jest znany [1]), dowodzi, iż drobni kupcy chrześcianie na prowincyi mają się bardzo źle. Nabywać muszą towary u monopolistów, którzy ustępują rabat bardzo niski, taniością konkurować z żydami niepodobna, na fałszowanie towarów sumienie nie pozwala... obrót rok rocznie się zmniejsza i bankructwo ukazuje się, jako nieunikniony kres.

Za główną, może nawet jedyną przyczynę złego autor referatu uważa żydów. W ich rękach znajduje się handel hurtowny, popierają swoich i dążą do zgnębienia obcych konkurentów.

„Sklepy chrześciańskie“ występują jako kwestya społeczna, a utrwalenie ich bytu jako potrzeba, wymagająca natychmiastowego załatwienia.

W referacie też znajdujemy środek poparcia sklepów chrześciańskich.

„Należy — czytamy tam — jaknajprędzéj pomyśléć o urządzeniu w Warszawie agentury dla dostaw do sklepów prowincyonalnych towarów z możliwie wielkiemi ustępstwami. Zadaniem takiéj agentury winno być: 1) dostarczanie towarów we wszelkich ilościach po cenach hurtownych, 2) załatwianie wszystkich zapotrzebowań sklepu, 3) urządzanie własnych lub spółkowych agentur na prowincyi. Przy takiém urządzeniu sklepikarz nie będzie potrzebował mieć stosunku z kilkunastoma conajmniéj firmami i to mu da możność konkurowania z lichemi towarami żydowskiemi.“

„Ważną jest rzeczą — robi uwagę autor referatu — czy uda się agenturze wyjednać znaczne ustępstwa w fabrykach i składach hurtownych, gdyż większość znacznych firm faktycznie znajduje się w rękach żydowskich i całą swoją produkcyę żydom sprzedaje.“

Z agenturą połączyćby należało — wedle projektu — bazar produktów wiejskich. Towary z Warszawy do miejscowości, leżących w promieniu 20-tu mil, wożone są przeważnie furami, które następnie wracają puste. Należy je ładować masłem, jajami, warzywem i t. d. To mogłoby podobno dać bardzo pokaźne zyski.

Projekt powyższy — o ile, nie będąc specyalistą, sądzić mogę — jest bardzo dobrze pomyślany i życzyć istotnie należy, aby niezwłocznie przystąpiono do jego wykonania. Przypuszczam daléj, iż jeżeli znajdzie się jednostka, która zdoła poświęcić mu wiele czasu, energii, talentu i cierpliwości, to on się uda i znaczne korzyści przyniesie handlowi w całym kraju, tém więcéj że autor referatu przytacza przykład powodzenia przedsiębiorstwa podobnego: sklepy wiejskie w Galicyi.

Ośmielę się zrobić tylko jedną uwagę: bodaj, czy dobrze to dla

[1]) Już po oddaniu „Kroniki“ do drukarni referat, o którym mowa, został wydrukowany w „Roli.“

sprawy, że rzecz czysto ekonomiczną obszyto w całkiem obcy dla niéj pokrowiec—w antysemityzm.

Że kontyngens nowych kupców musiał być niemile przywitany przez starych—to pewna. Groziło zmniejszenie się dochodów—przyczyna całkiem wystarczająca, aby niepożądanym konkurentom szkodzić i aby ich zrażać wszelkimi sposobami. Tak jest zawsze i wszędzie. Rzecz zbyt naturalna, aby uważać ją za coś nadzwyczajnego.

Nie przeczę wcale, że w tym wypadku odrębność z jednéj strony, a solidarność rasowa i wyznaniowa z drugiéj jakąś rolę odegrały, przedłużyły antagonizm, wyraźniéj zakreśliły różnicę między konkurentami, były to jednak tylko okoliczności potęgujące skutki, przez inną przyczynę wywołane.

Opowiadania o owéj solidarności żydowskiéj, jakiéjś fatalnéj, żywiołowéj, nieprzejednanéj i nieprzełamanéj, grzeszą zwykle przesadą. Znam sklepiki, utrzymywane w małych miasteczkach przez chrześcian, które po paroletnich utarczkach żyły następnie w przykładnéj zgodzie z żydowskimi sąsiadami. Razem towary sprowadzali od kolei; a jak Janklowi zabrakło ryżu lub rodzynków to posyłał do Jana i odwrotnie.

Przed niedawnym czasem miałem do czynienia z odezwami czasowych komisyi gubernialnych, zwołanych w r. 1882 w celu wydania opinii o kwestyi żydowskiéj. Niektóre z tych komisyi (np. kijowska) wprost zarzucają żydom brak solidarności i to stawiają za przyczynę nędzy wśród mas tamecznego Izraela.

Kupiec chrześcianin w nowym dla siebie zawodzie pomiędzy wieloma przeciwnościami spotyka także żyda, konkurenta niebezpiecznego, bo mającego pod wieloma względami (niektóre niezaszczytne) przewagę—o to nikt sprzeczać się nie będzie. Ale czy stąd wynika, aby zaraz kopać rowy i wznosić żywopłoty, aby tworzyć w handlu dwa stronnictwa, oparte na różnicy wyznaniowéj, aby kupców-chrześcian organizować do solidarnéj walki z kupcami-żydami?

Mnie się zdaje, że nie. W kraju naszym wiele rzeczy dotąd kręci się, jak Bóg da. Warszawski kupiec firmowy ma kłopot, szykany, ambaras i małą dogodność, gdy pragnie posiadać kredyt w instytucyi kredytowéj; początkujący mały kupiec w Drobinie dostaje mały rabat i zły towar od kupca hurtownika, który w dodatku lekceważy jakiegoś tam prowincyonalnego nabywcę; komunikacya pierwotna; strat i zysków z góry obliczyć niepodobna.

Nietylko przekupnie, zwykły nabywca-konsument nie jest w stanie pozyskać setnéj części tych udogodnień, jakie mają ludzie zagranicą. Śmiech powiedziéć, zdarzyło mi się w Warszawie na Długiéj ul. w trzech piekarniach nie dostać bułek, których stosy leżały, dlatego tylko, iż

potrzebowałem ilości nieco... większéj! Damy sprzedające nie chciały sobie zadać fatygi poszukania odpowiedniego papiéru, lub posłania po torbę o parę kroków. Za kilka godzin przy zamykaniu sklepów bułki te sprzedane zostały za pół ceny, jako czerstwe. Strata naturalnie wielokrotnie przeniosła wartość największéj torby.

Poprostu, myśmy się nie nauczyli kupiectwa, wszystko się rusza niezdarnie, jak w nienasmarowanéj maszynie, któréj części nie pasują do siebie. Oczywiście bezład, brak porządnych obyczajów w stosunkach ciężkiém brzemieniem spada na kupca, szczególniéj początkującego.

Usunięcie dotychczasowych nienormalności przez agenturę np. odrazu bardzo ułatwi sklepikom egzystencyę zupełnie niezależnie od stosunków wyznaniowych.

Nadanie czysto kupieckiemu przedsiębiorstwu charakteru religijnego może go wynaturzyć, sprowadzić na całkiem niewłaściwe tory, i wtedy nietylko celu on nie osiągnie, ale sprowadzi waśnie, za które prawdopodobnie społeczeństwo sklepikarzom wcale wdzięczne nie będzie.

Z agentury powinni módz korzystać wszyscy kupcy, którzy tylko zechcą. To zapewni większe powodzenie przedsiębiorstwu, a nikt posiadać przywileju nie będzie. Pamiętać należy, że konkurencya ułatwiona częstokroć wychodzi na złe tym, którzy z ułatwień korzystali. Szczególniéj grozi to przy naszéj lekkiéj naturze.

Stojąc na stanowisku autora referatu, obawiałbym się poprostu opiérania agentury na gruncie wyznaniowym. Jakieś skoalizowanie się chrześcian całkiem naturalnie wywołałoby kontr-akcyę ze strony żydów. A że mają oni po za sobą hurtowników (wedle zdania referatu), łatwiéj mogą porozumiéć się i zgromadzić kapitały, więc lepiéj licha nie budzić. Zwyczajna kupiecka agentura niebezpieczeństw podobnych nie pociągnie za sobą.

We wszystkich złych i dobrych przejawach życia spotykamy żydów i chrześcian zsolidaryzowanych, od ław sądowych z szajką złodziei poczynając, aż do stowarzyszeń dobroczynnych, od przedsięwzięć akcyjnych aż do instytucyi naukowych. Dlaczego sklepiki prowincyonalne mają stanowić wyjątek, dzielić się murem chińskim na chrześciańskie i żydowskie?

Trzeba, gwałtem trzeba podnieść handel w kraju moralnie i technicznie, nie zaś rozpoczynać walkę rasową w sklepikach. Nieodrazu Kraków zbudowany, niepowodzenia ludzi w nowym dla siebie zawodzie nie są wcale zjawiskiem krzyczącém. Użycie środków niewłaściwych rzecz tylko pogorszyć może. Zamiast doskonalić kupców, kształcić będzie antysemitów.

Takiego mniéj więcéj zdania jest i „Kuryer Codzienny.“

Niedawno jeszcze na porządku dziennym obrad dziennikarskich stała sprawa, którą obecność semityzmu i antysemityzmu tak splątała, że gdyby rostrzygnięcie zależało było od dysput i porozumienia wśród opinii publicznéj, wypadłoby powtórzyć za talmudem: poczekajmy do przyjścia Mesyasza. Mówię o obgadanéj na wszystkie boki „fundacyi br. Hirscha.“

Jedni widzieli w niéj tylko poparcie oświaty, drudzy tylko sztuczkę żydowską, trzeci kombinacye tych dwu pierwiastków i nie mogli się zdecydować ku któréj stronie przechylić sympatye i za czém się oświadczyć.

Naturalnie w obec istnienia stanowczéj prawicy, stanowczéj lewicy i wiecznie chwiejnego środka jednomyślności nigdy spodziéwać się nie było można. Obecnie dyskusya byłaby już czczą stratą czasu, gdyż rząd wiedeński instytucyę zatwierdził, nadając jéj tytuł „Fundacya barona Hirscha dla pielęgnowania oświaty ludowéj, rękodzielnictwa i rolnictwa w Galicyi i na Bukowinie.“ Wedle statutu, do szkół téj fundacyi przyjmowani będą uczniowie chrześciańcy tylko do 25% ogólnéj sumy. Fundacyą zarządzać ma kuratoryum z siedzibą w Wiedniu, złożone z 18 członków, z których 4 będzie ustanawianych przez rząd, a 14-tu przez fundatora. W trzech czwartych częściach zarząd centralny składać się powinien z żydów. Dla wykonania uchwał wiédeńskiego komitetu centralnego, oraz dla nadzorowania szkół i zakładów fundacyjnych będą ustanowione trzy komitety wykonawcze: we Lwowie, Krakowie i Czerniowcach, a nadto utworzone zostaną komitety lokalne. W szkołach językiem wykładowym w Galicyi będzie język polski, na Bukowinie niemiecki (?), ale nauka języka niemieckiego obowiązywać ma we wszystkich szkołach. W miejscowościach, gdzie nie ma szkół chrześciańskich, szkoły fundacyjne mają być przystępne także dla dzieci chrześciańskich. Obok wykształcenia dzieci izraelskich w rękodziełach i rolnictwie, fundacya ma również na celu dawać rękodzielnikom-żydom zapomogi i bezprocentowe pożyczki w razie otwarcia przez nich na własną ręką przedsiębiorstw. Do kuratoryum mają być powołani posłowie: dr. Rappaport i Gniewosz, a rząd zamianuje prawdopodobnie także jednego z posłów, oraz trzech urzędników ministeryalnych: jednego z ministeryum oświaty, drugiego z ministeryum skarbu, trzeciego z ministeryum sprawiedliwości.

Podobno nominacya na członków kuratoryum miała być dokonana w ubiegłym miesiącu, niebawem téż zostaną utworzone komitety lokalne.

Muzeum rzemieślnicze dojdzie już napewno do skutku. Głucha

wiadomość o znaczniejszéj sumie, na ten cel ofiarowanéj, okazała się prawdziwą i dziś jest już faktem spełnionym. Do głównego funduszu, 25,000 rs. i do pierwotnie zebranych kilkuset rubli, znowu przybyła dosyć znaczna suma, którą zobowiązali się złożyć ludzie różnych stanów i majątku na posiedzeniu Towarzystwa popierania przemysłu i handlu.

Powodzenie téj instytucyi rzemieślniczéj przypomina smutną dolę innego projektu, który od kilku lat kroku jednego uczynić nie jest w stanie. Znowu w tym roku czytaliśmy oznajmienia, że Bazar rzemieślniczy posiada 5,000 rs., potrzebuje zaś 10,000 rs.—słowem, kropka w kropkę to samo, co 12 miesięcy temu. Czyżby 5,000 rubli, które przecie bajońską sumą nie są, stały się powodem rozbicia projektu, z taką wielkiego uznania godną wytrwałością popiéranego przez inicyatorów wśród przykrych niepowodzeń?

Podobno ofiarodawca 25,000 rs. na Muzeum rzemieślnicze pragnął zachować *incognito*. Tak przynajmniéj upewniano na zebraniu Towarzystwa pop. przem. i han. Sprawozdawcy byli jakoby uprzedzeni i proszeni o dyskrecyę. Tymczasem na drugi dzień wszystkie dzienniki popisały się dokładną informacyą. Dziwną niedelikatnością wynagrodziliśmy bezinteresowną i tak znaczną ofiarę.

Co prawda jednak, wina spada przedewszystkiém na prezydyum, które mogło być pewne, że wymieniając nazwisko głośno w obec tylu dziesiątków ludzi, podaje je na wszystkie języki w mieście i na wszystkie prasy drukarskie.

W styczniu jeszcze jedna bardzo ważna kwestya była przedmiotem obrad w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu.

Sekretarz sekcyi chemicznéj, p. Praus, zwiedził pracownię hygieniczną znakomitego Bischofa w Berlinie i przywiózł ustawę niemiecką z r. 1879 o kontroli nad handlem artykułami spożywczemi.

Jedenastoletnie doświadczenie w Berlinie dało świetne rezultaty. P. Praus opowiedział o nich, przytoczył liczby i dane; a następnie zwrócił uwagę na brak wszelkich reguł i przepisów postępowania w tym względzie u nas. Świéżo dopiéro założona pracownia miejska nie wyrobiła sobie jeszcze technicznego regulaminu postępowania.

P. Praus postawił wniosek, domagający się utworzenia komisyi, któraby się zajęła zebraniem praw, przepisów, regulaminów technicznych i t. d. w różnych miastach Europy i w ogóle przez współudział dopomogła do skutecznéj działalności pracowni miejskiéj. Wniosek ten jednak musiał na razie upaść, gdyż dr. Markiewicz oznajmił, że kilkunastu lekarzy ma zamiar wstąpić do Towarzystwa

pop. prz. i handlu, aby wspólnie z technikami utworzyć grupę lub wydział hygieniczny, specyalnie temi kwestyami zajmujący się. Myśl tę przyjęto ogólném uznaniem i proszono p. Prausa, aby nie przestawał zajmować się kwestyą kontroli.

Z powyższym w najściślejszym związku pozostaje inny projekt p. Prausa, mianowicie o ograniczeniu ilości ołowiu przy fabrykacyi wód gazowych.

Przed niedawnym czasem słyszałem bardzo wyczerpujące dowodzenie jednego z najwybitniejszych chemików naszych, jakim strasznym nieprzyjacielem zdrowia jest ołów, z którym jednak spotykamy się na każdym kroku: nim lutują puszki sardynek, z niego robią główki syfonów, rondle nim pobielają. Prawdziwe szczęście człowieka, że nie pamięta przy każdéj łyżce i przy każdym łyku o niebezpieczeństwie; inaczéj do trucizny fizycznéj dołączyłaby się moralna.

Po wysłuchaniu wykładu każde wejście do kuchni, spojrzenie na samowar lub rondle, jest dla mnie męczarnią, bo przypomina o wiecznem niebezpieczeństwie. A ratunku nie ma, trudno przecie posyłać naczynia kuchenne do Paryża, trzeba oddać druciarzowi, który n a p e w n o je pobieli ołowiem. Gdzieindziéj oddawna ściśle czuwają, aby do tego celu używano cyny angielskiéj.

Nie mówiąc o wypadkowém nabyciu trucizny, stale i napewno spożywamy ją rano w południe i w wieczór.

Wobec tego zanoszę bardzo gorącą prośbę do techników i lekarzy: śpieszcie się, nie odkładajcie wedle miejscowego zwyczaju waszych dobrych zamiarów na jutro, nie zaprawiajcie ołowianéj trucizny obietnicami i długotrwałém oczekiwaniem.

Jak wiadomo Boże Narodzenie i Nowy Rok sprzyjają ruchowi wydawniczemu i ruchowi księgarskiemu. Wielu ludziom zakłopotanym, co ofiarować na gwiazdkę synowi, córce, siostrze, kuzynce, przychodzi na myśl książka, oprawna w kolorowy papiér lub płótno. Co roku téż o téj porze wychodzi z pod prasy parę nowych opowiadań historycznych, podróży i masa przedruków starych rzeczy. Nie można powiedzieć, żeby tam same perły były. Ojciec, rozumiejący istotnie potrzebę pożytecznéj książki dla dzieci i nabywszy już kilka lepszych, ma istotny kłopot.

W zeszłym roku powitaliśmy doskonałe wydawnictwo dla dzieci: „Pamiętniki chłopca“, w tym roku możemy zwrócić uwagę na inne, w odmiennym rodzaju, ale téż, niestety z obcéj literatury przyswojone: „Fizyka bez przyrządów“. Nie jestto wprawdzie tłómaczenie, lecz zapożyczenie z francuskiéj „Nature“, którego umiejętnie dokonał p. S. Kramsztyk.

Niewielka i tania ta książeczka zawiéra opis 30 doświadczeń i zjawisk, których ogromną większość może każde dziecko powtórzyć, a wszystkie niewątpliwie przykują do siebie uwagę małego czytelnika. Drut, sznurek, rurka szklanka lub karafka z wodą po większéj części wystarczają do powtórzenia opisanego doświadczenia.

„Fizyka bez przyrządów“ zajmie dziecko, szczególniéj rozważniejsze, mało co zapewne mniéj, niż powiastki amerykańskie, a nie zużyje się tak prędko, po kilku przeczytaniach. Doświadczenia można powtarzać bez końca. Dziecko dowié się niektórych faktów przyrodniczych, wyćwiczy nieco swój umysł i rozwinie wprawę do manipulacyj ręcznych. Dla tego téż z radością widzielibyśmy szerokie rozpowszechnienie téj książeczki. Jest ona opatrzona Nr. I-ym, zapewne więc rozpoczyna seryę całą.

W prasie peryodycznéj w r. b. niewielkie zmiany. Nie ma przybytku nie ma téż i straty.

„Biblioteka Warszawska“ otrzymała nową redakcyę, nowych wydawców i nowe szaty. Pierwszy zeszyt, jaki dotychczas wyszedł, przedstawia się pokaźnie. Spotykamy tam nazwiska głośne w literaturze i publicystyce: pp. Sienkiewicza, Rembowskiego, Bogusławskiego, Gersona, Donimirskiego i t. d. Szczególniéj bogatym jest dział sprawozdań literackich.

Wskrzeszony został „Tygodnik Powszechny“. Pismo to przebywa prawdziwą metampsychozę i możnaby o niém napisać niemal tak długi rodowód, jak rozdział piérwszy ewangelii Ś-go Mateusza: „Abraham spłodził Izaaka, a Izaak spłodził Jakuba, a Jakub spłodził Judę i braci jego.“

Początkiem tygodnika był zdaje się „Opiekun domowy“. Zmieniał tytuł, redaktorów i wydawców, bywał ilustrowany zwyczajnie i nadzwyczajnie, bywał postępowy i konserwatywny, wesoły i poważny. Prawdziwy feniks. W ostatniéj swéj przemianie ma być popularny i zajmować się głównie sprawami społecznemi. Zadanie postawił sobie poważne i pożyteczne, niech mu więc się wiedzie lepiéj niż poprzednikom.

Lu. S.



NEKROLOGIA.

† **Tomasz Stanecki** urodził się w Wadowicach z rodziców ubogich; ukończywszy gimnazyum o własnych siłach, a następnie odbywszy studya uniwersyteckie i uzyskawszy stopień doktora filozofii, został nauczycielem gimnazyalnym, a potém docentem fizyki, daléj profesorem tegoż przedmiotu w uniwersytecie lwowskim, ucząc z ogólném uznaniem słuchaczów; był członkiem komisyi egzaminacyjnéj dla nauczycieli gimnazyalnych, naczelnikiem stacyi obserwatoryum meteorologicznego i profesorem szkoły leśnéj i weterynaryjnéj. W piśmiennictwie rozpoczął od poezyi, drukowanych r. 1848; potém poświęcił się swojéj specyalności, tłómaczył „Fizykę Kunreka", „Geometryę Mocznika", oraz ogłosił własną „Fizykę dla szkół średnich" (Lwów, 1876, część 1-sza). Zostawszy członkiem Akademii umiejętności, ogłosił w zbiorze Rozpraw wydziału matematycznego, rzecz o „Magnesie pływającym" (1880), a w „Kosmosie" odczyt o „Nowych zdobyczach w dziedzinie meteorologii" (1880). Zmarł 8 stycznia r. b. we Lwowie, jako rektor tamtejszego uniwersytetu.

† **Władysław Zawadzki** urodził się w czerwcu 1824 r. w Hajworonce nad Strypą (w Galicyi), ukończywszy studya uniwersyteckie, we Lwowie, kształcił się następnie w akademii rolniczéj w Altenburgu, pragnąc sam zajmować się swoim majątkiem. Niebawem wszakże skłonności literackie przemogły. Już w r. 1843 jest wydawcą pisma zbiorowego t. z. wiosennika p. n. „Grosz wdowi" ogłoszonego w Wiedniu; mieszczą się tu jego poezye i parę rozpraw prozą. Następnie w 1845 ogłasza w Poznaniu powieść „Dwa światy" z silnie uwydatnioną tendencyą demokratyczną. W r. 1848 przetłómaczył z Auersperga i wydał „Strażnicę nadbrzeżną". Potém nastąpiło 10-letnie prawie milczenie. W r. 1858 przeniósł się na stały pobyt do Lwowa i artykułami krytycznemi i historyczno-literackiemi zasilał najlepszy ówczesny organ społeczno-piśmienniczy w Galicyi „Dziennik literacki". Tu między innemi pomieścił rozprawę o „Stanisławie Staszicu" (wydanie osobne r. 1860). W r. 1861 wraz z żoną Anielą z Zimmermanów wydaje „Przyjaciela dzieci" i zawiązuje stosunki literackie z Warszawą. W r. 1862 podejmuje przekład głośnego i wpływowego dzieła T. Buckle'a: „Historya cywilizacyi w Anglii" i doprowadza go do końca w r. 1868. W ciągu tego czasu był redaktorem odpowiedzialnym dziennika „Hasło", założonego przez Kraszewskiego a wychodzącego w r. 1865 we Lwowie. W r. 1866 ogła-

sza dla dorastającéj młodzieży „Grody polskie“, które kilku doczekały się wydań. W r. 1869 wydaje „Obrazy Rusi Czerwonéj“ oraz „Kościół farny w Żółkwi, jego dzieje i pomniki“. W r. 1870 publikuje wybrane swe rozbiory p. t. „Z teki literackiéj“. W ostatnich kilkunastu latach prócz korespondencyi do czasopism warszawskich ogłosił bardzo cenne jako materyał przyczynki do dziejów oświaty i piśmiennictwa w Galicyi, a mianowicie: „Literatura w Galicyi“ (1878), „Dziennikarstwo w Galicyi w r. 1848“ (t. r.). Ostatnią większą jego pracą był przekład dzieła Gwidona Krafft'a: „Wielki majątek ziemski naszych czasów, opis ordynacyi książąt Schwarzenbergów w Czechach“ (Lwów, 1880). W r. 1869 i 1870 był dyrektorem krótkotrwałéj szkoły dramatycznéj we Lwowie. Zmarł 10 stycznia r. b.

† **Wiktor Szokalski** ur. 15 grudnia 1811 r., pierwotne wykształcenie odebrawszy pod okiem matki, wszedł do liceum warszawskiego, gdzie kolegował z Zygmuntem Krasińskim i Konstantym Gaszyńskim; następnie zaś wstąpił na wydział lekarski uniwersytetu warszawskiego. Stopień doktora medycyny uzyskał najprzód w Giessen i pojechał do Paryża, gdzie chcąc praktykować, musiał uczynić zadość wymaganiu ponownych egzaminów; napisawszy rozprawę „*Sur la diplopie unioculaire ou double vision d'un oeil*“, otrzymał r. 1839 stopień doktora fakultetu paryskiego. Odtąd oddaje się badaniom specyalnym z zakresu okulistyki i przez lat z górą dwanaście ogłasza po francusku lub po niemiecku szereg prac wielce cenionych w świecie naukowym. I tak w r. 1840 ogłasza: „*Essai sur les sensations de couleurs*“, co w r. 1842 przerabia na niemiecki („*Ueber die Empfindungen der Farben in physiologischer und patologischer Hinsicht*“). Daléj pisze: „*De l'influence des muscles obliques de l'oeil sur la vision et de leur paralysie*“, „*De la plique polonaise dans l'état actuel de la science*“, „*Von der Abtragung des Pterygiums vermittelst der Ligatur*“. „*Von der Anaesthesie und Hyperaesthesie bei den hysterischen Frauen*“. Wróciwszy w r. 1851 do kraju, został członkiem Towarzystwa lekarskiego, kierownikiem szpitala oftalmicznego, prowadził daléj swe badania, ogłaszając rozprawy: „O wpływie usposobień na formy zapalne oka“ (1852), „Postrzeżenia kliniczne“ (1854), „Listy o patrzeniu i spoglądaniu czyli o macaniu okiem“ (1856). Powołany na profesora oftalmologii w akademii chirurgicznéj w r. 1859, pełnił z wielkiém powodzeniem i powszechném uznaniem obowiązki te zarówno w téj instytucyi, jak w Szkole głównéj i uniwersytecie warszawskim. Wtedy to ogłosił znakomite z dziedziny fizyologicznéj psychologii dzieło: „Fantazyjne objawy zmysłowe“ (2 tomy, 1860—63) oraz dobry pod-

ręcznik: „Wykład chorób przyrządu wzrokowego u człowieka“ (2 tomy. 1869, 1870). W r. 1884 z okoliczności 50-letniéj swéj działalności, uczczony był w sposób najzaszczytniejszy. Do ostatniéj niemal chwili pracować nie poprzestawał. Ostatniém jego większém dziełem jest: „Początek i rozwój umysłowości w przyrodzie“ (Warsz. 1885), nakład Kasy pomocy im. Mianowskiego). Prawość charakteru, energia w działaniu, obszerna nauka, umiejętność wykładu, jasność i potoczystość stylu odznaczały tego męża, który na polu wiedzy i pracy społecznéj, niepożyte położył zasługi. Zmarł w Warszawie 6 stycznia r. b.

† **Jezierski Michał**, ur. 1811 w gubernii kijowskiéj, gdzie téż całe życie przepędził. Szczegóły wykształcenia nie są nam znane. Od lat młodzieńczych pozostawał w stosunku przyjacielskim ze znanym oj. Prokopem. W literaturze wystąpił r. 1837 ogłaszając w Wilnie zbiorek „Poezyi“ (str. 114); potém w r. 1841 powieść historyczną z początku XVIII w. wierszem p. t. „Pan Kasztelan“. Następnie przeszedł do prozy, wydając powieści jako to: „Julia i Marya“ (2 tomy (1843), „Intryga włóczęgów“ (1854), „Konkurenci i Letarg“ (1855), „Powieści“ (2 tomy, 1857: „Złota tabakierka“, „Ekonomowa“), nie zaniedbywał jednakże i wierszy: „Orędowniczka ziemi naszéj“ (Odesa, 1855), „Dwie komedye wierszem: Kabała panny Chorążanki, Kaprys i głupota“ (Kijów, 1857). Po kilkunastu latach milczenia, w ostatnich czasach znowu zaczęły się pojawiać jego rozprawy historyczne wymierzone przeciwko poglądom młodszych dziejopisów: „Z dziejów dawnéj Polski“ (Warsz. 1882), „Klemens Janicki“ i t. d. Zmarł po długiéj chorobie 11 stycznia r. b. w Januszpolu, gub. wołyńskiéj.

† **Kazimierz Filipowicz**, urodzony w Radomiu 1843 r., skończywszy gimnazyum realne w Warszawie, odbywał studya praktyczne w Dąbrowie górniczéj, poczém wszedł na wydział matematyczno-przyrodniczy Szkoły głównéj, następnie kształcił się jeszcze daléj w kierunku przyrodniczym w uniwersytecie krakowskim i w szkole Montparnasse. Przeszedł potém na wydział lekarski, studyując w Krakowie; obroniwszy tezy (*Streitsätze*), dotyczące choroby Basedowa, otrzymał r. 1870 w Würzburgu stopień doktora medycyny; po raz drugi doktoryzował się w Dorpacie, a osiadłszy w Warszawie, zajął się praktyką lekarską, jako pomocnik dra Chałubińskiego. Jako lekarz zdrojowy, praktykował w Ciechocinku. Prace z zakresu nauk przyrodniczych, a mianowicie botaniki, pomieszczał w „Gazecie lekarskiéj“, „Pamiętniku fizyograficznym“ i w „Wszechświecie“. W r. 1880—82 był redaktorem „Kroniki lekarskiéj“. Najważniejsze jego

prace są: „Spis mchów, wątrobowców i porostów z niektórych stron Królestwa“, „Rośliny skrytokwiatowe“, „Wiadomości początkowe z botaniki“ (wydane nakładem Kasy pomocy naukowéj im. Mianowskiego). W rękopiśmie pozostawił materyały do „Flory polskiéj“ oraz przekład dzieła Lotze'go: „Mikrokosmos“. W r. 1885 opuścił Warszawę i osiedlił się na prowincyi, najprzód w Brześciu litewskim, potém w Siedlcach, gdzie téż umarł 8 stycznia r. b.

† **Maurycy Krupowicz**, ur. 1823, po ukończeniu nauk został 1856 sekretarzem komisyi archeologicznéj w Wilnie, był od r. 1860—1863 spółpracownikiem „Kuryera Wileńskiego“, zajmował się badaniami dziejowemi; wydał: „Zbiór dyplomatów rządowych i aktów prywatnych posługujących do rozjaśnienia dziejów Litwy i złączonych z nią krajów“ (Wilno, 1858), „Skarbiec dyplomatów papieskich, cesarskich i t. d., posługujących do krytycznego wyjaśnienia dziejów“ (t. 1862), oraz pismo zbiorowe, wspólnie z Janem Prusinowskim: „Po ziarnie“ (t. 1862). Zmarł w Warszawie 24 stycznia r. b.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński* —Redaktor *P. Chmielowski.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Января 1891 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

w kwartale IV-tym 1890 i w styczniu 1891 r.

1. **Program** ces. król. Szkoły politechnicznéj we Lwowie na rok naukowy 1890—1891. (XIX). Lwów, 1890, duże 8-o, str. 69.
2. **Drugie sprawozdanie** ces.-król. państwowéj Szkoły przemysłowéj w Krakowie, ogłoszone z końcem roku szkolnego 1889/90. Kraków, 1890, 8-o, str. 53.
3. **Słownik Geograficzny** Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich wydany pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego* i *Władysława Walewskiego.* Tom XI, zesz. 124 (str. 241—320).
4. **Kilka słów** w sprawie teoryi historyczno-heraldycznej D-ra Fr. Piekosińskiego napisał *J. K. Kochanowski.* Kraków nakł. autora, 1890, 8-o, str. 45.
5. *P. Mantegazza.* **Chora miłość.** Romans hygieniczny. Przekład z 7-go wydania oryginału. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1891, 8-o, str. 228.
6. **Encyklopedya handlowa.** Wydana staraniem i nakładem Redakcyi „Gazety handlowej" przy współudziale „Gazety losowań". Warszawa, 1891, 8-o, str. XI+IV+1034.
7. **Sprawozdanie** z działalności pracowni fizycznéj Muzeum przemysłu w Warszawie przez *J. J. Boguskiego.* Warszawa, 1890, 8-o, str. 5.
8. **Katalog wystawy** etnograficznéj środkowéj Afryki ze zbiorów *Leopolda Janikowskiego*, urządzonej w gmachu Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie 1890 r. Warszawa, 1890, 8-o, str. 43.
9. *Świętopelk Czech.* **Wycieczki pana Brouczka.** I: Wycieczka na księżyc. II: Pan Brouczek w XV-tém stuleciu. Z oryginału czeskiego przełożył *J. Nitowski.* Warszawa, nakł. „Biblioteki romansów i powieści", 1890, 8-o, str. 352.
10. **Wspomnienie Tatrów.** Z marzeń o szaréj godzinie. Skreślił *Kazimierz Gliński.* Warszawa, nakł. „Biblioteki romansów i powieści", 1890, 8-o, str. 73 i VIII.
11. **Rocznik Płocki.** I. Kalendarz dla Płocka i okolicy na rok zwyczajny 1891. Pod redakcyą *Z. J. Naimskiego.* Płock, 1890, 8-o, str. 212 (cena kop. 30).
12. **Z miasta i ze wsi.** Obrazki z życia zebrał *Albert Wilczyński.* Lwów, nakł. księgarni Gubrynowicza i Schmidta, 1891, 8-o, str. 252.
13. **Anglia wszechmożna.** Powieść obyczajowa przez *Edmunda S. Naganowskiego.* I. Lwów, nakł. księgarni Gubrynowicza i Schmidta, 1891, 8-o, str. 450.
14. **Studenci Polacy** na uniwersytecie Bolońskim w XVI i XVII wieku. Napisał *Mathias Bershon* człon. Pozn. Tow. przyj. nauk. Kraków, 1890, 8-o, str. 23.
15. **Wybór poezyj** *Ludwika Kondratowicza* (Władysława Syrokomli). Wydania nowe na rzecz wdowy i sierot autora. Z portretem autora. Tom III. Warszawa, 1890, 8-o, str. 444; tom IV, str. 470 i VI; tom V, str. 460.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa

